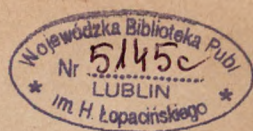


Biblioteka im. Hieronima  
Łopacińskiego w Lublinie

15840







Wojewódzka Biblioteka Publ.

Nr

5145c

LUBLIN

im. H. Łopacińskiego







# LISTY POLSKIE

ZESZYT PRÓBNY PISMA

POŚWIĘCONEGO SPRAWOM POLITYCZNYM POLSKIM  
WOGÓLE I SPRAWOM KRÓLESTWA W SZCZEGÓLNOŚCI

CZERWIEC 1904



KRAKÓW

SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI SPÓŁKI WYDAWNICZEJ POLSKIEJ

1904



948





# LISTY POLSKIE

*Aleksandrowi Głowackiemu  
w dowód serdecznego miastwa  
i wierniej przyjaźni  
z wiarą w własny i cu-  
żyd. myśli*

ZESZYT PRÓBNY PISMA

POŚWIĘCONEGO SPRAWOM POLITYCZNYM POLSKIM  
WOGÓLE I SPRAWOM KRÓLESTWA W SZCZEGÓLNOŚCI

*stawa*

*Cyprus*

*8/6 1904*

*948*

CZERWIEC 1904



*15840*

KRAKÓW

SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI SPÓŁKI WYDAWNICZEJ POLSKIEJ

1904



# LISTY POLSKIE





## Do CZYTELNIKÓW.

Wśród zadań, jakie ma do spełnienia umiarkowana prasa polska w Królestwie, jest kilka, których, w warunkach, w jakich pisma polskie w państwie rosyjskiem wychodzą, spełnić w zupełności nie może, albo, co najwyżej, tylko bardzo niedostatecznie.

1) W społeczeństwie, które przez całe stulecie nie zaznało prawdziwego spokoju, w społeczeństwie zmęczonem, rozstrojonem i rozżalonem, — mówić o umiarkowaniu i trzeźwości, przekonywać o potrzebie oparcia obrony interesów narodowych na podstawie legalnej i lojalnej, propagować ideę wspólnej pracy z państwem, — to zadania, których trudność pokonać można tylko wtedy, gdy zaapeluje się i trafi nietylko do rozumu, ale i do serc. Takie odwołanie w prasie polskiej pod cenzurą rosyjską nie jest możliwe. Chcąc do uczucia narodowego przemówić, natrafiamy na przeszkody, których przełamać niepodobna. Musimy milczeć.

2) Racya bytu naszego kierunku, kierunku legalnej prasy na gruncie wspólności państwowej

z Rosyą, polega na tem, abyśmy, nie schodząc z tego gruntu, mogli bronić praw i spraw narodowych, walczyć o korzystniejsze warunki rozwoju, starać się o zniesienie ustaw wyjątkowych przeciw nam skierowanych, zapobiegać aktom represyi. W spełnieniu tego zadania natrafiamy na niezmiernie trudności. Naprzód cały szereg spraw politycznych i społecznych wykreślony jest poprostu z listy spraw, któremi prasa polska może się zajmować. Tych zaś, których teoretycznie bronić wolno, nie można bronić skutecznie, bo nie wolno przytaczać drażliwszych, a więc zwykle najważniejszych argumentów, nie wolno krytykować postępowania urzędników, już nietylko wyższych, ale i średnich.

3) Jednem z głównych zadań umiarkowanej prasy polskiej musi być walka z własnymi szkodnikami, z kierunkami i robotami skrajnemi, w tem przekonaniu, że one o wiele większą szkodę przynoszą nam samym, niż państwu. Taka walka mogłaby być skutecznie prowadzoną tylko w warunkach zupełnej swobody słowa. I tu głównym orężem musi być gorące patryotyczne uczucie, w imieniu którego musimy przemawiać. Nie mogąc użyć tej broni, nie mamy widoków zwycięstwa. Waży tu jeszcze jeden wzgląd: przepisy cenzuralne nie pozwalają przytaczać w całości dokumentów lub głosów prasy, zbyt jaskrawo, zbyt ostro przeciwpaństwowych czy przeciw rządowych. Może to mieć swoje uzasadnienie, ale nas pozbawia to w niejednym wypadku możności przekonania czytelnika. W takich warunkach walka nasza przybiera czę-



stokroć pozory walki nie z niebezpieczeństwem, lecz z jakimś cieniem niebezpieczeństwa.

4) Ostatnie wreszcie zadanie, którego skuteczne spełnienie jest niemożliwe, jest to polemika z szowinistyczną prasą rosyjską o sprawy polskie. Oskarżenia ich trzeba odpierać, insynuacje obalać, fałsze prostować. A robić to trzeba nie tylko dlatego, żeby w jakimś szczególnym wypadku szkodę odwrócić, ale i w interesie polepszenia wogóle stosunków polsko-rosyjskich. I tu walka, chociaż na inny sposób, jest nierówną: w bronieniu się jesteśmy zwykle względami cenzuralnymi skrzępowani.

\* \* \*

Niemożność spełnienia zadań, jakie ciążyą na polskiej prasie umiarkowanej, przynosi tę jeszcze krzywdę, iż pozostawia otwarte pole złej woli do fałszowania przed opinią naszych idei i naszych celów. Nawet w Galicyi i Poznańskiem ten stan wytworzyć zdołał pewien zamęt w pojęciach, dzięki któremu często bywamy pociągani do odpowiedzialności za to, co sami gorąco potępiamy, i sądzeni nieraz za winy, jedynie tylko w rozgorączkowanej wyobraźni naszych adwersarzy popelnione. Tem gorszą jest nasza sytuacja w granicach kordonu, gdzie skrzępowana prasa nasza skazana jest na nierówną walkę z prasą skrajną tajną, potajemnie kolportowaną w tysiącach egzemplarzy, i oddziaływającą na umysły, nie tylko gorącem a swobodnem słowem, ale jeszcze i urokiem, jaki ma to co jest zabronione i zakazane.



Temu stanowi rzeczy należy zaradzić. Zaradziłoby mu, choć w pewnej części, utworzenie za kordonem umiarkowanego pisma polskiego, któreby, nie odstępując ani o włos od programu, który stosunki nasze do Rosyi stworzyły, a który za jedyne zbawienny uważamy, — jasno i otwarcie, szczerze i dokładnie, bez lęku i bez przesady, spełniało te zadania, których cenzurowane pisma polskie spełnić nie mają możności.

Zeszyt, który dziś wydajemy, nie jest jeszcze zupełnem urzeczywistnieniem takiej myśli. Jest to dopiero próba tego urzeczywistnienia. Nie przesądza ona ani o formie, ani o objętości, ani o układzie, ani o terminach ukazywania się »Listów polskich«. I bardziej aniżeli pierwszym numerem nowego pisma jest ten zeszyt otwarciem dyskusyi nad racyą bytu i przyszłością projektowanego przez nas organu.

*Redaktor.*



## WCZORAJ I DZIŚ.

### I.

Jeżeli w dziejach ludzkości wypadłoby nam szukać przykładu katastrof nieuniknionych, to jako wymowny przykład wymienilibyśmy przedewszystkiem zbrojne porwy narodu polskiego w pierwszej połowie zeszłego wieku. O wiele innych postulatów historycznych można się dziś jeszcze spierać. Można powątpiewać o tem, czy po wszyskiem, przez co Polska przeszła w XVII i XVIII wieku, upadek państwa był nieunikniony. Można dowodzić, że gdyby powstanie Kościuszki nie było wybuchło i gdyby Rzeczpospolita była zachowała swój byt bodaj do bitwy pod Marengo, rzeczy byłyby odmiennym poszły torem. Można rozprawiać o tem, czy szczęśliwem było natchnienie, które wiodło Polaków pod orły napoleońskie. Można bronić tezy, że jakkolwiek wojny napoleońskie nie wróciły niepodległości Polakom, to jednak, dając im organizację państwową i wojskową, którą nawet kongres wiedeński uszanować musiał, wynagrodziły im hojnie wszystkie ofiary. Można też na odwrót tezę tę zbijać. O jednym tylko wątpić nie można, nie można wątpić, że jakiegokolwiek byłyby losy Europy w dobie porozbiorowej, spiski i zbrojne powstania byłyby zapelnily życie kilku pokoleń w Polsce.



Upadające państwo zbyt silnie związane było z narodem, a przede wszystkim z oświeconą jego częścią, ażeby ta nie postawiła wskrzeszenia Polski za jedyny cel swego istnienia. «Byliśmy narodem, nie jesteśmy narodem, narodem być chcemy». Temi słowy, rozumiejąc przez wyraz «naród» to, co my dzisiaj nazywamy «państwem», określano wówczas zadanie pokolenia.

Nieunikniona reakcja przeciw faktowi dokonanemu przedstawi nam się dopiero wówczas w całym swym realizmie, gdy sobie uprzytomnimy należycie szereg zjawisk historycznych, które wycisnęły piętno na sytuacji ówczesnej i nakreśliły tor właściwy wypadkom późniejszym.

Natychmiast po upadku państwa polskiego zaczął się na ogromnej części jego obszarów straszny proces wyprzedawiania. Austria i Prusy przystąpiły niezwłocznie do dzieła i germanizacja zaczęła się na całej linii. Działwa, która w zaborze pruskim i austriackim przyszła na świat w lat parę po odpadnięciu tych prowincji od Polski, pobierała już nauki w obcym języku. Pamiętniki Kazimierza Brodzińskiego, który sto lat temu chodził do szkół galicyjskich, są wymownym pomnikiem owych lat pierwszego ucisku.

A nie zapominajmy, że granica pruska nie szła tamtędy, którą dzisiaj idzie. Niemczyzna rozpierała się zuchwale, pod osłoną orłów pruskich, na Mazowszu, na Podlasiu, docierała do Litwy, a urzędnicy austriaccy zalewali Krakowskie, Sandomierskie, Lubelskie i wciskali się w głąb Wołynia. Stan po trzecim rozbiornie nie da się porównać z żadną epoką późniejszą. Z takim też stanem pokolenie, które patrzyło na upadek kraju, żadną miarą pogodzić się nie mogło. Ludzie ci przeszli byli przez chwile straszego upadku, straszego upokorzenia, strasznych rozterek wewnętrznych, ale ludzie ci zasiadali na sejmie czteroletnim, lub przysłuchiwali się jego obradom, ludzie ci przypatrywali się wjazdom obcych rezydentów i roztrząsali pytanie, czy Rzeczpospolita zawrzeć ma przymierze z imperatorką, czy z królem pruskim; najlepsi, najoświeceńsi, najzdolniejsi

między nimi wierzyli, że droga do zbawienia wiedzie nie przez absolutyzm, ale przez uzdrowienie życia konstytucyjnego w kraju, przez wtłoczenie dawnych naszych tradycyj sejmowych w formy pojęć nowych, zaszczerpionych na Zachodzie przez Monteskiusza, a rozwiniętych przez członków konstytuanty francuskiej. I tym ludziom kazano nagle milczeć, słuchać, odzywać się od czasu do czasu w języku znienawidzonym, dawać rekruta, mającego walczyć pod obcymi sztandarami i przelewać krew za obcą sprawę.

Prusy padają. Napoleon wchodzi do Poznania. Polska musiała się ocknąć, a ten dzień przebudzenia rozstrzygnął o jej losach w ciągu stulecia. Ocknęła się na huk strzałów. Przebudzonej dano broń w rękę. Odtąd było pewnem, że będzie walczyła, że każdy przyrost sił będzie zużywała na polu walki, ale równie było pewnem, że sama sobie pozostawiona w nierównej walce będzie przegrywała jedną kampanię po drugiej, aż przyjdzie nareszcie chwila, w której, nie przestając być sobą, przestanie myśleć o odrodzeniu przez bój i krew.

O powstaniach można powiedzieć, że były koniecznością dziejową, ale również powiedzieć trzeba, że doba ich, musiała kiedyś dobiec kresu. Naród nie mógł wiecznie użyżniać niw europejskich krwią, płynącą mu z serca. Rozwój plemienia polskiego zależał od tego, kiedy się skończy ten chrzest krwawy, ta próba jego dzielności, jego wytrwałości, jego zdolności do poświęceń.

Dzisiaj wiemy wszyscy, że próba trwała za długo. Naród wszedłszy na drogę powstań, na drogę pełną krótkich tryumfów wojskowych i długich żalób po dniach pogromu, szedł po tej drodze, póki sił starczyło. Dopiero gdy uczuł, że mu krwi upłynęło zbyt wiele, gdy zrozumiał, że jeszcze jeden taki wpływ zabójczym być może, zapytał, czy oprócz tej drogi, która wiedzie przez pole chwały, niema innej dla niego?



## II.

Dziesięciami są rozumowania historyków, którzy, potępiając w zasadzie nasze powstania, wykazując ich lekko-myślność, beznadziejność, swawolę, starają się jednak usprawiedliwiać je bądź naruszeniem pojedynczych artykułów konstytucyi przed r. 1831, bądź pojedynczemi rozporządzeniami margrabiego przed r. 1863. Jest to w równym stopniu tendencyjne, jak tendencyjnym było dawniej uwielbianie idei powstańczej, a zwalanie całej winy na kilku lub kilkadziesiąt zdrajców. Nie o całość zaprzysiężonej przez Mikołaja I konstytucyi biło się wojsko polskie pod Iganiami i nie o usunięcie Naczelnika rządu cywilnego szło tej młodzieży, która się tułała po lasach. Powstania były protestem nie przeciw temu, lub owemu systemowi rządu, ale przeciw przynależności do Rosyi, powstania zmierzały nie do wywalczenia znośniejszych warunków zależności, ale do odbudowania niepodległej Polski. Tylko w ten sposób można je sobie wogóle wytłumaczyć. Pojmując je inaczej, stajemy wobec zbiorowiska wątpliwości i zagadek, których rozwikłać nie podobna.

Jawność lub niejawność obrad sejmowych nie jest dla narodu kwestyą życia i śmierci. Ci, co nieśli życie na straconie, myśleli o czem innym. Jakiegokolwiek byłyby losy konstytucyi w Królestwie Kongresowem, jakiegokolwiek margrabia byłby czynił ustępstwa czerwonym, w jednym i drugim wypadku katastrofa wisiałaby w powietrzu nad nieszczęśliwym krajem, bo i w r. 1830 i w r. 1862 naród żył w przekonaniu, że spokój w kraju jest tylko chwilowem zawieszeniem broni, że kiedyś, jeżeli nie za rok, to za lat pięć, lub piętnaście, do starcia przyjść musi i że jeżeli im samym nie będzie dane wejść do Ziemi Obiecanej, to dziatwa, która się na ich kolanach kołysze, ujrzy jeszcze kiedyś w polu prawdziwego Orła z Pogonią, a dziatwa tej dziatwy zbierze w ojczyźnie niepodległej obfite żniwo wolności, szczęścia i chwały. Dopóki cały naród tak myślał,

nie trzeba było nawet gwałcenia konstytucyi. Prochy były gotowe, gmach mógł lada chwila wylecieć w powietrze. Potrzeba było tylko krzesiwa i skalki. Ostatecznie i to było zbyteczne. Lonty porozrzucane po kraju mogły się zająć od świecy kościelnej, od lojówki w pokoiku studenta, od iskiei w kuźni.

Historyk Polski porozbiorowej staje wobec sfinksa.

Jak to? Gdy przerzucamy pamiętniki, listy, protokoły zebrań, widzimy, że na miesiąc przed wybuchem każdego powstania byli wszyscy wybuchowi przeciwni. W r. 1830 żaden wyższy oficer nie wierzył, żeby starcie z Rosyą mogło się zakończyć zwycięstwem polskiej broni. Przejedźmy się po Polsce i spytajmy ludzi, których rok 1863 zastał już w wieku dojrzałym, a nie wiem, czy na stu znajdziemy jednego, któryby nam powiedział, że powstania pragnął, że uważał zwycięstwo za prawdopodobne. Dla najmłodszych między nami jest w tem coś niepojętego. Któż zrobil to powstanie, jeżeli na prawdę nikt go nie pragnął? Nie mówcie nam o duchu czasu, o sile fatalnej, o niewidzialnej dłoni losu. Są to frazesy dobre w dramatach, pisanych dla publiczności niedzielnej, ale nie w dziełach historycznych. Mimowoli zatem wyrywa się nam okrzyk bolesnego zdumienia: Jeżeli pan widziałeś to, co zasłonięte było przed wzrokiem tłumu, jeżeli pan przeczułeś tę niesłychaną klęskę, jeżeli zdawałeś sobie sprawę z tego, co to jest powstanie, to w jakiż niepojęty sposób znalazłeś się pan między tymi ludźmi, którzy wywołanie powstania mają na sumieniu? Jeżeli pan wiedziałeś, że zbrojna odpowiedź na reformy margrabiego pchnie naród w przepaść bezdenną, to dlaczego na każdym kroku podniecałeś pan nienawiść narodu ku temu człowiekowi? Jeżeli nie chciałeś powstania, to musiałeś się zgadzać na pokojowy rozwój społeczeństwa pod panowaniem Rosyi. A jeżeli tego rozwoju pragnąłeś, to dlaczego wysilałeś się, by przekonać naród i Europę, że tak rozwój jest niemożliwy? Dlaczego podpisałeś adres do hr. Zamoyskiego, który jako warunek *sine qua non* nieprzystępowania do ruchu stawiał konstytucyę i przyłą-



czenie Litwy? Dlaczego wystąpiłeś z Rady powiatowej, dając tem do poznania, że żaden dobry Polak nie powinien przykładać ręki do dzieła, które margrabia rozpoczął? Dlaczego nie zdobyłeś się na jedno słowo uznania dla takich czynów, jak założenie Szkoły Głównej, stworzenie Rady Stanu, usunięcie Rosyan z urzędów? Jeżeli pan nie chciałeś powstania, to dlaczego byłeś zawsze po stronie tych, którzy nieustannie słowem i postępkami przekonywali naród, że ustępstwa rządu i czyny Wielopolskiego są dla Polski obelgą i że lepiej na wszystko się narazić, niż taką obelgę znosić cierpliwie?

Ażeby znaleźć odpowiedź na te pytania, trzeba wmyśleć się w dusze tych, którzy wówczas powstania nie chcieli. Nie chcieli go, to prawda. Nie chcieli go, dopóki nie było ani oficerów, ani broni. Nie chcieli go, bo nie było pewnem, czy można liczyć na pomoc zagranicy. Nie chcieli go, bo przypuszczali, że za lat parę będzie miało większe widoki powodzenia.

Tak przed laty czterdziestu rozumowała prawie cała Polska. Powstania, z wyjątkiem niepoczytalnych zapaleńców, nikt nie chciał — na razie. Ale jutro, gdy lody spłyną, gdy Wisłą będzie można spławić broń z Krakowa, gdy armia francuska otrzyma nowe działa... jutro, kto wie? Może, nim słońce jutrzejsze zajdzie, godzina stanowcza wybije.

Dla społeczeństwa, które tak myślało, Wielopolski nie zrobić nie mógł. Tylko jakiś bardzo naiwny polityk zaściankowy może sobie wyobrażać, że polityka obrona przez margrabiego miała jakiś dorywczy, tymczasowy charakter, że wskazywała, co robić dziś, a nie przesądzała o tem, co będzie jutro, że wprawdzie trzeba było siedzieć cicho, ale zarazem wolno było w cichości ducha przygotowywać się na wielki bój, który nastąpi, gdy społeczeństwo nabierze dość sił, a więc za dziesięć, piętnaście, dwadzieścia lat. Naiwne złudzenia. Wielopolski patrzył na sytuację okiem trzeźwym i rozumował logicznie. Rozumował, że państwo, które nie jest w takich opałach, w jakich nieco później

znalazła się Austria, nie obsypuje podbitych krajów darami, dopóki nie wie, że dary te będą przyjęte wdzięcznie i że obdarowany naród nie użyje ich jutro na szkodę państwa, ale Wielopolski wierzył równocześnie, że w Królestwie znajdzie przynajmniej tylu ludzi politycznie wyrobionych, ilu ich zasiadło w r. 1861 w pierwszym sejmie galicyjskim, i że dzięki tym ludziom będzie mógł tak samo zaręczyć cesarzowi Aleksandrowi II za lojalność Królestwa, jak Agenor Gołuchowski zaręczył cesarzowi Franciszkowi Józefowi za lojalność Galicyi. W tem tkwiła jego pomyłka, jego największy grzech polityczny. Tych ludzi w Królestwie nie było.

Dwóch rękojmi potrzeba było ze strony narodu, ażeby plan margrabiego się powiódł. Po pierwsze uznania w Wielkim Księciu Konstantym przedstawiciela prawowitej dynastyi, tak jak Galicya uznaje takiego przedstawiciela w każdym arcyksięciu, przyjeżdżającym do Lwowa, a powtóre niemanifestowania wspólności politycznej z Litwą. Na Litwie niech o dobru i przyszłości kraju myślą i radzą sami jego mieszkańcy.

Jakże się wobec tego zachowali «przeciwnicy powstania»? Czy mieli zawrzeć pakt z dynastją i wyrzec się tego, co już wśród blasków najbliższej zorzy porannej ukazać się mogło na widnokręgu? Czy mieli troskę o losy Litwy pozostawić Litwinom i dopuścić, żeby Europa, która znowu pomyśleć o nas gotowa, doznała wrażenia, że granice nasze nie sięgają po Dźwinę? Na jedno i na drugie zgodziliby się ludzie, którzy nie chcą powstania i nie myśląc o niem, tak, jak o powstaniu przeciw Austrii nie myśleli ówcześni Galicyanie, musieliby tem samem przyjąć, jako logiczną konsekwencyę, panowanie dynastyi rosyjskiej nad Wisłą; na jedno i na drugie zgodziliby się ludzie, którzy powiedzieliby sobie, że skoro nie myślimy o robieniu na Litwie powstania, to trzeba tej biednej Litwie dać możność uzyskania jak największych ustępstw od państwa, do którego należy. Ponieważ zaś Litwa zdołałaby uzyskać coś, jeżeli się będzie o to starała sama, a los jej pogor-



szyłby się z pewnością, gdyby za nią chciało przemawiać Królestwo, przeto nie wyrządzajmy jej naszą lekkomyślnością niepowetowanej szkody i nie mówmy w jej imieniu.

Tak niezawodnie mówiliby i myśleliby politycy «niechcący powstania». Ale nie zapominajmy, że ci smutni epigonowie epoki ubiegłej, lubiący dzisiaj opowiadać młodszemu pokoleniu o swem ówczesnem umiarkowaniu, o swej trzeźwości i przenikliwości politycznej, patrzyli na sprawę całkiem inaczej, niż patrzą dzisiaj. Oni nie myśleli o powstaniu z dnia na dzień, ale wyrzec się możliwości chwycenia za broń jutro, ale usunąć możność zbrojnego starcia poza granice horyzontu politycznego, to było dla nich nad siły.

Wielopolski potęgą swego geniuszu politycznego pchnął naród na rozstajne drogi. Postawił go w sytuacji, z której nie można było wydobyć się jakąś krętą ścieżką. Nieubłagana konieczność zmuszała do stanowczego, jawnego pójścia na prawo, lub na lewo. Po jednej stronie stał wielkogłowy olbrzym, otwierający rodakom wstęp do Rady stanu, do Rady administracyjnej, do rad miejskich, powiatowych, do Szkoły Głównej, do urzędów. Droga była otwarta. Ale kto na nią wstąpił, ten stwierdzał, że z marzeniami zrywa, że staje na gruncie realnym, że żyjąc w granicach wielkiego państwa, chce z ustaw jego korzystać, a przyjmując z ręki monarszej dostojęństwo i urzędy, chce w dal szym życiu okazać się godnym zaufania; kto wstąpił na tę drogę i chciał na tej drodze wytrwać, ten musiał w duszy zawrzeć z Rosją kompromis taki, jaki już wówczas Agenor Gołuchowski, Maurycy Kraiński, Leon Sapieha, Oktaw Pietruski, Julian Dunajewski zawarli w swem przekonaniu z Austryą, kompromis, który w kilka lat później Szujski, St. Koźmian, L. Wodzicki, St. Tarnowski i M. Bobrzyński mieli uzasadnić za pomocą naukowo wyrozumowanej teorii. Po drugiej stronie stał nieustający, nieuspiony, czyhający na sposobną chwilę spisek.

Cóż uczyniło na tych rozstajnych drogach społeczeństwo, niechcące rzekomo powstania?

Przedewszystkiem robiło to, co każdy Polak najbardziej lubi, próbowało odłożyć decyzję do jutra, próbowało zachować się biernie, nie łączyć się ani z jednym ani z drugim kierunkiem. Niebawem okazało się, że na tem stanowisku wytrwać nie podobna. Margrabia robił swoje; spiskowcy nie ustawali w robocie. Inteligencya narodu musiała powiedzieć, co wybiera. Wówczas obrano najfatalniejsze wyjście. Wmawiając w siebie nieustannie, że się powstania nie chce, robiono faktycznie wszystko, żeby je wywołać. Na wezwanie Wielopolskiego, żeby się wraz z nim zabrać do pracy, odpowiadano szeregiem protestów, manifestacyj, artykułów, ogłaszanych w prasie zakordonowej, aż nareszcie wzbudzono w całym narodzie to najgłębsze przeświadczenie, że lata, w których Królestwo dostało polskie szkoły, polskie urzędy, polskie władze autonomiczne, są dla narodu stokroć cięższe i boleśniejsze, niż lata poprzedniego ucisku. Przeświadczenie to stało się dogmatem. Naród uwierzył ostatecznie, że można było wytrzymać prześladowanie za Mikołaja, ale nie można ścierpieć stanu, w którym każdy dzień zaznacza się jakąś nową zdobyczą dla języka, dla samorządu, dla rozwoju ekonomicznego. Najokropniejszym okresem w dziejach Warszawy nie były, według tej doktryny, czasy mikołajowskie, nie były czasy pruskie. Nie! Najstraszniejszą epoką były lata, w których Wielopolski zakładał szkoły polskie i usuwał urzędników rosyjskich. Tamto można było przeboleć, tego nie zniesie żaden naród. Mówiono to na każdym zebraniu, drukowano to w każdym numerze *Czasu*. Niebawem doszły rzeczy do tego, że nie było w Polsce stu ludzi, mających odwagę wyznać, że są innego zdania. Ogół inteligencji polskiej, widząc, że konserwatyści usuwają się od wspólnej z margrabią roboty, że protestują przeciw jego ideom, że unikają wszelkiego pozoru jakiegokolwiek z nim łączności, pojął nareszcie, że tak źle, tak smutno, tak rozpaczliwie nigdy jeszcze w Polsce nie było. Utrwaliła się wiara, że lepszy bój bez nadziei zwycięstwa, niż taki żywot opłakany. Gdy równocześnie Wielopolski wszystkie urzędy w Królestwie



poobsadzał ludźmi, którzy tępienie spisku i prześladowanie spiskowców poczytywałyby sobie za największą podłość, powstanie musiało wybuchnąć, jako logiczny wynik danej sytuacji.

A najsmutniejsze w tem wszystkim jest to, że ci umiarkowani, ci biali, najwinniejsi między winnymi, postępowali w owych latach z niesłychaną konsekwencyą. Żaden z nich nie namawiał młodzieży, by szła do lasu, ale też żaden, ilu ich było, nie zdobył się na powiedzenie tej młodzieży, że pora powstań minęła, że odtąd na innem polu trzeba walczyć, zdobywać i zwyciężać. Do takiego przewyciężenia samych siebie nie posunęli się i posunąć się nie chcieli. Pozostali na raz zajętem stanowisku i wytrwali na niem konsekwentnie. Nie chcieli wyprzeć się nadziei, że kiedyś ujrzą może przecież wielką wojnę o niepodległość, a więc nie mogli iść z margrabią.

Byliby nawet z nim poszli. Niechby był tylko, zwracając jedno oko ku Petersburgowi, mrugał drugim znacząco w stronę kraju, by dać swoim do zrozumienia, że to żarty, że wszystko, co mówił w Petersburgu, było powiedziane dla oszukania Moskali, że Polacy, którzy do jego robót przykładają rękę, nie mają powodu wyrzekać się powstań na zawsze, i że za lat parę, gdy armia rosyjska znajdzie się znowu w położeniu rozpaczliwem między Tulczą, Szumłą i Warną, będzie można pomyśleć o partyzantce.

Na szczęście, na wielkie szczęście margrabia nie chwycił się tej taktyki. Gdyby był poszedł tamtą drogą, byłby się cieszył przez czas jakiś szczerem poparciem białych, ale powstaniu nie byłby zapobiegł. Straszny pogrom nie byłby minął ani Królestwa, ani żywiołu polskiego na Litwie i Rusi, natomiast naród poniósłby krzywdę wielką, krzywdę dwojaką. W Petersburgu nie pozostałoby wspomnienia o tem, że był przecież Polak, na którym można było polegać, Polak, który dawał państwu rosyjskiemu to, co za najlepsze dla państwa uważał, Polak, nad którego upadkiem prawemu, zacnemu Rosyaninowi ubolewać na-

leży, — a nad Wisłą nie byłoby dziś tego poszarpanego i postrzępionego sztandaru, około którego w każdej chwili ważniejszej grupują się żywioly politycznie wyrobione i politycznie myślące.

Wielopolski nie poszedł ową — wygodną na pozór — drogą, bo widział niezmiernie jasno, że prowadzi ona w kierunku wprost sprzecznym z jego programem. Wielopolski zrozumiał, że państwo rosyjskie nie może czynić znaczniejszych ustępstw narodowi, który na poły uznaje swą przynależność do niego, a na poły marzy po dawnemu o kossynierce. Wielopolski pojął, że między dawną a nową polityką narodu polskiego jest Rubikon, który przekroczyć trzeba, że Polacy muszą wychylić gorzką, ale zbawienną czarę do dna. Rubikonu przed nikim nie zasłaniał. Oczu narodowi nie zawiązywał. Czary nie osładzał. Szedł naprzód, nie przypuszczając, żeby go naród nie rozumiał. Bo zgodzimy się dziś wszyscy zapewne na to, że z zarzutów, uczynionych margrabiemu, najdziecinniejszy i najzabawniejszy jest ten, iż Wielopolski nie odsłonił przed nikim swych planów. Wyraźniej nie odsłaniali swoich ani Deak, ani Cavour, ani Gołuchowski. Przed rokiem 1866 mniej w Niemczech wiedziano o rzeczywistych zamiarach Bismarcka, niż w Warszawie w r. 1862 o planach Wielopolskiego. Współcześni nie dlatego nie szli za Wielopolskim, iżby nie wiedzieli, dokąd on dąży, ale dlatego, że widzieli to zbyt jasno. Między narodem a margrabią była wówczas przepaść, której na razie nie mogło zapełnić nic, którą dopiero zapełniać miały trupy i gruzy.

Wielopolski wiedział, że naród, idący wskazaną przezeń drogą, musi rzec się wielu rzeczy, by tą ofiarą własne swe jestestwo okupić. Wielopolski wiedział, że naród wyrzec się musi i rozrzewniających scen przy poświęceniu sztandarów, i «złoty pieluch Sybiru», i żebraniny po przedpokojach monarchów ościennych, i taniego przydomka kondotyerów wolności. Wielopolski wzywał naród z czystym sumieniem do tej ofiary z umiłowanych rojeń, bo w zamian dawał mu szczodłą dłońią to, czego mu nie



dawano przedtem, czego mu nie dano potem. Dawał ludowi, żyjącemu w ciemności, oświatę. Robił z chłopca człowieka. Dawał nauce polskiej, zwolna wlokącej się za nauką zachodu, przybytek, w którym mogła rozpostrzeć skrzydła. Dawał społeczeństwu, żyjącemu wśród ciągłego bezprawia, możność rządzenia się, sądzenia swych sporów, radzenia o sobie i wyrabiania w sobie poczucia praw i obowiązków. Dawał narodowi szkołę polityczną, w której z niedorostka miał dojść do pełnoletności. Wielopolski pracował w czasie, w którym w sąsiednich Prusach wrzał spór między rządem a parlamentem o nowe bataliony, nowe szwadrony, nowe działa, w czasie, w którym Francję, jak się miało pokazać niebawem, stać było na wystawienie trzystu tysięcy ludzi nad Renem, w czasie, w którym modły całego świata katolickiego nie zdołały opóźnić marszu brygady włoskiej, mającej wkroczyć do Rzymu po ustąpieniu Francuzów. Wielopolski widział jasno, że myśleć w takiej chwili o wyżebraniu, wymodleniu lub o wywalczeniu gołymi rękami niepodległości jest złudzeniem, szaleństwem, obłędem, ale widział równie jasno, że ceną szczerego wyparcia się tych złudzeń można podnieść lud polski na wyżynę, na której stoi lud czeski, że można wszczepić w naród umiejętność pojmowania spraw publicznych, umiejętność odczuwania własnych potrzeb i zaspakajania ich, że można wlać w ciemne i obojętne miliony ludu dar korzystania ze skarbów myśli polskiej; że z owych dwóch szczepów, z których się ówczesna Polska składała: z inteligencji o typie przeważnie szlacheckim i z ludu o typie włościańskim — można wytworzyć naród jednolity, nierozdzielny, zdrowy. Program nie był ani tajny, ani mglisty, ani niezrozumiały.

Inteligencja polska zrozumiała wybornie myśl Wielopolskiego i odpowiedziała gromkiem i stanowczem: nie! A gdy przyszło usprawiedliwić tę odpowiedź odmowną, powiedziała równie głośno i wyraźnie, że lepszy był ucisk paskiewiczowski od reform, które mogą tylko przygasić żarzące się pragnienie niepodległości. Każda ówczesna bro-

szura, odezwa, mowa, każda karta któregokolwiek z pism zakordonowych przekonywa nas, że tak było. Wszystkie późniejsze wykrety, zwalanie winy na jakieś fatum dziejowe, czy na niejasność programu, miały na celu jedynie zagłuszenie własnego sumienia.

Czy Wielopolski jest bez winy? Rzecz oczywista, że nie. Człowiek, który tyle rzeczy przewidział, nie domyślił się jednej. Nie domyślił się, że w całym kraju nie będzie trzydziestu ludzi wybitnych, którzyby go poparli szczerze, odważnie, bez zastrzeżeń. Sądził, że będzie miał za sobą naród, a nie miał nikogo. Naród znalazł się w obozie przeciwnym. Ci, co «nie chcieli powstania», nie wahali się nigdy, ile razy chwila stanowcza wracała: gdy można było zdanie objawić, oświadczali zawsze i wszędzie, że sumienie każe im protestować nie przeciw spiskowi, ale przeciw rządowi człowieka, który zapomocą «reform bez znaczenia» chce uspić miłość wolności.

Tragiczna konieczność otworzyła nareszcie młodszymi pokoleniami oczy. Zmieniła się z biegiem lat broń palna, zmienił się sposób wojowania, zmienił się stosunek sił europejskich, a każda z tych zmian usuwała odbudowanie Polski na plan coraz dalszy. Rok 1870 wytrzeźwił od razu tych, dla których było pewnikiem, nieulegającym wątpliwości, że z Paryża musi nadejść ostatecznie wielkie hasło zmartwychwstania. Smutni epigonowie dawnych mistyków politycznych usiłowali przez krótką chwilę powierzyć misję wskrzesiciela Wilhelmowi II. Ci, których nie uleczyć nie zdołało, nie czekali nawet upadku Bismarcka. Dla nich było wprost rzeczą niepojętą, iżby zwycięskie Prusy nie wzięły z radością na swe barki zadania, któremu pokonana Francja nie będzie mogła sprostać. Byli tacy. Zналиśmy ich wszystkich. Na szczęście policzyć można ich było na palcach u jednej ręki. Dziś mrzonka interwencji obcej znikła prawie do szczętu.

Z wyleczeniem się narodu z tej najstraszniejszej choroby weszły sprawy polskie na inną drogę. Faktem, który go coraz dalej na tej drodze — nieraz świadomie, nieraz





nieświadomie — popycha, jest pogodzenie się Polaków galicyjskich z państwem austriackim i z dynastją Habsburgów. Fakt ten zaaprobowala cała Polska, nie protestuje przeciw niemu nikt. Rzecz oczywista, że ci, którzy nie ganią Polakom, iż, jako ministrowie, pracują nad ocaleniem jednego z mocarstw rozbiorowych, że, jako deputowani, uchwalają podatki na armię austriacką, iż, jako urzędnicy, przysięgają Franciszkowi Józefowi na wierność — muszą w dalszej konsekwencji dojść do wniosku, że skoro reformy Wielopolskiego dawały Królestwu więcej, niżeli ma dziś Galicya, pogrzebanie ich było szaleństwem. Przyznajemy, że są w Polsce głowy, którym trudno przyznać się do tej konsekwencji, ale niewzruszone prawo zdrowej logiki rządzi ludźmi częstokroć bez ich świadomości, krępuje ich w jednych postępkach, pobudza do drugich. Polska, która pozwoliła Krakowianom, Podhalanom, Lwowianom i Bełżanom stanąć na gruncie legalnym, Polska, która wszelką ruchawkę w Galicyi nazwałaby błażństwem, a wszelki zamach, wymierzony przeciw dynastji, zbrodnią nikczemną i ohydną, nie jest już Polską z r. 1862. Przeczyć temu może tylko ten, kto dobrowolnie zamyka oczy na rzeczywistość.

A skoro raz zapomniano o pomocy obcej, skoro zrezygnowano ze zdobywania kijami bagnatów, a bagnietami dział — musiano sobie powiedzieć, że odbudowanie Polski — możebne czy niemożebne w teoryi — znikło obecnie z wokandy spraw, domagających się rozwiązania praktycznego.

Kto nie chce uporczywie powtarzać rzeczy, w które sam nie wierzy, ten przyzna, że myśl o odbudowaniu państwa polskiego nie zaprzęta dziś ludzi poważnie myślących. Z chwilą zaś, gdy ta kwestya przestała być dla Polaków kwestją polityki aktualnej, stanęła na porządku dziennym kwestya inna, a mianowicie: skoro nie pracujemy nad odbudowaniem własnego państwa, jakże mamy się urządzać w państwach, do których należymy?

Pytania tego nie można było ominąć. Polska, ta Pol-

ska, za którą tyle krwi przelano, za którą cierpieli dziadowie i ojcowie nasi, za którą cierpi młodzież dzisiejsza, pozbawiona nauki w mowie ojczystej, za którą cierpieć będzie to pokolenie, które dziś matki Polki w żywocie noszą, ta Polska nie jest jakimś bóstwem niepochwytnem, powiewnem, nawpół ziemskim, a w drugiej połowie nadoblocznem. Nie! Polska to istota żywa i cielesna. To — wielkie zbiorowisko najrealniejszych potrzeb i najkonkretniejszych pożądań, to organizm, wymagający nieustannego pokarmu. Polska — to nędza ludu, którą trzeba zastąpić dobrobytem; Polska — to pragnienie oświaty, które należy zaspokoić czempredzej; Polska — to ubogie zagony chłopskie tam, gdzie ciągnąć się powinna rola dobrze uprawna, rodząca nie chwasty, lecz pszenicę.

Pókiśmy wierzyli w zwycięskie powstania, sądziliśmy, że zdziała to rząd polski. Dziś widzimy, że trzeba tego dokonać pod obcym rządem.

Lud nasz jest ciemny. Ciemnota jego to straszny skutek wiekowej niedoli, to okropna pokuta narodu za lekkomyślne zmarnowanie tego, co mu pomyślne losy chwilami niosły w darze. Śląsk, Poznańskie, Prusy Zachodnie pokazały nam, jakie zasoby siły narodowej tkwią uspijone w duszy tego ludu. By je wydobyć na zewnątrz, trzeba tę duszę ogrzać i oświetlić promieniami nauki. Nad Prosną, Gopłem, Drwęcą, graniczą ze sobą dwa światy: po jednej stronie mamy włościan, których myśl ogarnęła już cały szereg zagadnień, dostępnych do niedawna wyłącznie dla warstw wykształceńszych; — po drugiej mamy nieruchomą, zwartą masę nieoświeconego włościanstwa, które swą biernością, swym konserwatyzmem, swym bezwładnym oporem przyczynia się niewątpliwie do zachowania cech narodowych całego kraju, które atoli nie zdaje sobie sprawy ani z niebezpieczeństw, jakie mu pod względem narodowym grożą, ani z tej cichej, legalnej, nieustannej walki odpornej, jaka się póty odbywać będzie, póki trwać będzie rusyfikacya. O ile obowiązkiem naszym jest czuć nad tem, by ten lud nie dał się wciągnąć w żadną



robotę, mogącą sprowadzić na kraj nową burzę, o tyle jeszcze świętszym obowiązkiem jest strzedz go w sposób legalny od wynarodowienia. Prac tych skutecznie dokonać można jedynie pod osłoną państwa i zapomocą praw, przez nie nadanych; pod osłoną państwa, przekonanego szczerze, że praca nasza nie zmierza do oderwania się; zapomocą praw, zapewniających państwu całość granic, a dających nam możliwość narodowego rozwoju.

Program to jasny. Z konieczności dochodzi do niego każdy, kto zarzucił program dawny, program partyzancko-dyplomatyczny. Poza tymi dwoma programami pozostaje tylko świat socyalistyczny ze swą nieokreśloną rewolucją przyszłości.

*R.*

---

## TRZYDZIESTOLECIE BROSZURY.

---

Porozbiorowa polityczna literatura polska miała wytyczne słupy, rozgradzające ją na wyraźne okresy; były nimi narodowe klęski. Każda z nich, podniecając do wzajemnych oskarżeń i wyrzutów, i niewoląc do roztrząsania błędów i szukania nowych dróg wyjścia z coraz cięższego położenia, zapładniała literaturę polityczną nowymi przewodniami myślami, które towarzyszyły dziejom naszym, czy wiodły je przez okres cały aż do nowej klęski.

Dwa ostatnie okresy politycznej literatury polskiej, rozpoczęte dwoma ostatnimi wielkimi pogromami, mają wiele cech wspólnych i jedną zasadniczą różnicę. Po przegranej w roku 1831 cała myśl polityczna polska wytyężyła się w jednym tylko kierunku: wykrycia i wyświeetlenia błędów, popełnionych w przygotowaniu i przeprowadzeniu ostatniej orężnej walki, by, unikając ich w walce przyszłej, uczynić ją zwycięską... Tych roztrząsań owocem

był ruch z r. 1863. Po porażce z roku 1863—1864, obok tego dawnego kierunku, uwidacznia się i kierunek nowy. Wylania się mianowicie i prawo obywatelstwa zdobywa zasadnicze pytanie: czy myśl o orężnej walce ma nam i nadal być jedyną troską, czy też, przeciwnie, wyrzeczenie się jej nie jest właśnie podstawą i warunkiem lepszej przyszłości? Do roku 1863 literatura polityczna roztrząsała wyłącznie pytanie: jak przyszlą walkę orężną uczynić zwycięską? Po roku 1863 obok tego pytania roztrząsać ją i drugie: jakie inne drogi stoją przed nami otworem, skoro zwycięska walka orężna stała się niemożliwą?

Odtąd, zwalczając się wzajemnie, dwa te kierunki biegną równolegle, i między nimi do dziś dnia toczy się nierozstrzygnięta ideowa walka o umysły i serca następujących po sobie pokoleń polskich.

Myśl oparcia przyszłości narodu na innych podstawach, nie na złudnych nadziejach zwycięskiej walki orężnej, myśl zwrócenia energii narodu w inną stronę, by nie marniała w jałowych wysiłkach, myśl ta po wypadkach roku 1863—1864 nową nie była, skoro bezpośrednio przed tymi wypadkami przyświecała wielkiemu dziełu, podjętemu przez Wielopolskiego, a chybionemu dlatego właśnie, że społeczeństwu naszemu zupełnie była obcą. Nową była tylko literaturze naszej politycznej, która wówczas dopiero podjęła zadanie wszczęcia jej w przekonania społeczeństwa, by umożliwić następnemu pokoleniu podjęcie dzieła, dla którego poprzednie okazało się niedojrzałym.

Z ogromną siłą szczerego patryotycznego przeświadczenia, z wielkim talentem i niemalym rozgłosem myśli te krzewić ją, z Szujkim na czele, historyczna szkoła krakowska, ucząc społeczeństwo prawdzie w oczy patrzeć, i z prawd, nie mamidel dziejowych, naukę na przyszłość czerpać. Krzewieniem tych nauk zajął się cały szereg krakowskich pisarzy politycznych, którzy na własną głowę ścigali zapamiętałe przekleństwa i gromy, ale dla myśli swych wciąż liczniejszego zyskiwali zwolenników. W ten sposób wytworzył się cały potężny odłam politycznej lite-



ratury, za którego sprawą wykształcenie polityczne społeczeństwa polskiego tak poważne czyni postępy, że tam, gdzie okoliczności pozwalają na wprowadzenie nowych tych poglądów w życie, w Galicyi, mimo teoretycznych protestów i pozornego oporu wszystkie stronnictwa stają niebawem na rzeczywistym gruncie stosunków państwowych i rozpoczynają pracę w państwie i z państwem, głośno lub milcząco wyrzucając ze swoich programów dotychczasowe hasło: «przeciw państwu!»

Z tego odłamu politycznej literatury naszej wyodrębnić musimy tę jego część, która postawiła sobie jako zadanie przygotować podobną ewolucję politycznej myśli wśród społeczeństwa polskiego pod rządem rosyjskim i wdrożyć społeczeństwu temu przekonanie, że obowiązkiem jego jest nie, jak dotychczas, sposobności do wejścia na drogę państwowej pracy udaremniać, ale sposobności takiej skwapliwie wyglądać, co więcej, nad wywołaniem sposobności takiej niestrudzenie pracować.

Zadanie takie, w zakresie stosunków polsko-rosyjskich, starały się spełnić cztery broszury, nierównej miary i znaczenia, ale tą samą ożywioną myślą: *Włodzimierza Spasowicza* «Polityka samobójstwa», *Publicyści z Warszawy* «Obrachunki polityczne», bezimiennego autora «Sprawa polska jako sprawa wewnętrzna państwa rosyjskiego», *Piotra Warty* «Z chwili obecnej».

Broszura «Sprawa polska, jako sprawa wewnętrzna» i. d. zawiera dużo myśli trafnych, ale że przypadła na czas zupełnej apatii, nie obudziła większego zajęcia, tak, jak na to niewątpliwie zasługiwała.

Broszura «Obrachunki polityczne» ukazała się w okresie rozbudzenia nadziei, gdy po pierwszych czynach Mikołaja II otucha wstępować poczyniała w serca społeczeństwa. Broszura ta, odznaczająca się wszystkimi zaletami świetnego pióra jej autora, znanego pisarza politycznego i publicyisty, patryotyczna i rozumna, nie wywołała tych skutków, jakich wartość jej oczekiwać nakazywała. Stało się to skutkiem małego jej rozpowszechnienia w granicach

państwa rosyjskiego, a powtóre i dlatego, że z trzech jej części nie została ogłoszoną najważniejsza, budząca największe zajęcie i pociągnąć zdolna praktyczne skutki: część trzecia, zawierająca szczegółowy program i przenosząca zagadnienia ogólne i teorię na grunt realny.

Czwarta z rzędu broszura: «Z chwili obecnej» Piotra Warty była rozpaczliwą niemal, a pierwszą próbą wydania broszury politycznej pod cenzurą rosyjską, co nałożyć musiało na tok myśli takie pęta, wycisnąć na niej piętno takiego lawirowania między wymogami myśli a możliwością jej wypowiedzenia, że wymagała ona niezmiernie wiele dobrej woli ze strony czytelnika, na co w chwili ogólnego rozdrażnienia, w której rzecz ta się pojawiła, nie podobna było liczyć. Broszura «O chwili obecnej» poruszyła jednak kilka ważnych kwestyj, podała kilka ważnych i nieznanych przedtem informacji, i z tego względu miała znaczenie dodatnie.

Najstarsza chronologicznie i najważniejsza z tych broszur, o których mówimy, broszura Spasowicza święciła niedawno swój 30-letni jubileusz, a święciła go w pełni siły męskiej, nie postarzewszy się zupełnie, będąc dzisiaj tak samo na przyszłość programową, jak była nią przed 30 laty. Treść tej broszury jest nawet znacznie starsza, niż jej książkowe wydanie. By zawarte w niej myśli szerzyć, jeszcze w r. 1858 Wl. Spasowicz (wraz z innymi) wydawać począł w Petersburgu «Słowo», pismo «ugodowe», które, jak na wróżbę dalszego stosunku podobnych usiłowań do rządu rosyjskiego, zostało, za staraniem Gorczkowa, po paru tygodniach zamknięte.

Wl. Spasowicz nie był jednak człowiekiem, który dalby się zbić pierwszym niepowodzeniem z tropu. Tego, co za dobre i niezbędne dla społeczeństwa polskiego uważał, bronił wytrwale i nadal, nie potrzebując, by rząd rosyjski swą przychylnością utwierdzał go w jego przekonaniu; bronił tego z całą siłą i zapalem, wbrew niechęci tak ze strony polskiej, jak rosyjskiej, ufając niewzruszenie, że rzecz rozumna do rozumu trafi, a przekonanie szczere —



do przekonań. Nie czekając na naukę 1863 r., w epoce największego podniecenia i rozdrażnienia, mimo, że osobista przyjaźń łączyła go z paroma naczelnikami rewolucyjnego ruchu, z całą stanowczością w roku 1861/2 zgubność rewolucyjnej roboty przepowiadał i przed jej następstwami ostrzegał.

«Polityka samobójstwa», której myśl podstawowa sformowała się w umyśle Spasowicza na kilka lat przed wypadkami 1863 r., a w kilka lat po tych wypadkach spisana została i ogłoszona, nie minęła bez wpływu i śladu, ale młodszemu pokoleniu mało jest znaną, a niewielu też dziś wie, że bezimiennym jej autorem był Włodzimierz Spasowicz. To nas skłania do przypomnienia jej ogółowi. Broszura nosi tytuł:

*Polityka Samobójstwa.*

*Uwagi nad pisemkiem „Polska i Rosya w r. 1872“  
przez byłego członka Rady Stanu Królestwa Polskiego  
Drezno 1872. Wydanie drugie.  
Poznań, w księgarni J. K. Żupańskiego, 1872.*

Streszczamy ją w ten sposób, że ważniejsze ustępy z broszury Spasowicza przytaczamy większem pismem dosłownie, wiążąc je streszczeniami ustępów pozostałych.

(Spasowicz rozpoczyna rzecz od streszczenia poglądów Rady Stanu<sup>1)</sup>, wyrażonych w przytoczonym powyżej pisemku i zaznacza, że «uderzającą oryginalność» jego wniosków stanowi to, że autor proponuje rozmyślne wyzucie się przez patriotyzm z tego, «co ludzie zwykli byli nazywać dotąd patrią, ojczyzną, narodowością». Chodzi mu mianowicie o wyzbycie się całkowite języka polskiego, o przyjęcie przez cały naród polski w granicach Rosyi języka rosyjskiego, a po tej transformacyi «nowa ojczyzna pracy stanie się ojczyzną serca»).

Autor proponuje nam umrzeć i zgnieć jako naród polski, ażeby się odrodzić w innej, wyższej całości —

<sup>1)</sup> Owym «Radcą Stanu» był Krzywicki, b. dyrektor główny komisji oświecenia publicznego za rządów Wielopolskiego.

w Słowiańszczyźnie, posługującej się rosyjską mową, jako zrazu urzędowym, a później, z biegiem czasu, bytowym językiem, pod którego zwierzchniem pokryciem mogą węgutować inne języki, jako miejscowe, niecywilizacyjne narzecza. Wyzucie się z odziedziczonej po przodkach wiary lub mowy, idzie wszędzie na świecie oporem i zwalo się, bez względu na pobudki, odstępstwem. W smutnych naszych dziejach pogrobowych odstępstwo objawiało się dotychczas zwykle w dwóch formach: pozorne, przez zemstę, czyli tak zwany wallenrodyzm i najistotniejsze, przez obojętność, czyli tak zwany kosmopolityzm. Odkąd największy z naszych wieszczów w niedobrą chwilę podniósł do ideału zdradę, jako narzędzie walki, liczne pokolenia jedno po drugim chorowały na wallenrodyzm i truły się nim; nie obeszło się przytem bez skażenia pojęć moralnych w narodzie. Prawdziwych Wallenrodów dojrzało wszakże mało, a tylko dotąd Rosyanin w wyciągniętej ku niemu każdej dłoni polskiej — upatruje Wallenroda. Co się zaś tyczy odstępstwa jawnego, to się dokonywało przez uroczyste wyparcie się swej narodowości, przez zelżenie jej i zbezczeszczenie (Senkowski, Bulharyn). Odstępcy tego gatunku działali dla zysku i byli ludźmi tak małego kalibru w moralnym względzie, że, odchodząc, oddawali usługę narodowości naszej, pozbywającej się tego śmiecia. Z Radcą Stanu ma się rzecz całkiem inaczej. Bezwarunkowo potępiając wszelką myśl wallenrodizmu, Radca Stanu miłuje po swojemu narodowość i na twarz umarłej Polski kładzie synowski, gorący prawie pocałunek.

(Radca Stanu potępia rozbiór Polski i chwali ojców naszych za ich zbrojny opór; jedynie, korząc się przed faktami dokonanemi, radzi nam «zrobić z bytu swojego poświęcenie i ofiarę». Ale czyż ten desperacki krok jest potrzebny? Ba, czy jest wogóle możliwy? Radca nie przekonał nas w tym względzie, bo i nie mógł tego dokazać).

Odkąd na początku naszej historyi Chrobry zakreślił szablą państwowe granice, Polska, otoczona i ze wschodu i z zachodu śmiertelnymi nieprzyjaciółmi, z którymi jednocześnie staczać musiała walki, znalazła się w położeniu,



z którego nie wyszła. Możliwość bronięcia się i przeciwko każdej z dwóch niemieckich marchii i przeciw Rusi, a potem Moskwie, oraz przeciwko sojuszowi wszystkich tych trzech potęg, stanowiła dla niej warunek istnienia. Polska nie podolała temu zadaniu, sąsiedzi ją rozebrali. Wypadek ten można wyrozumować dwojako: albo jako fakt nieunikniony, naturalny, jak powódź, pożar, jak rozłożenie się konieczne organizmu, który się przeżył; albo, jako mordstwo dokonane przez sąsiadów. Przy pierwszym przypuszczeniu upada wszelka kwestya międzynarodowo-kryminalna; schodzimy na grunt historyi naturalnej społecznej; wszystkie próby odbudowania państwa politycznie, równają się galwanizowaniu trupa; zostaje do rozstrzygnięcia, czy po zwątpieniu w zmartwychwstanie polityczne, można jeszcze bronić istnienia narodowego, swojej kultury wyrobionej dziejami, swojego typu wykutego wiekami świetnych powodzeń, tylko pracą moralną oczyszczonego z ojcowskich grzechów i błędów? Wszyscy renegaci twierdzili, że nie można i nie warto. Jest to stanowisko bardzo mocne, z którego już wprost się schodzi do wszystkich praktycznych postulatów Rady Stanu. Lecz Radca Stanu jest to człowiek przede wszystkim sercowy, nie chce rozstać się ani z jednym ze swoich ideałów młodości, chociażby potem między tymi ideałami przychodziło do walki. Polska została zamordowaną, kryminal się popelił, rozumuje on; ojcowie nasi dobrze robili, lejąc krew w walce z mordercami (3), nam tylko, ich potomkom, trzeba uderzyć czołem przez faktem dokonanym; bo na nieszczęście w międzynarodowym prawie nie istnieje *restitutio in integrum*. Dziwne rozumowanie! Niema *restitutionis in integrum*, ale niema też i przedawnienia, preskrypcyi. Pan Radca, który tak wierzy w porządek moralny, że aż nam tłumaczy zamiary Opatrzności na każdej karcie pisemka, powinien wiedzieć, że jak w mechanice żadna cząstka siły nie przepada nigdy, tak i w porządku moralnym nie może przepaść, nie wiedzieć jak, i zniknąć, ani jedna cząsteczka tej moralnej siły, którą nazywamy pra-

wem, chociażby przeszły wieki krzywdy, zanim mogłaby wystąpić jawnie ta siła niewidoma i ukryta.

Państwo rozbito, kraj rozebrano, zaczął się długi okres tułactwa, siania kości polskich po całej kuli ziemskiej i zarazem niestety, wyciągania ręki o pomoc ku dalekiemu Zachodowi przeciwko trzem zaborcom. Spełniony został wielki błąd i grzech, bo powstawać skutecznie, chociażby i z cudzoziemską pomocą, mogą tylko te narody, które stać podolają potem o własnych siłach; a żeby się u nas na to zanosilo, nikt z nas temu nie wierzył. Błąd jeszcze gorszy, że byt i przyszłość narodu przywiązano do dynastji, która nie tylko obcym, ale i swojemu krajowi gotowała same ruiny. Przez czas niejaki Polska była niby ogonem tej krwawej komety. I nasz Radca okres ten przeżył i jako człowiek sercowy, zamiast otrząsnąć się z błędu, zasusza ideał i kładzie go obok innych kwiatków do wspomnień swoich herbarza.

Pisemko Rady nie jest tylko herbarzem, w którym się składają, jak w pieśni Wajdeloty, zeschłe uczuće kwiaty; jest to zarazem Panteon, w którym się stawiają coraz to nowe bogi. Obok posągu dawnej Polski, uwiecznzonego wiankiem nieśmiertelników i transparentem z orłem Francji, któremu rzucono szczyptę kadzidla, wykuta została framuga większa i głębsza, a w niej się mieści ostatnie dziecko ducha czasu, najnowszej daty bożyszcze: aglomeracya ludów, wskazane jako najprawdopodobniejsza faza przyszłego ustroju Europy (18). Najrozmaitsze pierwiastki składały się na odlanie tego bożyszcza. Autor, nie podając ani daty jego urodzenia, ani towarzyszących urodzeniu okoliczności, przytacza tylko Napoleona III, zapewne jako proroka i Jana Chrzciciela nowego kultu, którego arcykapłanem był Cavour, jest dzisiaj Bismark, a jutro będą zapewne pp. Hilferding i Aksakow; bo już ciąż, kiedy ma się stać niebawem aglomeracya słowiańska, przez wlanie się wszystkich Słowian do pojmującej słowiańską misję Rosyi i dla utwierdzenia wyższej nad dotychczasowe narodowości jedności zbiorowej, duch czasu



i kolej wypadków pchną niezawodnie wodę na koła moskiewskich słowianofilów. Radcy Stanu nie zastanawia wcale ta uwaga, że żadna z dotychczasowych aglomeracji nowej daty, ani włoska, ani niemiecka, nie utworzyła się wskutek li tylko rasowego pobratymstwa aglomerujących się; że żadna z nich nie była naprzód wymarzona, a później urzeczywistniona, że każdej przewodniczyła pewna polityczna tradycja; Włochom — tradycja wielkiej przeszłej Romy; Niemcom — cesarstwa Karola Wielkiego.

(Na czem polega poczucie się narodu rosyjskiego do specjalnie słowiańskiej misji? Panslawizm w krajach południowej Słowiańszczyzny i Czechach dowodzi tylko, że ludy tamtejsze w kłopotliwym położeniu oglądają się za pomocą czy opieką z zewnątrz, podobnie jak my do niedawna oglądaliśmy się na Francję w nadziei, że nas zechce i potrafi wybawić. Ale Rosyja nie chwyta się tej polityki awantur i odbiegania własnych interesów).

Dodajmy przytem, że nawet najbardziej zaawansowani z pomiędzy panslawistów np. Czesi, w swoich marzeniach nie posuwają się wcale tak daleko, jak Radca Stanu, i jeżeli myślą o aglomeracji słowiańskiej, to jako o rzeszy z wodzem, z Rosyją na czele, nie myśląc bynajmniej nieść jej w ofierze własnego języka; przypomnijmy tylko apologię Riegera o dzwonach w Moskwie w r. 1867, na zjeździe słowiańskim wśród etnograficznej wystawy. Autor pisemka nie wytłumaczył wcale, skąd się wzięła idea Słowiańszczyzny i dlaczego mamy wierzyć, że wszystkie ludy tego szczepu mają fatalnym pędem złać się w tym roztopie? Każda idea potrzebuje jednak uzasadnienia. Zgadnijcie, proszę, dlaczego mamy co prędzej wyteplić w sobie tak zwaną gminnie miłość ojczyzny i ułatwiać tym sposobem następcom naszym zbliżenie się do tego ogniska, które ma się rozniecić na naszych popiołach przez nowy rzeczy porządek? (7) Dlatego, odpowiada autor, że każda zbiorowość, od rodziny począwszy, a zatem i narodowa ojczyzna, jest to w gruncie tylko pewna jednostronna forma bytu, dająca człowiekowi możliwość zostać prawdziwym człowiekiem (8), t. j. wychowywać się

i doskonalić się moralnie. Tu spotykamy się znowu oko w oko i to najniespodziewaniej z czwartym ideałem autora, który już jest prawdziwym dopełnieniem jego kadryla; z ideą humanitarną kosmopolityczną, wobec której ojczyzna narodowa jest po prostu suknią, dającą się odmie-  
niać i handlować, tak, że gdy nam ciasno w jednej, możemy wziąć drugą obszerniejszą, a nawet wleźć do ciasniejszej w nadziei, że się roznosi, rozszerzy i że przez dopuszczenie Mądrości Najwyższej, z kolei «ojczyzna pracy» stanie się dla prawników «ojczyzną serca». Ta idea kosmopolityczna ma w ekonomii pisemka Rady Stanu przeważne znaczenie. Do niej ucieka się on, chcąc skojarzyć sojusz Polaków z Rosyanami. «Nie jako Polacy — jako ludzie przychodzimy do narodu rosyjskiego, powiada on, i li tylko jako ludzie wchodzimy do wspólnego politycznego ciała» (72). Z narodowości jadąc do szczepowości, przejechać przez ludzkość, jest to, przyznajemy, jedną z najtrudniejszych łamanych sztuk w dyalektyce, i znaczy prawie to samo, co skoczyć naprzód po drabinie, zahaczyć się o najwyższy jej szczebel, a potem dać jeszcze większego susa w dół i stanąć na najniższym szczeblu. Nie myślimy bynajmniej zaprzeczać rasowości; wpływ jej ogromny, potężny, nawet w najwykształconszych narodach trudny do wytłumaczenia, nie dający się wyrozumować, szczególnie, gdy różnice zaogniane są i rozjątrzone przez nienawiść. Nie mamy też zamiaru odrzucać idei ludzkości; nie pojmujemy tylko szczególniejszego tych dwóch idei zestawienia i zdaje się nam, że zbliżając się do Rosyan, w celu wproszenia się do Słowiańszczyzny, do której Rosya ma niby klucze posiadać, daleko konsekwentniej byłoby szukać rekomendacji nie w tem, żeśmy tylko ludzie, lecz raczej, żeśmy Słowianie. Porozumiejmy się. Niema państw szczepowo jednolitych, wszystkie prawie powstały z połączenia się, rzadko dobrowolnego, a najczęściej przymusowego, najrozmaitszych rasowych pierwiastków, które się żyły, skombinowały i utworzyły ciała nowe: narodowość historyczną, zupełnie co do właściwości



i przymiotów swych różną od pierwiastków, jakie jej dały początek. Między narodowościami rozmaitego pochodzenia, wspólna cywilizacja, wzajemne zapożyczanie kultury, czerpanie z jednych i tych samych źródeł oświaty, tworzą niezmiernie mocne węzły duchowego pobratymstwa, które często o wiele przeważają wszystkie podobieństwa szczepowe. Poświęcać głębokie, tradycyjnie przez historię wypiełgnowane różnice, nie dlatego, że są złe, ale dlatego jedynie, aby się pograżyć w pierwotnym rozczywie szczepowym, znaczy iść w kierunku odwrotnym do biegu historii i oddalać się na tysiąc mil od idei ludzkości..

. . . . . Nad ciałami naszymi panuje nieubłagana potęga; oddajmyż jej i serca nasze, każdy — pojedynczo i bez żadnych warunków (65), bo o warunki nikt nie będzie się układał z tak zupełnie pokonanymi zbiorowo, a i radzić nawet nie możemy, jakbyśmy życzyli i uważali za słuszne, by się z nami obchodzono; *vae victis* — myśmy interesowani i jako tacy nie kwalifikujemy się na doradców. Przyjąwszy nas bez kondycyi, darujecie nam wspaniałomyślnie na pierwszy początek, że odzywać się będą dawne przywyknienia, że czas niejaki będziemy rozmawiali po polsku z sobą w domowym zaciszu, z Panem Bogiem w domowej modlitwie (nie kościelnej, bo ta może być ruska), i w rozmowie z Muzami (53, 59). Później to przejdzie i rzeczy dojdą do tego, że co krok można będzie napotykać Polaków, nie używających wcale polskiej mowy. Przyjmijcie nas bez kondycyi, nie będziecie tego żalowali, będziecie mieli z nas zdolnych urzędników, przedsiębiorczych agronomów i przemysłowców, wypróbowanych pedagogów (75). Uzdrowimy was przytem z waszych chorób umysłowych, z trapiącego młodzież waszą nihilizmu, bo pod tym względem mamy węż doskonały i osobliwszym sposobem wyostrzony; poznamy przez skórę każdego, nawet kryptosocyalistę albo kryptonihilistę (76); w końcu staniemy po stronie waszej i zasłonimy was pierściami własnymi, gdy wam przyjdzie stoczyć bój z Zachodem za Słowiańszczyznę (67). Ręka rękę myje; ze względu na

wagę świadczonych wam posług, nie będziecie mogli odmówić równouprawnienia tym, którzy się kwalifikują przed wami, już nie jako Polacy, ale przede wszystkim jako ludzie (72), a potem jako zachowawcze słowiańskie stronnictwo, gotowe pokrzepić szeregi waszych zbyt rzadkich i niezaradnych konserwatystów (76).

Przypuśćmy na chwilę, że zwrot ten nagły z konieczności, a niby od serca ku Rosyanom, jest nieunikniony i moralnie dla nas możebny. Rozsądek każe jednak i w takim przypuszczeniu zastanowić się nad tem, jakie zwrot ten za sobą prowadzi skutki; czy osiągnie cele swoje najbliższe? czy zostanie przez Rosyan przyjęty? Straszno pomyśleć o następstwach w razie, gdybyśmy ofiarowali darmo jedyne dobro, jakie nam dziś pozostaje — moralną godność naszą i poniżywszy się bezwarunkowem uznaniem naszej winy, mieli doznać jeszcze upokorzenia odmownej ofiary. Jeżeli się grubo nie mylę, pisemko gotuje nam niezawodnie jeszcze i ten ostatni kielich goryczy. Rosyanie, jak to sam autor zapewne przyzna, nie są ludzie sercowi, ale przezorni, podejrzliwi i pełni wężowej mądrości; rzucenie się na szyję ich nie ujmie, będą się bali *Danaos et dona ferentes*, będą wietrzyli zdradę w Słowiańszczyźnie, proponowanej przez Radcę, w wielkich cywilizacyjnych przeznaczeniach tej Słowiańszczyzny. Przyznajemy nawet, że będą mieli rację poniekąd. Ta Słowiańszczyzna, w której autor proponuje zespolić się natychmiast, jest jeśli nie zdradą, to przynajmniej złudą, odrywającą Rosyę od najkonieczniejszych zatrudnień, od wewnętrznej nad sobą pracy, od konsolidowania swoich nowych instytucyj, które na to, by się przyjęły, potrzebują czasu i pokoju. Pojednanie się z Rosyą przez wyznanie winy, nie może dać Rosyanom wysokiego wyobrażenia o wpraszących się do niej pokutnikach. Pobici i tępieni, możemy w obliczu Rosyan być niemniej szanowani i dumni, możemy być traktowani nie urzędownie, lecz przez wykształcone społeczeństwo rosyjskie, ze wszystkimi honorami wojennymi. Cóż o nas trzymać będą, jeśli



na komendę, zrobiwszy na lewo w tył — zwrot, zechcemy zmienić tak zwaną gminnie ojczyznę (7) i przez to przyznać się, żeśmy srodze dotąd bładzili, że i rozbiór Polski był rzeczą całkiem zasłużoną, że nie wiedzieć za co i po co straciliśmy lat setkę na same szaleństwa? Ta nasza zmienność poda nas tylko w poniewierkę i pogardę, zjedna nam miano ludzi niezmiernie lekkomyślnych. Przyszłość, zastanawiając się nad dziejami wygasłego narodu, może surowszy wyrok wyda jeszcze i może przyzna, żeśmy się sprzeniewierzyli Słowiańszczyźnie, dla której poświęciliśmy język swój i narodowość, żeśmy przynieśli jej nie zysk, lecz stratę.

Historyczna narodowość, odcięta od państwa, które było jej piastunem i naczyniem, może mieć wszelako prawo do życia, o ile mieszczą się w niej jeszcze żywe tradycje, podnoszące człowieka i uszlachetniające go, chociażby wśród innej państwowej społeczności. Narodowość jest to skarb moralny, pracowicie uzbierany przez naród i przeznaczony na to, aby się stał dobrem całej ludzkości. Przez czas długi okoliczności mogą nie sprzyjać rozpowszechnieniu i spożytkowaniu tych cywilizacyjnych tradycji; obowiązkiem jednak narodu będzie zawsze przechować je święcie aż do czasu, kiedy tradycje te znajdą właściwe zastosowanie i użytek. Radca Stanu przypomina nam, żeśmy Słowianie, Słowiańszczyźnie zatem należą się przede wszystkim nasze narodowe tradycje. Im obfitsze narodowe tradycje ludów słowiańskich, tem bogatszą Słowiańszczyzna. Zerwanie z tradycją narodową jednego z narodów słowiańskich, równa się ucięciu członka Słowiańszczyźnie, zmarnowaniu wspólnego skarbu, danego do przechowania. Wprawdzie Radca Stanu stara się odróżnić tradycje od języka i twierdzi, że «nieodrodny potomek Polaków, z sercem do głębi wzruszonym, rad będzie słuchał podania o przodkach, choć ojczystej zapomni już mowy» (60), ale niech mi wolno będzie zaliczyć tę subtelną dystynkcyę pomiędzy najbezzasadniejsze utopie, wręcz przeciwne rzeczywistości. Stronę bierną narodowości w każ-

dym człowieku stanowią pewne nawyki myśli, uczucia i woli, których zupełnie pozbyć się nie mogą nawet zdrajcy lub odstępcy; z nich najważniejszym jest język; stroną czynną narodowości stanowi patryotyzm, ukochanie, rozmiłowanie się w narodowym ideale. Nie-patryota zostaje jeszcze Polakiem o tyle, o ile wskutek przywyknienia od dzieciństwa, myśli się mu leją mimowolnie w polskie słowa, a w pamięci zostają pewne dawne pamiętki. W następnem pokoleniu, jeżeli dzieci po polsku nie wychował, już to jego potomstwo dla narodowości nie istnieje, nawyki ma inne i brak mu nawet klucza do narodowych ideałów ojczyzny ojca (klucz ten zawiera się głównie w języku); z rozrzewnieniem nie będzie ono słuchało podań o przodkach; podania te albo mu będą obojętne, albo nawet będzie na nie patrzyło przez pryzmat swojej nowo nabytej przez wychowanie narodowości. Polaków nie-patryotów mamy jeszcze mnóstwo, lecz niech mi pokażą choć jednego Polaka nie mówiącego polskim językiem, a mimo to przechowującego polski rozum i serce? Autor zapewne sam się ze mną zgodzi, jeżeli zechce przypomnieć sobie tych potomków Polaków w Petersburgu lub Moskwie, zachowujących nawet wiarę rzymsko katolicką, którzy się po rosyjsku wychowali, a nie mają nic zgoła polskiego prócz nazwiska; za to Rosya chlubi się często nimi, bo w nich nabyła gorliwych i dobrych dla siebie patryotów.

W zwrocie Rady Stanu do Rosyan jest jeszcze jeden ustęp bardzo wstrętny i smutny, znamionujący wielki upadek uczucia moralnego: jest nim ofiarowanie posług naszym Rosyanom przeciw rosyjskim nihilistom. Nie wiem, czy wielu pomiędzy nami znalazłoby się gotowych do wystąpienia w roli politycznych agentów przeciwko nihilistom; chcę wierzyć, że wszystko co szlachetniejsze odwróciłoby się od takiej propozycji z pogardą; co zaś do Rosyan, mogę z pewnością twierdzić, że przetłumaczenie tego jednego ustępu wystarczyłoby na to, aby prawie cała literatura rosyjska z bardzo małymi i wcale nieszanownymi



chyba wyjątkami, wydała okrzyk zgrozy, potępiając nieproszonych posługaczy. Ustęp ten nie wpłynąłby zgoła na zmianę usposobień, zwiększyłby tylko liczbę prześladowców, boby odsłonił żądło gadziny pod kwiatami uczucia i kazałby nas posądzać o zamiary czynnego wtrącania się do rosyjskich spraw wewnętrznych i domowych interesów. Nie chcę brać wyrazów Rady Stanu dosłownie i przypuszczam, że treść myśli jego zasadza się na tem, iż zostawszy Rosyanami, my, wskutek naszych zachowawczych usposobień, moralnie przyłożymy się do powściągnięcia tej wyuzdanej swawoli umysłowej, która grasuje w Rosyi pod imieniem nihilizmu. Ale nawet w takiej, mniej odrażającej formie, propozycja Rady Stanu jest obelgą dla rosyjskiego narodu. Ze swoich ułomności naród sam się leczy i nikt obcy nie może mu być zgoła doradcą. Jedna z najbardziej zażartych przeciw nam gazet petersburskich przez pół roku powtarzała, że system represyjny Murawiewa i Milutina stosowany jest do nas przez miłość ku nam, dla uleczenia nas z choroby szlachto-papizmu, mającej nas niby przenikać aż do szpiku kości. Radca Stanu w dyatrybie swej przeciw nihilistom stanął na wysokości stanowiska owej gazety; działa tylko w przeciwnym kierunku.

(Radca Stanu mógłby sobie zjednać łaskę tylko wsteczników rosyjskich. Jeśli zaś istnieje dla nas nadzieja pobratania się z Rosyanami, to tylko na gruncie państwa nowożytnego, przytem wśród radykalnych żywiołów polskich utrata ideałów narodowych i historycznych wzmogłaby niechybnie utopie socjalistyczne i bezpośrednio przyczyniłaby się do wzrostu zastępu nihilistów w Rosyi).

Pisemko! Rady Stanu sprawia wrażenie niesłychanie smutne i przykre; jesteście jakby na stypie pogrzebowej, jakby wśród rozbicia i tonięcia okrętu. Nie słycać kapitana, dawno zniknął sternik, ktoś krzyknął: «uciekajcie i ratujcie się, jak to może», i na ten okrzyk rzucają się wplaw rozbitki, każdy pojedynczo, nikomu już nie chodzi o to, aby zbudować z desek tratwę albo spuścić szalupę. Jeżeli kłamliwie przypisywano pewne słowa ry-

cerzowi z pod Maciejowic, to słowa te słusznie byłoby położyć jako epigraf na czele pisemka. Żegnaj na wieki święta religio smutku, święta komunio mąk przecierpianych, zawodów razem przebytych!

U mogiły, u kurhanu, stoją bracia; — od kurhanu idą trzy drogi w trzy różne świata krańce; — każdy z braci zajęty myślą nie tylko o tem, że wszyscy idą w różne strony, ale i o tem, że mają na wieki się rozłączyć (str. 17). Wprawdzie Radca Stanu powiada nam, że to tylko do czasu, że kiedyś zdybiemy się jeszcze i rozpoznamy po jakichś aforyzmach słowiańskich; wszakże są to słowa podobne do tych, jakimi niańki uspokajają zachodzące się od płaczu dzieci, prawiąc im o aniołku białym złotoskrzydłym, który przyleci bawić się z nimi i kołysać. Anioł Słowiańszczyzny jest istotą najzupełniej urojoną. Każdy z nas z osobna będzie więc teraz na swoją rękę prowadził własną politykę: jedni austriacko-węgiersko-polską, drudzy prusko-polską, trzeci nareszcie, polskorosyjską. Ile grup między nami, tyle będzie odrębnych polityk. Jeżeli się niemi przejmujemy szczerze, a nie po zdradziecku, będziemy mieli pomiędzy sobą wojnę domową i to najgorszego gatunku, bo wojnę między sobą nie za nas samych, ale za obcych i dla obcych, których sami jedni na drugich naprowadzać będziemy. Polak z Królestwa kongresowego lub Litwy czułby się wtenczas w Krakowie lub Poznaniu o tysiąc razy bardziej obcym, niż Anglik lub Amerykanin, boby za nim szły w ślad posądzania o panslawizm, a panslawizmowi nie mogliby bez zdrady hołdować ani ci, którym Radca radzi, aby budowali nadzieje swe na Austrii, ani ci, którym tenże Radca Stanu zaleca regulować się najkorzystniej z rządem pruskim (17). Nie — jeszcze rzeczy nasze nie tak źle stoją; jeszcze nic nas nie zmusza leżeć w to narodowe piekło; jeszcze na niebie naszym jest słońce, są gwiazdy i widać, jak przed nami bieży w nieskończoność wążka, prawda, i trudna, ale, jak linia, prosta droga naszego obowiązku, po której idąc, zapewne podolamy, jeżeli nie ująć los nasz w swoje ręce,



to przynajmniej wytrwać do końca w tem, co nam nakazuje nasze narodowe sumienie.

Wypadki ostatnich lat dziesięciu nie utrudniły, lecz ułatwiły nasze zadanie. Od samego rozbioru Polski aż do 1863 r., w dziejach naszych pogrobowych były zawsze dwa prądy: część narodu może mniejsza, lecz w każdym razie niepoślednia, skłaniała się ku uprawianiu narodowości bez podnoszenia w niej pierwiastku politycznego, ku uprawianiu oświaty, nauki, sztuk, języka, nie kusząc się o odbudowanie państwa; część druga narodu, bardziej gorąca, rwała się przedewszystkiem do co najprędszego wskrzeszenia Polski, do odzyskania dla niej samobytności politycznej.

(Dziś i umiarkowane, i postępowe, i konserwatywne stronnictwa polskie pogodziły się z myślą, iż odbudowanie Polski politycznie jest na teraz czezą marą — iż trzeba zrezygnować na cierpliwość, legalność, na skromne, ciche, organiczne działanie, a tem samem dały prawie za wygraną ideom samobytności politycznej narodu, jako rzeczy nie tak niezbędnej dla istnienia narodowości potrzebnej).

Dosyć mówić o powstaniu, dosyć budować nadzieje na Francyi lub Anglii; precz ze śmieszoną myślą wytworzenia z ciężkiej i zacofanej Galicyi, która nawet z rusińską kwestyą poradzić sobie nie umie, czegoś na kształt Piemontu polskiego; broń nas Boże od wszelkiego politykowania, od poduszczenia Niemców przeciw Rosyi, albo Rosyi przeciw Niemcom; wara wsadzać nam palec między drzwi.

Najcięższy zarzut, jaki można uczynić Radcy Stanu, jest ten, że będąc tak boleśnie dotknięty wypadkami 1863 r., on właśnie niczego się nie nauczył; że nie wniknął w to, iż główną naszą winą było politykowanie, i że zaleca nam politykować na nowo, zmieniwszy tylko karty; nam, cośmy się tak srodze oparzyli, doradza on igrać dalej, z dzie sięć razy straszniejszym tylko ogniem, zwanym panslawizmem. Nie bądźmy samobójcami, lecz chrońmy się też od narodowego egoizmu, któryby losy świata poświęcił, byle na jego zwaliskach postawić narodową ojczyznę.

Pamiętajmy, że przyszłość Polski zależy od tego, czy się ona jeszcze przyda na co, nie tylko Słowiańszczyźnie, ale i światu. Starajmy się temu światu zasłużyć i do niego się zastosować.

Nie uważajmy siebie za coś odrębnego i wyłącznego; dopóki tak się będziemy zasklepiali i odosobniali, nie przestaną nas traktować jako nieprzyjaciół, nie przestaną nas wyłączać od równouprawnienia i utrzyma się prawodawstwo względem nas wyjątkowe, któremu nie podpadają w Rosyi ani Niemcy, ani Szwedzi, ani tyle innych narodowości. Oddajmy państwu wszystko, co się państwu należy, prosto, szczerze, bez ogródek; obcujmy z Niemcami, Węgrami, Rosyanami, państwowo, umysłowo i ekonomicznie; a obcowanie i współzawodnictwo nasze szczególnie z Rosyanami, w tych zakresach, będzie niesłychanie dla obu stron pożyteczne. Nam konieczność nakazuje poznać jak najdokładniej tych, wśród których jesteśmy i wśród których liczebnie ginie, jako kropla w morzu, na wschodzie od Wisły do Uralu i Kaukazu, i za Uralem i Kaukazem, bo aż tak daleko rozmiotły nas losy; ale i oni, przyrzawszy się nam z blizka, przekonają się, że jest i w nas coś więcej nad szlachecczyznę, albo religijny obskurantyzm, o który nas hurtem pomawiają.

*Laboremus....* Są pewne rodzaje pracy, których żaden rząd nie zechce, ani nie potrafi zatamować. Galicya może z wielkim dla siebie i dla całej naszej narodowości pożytkiem krzątać się około ugruntowania swej autonomii prowincjonalnej. Poznań może prowadzić wojnę odporną przeciwko germanizmowi, nie uciekając się wcale do panslawizmu. Polakom w Rosyi stosunkowo najtrudniej, ale i oni mają pole przed sobą; a gdy ich zapytają kiedyś, czego przez ten czas prób najcięższych dokonali, będą mogli odpowiedzieć spokojnie, że żyli, a samo to przechowane życie starczy im za wielką zasługę, chociażby nie sprawili nic więcej, bo też nie mały dowód żywotności składa plemię, które zdoła przechować życie swoje pod naciskiem państwa wytężonego na jego tępienie. Wy-



trwałością wśród tak strasznie nieprzyjaznych okoliczności nowe zdobędziemy sobie prawo do pogodniejszych w przyszłości losów.

\* \* \* \* \*

Na tem, pełnem nadziei i wiary w przyszłość, oświadczeniu kończy się broszura. Przypomnieć ją uważaliśmy za obowiązek, ponieważ rzuca ona światło na bieg współczesnej myśli politycznej polskiej, oraz na postać człowieka, który się w broszurze tej przed laty 30 z pragnień swych i przekonań przed społeczeństwem spowiadał, a dziś, po upływie tego czasu, wskazać może na nią, mówiąc: «Tam spisane to wszystko, za co, bez przerwy i wytchnienia, walczyłem; słowa me nigdy nie kłamały myśli, a czyny me nie kłamały słowom».

Te lat trzydzieści wypełnił Spasowicz bezustanną publiczną pracą i publiczną walką. Nigdy nie narzucał się społeczeństwu na przedstawiciela, ani apostoła, nigdy nie chciał mu być przodownikiem, ani wodzem; do społeczeństwa polskiego się odzywając, mówił mu zawsze szczerą i bezwzględną prawdę, tak, jak mu ją gorący patryotyzm i zimny rozum dyktował. Zresztą — prawdziwy *justitiae vindex*<sup>1)</sup> — umiał być i był dla społeczeństwa polskiego nieugiętym i niestrudzonym szermierzem, broniącym praw i spraw jego wobec społeczeństwa rosyjskiego, literatury rosyjskiej, sądów i władz rosyjskich.

Wydana przed 30-stu laty broszura świadczy, że Spasowicz był prócz tego jednym z niewielu ludzi politycznych, prawdziwych mężów stanu, u których patryotyzm kojarzył się z tak silnym charakterem, że tam, gdzie o dobro i przyszłość kraju chodziło, wola iść musiała bezwzględnie na usługi rozumu i w służbie tej lat dziesiątki wytrwać niezmiennie.

X.

---

<sup>1)</sup> Ułożony przez ks. arcyb. Symona napis na medalu, wybitym na upamiętnienie 30-letniej publicznej działalności Spasowicza. R.

## EMIGRACYA PARYSKA

w oświetleniu książki Gadona.

L. Gadon: «Emigracya Polska», Kraków, 1902, trzy tomy 8°.

Ogólną cyfrę emigrantów z 1831 r., których główna masa, po tryumfalnym i tyle zawiedzionych nadziei budzącym pochodzie wskrós Niemiec, osiadła we Francyi, oblicza autor wspomnianego wyżej dzieła na 9.500 do 10.000 głów.

Zastęp ten obejmował dwa odrębne, a liczbowo nierówne żywioły: wojskowy i cywilny. W pierwszym przeważały rozbitki wyższych sfer wojskowych: generalowie, pułkownicy, a zwłaszcza młodych podoficerów mnóstwo, po trzech i więcej na jednego żołnierza. Żywiół cywilny skupiał ze swojej strony na tułactwie wszystkie kategorie społecznych mieszkańców Polski, wszystkie bez wyjątku szczeble i zawody społeczne. Ministrowie, posłowie, profesorowie, literaci, duchowni, magnaci, przedstawiciele większej i mniejszej szlachty, wyżsi i niżsi urzędnicy, ocierali się tu o mieszczan, chłopów, rzemieślników, studentów, oficyalistów, żydów, Niemców nawet — takich Niemców, jakich przygarnąć do swojego łona i wypielegnować umieliśmy i umiemy dotąd, a jakich typowym reprezentantem okazał się na emigracyi Józef Reitzenheim, syn wyższego austriackiego urzędnika we Lwowie, a Polak duszą całą i najgodniejszy obywatel przybranej ojczyzny.

W tym składzie była owa tułacza gromadka godną przedstawicielką na obczyźnie całej Polski, z której rozdartego łona wyszła, jak upust krwi najszlachetniejszej. Była wyborem narodu i jego kwiatem, bo z historycznymi imionami Zamoyskich, Czartoryskich, Potockich, Sapiehów, łączyła gminne, ale już w dziejach narodowych chlubnie zapisane nazwiska Bachów, Buchtów, Czuczków, Wangasów — wiarusów z pod Grochowa, unieśmiertelnionych «Czwartaków».



Czy gromadne takie przesiedlenie się na obczyznę usprawiedliwiała rzeczywista konieczność? Bezsprzecznie. Zwycięskich pod Wawrem i Iganiami, rozbrojonych później obrońców narodowej niepodległości, nie czekał bowiem ze strony zwycięzców ten traktament, z którym spotkali się za naszych czasów w Londynie przybywający z pokonanego Transwaalu wojownicy. Zostającym w kraju, jeżeli nie szubienica lub katorga, zgotowaną była — 25-letnia służba w szeregach wrogiej armii.

Trzeba było uciekać po pogromie...

Można też było wyzyskać korzystnie przymusowe tułactwo. Gromadna, z najcelniejszych żywiołów narodowych złożona emigracja mogła stać się pożądaną orędowniczką narodowej sprawy przed Europą, ucieleśnionym wyrazem polskiego geniuszu, jego praw niezatraconych i jego niezagłuszonej protestacyi przeciwko zepchnięciu go z wyżyn dotychczasowej roli historycznej.

To zadanie było tak oczywistem, tak naturalnie narzucającem się wędrującemu w obcy świat ogółowi, że pojął on je i sprostac mu próbował. Czy skutek odpowiedział usiłowaniam? Niestety! Odpowiedź wypaść musi przecząco. Historia emigracyi, o ile poznać ją możemy z dawniej już i teraz przez p. Gadona dostarczonych danych, jest jednym ciągiem bankructwem wzniosłych zamiarów, idealnych porywów i najszlachetniejszych chęci. Ideały były, ale zamiast dźwigać się w górę i świecić jasną pochodnią na europejskim widnokręgu, spadały w błoto i gasły w cuchnącem bagnie wewnętrznych klótni i bratobójczych zapasów. Entuzjastycznie powitana nad Renem, gościnnie przyjęta we Francyi, Emigracja zabrała się od pierwszego dnia do marnowania wyniesionego z kraju duchowego kapitału. Drogą osobliwej alchemii złoto przetapiała na miedź. Z zagadkową zapamiętałością odstręczała cisnące się do niej sympatye, aż pozbyła się ich ostatecznie i z mile przyjmowanego gościa stała się natrętnym, za drzwi wpychanym przybłądą.

Do tej pory cięży na nas niezlikwidowany przed europejską opinią spadek tej dziejowej epoki, a niestety jeszcze przedłużone jej na obczyźnie przejawy nie przyczyniają się do wyrównania rachunku.

Dlaczego się tak stało? Jakim był moralny ustrój tego przygodnego przedstawicielstwa, które, zamiast służyć krajowi, wyszło na utrwaloną krzywdę dla jego dobrej sławy, podkopując jego kredyt i jego honor?

## I.

Jak to słusznie zaznacza p. Gadon, «każda burza wyrzuca na powierzchnię wód wzruszonych szumowiny nieczyste». Kronika emigracyjna przechowała wspomnienie o pewnej liczbie awanturników i szalbierzy, wyzyskujących obudzone dla Polaków współczucie. J. U. Niemcewicz utyskuje w swych pamiętnikach na niejakiego Ż i na niejakiego K., plamiących imię polskie, frymarczących w Niemczech, w Szwajcaryi, we Francyi, w Anglii. Ten, uszedłszy z wojska rosyjskiego, zarwał księcia Ludwika Napoleona na 10.000 fr., obiecując utworzyć spisek na rzecz Bonapartów. Ów w Londynie udawał polskiego pełnomocnika. Inny jeszcze, syn szewca z Mostowej ulicy w Warszawie, wychowany u Pijarów, były sekretarz generała Witte, były towarzysz greckich korsarzów, teraz między najlepszych patriotów przez Lelewela policzony, trudnił się wyłudzeniem datków od rodaków i nierodaków, aż wykierował się na rosyjskiego szpiega.

Były to wyjątki, których szczupłą stosunkowo liczbę pomnażał zastęp kosmopolitycznych oszustów, niemających nic polskiego, prócz przybieranego dla mętnych celów nazwiska lub stanowiska. Że wspomnimy o autorze petycyi do Palmerstona, upominającej się o wsparcie w imieniu oficerów polskich, a skreślonej przez Francuza, nieumiejącego słowa po polsku; albo o rzekomym pułkowniku wojska polskiego, mieniącym się hrabią Leonidasem, z Grecyi



rodem, a będącym żydem z Głogowy i kandydatem do kryminalnego więzienia w New-Gate...

O ogóle emigracyjnym, dość surowy dla niego, aby nie był podejrzanym, autor wspomnianego na wstępie dzieła takie wydaje świadectwo:

«Wobec cierpienia i biedy, budziło się poczucie solidarności, gotowość do wzajemnej pomocy. Tam, gdzie szło o podanie ręki biedniejszym, cierpiącym rodakom, tam... kęsem chleba głodny dzielił się z głodniejszym. Niejeden był taki, co nie miał nigdy żadnej rozrywki lub wygody, co nie miał zdrowego obiadu, lub odzieży cieplej, ale żaden nie odmawiał, kiedy chodziło o składkę dla chorego, lub o zakupienie kawałka ziemi na cmentarzu dla zmarłego kolegi... Brat pielgrzym, nakazem rządowym zmuszony, albo z własnej woli przenoszący się z miejsca na miejsce, szedł przez Francję z końca w koniec i mógł nie troszczyć się, co będzie jadł i gdzie spocznie. Bez ustawy, wotowanej większością, bez żadnych okólników, Bóg wie, jakim sposobem we wszystkich zakładach (prowincjonalnych schroniskach emigracyi) zjawił się święcie zachowywany zwyczaj bratu wędrowcowi... dać dwudniową gościnę i zapas na drogę do najbliższego zakładu...»

To jeden rys dodatni, a oto drugi:

«Rysem, panującym nad wszystkim w Emigracyi, pisze jeszcze p. Gadon, była wierność, wierność niewzruszona dla myśli ojczyznej i miłość ojczyzny spotęgowana do najwyższego stopnia. Z prostej drogi patriotyzmu nie pojmowano, nie przypuszczano żadnego, najłżejszego zboczenia.»

Autor przytacza słowa prefekta policji Gisquet, który był doskonałym znawcą polskich stosunków emigracyjnych po r. 1831, a nietylko nie grzeszył entuzjazmem w ich ocenie, lecz, przeciwnie, może być uważany raczej za zdecydowanego pesymistę w tym względzie... Gisquet takie wystawił wojownikom naszym świadectwo: «*Les champions de la liberté polonoise se sont tous ressemblés par un trait commun: ils ont tous eu au fond de l'âme un même amour pour leur pays; ils ont aimé leur patrie plus qu'eux mêmes*».

Oba rysy składają się na obraz promienny, wspaniały, a tysiące faktów stwierdzają tych rysów rzeczywistość. Czołem więc przed ryerczami wielkiej sprawy, którzy wśród najboleśniejszych prób, w niedostatku, smutku i tęsknocie,

zachowali takie poczucie braterstwa i taką wierność dla wspólnej matki!

Ale obraz ma odwrotną stronę.

W dokumencie, noszącym datę 25 grudnia 1831 r. (Gadon, l. c. I, 129), czytamy:

«Jeszcze raz ojczyzna wasza rzucona została pod stopy zaciętego jej wroga... Taki los zgotowała wam niedołężność lub zdrada... Ręce wasze skrępowała zwłoka, bo kiedy nieprzyjaciel w postrachu zupełnego zniszczenia przed waszą uciekał pogonią, ocaliła go nieczynność nakazana i ten, którego ramię wasze zagnałoby za brzegi Dniepru, nad brzegami Wisły pozostał... Najbrudniejsza zdrada chwytła dogodną chwilę i rozdziela wasze siły. Choć rozdzielone, są jeszcze straszne; zdrada dokończy dzieło, spłodzone w ciemnościach piekła i szydząc z najświętszych uczuć, was, ludzi wolnych w kajdany oblec i w ręce oprawców wydać pragnie...»

Co to takiego? Juści niedorzeczność potworna i haniebne bluźnierstwo, historia powstania listopadowego, pisana niewiadomo żali przez większego głupca, czy większego lotra. Kto ją pisał? Wielki historyk polski. Ustęp zacytowany wyjęliśmy z odezwy, wydanej pod wskazaną wyżej datą «do wojowników polskich», a będącej pierwszym urzędowym wystąpieniem nowego, drugiego z kolei komitetu emigracyjnego — tego, którego największy współczesny dziejopis polski stał się twórcą i prezesem. Jakoż znać w tym ustępie i pióro — dziennikarskie pióro — Lelewela i jego duch, ten sam duch, który na pamiętnym posiedzeniu 4 sierpnia 1831 r. (Barzykowski, Pamiętniki IV, 433) samego księcia Czartoryskiego kazał temu człowiekowi piętnować imieniem zdrajcy:

«Tak, tak, książę zdradzasz!»

Rozglądajmy się dalej. Oto obchód na tułactwie drugiej rocznicy 29 listopada. W starożytnym opactwie, przyległym do kościoła Saint-Germain des Prés, w gmachu, w którym mieszkał niegdyś król Jan Kazimierz, w sali, przystrojonej chorągwiami Polski, Francji i Ameryki, zebrała się tłumnie publiczność, z Polaków i cudzoziemców złożona. Posiedzenie otwarte o godzinie 5 zagajaniem hr. de Lasteyrie, wiceprezesa komitetu francuskiego. O ósmej przy-



bywa i krótkim przemówieniem wita zebranych przez komitetu, stary Lafayette, ubrany w mundur gwardyi narodowej polskiej. Po nim zabiera głos jeden z rodaków, mówiąc w języku francuskim i podejmując dla cudzoziemców poglądowy wykład dziejów polskich. A oto główne punkty tego wykładu: Podział ludności polskiej, w przeszłości, na nędznych niewolników i katów niemiłosiernych; bunt Chmielnickiego, nazwany wymiarem sprawiedliwości, rzeź Humańska, przedstawiona jako najszczytniejsza rewolucya; sąd o ostatniem powstaniu, dający się streścić w tym wniosku, że było ono

• podchwyczone przez szlachtę, która dlatego tylko zrzucić chciała władzę Mikołaja, ażeby mózdz jeszcze swobodniej gniesić chłopca, ażeby cały despotyzm cara sama odziedziczyć mogła...»

Kto się tak odzywa? Waryat chyba, albo płatny agent rosyjski. Gdzież tam! Mówcą jest jeden z najpopularniejszych członków emigracyi, członek Lelewelowskiego komitetu, wybitny przedstawiciel «Ogółu Paryskiego» i najgorliwszy uczestnik wysadzonych z jego łona komisyi, w marcu tegoż 1832 roku założyciel Towarzystwa Demokratycznego, a w maju poseł do Niemiec na ludowe zgromadzenie w Hambach — Tadeusz Krępowiecki.

No, oszalał na razie i wywołał też ze strony rodaków protest, odpowiadający zdumieniu i zgorzeniu, sprawionemu wśród cudzoziemców? Gdzież tam znowu! W gronie kilku byłych sejmowych posłów ułożonym został wprawdzie nazajutrz list do Lafayette'a z «objaśnieniami». Ze słabem potępieniem wystąpił nowy, trzeci z kolei komitet emigracyjny, pod przewodnictwem Dwernickiego. I na tem się skończyło. A Leleweł? Leleweł ze swoim do zabierania głosu tak pochopnym zwykle, a przy życiu i jakiej takiej powadze utrzymywanym komitetem, umilkł tym razem. On i drudzy liczyć się przeciw musieli z potężniacem demokratycznym stronnictwem, którego zasad, coraz głośniej wyznawanych i szerzej propagowanych, Krępowiecki uczynił się rzecznikiem. Toć za wyrażone z tego powodu oburzenie sekretarz awiniońskiej Rady emigracyjnej, ka-

pitan Woronicz, otrzymał pięć wyzwań od miejscowej polskiej demokracji!

I takimi też objawami sympatyj poparty, zacieśnionymi właśnie od tego czasu stosunkami z Lelewelem ukrzepiony, Krępowiecki peroruje i agituje dalej; z Towarzystwa demokratycznego, z powodu późniejszych nieporozumień, wykreślony, przez policję wydalony z Paryża, zakłada polską «Gminę» w Brukseli; w Londynie porywa się z pięścią na Reitzenheima i z wdzięcznym odwołaniem się do «hajdamackich nożów», tworzy «Humańską Gromadę» na wyspie Jersey, wszędzie gorących znajdując współwyznawców, a zawsze poufnie i przyjacielsko korespondując z Lelewelem.

Idźmy dalej. Skoro zajrzeliśmy do awiniońskiego wojskowego zakładu, warto przypatrzeć się temu, co się w nim dzieje. Gospodarują w nim i wiarusów w rygorze utrzymać starają się majorowie: Kormański i Bobowski, zasłużeni, w bojach wstawieni żołnierze. Nie mogą podolać zadaniu. Skutkiem ponawiających się, a spokój miasta naruszających nieporządków, rząd francuski postanawia przenieść zakład do Lunel. Jest panem u siebie i ma możność narzucenia swych rozporządzeń. Opór niemożliwy, a tułaczom, gościom na obcej ziemi nieprzyzwoity. Nie uznaje tego rozbałamucona rzesza rodaków; burzy się. Usiłujący uśmierzyć uniesionych, majorowie doznają ciężkich obelg. Do Bobowskiego wpada na czele kilku innych oficerów znany zawadyaka Dziewicki, niosąc powrót w rękę...

Szubienice, wystawione nad Wisłą przez wrogów, nie wystarczały mu!

Może to wyjątkowe zjawisko. Idźmy dalej. Komentantami polskich wojskowych zakładów na prowincyi są pospolicie francuscy oficerowie. Do Bergerac jednak, w nadziei, że dowództwo przez rodaka sprawowane milszem będzie wygnańcom i lepszemu doczeka się posłuszeństwa, rząd wyznaczył pułkownika Podczaskiego, jednego z najznakomitszych oficerów wojska polskiego, napoleończyka, dowódcę 20 go dzielnego pułku p. l., okrytego ranami —



11 ran otrzymał pod Ostrołęką! Chluba i radość dla wiarusów. Gdzież tam! Za zjawieniem się pułkownika, większa część zakładu, 170 żołnierzy, oświadcza, że nie uznaje jego władzy; wybrała już sobie innego dowódcę!

Więc z rozsądkiem i poczuciem żołnierskiego obowiązku i pamięć niedawnej krwawej służby i poszanowanie wspólnymi siłami zdobytej chwały, wszystko przepadło!

Przepadło więcej. Jeszcze jedna niespodzianka nas czeka. W lipcu 1832 roku Bem, dzielny Bem, przybywa do Bourges dla werbowania ochotników. Chodzi o utworzenie legionu polskiego w Portugalii. Legiony są ciągle marzeniem stęsknionych do pola wojaków. Gdziekolwiek powstaną, będą związkiem polskiej armii, rękomią przyszłych, upragnionych bitew i odwetów. Tak przynajmniej mniema, czy mniemać się zdaje ogół emigracyjnej rzeszy. Jakoż ochotnicy zgłaszają się tłumnie do generała, ale następują im na pięty protestujący towarzysze, wysłańcy demokratycznego obozu, adepci Krępowieckiego i Lelewela. Przekleństwami i pogroźkami sprowadzają interwencyę policyi. Bem nie chce przyjąć francuskiej straży dla swojego bezpieczeństwa: «Nie, nie, znam moich rodaków; łatwo się unoszą, ale nie są zdolni do czynu nikczemnego». Czy tak? Nazajutrz wchodzi do generała podporucznik Platon Pasiński, przedstawia się, jako ochotnik do legii, wyciąga prawą rękę do uścisku, a z lewej pali z pistoletu w pierś generała i ucieka. Kula przebiła tylko ubranie i oparła się o pięciofrankową sztukę w kamizelce.

No, trafił się lotr i zbrodniarz jeden. Nie, nie trafił się! Losem był tylko wyznaczony, podobno z pomiędzy kilku fanatyków, dla zgładzenia bohatera, jako zdrajcy i wroga ojczyzny. A miał naśladowców! Jednocześnie prawie drugi podobny zamach wymierzony został przeciwko pułkownikowi Breańskiemu, wezwanemu przez Bema dla dowodzenia przyszłym pułkiem piechoty w formowanej legii. Ale wykonawca, Teofil Gaszyński, podoficer 15-go pułku piechoty liniowej, wygadał się ze swym zamiarem przed rodakami i policyą francuska zapobiegła zbrodni.

Trzeba było obcej policji, ażeby przeszkodzić bratobójczemu rozlewowi krwi najszlachetniejszej, oszczędzonej przez nieprzyjacielskie kule. Nie wystarczała zaś zawsze ta pomoc opiekuńcza! Kiedy nie drogą zbrodniczych zamachów, to drogą pojedynków dziesiątkowanie ocalonych w boju z nieprzyjacielem szeregów zaczęło się od pierwszych dni prawie tułaczego życia. W pierwszym już roku Teodor Morawski, ostatni minister spraw zagranicznych, strzela się z Gurowskim. «Sekundanci *pacta* spisać musieli, bo sprawa z takim brat-lata», pisze Grzymała do Niemcewicza. A ten «brat-lata» wodzi rej na emigracji. Nieco później Józef Tański wyzywa Leona Łubieńskiego, syna generała, młokosa, który trzymał się zdala od pola walki i podczas wypadków podróżował po Szkocyi, ale teraz do Paryża przybywszy, nie ustawał w szkalowaniu prezesa Rządu i wszystkich powstania uczestników, a poklask obfity znajdował. Tański strzela w powietrze, gardząc taką ofiarą. Niebawem Juliusz Słowacki sekunduje znowu posłowi Zienkowiczowi, bijącemu się z posłem Kołyską.

To w Paryżu; a oto wyciągi z kroniki prowincjonalnej: «Avignon, czerwiec 1832 r.: Pojedynek podpułkownika Szlegla z majorem Dziewickim. Szlegel zabity. Dziewicki ranny. Grudzień: Woroniczowi w kawiarni kilku krzyknęło: «Galgan, kto podpisuje na odpowiedzi przeciwko Krępowieckiemu...» Krępowiecki, Gurowski! Skrajne hasła! Na dnie każdego krwawego zatargu, każdego zbrodniczego zamachu odnajduje się ten podściół. «Woronicz tą samą obelgą odpowiedział. Adolf Zaleski wyzwiał Woronicza, a gdy on zginie, drugi». — Bourges, wrzesień 1833 r.: «Podporucznik Wacław Zwierzchowski zabity w pojedynku z Maurycem Prozorem. Zwierzchowski nazwał podpułkownika Janowicza zdrajcą i szpiegiem. Wyzwania od niego nie przyjął. W skutku tego strzelał się z nim (o 7 kroków do baryery) Prozor, sekundant Janowicza». — Salins, styczeń 1833 r.: «Bijatyki między żołnierzami polskimi. Kilku ciężko rannych. Kapitan Suchorzewski na zgromadzeniu karcii ostro winowajców. Ci, jako część Ogółu, wydają na niego



wyrok potępienia, odejmujący mu miano żołnierza, emigranta, Polaka i wysyłają takowy do innych zakładów...»

Gdzie jesteśmy? W jakim steku moralnej zgnilizny, na jakim padole ostatniego upodlenia?

Jesteśmy w obrębie tego samego przygodnego polskiego społecznienia, którego inny, całkiem odmienny obraz stał dopiero co przed naszymi oczami. Oba obrazy należą do jednej i tej samej rzeczywistości. W ramach jednego i drugiego mieszczą się: i książe Adam Czartoryski, człowiek bez skazy, choć polityk, któremu należy uczynić ciężki zarzut, iż wbrew głębokiemu swojemu przekonaniu stanął na czele sprawy, którą uważał za zgubną, stanawszy zaś, tem samem wziął na siebie część odpowiedzialności za jej straszliwe skutki; i Lelewel, w życiu prywatnem abnegat idealny, w życiu publicznem posuwający potęgowanie swojego *ja* aż do niegodziwości; i, obok tamtych, z Lelewelem długo utrzymujący komitywę, najbardziej charakterystyczny typ emigracyjnego politykowca, założyciel w roku 1832 Towarzystwa demokratycznego i najgorętszy patriota, w roku 1834 apostata, wyrzekający się imienia polskiego i jadący po nagrodę do Petersburga — Gurowski.

Czem wytłumaczyć ten jaskrawy, w jednych i tych samych osobach występujący kontrast zjawisk?

## II.

Nie tłumaczą go jakieś chwilowo działające wpływy, lecz głęboko w duszy społeczeństwa zakorzenione pierwiastki, które w naturze polskiej tkwiły zdawna, a które rozwinęły się bujnie w ciągu ostatnich trzech lub czterech pokoleń, wyrosłych w epoce najwyższego rozpanoszenia się gminowładztwa w Polsce.

Bo jakąż szkołę polityczną przechodziło każde z tych pokoleń? Była to szkoła, uznająca każdego bez wyjątku obywatela państwa, byleby był członkiem uprzywilejowanej

warstwy, za zdolnego do wywierania stanowczego wpływu na pierwszorzędne sprawy i zagadnienia publiczne, bez względu na jego przygotowanie, bez względu na to: co umiał? czy stał blisko warsztatu państwowego i mógł poznać jego mechanizm, zadania, potrzeby, czy nie otarł się o niego ani razu, a całe życie spędzał w gwarze zaściankowych zatargów i hulanek? czy był urodzonym mężem stanu, czy urodzonym warchołem? Losami Rzeczypospolitej nie kierowały jej najlepsze, najwykształceńsze jednostki, lecz tłum, nie rozum, lecz liczba. Nie rozumiano, nie chciano rozumieć tego, iż polityka wymaga tak samo ludzi, uzdolnionych do tego zawodu, jak wojna wymaga żołnierzy, a szkoła nauczycieli. Nie rozumiejąc tego, przesunięto kompetencję w najdonioślejszych sprawach, związanych z bytem państwa na rozpolitykowany demos szlachecki. Sprawy te nie rozstrzygały się, a nawet nie dojrzewały w kancelaryach ministeryalnych w Warszawie, lecz na jarmarkach sejmikowych, w zbiorowisku buńczucznych nieuków i ignorantów, z których każdy czuł się powołanym decydować o wojnie i pokoju, o dyplomacji, o traktatach i alianсах, o niezliczonych subtelnosciach wewnętrznej i zewnętrznej polityki, gdy sprawami temi szczęśliwie operować mógł tylko rozum, wsparty odpowiednim wykształceniem, lecz nigdy: temperament, zaprawiony brakiem przygotowania politycznego. Tradycja tego zabójczego stanu rzeczy przeżyła rozbiory i ze szczególną siłą odezwała się na emigracji po 1831 r.

Rzesza emigracyjna, która po upadku powstania zaludniła Francję, nie była to już wprawdzie ta sama «brać szlachecka», która swoimi błędami i wadami wykopała grób Rzeczypospolitej. Moralnie był to żywioł lepszy, wzniesiony na wyższy poziom. W ciągu pół wieku, od pierwszego rozbioru do wybuchu listopadowego, odbył się proces moralnego odrodzenia. Chrząst krwi, przelanej za ojczyznę w szeregach konfederacji barskiej, w wojnie Kościuszkowskiej, w legionach i wreszcie w ostatniej walce, zakończonej kapitulacją Warszawy, uszlachetnił uczucia narodu. Pa-



tryotyzm, który zanikł prawie w okresie rozbiorów, utożsamiony z obroną interesów jednej warstwy, odrodził się teraz, pogłębił, objął szersze widnokreśli, stał się zdolnym do aktów wielkich ofiar dla dobra całości. Gurowscy nie byli już w rzeszy emigracyjnej zjawiskiem typowym, stanowili tylko wyjątki, ogół był przetworzony i przerodzony moralnie.

Lecz tylko moralnie. Politycznie — był to nieodrodny potomek sejmikowiczów z ośmnastego wieku, był to ciągle ten sam rozpolitykowany demos szlachecki, który z bezbrzeżną lekkomyślnością i pochopnością porywał się do rozwiązywania najzawilszych zagadnień grzmiącym frazesem i ostrzem szabli, czy kulą pistoletu. Jak w mikrokosmosie objawiły się tu na nowo wszystkie błędy polityczne, pod których ciśnieniem padło państwo polskie, więc wyuzdana, niczem niedająca się okiełznać samowola indywidualizmu, niezdolność do karnego działania, popęd tworzenia konfederacyj wszędzie, gdzie trzeba było ponieść ofiarę z osobistych upodobań, najwyższy brak tolerancyi, a nade wszystko: niezachwiana pewność każdego ciury, że w robocie politycznej jest taki sam dobry, jak najlepsi, tak samo mądry, jak najmędrsi, tak samo doświadczony, jak najdoświadczeńsi. Doskonali hreczkosieje na zagonie wiejskim i doskonali żołnierze na polu bitwy, oderwani od swoich naturalnych terenów działania, bez namysłu uznali się za równie doskonałych na tej klasycznej niwie, którą od wieków uprawiał w Polsce każdy, komu się podobało. Że polityka nie jest tylko ścieraniem się mniej lub więcej pojętych «pryncypiów», dźwięcznych słów i niby skrzydła na husarskiej zbroi szumiących frazesów, że obejmuje ona cały szeroki zakres zagadnień społecznych od najpodnioslejszych do najtrywialniejszych, że ma swój punkt ciężkości w pracy realnej, nie w hałasach i burdach, że, aby mózgi kierować nią, potrzeba talentu, wykształcenia, taktu, przezorności, trzymania na wodzy uczuć, tego nie rozumiała emigracja 1831 r., jak nie rozumeli jej polityczni

antenaci, wychowani w sejmowej i sejmikowej wrzawie, jak nie rozumie i dziś jeszcze zbyt wielki odłam narodu.

Ileż mogło być jednostek dojrzałych i wykształconych politycznie wśród tej rzeszy obozowej, która po r. 1831 załaza Francję? Było ich może kilkadziesiąt, sto, dwieście. A tymczasem dziesięć tysięcy dyletantów rzuciło się do politycznej kuźni z nieutemperowaną polską namiętnością. Dziesięć tysięcy dyletantów uznało się za uprawnionych do wykreślenia narodowi dróg i obmyślenia środków, prowadzących do celu. Wszystkie niebotyczne trudności, płynące z tego dyletantyzmu i z oderwania się od kraju, któremu przyszło żyć w nowych warunkach, tak niepodobnych do tych, jakie emigracya знаła z dotychczasowego doświadczenia, wszystko to dla tych ludzi nie istniało, wszystko zatoneło w odmętach szalonej pewności siebie. A roznamiętnienie polityczne musi zawsze, więc musiało i wtedy doprowadzić do wynaturzeń moralnych. Podporządkowując polityce wszystko, podporządkowało się także w tym i owym wypadku — etykę.

I oto mamy rozwiązane pytanie: w jaki sposób pod wspólnym dachem emigracyjnym żyć mogły obok siebie: cnota i zbrodnia, w jaki sposób te tak obce sobie zjawiska skupiały się nieraz w jednym i tym samym człowieku?

### III.

Duchowy skład i ustrój emigracyi uwidacznia się dostatecznie w tych kilku postaciach i zjawiskach, które już przesunęły się przed nami, ale które dopominają się jeszcze o bliższą, choć treściwą charakterystykę.

«Gdyby, pisze p. Gadon, w południe 29 listopada zapytał się ktoś księcia Adama Czartoryskiego: czy życzy sobie powstania dla kraju, czy wierzy w nie? pewno w odpowiedzi otrzymałby stanowcze zaprzeczenie. A jednak... nim kur zapiał, był on w niem jedną nogą, a niebawem stanął w niem i drugą».

Szedł obok Lelewela, chociaż w polityce musiał uznawać go za szaleńca — i zdrajcą przez niego na-



zwany, pozostał z nim, choć czuł, wiedział, że idzie i kraj prowadzi do przepaści. Szedł dlatego, że go pchano, a brakowało mu odwagi, aby stanąć w miejscu i powiedzieć: nie pójdę! Jakiej odwagi? Kul nieprzyjacielskich się nie bał; jako prezes Rządu Narodowego, wojennych operacyj doglądał z placu boju pod strzałami działowymi. Z urzędu usunięty, do obozu podążył. Nie lękał się też poświęcić wszystkiego, co miał, tyle do poświęcenia mając! I nie uląkł się nawet najstraszniejszej groźby — noża czy powroza, z którym czyhali na niego warszawscy, swojscy wymierzacze sprawiedliwości. Brakowało mu tego męstwa, którego nie wykształciło, wykształcić nie mogło nasze życie publiczne, oparte na gminowładztwie, na ubieganiu się za aplauzem mas, na wyglądanu, z której strony wiatr wieje i na poddawaniu się każdemu silniejszemu podmuchowi. Miał odwagę żołnierską, odwagę mięśni i nerwów; nie miał odwagi cywilnej — której brak był i jest kłopotą naszego historycznego zawodu. I dlatego dał się wynieść na naczelnika Rządu, którego utworzenie potępiał w duchu, którego skład musiał mu być wstrętnym i którego sam kształt nie mógł odpowiadać jego wytrawniejszym pojęciom.

Przypatrzmy się teraz Lelewelowi. Pospołu z Czartoryskim, choć ubogi, wyrzekł się wynagrodzenia, przywiązanego do miejsca, które mu wyznaczono w Rządzie. Wygnany z Francji, powędrował do Belgii piechotą, niosąc swój tłumok na plecach, a przez kilka lat następnych, chleb od ust sobie odejmując, spłacał ze skromnych swoich dochodów długi, na użytek publiczny zaciągnięte i nie obciążające go osobiście. Był w tym końcu swojego zawodu więcej niż uczciwym; ale w drugim końcu — z sali posiedzeń rządowych komunikował gazetom i do Paryża przesyłał treść najtajniejszych postanowień! W badaniu przeszłości przenikliwy, w stosunku do teraźniejszości zdradzał na każdym kroku dziecinną naiwność. Wierzył w uzbrojenie się całej Europy na obronę wygłaszanych przez się «pryncypiów»; wierzył w blizki, na jutro, pojutrze zapo-

wiadany, poręczany «powrót mściwego losu» i w możliwość przygotowania tego jutra na gruncie emigracyjnej agitacji. Czasem ocucał się ze swoich urojeń; w styczniu 1835 roku, do głębszego, jędrniejszego pokładu swojej myśli sięgając, pisał do Zwierkowskiego:

«Pomnijmy, że 20 milionów mogą zbawić siebie, a nie kilka tysięcy tulaćzów. Dodajmy im krzepkości, wołajmy na nich, ofiarujmy im naszą usługę, ale nie imponujemy...»

Ale, jako twórca i prezes drugiego emigracyjnego komitetu, ten sam autor rozpoczął swoją czynność od otwarcia obszernej korespondencyi «w myśli, jak się wyrażał, kojarzenia w jedność działania ludzkości!» Drugim zaś z kolei jego czynem było — wypowiedzenie wojny rządowi francuskiemu, drogą cierpkiej i w katagorycznym tonie napisanej petycyi do Izby, z gorzkimi wyrzutami co do przeszłości, ostremi wskazówkami na przyszłość i żądaniem natychmiastowego utworzenia legionów polskich pod narodowymi znakami.

A czem był ów jego komitet? Nową organizacją, obmyśloną dla obalenia tej, do której utworzenia emigracya skłoniła się w pierwszej, jeszcze trzeźwiejszej chwili, a której Lelewel to miał głównie do zarzucenia, że choć należał do niej, reju w niej nie wodził i, że skromne zadanie, które ona sobie przeznaczyła, jakkolwiek właściwym celom i środkom najlepiej odpowiadające, nie odpowiadało jego, już rozgalopowanej fantazyi. Z uczestników byłego Rządu lub Sejmu, pod przewodnictwem Niemojewskiego zebrany, pierwszy komitet zamierzał «służyć przybywającym rodakom, ułatwiać im stosunek z obcymi komitetami i wyjednywać dla nich opiekę rządu francuskiego». Tyle i dosyć. Więcej nie potrzebowała emigracya i dalej sięgających ambicyj mieć też nie była powinna. Reszty, to jest pożądanego orędownictwa w sprawie narodowej przed obczyzną, najlepiej, najwymowniej i najpotężniej byłaby ona dokonała, świecąc przykładem narodowych cnót, męstwa, spokoju, godności w niedoli. Lelewelowi trzeba było czego innego. On poprzez emigracyę chciał hałasem i agitacyą



sięgać — do ludzkości. Trzeba mu było do tej roboty innych ludzi, niż Niemojewski. Dobrał też sobie godniejszych, jak przypuszczał, towarzyszków — Krępowieckiego i Gurowskiego, i drugi komitet założył, a gdy ten uprzykrzył się «Ogółowi», Lelewel nie ustąpił, wyrok «Ogółu», wbrew demokratycznym zasadom swoim, za nieważny uznał, Dwernickiemu, prezesowi trzeciego komitetu, wypowiedział posłuszeństwo i, gospodarką emigracyjną pogardzając, puszczał dalej wodze swojej fantazyi.

Przedewszystkiem zaś warcholił, dąsał się na wszystko i na wszystkich. Jak na Czartoryskiego z oskarżeniem o zdradę, tak ciskał się na każdą emigracyjną osobistość, o ile ta nie okazywała mu się całkowicie uległą, na każdy emigracyjny związek, o ile ten nie przyjmował jego dyktatury. Dyktatorem *de facto* chciał być na paryskim bruku. Demokrata zawodowy, zaledwie dowiedział się o powstaniu Towarzystwa demokratycznego, już zobaczył w niem wrogi ołtarz i ze stóp swojego ołtarza ciskać zaczął klątwami, których grom i z Brukseli później się rozlegał. Abnegat, nosił pod swoją niebieską bluzą cały zapas z możnowładczych progów i szlacheckich zaścianków wyniesionej buty, pychy i samowoli.

W przekazanej pewnym warstwom naszego społeczeństwa, przez pewne jego sfery tkliwie pielęgnowanej legendzie, Towarzystwo demokratyczne otacza się utrwalonym dotąd urokiem. Tej legendzie nie odpowiada historyczna rzeczywistość. W prywatnych rękach przechowane podobno akty tego związku, protokoły jego posiedzeń i czynności, nie doczekały się światła dziennego. Można jednak z tej zaciemnionej przeszłości uchwycić kilka szczegółów, oświecających całość. Geneza Towarzystwa, dzieje jego narodzin należą do rzeczy przyswojonych publicznej wiadomości. Zawiązkiem tego płodu, wśród wniesionego z zagranicy do naszego społeczeństwa i odwrotną drogą na emigrację wyeksportowanego fermentu, była agitacja, podjęta przeciwko Lelewelowskiemu komitetowi, w którym Le-

leweł chciał przewodzić, a znalazł się drugi kandydat do przewodnictwa, jego *alter ego* dotychczasowy, Gurowski.

Z nazwiskiem tem wiąże się tyle hańby, że jego częste wspomnianie jest zbyt wstrętne, aby się mogło odbywać inaczej, jak tylko pod przymusem. I ten także dopomina się o miejsce w naszej pamięci. Nie idzie za tem bynajmniej, ażeby wszyscy członkowie Towarzystwa, które w późniejszym czasie objęło kilka tysięcy uczestników, byli ptakami z tego samego gniazda. Ale bądź co bądź ten to ptak, a nie inny, gniazdo usłał; że zaś gniazdo przygarnęło z czasem najliczniejszą gromadę tułaczów, musimy stąd czerpać, razem z przejmującemi serce obawami, odpowiadającą im, a nie zbyteczną podobno przestrogę. Jakiemikolwiek być mogły dalsze koleje Towarzystwa, na jego pierwotnym zrębie historia nie zmaże napisu: *Gurowski apostata fecit.*

Gurowskiego i Krępowieckiego, kosmopolityczno-demokratycznymi falami nieogarnięty jeszcze na początku 1832 roku, «Ogół» chciał wyrzucić z Lelewelowskiego komitetu. Ale już wtedy jednemu i drugiemu obrońców nie brakowało. Więc w marcu tegoż roku, w mieszkaniu Gurowskiego zebrana młodzież przystąpiła do utworzenia nowego Towarzystwa «dla działania w sprawie narodowej polskiej w duchu zasad czysto filozoficzno-demokratycznych», jak opiewał pierwszy artykuł ustawy. Względem obmyślonych celów i środków ustawa ta nie dostarcza żadnej więcej pouczającej wskazówki.

Towarzystwo demokratyczne w całym swoim zawo-dzie nie rozumiało, że chłop, aby mógł wziąć czynny i prawdziwie twórczy udział w ruchu politycznym, musi wprzód przejść cały szereg stopni, wiodących do tego najwyższego piętra w przybytku narodowego życia. Demokraci emigracyjni wyobrażali sobie, że te stopnie można poprostu przeskoczyć; nie znali ani praw społecznego rozwoju, ani gruntu, na którym chcieli działać; frazesem usiłowali pociągnąć za sobą masy. I doczekali się okrutnego rozwiązania sprawy: rzezi 46 r. Dzisiejsi doktrynerzy —



powiedzmy to mimochodem — są o całe niebo mądrzejsi, bo doświadczeni przeszłością. I oni jednak, jak tamci, nie rozumieją tego, że może pracują, wbrew swoim chęciom, nie dla dobra narodu, lecz przeciw niemu.

Nad propagowaniem swego programu strawiło Towarzystwo całe lat dziesiątki. A jego owoc? Czy dodał nam on chociażby jednego chłopca do szeregu pod narodowym sztandarem? Wielu ich się znalazło między uczestnikami i ofiarami tych ruchów zbrojnych, których wywoływaniem lub podniecaniem trudniło się Towarzystwo demokratyczne? Słusznie mówi p. Gadon:

«Jeżeli jest nad Wartą lud sielski, co wie i czuje, kim jest, co wiernie broni swojej istoty, to nie zrzuciła tego propaganda Towarzystwa, tylko proboszcz miejscowy, szlachcic miejscowy i odporność, wywołana pruską germanizacją».

Dodajmy: i — szkoła ludowa. O formułach Towarzystwa demokratycznego chłop, chodzący za plugiem nad Wartą czy Wisłą, nie dowiedział się; a choćby się dowiedział, nie mógłby tych formuł zrozumieć. Trzeba było, ażeby nauczył się on najpierw czytać i myśleć; a potem, ażebyśmy nauczyli się nie filozofować z nim i rozprawiać nad «prawami człowieka», ale pracować z nim ręką w rękę, ramię o ramię na ojczyściej grzędzie. Nie z żadnego teoretycznego programu, ale z takiej pracy tylko, solidarność interesów wytwarzającej, wyrósć może tożsamość pojęć, uczuć i wrażeń, narodowej jedności i siły ogniwem będąca. Taka zaś zbiorowa praca wymaga zbiorowych społecznych narządów — prawodawstwa, szkół, instytucyj, stowarzyszeń ludowych — których zdobycie nie jest nam dotąd wszędzie udostępnionem, a o których wytworzeniu wprawdzie marzyć nie mogło Towarzystwo demokratyczne, ale też i nie troszczyło się wcale...

Myślało ono tylko o swojej propagandzie i tę propagandę, za sprawą, właściwego propagatorom, rycerskiego temperamentu pojmowało jako harc wojenny; gdy zaś w stronę mas ludowych skierowane ostrze jej trafiło w ciemną i głuchą próżnię, harcownicy obrali sobie inny cel

dostępniejszy. Nie udawało się chłopu postawić na nogi, więc co? Szlachcica wypadło obalić na ziemię. Byle był poziom równy! Historia Towarzystwa demokratycznego, o ile ją znamy, jest szeregiem morderczych zamachów, podobieństwo mających z tymi, których o mało co generał Bem i pułkownik Breański nie przyplacili życiem, szlachtę rzucających na szlachtę i dążących do zniszczenia jedyne go tymczasowo żywotnego pierwiastka w narodowym organizmie.

Napastowana szlachta nie dała się wytępić, jak nie dał się lud wiejski pociągnąć na lep rzucanych mu dźwięcznych frazesów, jak nie dały się porwać, do solidarności nawolywane, europejskie rzesze. Propaganda Towarzystwa demokratycznego zmarnowała bezowocnie dużo sił i ofiar, zostawiając w spuściźnie po sobie garść podniesionych z bruku paryskiego teoryj, produkt specyficzny emigracyjnego życia, jego udręczeń, rozdrażnień i illuzyj, jego, między niebem a ziemią, między lazurami a błotem rozpiętego, moralnego ustroju i jego szlacheckiej, ach! jakże bardzo szlacheckiej pasyi politycznej.



Wertowanie kart książki p. Gadona nie jest niestety — jakby gorąco należało pragnąć — grzebaniem w popiołach mogiłnych. To cząstka studyum o duszy narodowej. Dusza ta w pewnych swoich cechach pozostała dotąd niezmieniona. Zboczenia jej powtarzają się ciągle z jakimś tragicznym uporem. Emigracya listopadowa umarła ale jej polityka w pewnych objawach, w pewnych umysłach żyje — żyje rozpaczliwie długo. Bo czyliż, po dokładnym obrachunku sumienia, możemy powiedzieć, że bodaj jeden jej zasadniczy rys należy do bezpowrotnej przeszłości?

*Par.*



## STARZY I MŁODZI.

Żaden program społeczny nie daje rezultatów natychmiast. Każdy rozumny pracownik wie, że plon z jego siejby zbierać będzie dopiero pokolenie następne. Każdy miewa też chwile, w których z trwogą zapytuje sam siebie: czy to pokolenie następne będzie cenilo jego wysiłki i trudy? czy będą one miały jakąkolwiek wartość w oczach tego pokolenia? czy dorobek, opłacony przez ojców pracą całego życia, nie wyda się synom błahostką, po którą nie warto się było schylać?

Gdy między starszymi a młodszymi niema wspólności celów i ideałów, gdy młodzież spogląda z lekceważącym szyderstwem na to, co starszym zaprzęta myśl przez życie całe, gdy ludzie, pracujący z wytężeniem wszystkich sił na niwie publicznej, nie mogą oprzeć się tej rozpaczliwej myśli, że po ich śmierci cała ich praca wśród urągawiska młodych w pył się rozsypie, wówczas niema mowy o jednolitym, stałym rozwoju narodu, znika węzeł między pokoleniami, dzieje społeczeństwa rozpadają się na okresy, niezłączone w całość węzłem żywej tradycji.

Wszystkie potęgi Europy zjednoczyły się, by na gruzach Francji napoleońskiej odbudować państwo Burbonów. Dzieło, nad którym pracowało tylu monarchów i ministrów, nie przetrwało lat kilkunastu. Musiało się tak stać, bo synowie tych, którzy walczyli pod sztandarami Rewolucji i Cesarstwa, lgnęli sercem, wyobraźnią i żądzą sławy do ideałów politycznych, w które wierzyli ojcowie. Jeżeli największą chlubę potężnych i zjednoczonych Niemiec stanowi to, że gmach nie rozsypał się po ustąpieniu budowniczego, to powodów tego zjawiska szukać należy w tem, iż następne pokolenie Niemców przejęło się do głębi hasłem jedności narodowej, hasłem wielkiej wspólnej sławy wojskowej i wielkiego znaczenia w świecie.

Rzeczy trwałe jedno pokolenie nie stwarza. W pracy

nad kulturalnem odrodzeniem i podniesieniem narodu synowie muszą być współpracownikami ojców. Dzieło starszego pokolenia, ulomne i wątłe, mężnieje i dojrzewa dzięki zabiegom pokoleń następnych. Ta ciągłość pracy, ta nieprzerwana myśl zbiorowa była jednym z najważniejszych czynników, składających się na wielkość starożytnego Rzymu. Ta sama wspólność między dawnymi i młodszymi czasy snuje się przez dzieje W. Brytanii. Wielką tę dźwignię społeczną widzimy nie tylko w życiu narodów przez los uprzywilejowanych, ale i wśród upośledzonych.

Rozdźwięk między tem, czego ojciec dla synów pragnie, a tem, o czem synowie marzą, bywa zawsze tragiczny. Ludzkość przestałaby pracować, przestałaby budować i tworzyć, przestałaby żyć, gdybyśmy nie doznawali rozkoszy na samą myśl, że dzieła nasze nas przeżyją, że dziatwa, która wyrasta pod naszym okiem, będzie zrywała owoce z drzew, które sadzimy, że potomność, nie znając nawet imion naszych, będzie o trudach naszych wspominać z uznaniem.

Kochając ojczyznę, kochamy tych, którzy po nas będą orali ojczysty zagon, bo gdyby nie oni, nie byłoby narodu. Kochając ludzkość, kochamy tych, którzy po nas będą używali i cierpieli, bo gdyby nie oni, mielibyśmy przed sobą tylko bezładny chaos. Kochając własne dzieła, kochamy tych, którzy z nich będą korzystać; gdyby nie obchodziło nas to, co po śmierci naszej nastąpi, jedynem logicznem wskazaniem dla nas byłoby wyciśnięcie z życia rozkoszy do ostatniej kropli.

Służymy pokoleniom przyszłym, a służymy bez zapłaty. Wolno im będzie patrzeć na spadek, odziedziczony po nas, z uznaniem i wdzięcznością, ale wolno im będzie także wzgardzić nim i odrzucić go. Nie możemy zmusić ich do podzielenia naszych pragnień, naszych zapatrywań, naszych upodobań. Pracując dla nich, zdajemy im się na łaskę i niełaskę. O ile to jest w naszej mocy, staramy się wychowywać synów naszych w pojęciach, które żywimy sami. Gdy to zawiedzie, schodzimy z pola z uczu-



ciem goryczy i bólu, z przeświadczeniem, że nas nie zrozumiano, że na uznanie nie zdołaliśmy zapracować.

Jakże rzecz się przedstawia u nas? Jakże w naszym społeczeństwie układa się stosunek między młodymi a tymi, co już kończą roboczną dzienną? Czy jest tak, jak być powinno? Czy obcy mogą nam zazdrościć?

Cokolwiek rzeczy można o młodzieży naszej, przyznać jej trzeba, że ze wszystkimi swemi zaletami i błędami jest żywą częścią naszego społeczeństwa. Jest uboga, bo ubogiem jest społeczeństwo. Jest, w porównaniu z młodzieżą plemion germańskich, słabo rozwinięta fizycznie, bo cały naród zaniedbał z karygodną lekkomyślnością tę stronę życia. Jest zdenerwowana, bo od kolebki wpajano w nią wielkie aspiracje, a nieziszczalne.

Młodzież jest wrażliwa na sprawy o znaczeniu ogólnem, bo od stu lat wszystkie myśli, wszystkie zamiary i przewidywania starszych grupują się dokoła zasadniczej kwestyi bytu, dokoła kwestyi: jak się ostatecznie ukształtują losy narodu, który w XVIII wieku utracił niezawisłość polityczną?

Czy młodzież ma się polityki wyrzec? Nie wypowiadajmy żądań, które się spełnić nie mogą. Polityką żyli za młodu ojcowie i dziadowie. Nie tylko u nas to się działo. Ruch narodowy, który w Niemczech towarzyszył ostatnim wojnom z Napoleonem, przybrał tak znaczne rozmiary jedynie dzięki młodym. Gdyby nie młodzież, nie owa *Drang und Sturm-Periode*, nie byłoby w Niemczech posiewu, który miał po latach wielu zejść i zakrzewić się w innej postaci i dać Niemcom niebywałą przedtem siłę, a zaciężyć, jak jarzmo, nad ludami pokonanymi.

O polityce rozprawia w swoich klubach młodzież angielska. Polityka zapala umysły młodzieży rosyjskiej, z którą nasza z konieczności stykać się musi. Naprawdę wołalibyśmy na nią, aby nie odwracała oczu od książek i skryptów, a dyskusye polityczne odłożyła na czas późniejszy. Nie poskutkowałyby podobne ostrzeżenia oj-

ców naszych, gdy myśmy byli młodzi. Nie poskutkują i dzisiaj.

Młodzież zajmuje się polityką, a jako niedoświadczona, porywcza, niecierpliwa, musi popełniać błędów mnóstwo. Ale dopóki młodzież będzie młodzieżą, dopóty będzie zajmowała się nią, a żaden hamulec nie powstrzyma jej od tego.

Czyż więc wszystko jest, jak być powinno? Czy w stosunku młodzieży do społeczeństwa nic nie zasługuje na krytykę?

O nie! Prawdy ukrywać nie chcemy. Przyznając młodzieży prawo wyrabiania sobie sądu o sprawach publicznych, jak na mężów przystało, musimy od niej wymagać, by sąd, jaki o niej wydajemy, przyjęła spokojnie, po męsku. Kto chce sam głos zabierać, ten zrzeka się przez to przywilejów wieku pacholęcego, ten musi się tak samo, jak my, starsi, poddawać krytyce publicznej.



Zauważono już, że nasz patryotyzm bywa często uczuciem oderwanem, nierealnem, nadziemskim. Kochamy jakąś istotę wymarzoną, a równocześnie bywamy oziębli dla tej, która jest. Kochamy ojczyznę, a nienawidzimy rodaków. Jak owe sienkiewiczowskie Ukrainki, które się modlą codzien o Ukrainę w niebie, ale za życia nie chcą rozstać się z Warszawą, tak my bujamy w wyobraźni po Polsce wymarzonej, brak nam zaś istotnego przywiązania do rzeczywistości.

Dwadzieścia lat temu w Warszawie panował pozytywizm. Romantyzmem pomiatano, jak zużytym sprzętem domowym. Głośne «Wskazania polityczne», zrywające jak najwyraźniej z dawnymi ideałami politycznymi, uchodziły w oczach młodzieży za szczyt rozumu politycznego. Były to czasy, w których odczyty Włodzimierza Spasowicza, zawierające dosadną krytykę bezmyślnego apo-



teozowania szlacheckiego w naszej przeszłości, wywołały wśród młodzieży warszawskiej entuzjazm, posunięty do szału. Al. Głowacki, który zaprotestował przeciw zbyt hałaśliwym zachwytom, został przez młodzież warszawską napadnięty publicznie. Ileż to razy szarpano potem Spasowicza! Ón przekonani swych nie zmienił. Zmieniły się tylko gusta młodzieży. Jutro będą może znowu wielcy ci, co dzisiaj są pomiatani.

Jeżeli zważymy, ile przymiotów młodzież nasza posiada, jeżeli uwzględnimy jej zdolności i jej zapał, jej hart ducha, z jakim znosi nędzę materyalną; jeżeli przypomniemy sobie, ile materyalnego egoizmu, bezmyślnej chęci użycia, poziomego karyerowiczowstwa spotykamy u młodzieży w innych krajach, i gdy zastanowimy się następnie, na co zużywane bywają te zdolności — straszno nam się robi. Młodzież nasza pod pewnym względem mogłaby kusić się o to, by ją stawiano w pierwszym rzędzie między najprzedniejszym wyborem młodzieży europejskiej. I oto przeciw komu zwraca młodzież swe nienawiści? Nieskończenie długi jest szereg ludzi, których w XIX wieku spotkała jej chwilowa nienawiść. Któż nie przechodził przez te różgi niepopularności od Zygmunta Krasińskiego, którego spowiewano na dziedzińcu uniwersytetu w Warszawie, od Chłopickiego, który najśroźsze znosić musiał zarzuty, aż do Prusa, aż do Elizy Orzeszkowej, która przed paru laty była przedmiotem ciężkich oskarżeń ze strony pism, wyrażających opinię najmłodszego pokolenia.

Czy inaczej być nie może?

Złożyło się na to okoliczności wiele. Wpłynęła na to literatura okresu romantycznego; wpłynęła na to okoliczność, że w okresie środkowym XIX wieku myśl polska ulegała pojęciom i prądom, wytwarzanym przez emigrację zdalą od kraju; wpłynął na to fakt, że pod względem pragnień i żądań nie ustępujemy nikomu, a pod względem środków, którymi rozporządzamy, pozostajemy poza wszystkimi ludami Europy zachodniej.

Żaden naród nie wydał więcej od nas ludzi, kocha-

jących kraj cały, ale nie wiele jest ludów, w których spotykałoby się tak mało przywiązania do rodzinnego zakątka. Wielkie miasta wytwarzają i w Polsce pewien rodzaj partykularnego patryotyzmu, ale zadziwiająca jest obojętność, jaką okazują dla miejsc rodzinnych ludzie, pochodzący z małych miasteczek, oburzająca bywa oziębłość, z jaką ten i ów pozbywa się rodzinnego zagona. Kochamy kraj, ale umiemy z uprzedzeniem, posunięciem do fanatyzmu, nienawidzić się wzajemnie, umiemy z uczuciem wstrętu odwracać się od pojedynczych stanów, pojedynczych odłamów narodu, pojedynczych dzielnic. Kochamy Polskę abstrakcyjną, idealną, taką, jakąby może i była, gdyby jej nie popchnęły w przepaść: niezdarkość królów, swawola szlachty, egoistyczna zarozumiałość tych, co ją grzebali, i zarozumiałość tych, co ją wskrzeszać chcieli. Ta, która jest, ta uboga i skromna, ta miewa w nas niekiedy synów o sercach z glazu.

Nie odrodziła się młodzież polska od reszty narodu. Kocha ojczyznę, ale jednocześnie umie nienawidzić rodaków, umie kamienować ich. Kocha tę Polskę, która ma odpowiadać wymarzeniom widziadłom sennym, ale równocześnie umie zlorzeczyć tym, którzy dziś składają ten naród, którzy są dzisiaj przedstawicielami myśli polskiej, pracy społecznej polskiej, przedstawicielami polskiej pracy przemysłowej czy rolnej, przedstawicielami polskiej tradycji.

Zapytajmy młodego Polaka, czy mu obojętną jest nauka polska, a wybuchnie oburzeniem, bo samo powątpiewanie o tem wydaje mu się obelgą. Ale zapytajmy go, czy ma naprawdę wiele ciepłego i żywego uznania dla tej garstki ludzi, która wśród pracy i znoju dźwiga mozolnie gmach nauki polskiej, podążając zdala za nauką zachodnią. Spytajmy — wiemy z góry, co usłyszymy.

I nie trwa to od wczoraj. Ci, co dziś ciężko pracując na chleb, w wolnych chwilach ślęczą nad pergaminami, lub psują sobie oczy nad mikroskopem, wyrażali się za młodu tak samo o swych poprzednikach. Każde pokolenie

polskiej młodzieży dorósłszy do lat i sił, odbiera od niedorostków to, czem grzeszyło wobec starszych. W tem szarpaniu się nieustannem, w tem marnowaniu sił, w tem pojeniu goryczą upływa nam życie.

Polacy kochają kraj, a pokolenia polskie pożerają się wzajemnie. I w tem pożeraniu się tkwi nasza chluba.

Niemcowi wolno umiłować armię niemiecką, jej wódzów, jej świetność, jej sławę. Francuzowi wolno być dumnym z Instytutu i Sorbony, z ich tradycyi, z ich nauki, z ich zasług. Anglikowi wolno zachwycać się parlamentem, wymową deputowanych, rozumem ministrów. Dla Polaka punktem honoru jest szydercza ironia wobec wszystkiego, co zastał, przyszedłszy na świat.

Przypomnijmy sobie, cośmy słyszeli z młodszych ust w ciągu lat dwudziestu.

A. Wielopolski był po dawnemu zdrajcą i zaprzańcem, który na to tylko wyjednał dla Królestwa sądownictwo i szkoły, ażeby podstępnie, przez polskie wykłady i polski wymiar sprawiedliwości, zatruć polskiego ducha. Matejko był karyerowiczem, który «malował kontusze i delie, ażeby się przypodobać galicyjskim hrabiom». A Szujski? Szujski, obdarzony tem kochającym sercem, które w Polsce równego sobie nie miało, Szujski... plwał na ideały narodowe! Z opalów tych nie wyszedł bez szwanku i Sienkiewicz za to, że z dumą opisuje wojenne zwycięstwa szlacheckie. Bez szwanku nie wyszedł i Kalinka za to, że śmiał z tradycją zerwać, a pisać i mówić to, co mu podyktowały jego przekonania naukowe. Zapewne! Każdy z nich przetrwał te objawy niełaski. Ale czy warto było spędzać młode lata na tem nieustannem miotaniu się na takich ludzi, na miotaniu się na najlepszych w narodzie?

Gdybyśmy przynajmniej mogli powiedzieć na pociechę, że jest to nieunikniona ewolucya, która rządzi nami tak samo, jak całym światem! Gdybyśmy przynajmniej widzieli, że młodzież działa pod wpływem jakiegoś potężnego, silnego prądu, do którego przyszłość należy, prądu,



który wali to, co stare, a na to miejsce stwarza kształty nowe. Niestety, nie można tego powiedzieć. Ofiarą niepopularności padają dzisiaj ci, których jutro stawia się na świeczniku. Bożyszczą, którym nagle zaczęto składać ofiary, padają nazajutrz w proch, a na ołtarzu zjawiają się znowu dawne świętości, o których już zapomniano na pozór.



Nie namawiajmy młodzieży, żeby się zajmowała samą nauką, bo ludzkie namowy nie zdadzą się na nic. Nie wyobrażajmy sobie, że młodzież, zamknięta w ciasnym widnokregu karyery zawodowej, byłaby tem, czego społeczeństwu potrzeba. Ach, gdyby cząstkę tego zapалу, który się zużywa na wydawanie «wyroków», na decydowanie o losach narodu, na potępienie tych, których ubóstwiał się wczoraj, zużyto na dopięcie innych ideałów! Gdyby znalazł się na miejscu naczelnem ideał niemniej wzniosły od wielu, ideał doskonalenia siebie samego! Mniejby może było głośno o młodzieży, niejeden z pracowników na niwie narodowej mniejby do niej czuł żalu, smutna historia naszych nienawiści wewnętrznych nie takby była obfita, ale za to o ileż więcej równowagi, siły, panowania nad sobą i sprawiedliwości w sądach młodzież wniosłaby w życie!..

T.

## FRAGMENTY POLITYCZNE.

---

### Myśli programowe.

Byliśmy narodem, nie tylko niepodległym, ale i nad innymi panującym. Od XVIII-go wieku staczamy się po pochyłości, której końca nie widać. Stopniowo utraciliśmy: naprzód naszą oryginalną państwowość, następnie w jednej z dzielnic, o czysto polskim etnograficznym podkładzie, nadaną nam przez Aleksandra I konstytucję, a nakoniec w tejże samej dzielnicy: wszelkie, jakie pozostawały jeszcze, resztki autonomii i używanie języka polskiego w szkole, w sądzie i w urzędzie. Nie tyle pragnąc ocalenia tej swobody narodowej, której bronić obowiązany jest każdy naród, ile goniąc za marą dawniejszego uprzywilejowanego położenia i panowania nad innymi, cofnęliśmy się ogromnie w uzdolnieniu naszym, nie tylko politycznym ale i społecznym. Nastrój powstańczy, chociażby istniał w jednej tylko części narodu, prowadzi w drugiej części, spokojniejszej: do bezrobocia, do odzwyczajania się od wszelkiej pracy owocnej, a jeżeli się naród w rewolucyjnym kierunku nie upamięta, może nawet prowadzić do śmierci narodowej, to jest do zupełnego zaniku kulturalnej jego ewolucji.

Śmierć taka, po upadku, nie byłaby chwalebna, i nie byłaby nawet tragiczna. Wszelka narodowość, w sobie samej wyłącznie zakochana, względem sąsiadów pielęgnuje

jąca tylko uczucia nienawiści i odwetu, z nikim nie pracująca społecznie, a zachowująca się względem nich zasadniczo i bezwzględnie wrogo, nie może nie naprzykrzyć się narodom, o które się ociera, i stać się w końcu zupełnie odosobnioną.

Takiego rodzaju samobójstwa nie możemy dopuścić. Nikt nie jest w stanie przewidzieć, co przyniesie odleglejsza przyszłość poza kresami przewidzenia, ale w teraźniejszości nie mamy wyboru. Zmuszeni jesteśmy wyrzec się dążeń do polskiej państwowości, by polską narodowość ocalić i postawić ją na twardym gruncie. Fałszem jest, jakobyśmy już nie mieli do stracenia, bo posiadamy wiekami wyrobioną, oryginalną, polską kulturę, która wyjąłowiej, jeżeli ją zmarnotrawimy w dążeniach i robotach rewolucyjnych.

Nasz obowiązek streszcza się w ten sposób:

Jesteśmy pogrobowcami, zrodzonymi po rozbiorach. Odbudować państwo nie jest w naszej mocy; chodzi o to, aby nie tylko nie ze spuścizny po przodkach nie uronić, ale nasz narodowy dobytek pomnożyć i ulepszyć. Zbrodnią będzie, jeżeli co z tego dobytku zniszczy z naszej własnej winy. Podniesienie i wzmocnienie nowymi nabytkami zagrożonej narodowości może być osiągnięte nie tyle wysiłkami pojedynczych osobników, ile wspólnymi siłami skojarzonych w stronnictwo ludzi dobrej woli, posiadających chęć i odwagę ujawnienia i urzeczywistnienia swoich przekonań politycznych, chociażby te przekonania nie cieszyły się na razie powszechnem uznaniem i popularnością. Wszelkie stronnictwo musi mieć program, z pewnej zasady, czyli hasła wynikający, który się z biegiem czasu wyrabia z potrzeb i kwestyj, po kolei się nasuwających. Zasadnicze hasło powinno być sformułowane już przy pierwszym zawiązaniu się stronnictwa, bo od objawienia go zależeć musi sam wstęp do niego każdego nowego członka. Hasło, które, zdaniem naszym, postawić należy, jest jasne, proste i tłumaczące od razu i najbliższy cel wytyczny zbiorowych usiłowań i stanowisko stronni-



ctwa wobec rządu i stosunek nasz do wszelkich narodowości, z którymi się stykamy, albo jesteśmy pomieszani.

Hasłem tem jest nasze równouprawnienie.

Równouprawnienie z innymi pełnią praw cieszącymi się obywatelami państwa, równouprawnienie dzielnic naszych z innymi dzielnicami państwa, wprowadzenie tych instytucyj samorządowych i innych, które istnieją w cesarstwie, a których my, z powodów politycznych jesteśmy pozbawieni. Samo żądanie równouprawnienia wykazuje, że nie dobijamy się żadnego takiego przywileju albo faworu, z którego nie korzystają Rosyanie. Zniesienia ograniczeń domagamy się jako lojalni obywatele państwa, do których, jako takich, nie powinny się one stosować. Te ograniczenia kwalifikują się do zniesienia we wszystkich zakresach prawa tak publicznego jak cywilnego.

Rozważając specjalnie kwestyę równouprawnienia w dziedzinie językowej, uznajemy, że równouprawnienie konsekwentnie prowadzić musi do uznania praw języka krajowego obok państwowego w sądzie i urzędzie i szkole. Następnie nie może istnieć przy równouprawnieniu zasada odsuwania od służby państwowej Polaków tylko ze względu na ich narodowość i wiarę. Wreszcie pojmując szczerze równouprawnienie, państwo powinno nie tylko nie upośledzać naszej narodowości, nie tylko ją tolerować, ale opiekować się nią i czynnie popierać jej rozwój.

Od pewnego czasu w państwie rosyjskiem dokonywana jest doniosła reforma, mająca na celu pociągnięcie do współpracownictwa z rządem miejscowych przedstawicieli ludności. Reforma ta spaja wszystkie kraje państwa, wciągając wszelkie narodowości do tejże samej we wspólnym interesie, roboty. Z tej wspólności interesów i z tego współdziałania w tejże robocie, w różnego rodzaju zjazdach, wystawach, komisjach i t. d., nie mogą się nie wywiązać stosunki znajomości i pewnej nawet zażyłości pomiędzy dwiema naczelnymi narodowościami w Rosyi. Tego zbliżenia nie utrudnia rasowość. Plemienne pobratymstwo

będzie się coraz wyraziściej zaznaczało bez ujmy i uszczerbku dla naszych narodowych interesów.

*Vae soli*, powiada przysłowie, biada samotnikowi! Dla czynnego przysłużenia się swojej narodowości zniewoleni jesteśmy po całym świecie szukać sojuszników. Tembardziej sojuszników takich potrzebujemy w państwie, z którem związały nas losy, w którym i z którym chcemy dla narodowej przyszłości naszej pracować.

Takich sojuszników mamy pomiędzy Rosyanami i będziemy mieli ich coraz więcej w miarę tego, jak zbliżać się będziemy do społeczeństwa rosyjskiego w imię wspólnych ideałów humanitarnych i z otwartym a szczerym programem równouprawnienia.

W.

### W imię patriotyzmu.

Los dotknął nas ciężkiem nieszczęściem; po dniach pełnych sławy, potęgi, przyszła czarna noc upadku, niemocy. Wierzymy najmocniej, że dźwignąć się możemy, że jesteśmy w stanie zdobyć sobie, nawet bez odzyskania własnego państwa, pomyślne warunki bytu narodowego. Przyjdą jasne dni, gdy kultura a z nią pomyślność ludu polskiego pracą naszą dorówna kulturze i pomyślności pierwszych narodów świata.

Wierzymy w to, bo widzimy w duszy polskiej wielkie zasoby siły twórczej, widzimy we wszystkich warstwach zadatki cnót i zalet niepospolitych. Przyszłość nasza w naszym własnym jest ręku.

Ale w wielkiem nieszczęściu wielka roztropność potrzebna. Zuchwalstwo nieodpowiadające siłom musi przynosić klęski i niedolę pogłębić. Tak też się działo, tak się też ciągle, niestety, dzieje. Biada nawet potężnym świata tego, którzy się upijają frazesem, którzy zasmakują w słodkim fałszu, którzy z lubością schlebiają słabościom swoim, miłości własnej i ambicyom, bo im za to i przez to grozi upokorzenie.

Kogo nieszczęście z błędów wyleczyć nie jest w stanie — temu zagłada grozi. Narodowi w upadku pod karą śmierci nie wolno grzeszyć zarozumiałstwem i próżnością. Musi on w sumienie własne pilnie patrzeć, dźwigać się przez podnoszenie wartości swojej, nie rozstawać się z prawdą, choćby była gorzką jak piołun. Pierwszem zadaniem tych, którzy te prawdy zrozumieli, głosić je, uzasadniać, powtarzać, aby naród je nietylko znał, ale w każdej chwili, czy się horyzont chmurami zaciąga, czy słońce błyska, o nich pamiętał.

. . . . .

Jedna jest tylko pobudka, która może mieć dosyć siły, aby ludzi do przyjęcia przekonań naszych skłonić. A pobudką tą szczery, gorący patryotyzm.

Niedosyć jest ujrzeć, że tę jedynie drogę narodowi naszemu rozum wskazuje, niedosyć jest przekonać się, że tu tylko ratunek znaleźć można, że tu jest pomyślność do zdobycia. Trzeba jeszcze pokonać nałogi myśli i uczuć. Trzeba rozstać się z dążeniami nieziszczalnemi, ale ustrojonymi w barwy tęczowe, które ojcowie i dziadowie mieli za świętości nietykalne; są one złudne, złudność ich dowiedziona została klęskami i upadkiem, ale nabrały charakteru prawowierności narodowej, więc wyrzeczenie się ich ma pozory odstępstwa.

Od uroczych rojeń, od pragnień bohaterskich, od frazesów błyskotliwych i zuchwałych zamiarów przejść musimy do szarej rzeczywistości, do pracy twardej, powszedniej, do skromności, bo tego dobro kraju, bo tego przyszłość narodu wymaga.

Trzeba ponieść ofiarę ze snów młodości, snów nie tylko własnych, snów, które pokoleń kilka śniło je w ekstazie. Dla tryumfu idei naszej musimy budzić patryotyzm, szczery, głęboki, gorący. W jego imię do dusz kołatać, w jego imię rodaków zaklinać, aby dobro kraju przynosili nad wszelkie choćby najbardziej ponętne ułudy.

. . . . .



Drugie zadanie nasze — to obrona naszych praw i potrzeb zarówno ogólnych, jak i w każdym konkretnym wypadku.

Siły fizycznej do wymuszenia na od Rosyi ustępstw nie mamy, ale mamy potężnego sprzymierzeńca moralnego, który nam pomoże wiele uzyskać, jeśli go umiejętnie zdolamy użyć. Sprzymierzeńcem tym: słuszność, prawda, interes państwa.

Rosya przy swej rozległości, a małym zaludnieniu, przy swem położeniu geograficznem, przy niewysokiej kulturze mas ludowych, ma bardzo dużo zadań trudnych do rozwiązania. Do liczby naturalnych zadań Rosyi rusyfikacja Polski nie należy wcale, nie jest dla niej potrzebna ani użyteczna. Jeśli się nawet ktoś w Rosyi łudził lub ludzi podobną zachcianką, to państwo prędzej lub później musi się jej wyrzec, jako rzeczy bezcelowej, bezużytecznej, i co gorsza, szkodliwej.

Rosya, bez żadnej straty, bez żadnego niebezpieczeństwa dla siebie może dać Polakom warunki pomysłnego bytu i rozwoju narodowego, jeśli tylko Polacy dadzą jakąś gwarancję, że zdobytych sił nie użyją przeciwko państwu. Tu leży węzeł stosunków polsko-rosyjskich. Dowodem, że tak jest, są usiłowania Aleksandra I i Aleksandra II pozyskania Polaków przez autonomię, przez przywileje nawet w stosunku do całości państwa, usiłowania, którym niewątpliwie przyświecała idea, że kilkunastomilionowy wróg wewnętrzny na granicach państwa nie może być nigdy pożądanym. Polacy, zamiast wrogiem Rosyi, mogą być jej cennym współpracownikiem kulturalnym. Rozwiązanie kwestyi polskiej spoczywa w znacznej części w rękach samych Polaków. Muszą się jednak otworzyć i szczerze rzec tych dążeń, których ziścić nie są w stanie.

Jedynie owocną może być obrona potrzeb naszych, prowadzona z tego punktu wyjścia. Te tylko argumenty zdolają przekonać przedstawicieli państwa, które będą im wskazywać interes własny tego państwa. Przy danym stosunku sił Rosya zechce wysłuchać i potrafi zrozumieć

tych tylko Polaków, którzy się od państwa odrywać nie chcą, którzy szukają warunków współżycia przy zobowiązaniach korzyściach.

Jest rzeczą więcej, niż jasną — powtarzamy — że my, słabi fizycznie, nie zdołamy nic wymóżyć na potężnym państwie, ani groźbami i szykaną, ani spiskiem. Kto te rzeczy praktykuje, pomaga jedynie rasyfikatorom i gnębiicielom, bo uzasadnia ich stanowisko, ich środki, bo usprawiedliwia w oczach Petersburga wyjątkowy stan samowoli urzędniczej w Polsce.

Jesteśmy pewni, że skuteczna obrona praw i potrzeb naszych w państwie rosyjskim jest możliwa; nie tylko mówi nam o tem rozumowanie powyższe — wiemy też o tem z praktyki. Koniecznym jednak warunkiem tej skuteczności jest jej legalność, to znaczy nieschodzenie z gruntu państwowości rosyjskiej.

. . . . .

Prócz tych dwu głównych pozytywnych zadań musimy spełniać jeszcze negatywne, a więc wskutek tego samego przykre.

Spółeczeństwo nasze ma szkodników, przeciwko którym bronić się winno, których musi zwalczać. Droga rozsądku, z której zbaczać pod groźą nowych nieszczęść nie wolno, wazka jest i trudna. Musimy strzedz się, aby żadna pokusa, żadne wzruszenie: zarówno uniesienie jak gniew, nie zepchnęło nas na manowce.

Szkodnikami są nasi zapaleńcy. Niepomni na doświadczenia przeszłości, niebaczni na warunki słuchają jedynie głosu najprostszych podniet; stają co chwila przed społeczeństwem i przemawiają do niego w imię popularnych hasel, w imię drogich ideałów i pożądań. Są więc kusicielami niebezpiecznymi. A tymczasem ile razy społeczeństwo nasze im uległo, ile razy dało się porwać ich frazesom, ile razy ster spraw narodowych w ich ręce złożyło, zawsze przychodziły klęski i coraz głębszy upadek. To są zwiastunowie nieszczęść. Nie wolno powtarzać tych samych błędów do nieskończoności, tembardziej, że tu

miejsca dla złudzeń nie ma. Prawda stoi przed nami nieosłonięta niczem.

Dobrowolne poddawanie się zawodnym ułudom sprawdza nietylko polityczny upadek, ono poniża wewnętrzną wartość narodu, znieprawia charaktery. Ludzie zamiast w pracy celowej i owocnej krzepnąć, hartować się, w rozum i cnoty urastać, szamocą się z niemożliwością, szukają podniet sztucznych, oszukują siebie i społeczeństwo własne. L.

### Program pokojowy.

W długim szeregu powtarzanych bezowocnych zbrojnych wybuchów wystrzelaliśmy ostatecznie wszystkie nasze ładunki. Pozostały nam w rękach tylko papierowe pukawki do dziecinnych jedynie igraszek sposobne. Dzieci bawią się nimi jeszcze, ale rzecz niniejsza zwraca się do ludzi dojrzałych.

Walczyć trzeba nie jutro czy pojutrze, ale dziś, bo walka codzienna jest warunkiem nieodzownym życia. Chodzi tylko o rodzaj broni. Walka jest możliwą nawet na stopie pokojowej i na pokojowych drogach. Tego dowodzi cała stuletnia historia naszego narodu, który tylko na tej stopie i na tych drogach osiągnął jakiegokolwiek dodatnie rezultaty, utrzymujące jego byt w teraźniejszości i zabezpieczające jego przyszłość.

W sądzie o przeszłości historyczne szkoły nasze nie doszły jeszcze do wniosków, któreby się utrwaliły w sumieniu narodowym. Głównym zaś szkopułem w tym względzie jest bodaj pozorna sprzeczność dwóch jednomiernie w poczuciu narodowym uświadomionych faktów: tego faktu pierwszego, że w przymiotach i zasługach naszych, w dziejowym naszym zawodzie i w cywilizacyjnym naszym dorobku nie zajmujemy bynajmniej upośledzonego względem innych narodów stanowiska, i tego faktu drugiego, że z całą szlachetnością naszą i dzielnością naszą nie zdobyliśmy się w swoim czasie na utworzenie pań-



stwa w stylu nowoczesnym. Z tą sprzecznością idzie w parze inna, że, będąc, od XVI wieku zwłaszcza, narodem rycerskim *par excellence*, nie potrafiliśmy także zabezpieczyć niepodległości narodowej i gdy ta ostatecznie zagrożoną została, w chwili stanowczej, umieliśmy zdobyć się na reformę społeczną w wielkim stylu, ale zaprojektowane sto tysięcy wojska wystawiliśmy tylko — na papierze.

Rozwiązanie zagadki znajduje się, być może w jednostronności naszego historycznego rozwoju. Wiek XVI zakuł nasz młodzieńczy organizm w stalową zbroję, na miarę rycerskiego żywiołu pasującą. On też jeden rósł w niej i potężniał, ale pozbawiony równoważnika, potężniał nietylko do bohaterstwa, ale i do bezprawia i swawoli. Z czasem zaś, na jego własnym ciele zbroja rdzewieć i dziurawieć zaczęła. Trzeba było ją przekuć, ale brakowało kowala — i stali. I tak stała się ona tylko straszylem, którego szkodnicy już się nie bali i bać się nie mieli powodu. Jakoż pod pierwszym uderzeniem gwałtowniejszym pękła na drzazgi.

Zlepić ją dziś napowrót i wtłaczać w nią nasz byt narodowy dzisiejszy byłoby szaleństwem i niepodobieństwem. Jużemy ją przerośli o cały drugi, w porozbiorowym nawet życiu dokonany, dorobek. O ile zaś ten dorobek nie wystarcza jeszcze do wypełnienia próżni, pustek zostawionych przez dawniejsze czasy w naszym społecznym ustroju, o tyle naszym zadaniem musi być dziś wyrównanie dziejowego rachunku przez zwrócenie usiłowań do zaniedbanych pól pracy, do tych innych a rzetelnych podstaw narodowej siły, któremi są: dzielność moralna, energia ekonomiczna i harmonia społeczna.

Jednostronnym, od XV wieku poczynając, był nawet nasz umysłowy rozwój. Nasi pisarze polityczni XVI wieku dorównują wszystkim współczesnym w Europie, jeśli ich nie przewyższają duchowym polotem. Nasz Kochanowski jest natchnionym poetą. Ale są to jeszcze rycerze słowa; jak zaś obok Zamoyskich, Żółkiewskich, Lubomirskich, Potockich, mężów dużej ręki, we współczesnym pokoleniu

szukamy napróżno Bonarów i Wierzyńków, tak obok tamtych publicystów i pieśniarzy oglądamy się napróżno za drugim Kopernikiem. I czekamy na niego dotąd. Dotąd poetów mamy zawsze za wielu, o fortepianistach nie mówiąc, i jest to także następstwem anachronicznego ciężenia do przeszłości.

Teraz następuje się możność przywrócenia nadwreżonej w odległych wiekach równowagi duchowej, bo to ujemne zjawisko było następstwem tylko anormalnych warunków bytu, a warunki zmiennymi są i zmieniły się. Dźwigamy się ekonomicznie, ale dźwigamy się powoli, bo na odnośnych stosunkach naszych ciąży zawsze minionych czasów zakłęcie, piętno przekazanych przez te czasy rycersko-szlacheckich narowów. W samej szlachcie naszej, mamy wyborny materiał do wykształcenia średniego, przemysłowo-kupieckiego stanu; ale trzeba, ażeby szaraczkowie nasi wyrzekli się włóczenia szabli za łokciem, jak niegdyś za plugiem, i przykładania herbowych klejnotów do firm handlowych. Trzeba, ażeby nie wyglądali zawsze, jak gdyby dręczyła ich obawa, «że im korona z głowy spadnie», albo żeby nie ulegali pokusie nadwreżenia swoich bilansów dla pozłacania tej korony.

Wybujaly, skutkiem nieobecności stanu trzeciego, w szachu nie trzymany, żywioł nasz rycerski nadwreżył, w innym kierunku, społeczną równowagę naszego ustroju. W ludzie wiejskim widział swojego czasu i musiał widzieć jedynie podatny materiał do eksploatacji. W podobnych warunkach, każda arystokracja robiłaby to samo. Wszystkie europejskie arystokracje ulegały takim samym popędom, tylko gdzieindziej były te popędy skrępowane obecnością trzeciego stanu. Historia nie wytworzyła u nas solidarności między dwoma głównymi żywiołami tworzącymi naród. Cud wymarzony przez poetę: «z szlachtą polską polski lud» pozostał poetycznym marzeniem. Na jednej grzędzie żyjąc, obcymi byliśmy jedni drugim, jak gdyby nie jedna matka nas wykarmiła. Były już różnymi czasy ponawiane próby naprawienia tego sto-

sunku, przygarnięcia bliźniąt do jednej piersi, ale zawodziły zawsze i zawodzą, bo za podstawę służyło im fałszywie obrane tło historyczne, nawoływanie do wspólnych tradycji, które nie były wspólnymi, albo, o ile były, budzić mogą po tamtej stronie tylko obawę. Opowiadań o przeszłości słucha nasz chłopiec, jak pięknej, ale niezrozumiałej baśni, albo, z przebiegającym mu po skórze dreszczem myśli — o pańszczyźnie.

Błąd to zasadniczy.

Solidarność, jako produkt dnia dzisiejszego, powstać może tylko z tła dzisiejszego. Z rąk splecionych przy wspólnej pracy, z ramion ocierających się o ramiona przy dźwiganiu wspólnego ciężaru, z uśmiechów łączonych i z łez dolewanych do łez przy wspólnych dolach i niedolach, z tego nowego powinowactwa wyrośnie nowa duchowa jedność, której pierwiastków napróżno szukalibyśmy tam, gdzie duch minionych czasów przeciwiał się ich powstaniu.

Niezmiernie ważną jest potrzeba odpowiedniej gimnastyki dla naszego organizmu. Jednostronność naszego bytu i rozwoju w przeszłości spowodowała już w tym organizmie zanik pewnych mięśni, którym tłumaczy się w znacznej mierze przechowujący się wstręt nasz, poza pewnymi bardzo ograniczonymi narowami politycznymi, do innych zadań, które są także polityką i polityką daleko dalej sięgającą, a nierównie więcej owocną. Przeszłość wykształciła nas na polityków pierwszorzędnych, ale jedynie w ciasnej sferze parlamentarno-demonstracyjnej. Spędziliśmy wieki całe nad obradowaniem o pospolitem ruszeniu, które w końcu nigdy już nie ruszało. I oto dziś jeszcze zaufani w przyszłości chorążowie bawią się rozsyłaniem wici, choć wiedzą, że niema już z czem ruszyć w pole. Tymczasem inne, pługa nie oręzą dopominające się, pola pracy leżały i leżą odłogiem. Trzeba się wziąć do pługa, do politykowania w sferze prozaiczniejszych z pozoru, ale pilniejszych i jedynie zresztą wysileniom naszych podatnych interesów.



A więc bez pogardy i kłątwy dla tego, co było, ale z jasną świadomością, że to, co było — nie jest, z poważnym zastosowaniem wszelkich pomysłów i przedsięwzięć do tej uświadomionej rzeczywistości, działanie w istniejącym porządku rzeczy i na jawie, wyczerpywanie wszelkich rozporządzalnych środków, ale dla jasno określonych i dostępnych celów, nie zaś dla bezcelowych popisów, czy urojonych punktów honoru; wyrzeczenie się bezowocnego wywoływania duchów, które nikogo nie straszą, przekuwania lemieszki na drewniane pałasze i podejmowania wojennych pochodów, kończących się na odwachu; praca miarowa, ciągła, bez przerw, wynikających z omdlenia po przygodnych podźwigach; trzeźwość, wytrwałość, praktyczność — oto są kardynalne rysy pokojowego programu.

Reszta jest tylko dziecinnem dąsaniem się, albo dziecinną igraszką, z których wyniańczyć już nas były powinny trzy bolesnem zrządzeniem losów przystawione nam niańki.

K.

## PRZYCZYNKI HISTORYCZNE

do dziejów ostatniej doby.

Kilka faktów z życia Zygmunta Wielopolskiego.

Biografia margrabiego Zygmunta Wielopolskiego, człowieka, z którego imieniem łączy się tyle wspomnień, byłaby ciekawym zaiste przyczynkiem do historii tego politycznego i społecznego rozbitcia, wśród którego, pomiędzy przeżywającymi je wybitnymi działaczami z lat 1861—63, mianowany w 30-stym roku życia prezydent miasta Warszawy pozostawał do dnia wczorajszego największym rozbitkiem. Na taką biografię może jeszcze zawczasie. Nie kusząc się o nią, chcielibyśmy tylko na podstawie kilku, mało znanych lub zapomnianych faktów, podkreślić w tym wizerunku jeden rys, dla naszego społeczeństwa osobliwie mający znaczenie, bo jest on, niestety, bardzo osobliwym, i, rzec prawie można, wyjątkowym. Jakich zdolności człowiekiem był nieboszczyk, czegoby mógł dokazać w służbie publicznej, tego nieszczęśliwa kolej losów pokazać mu nie pozwoliła. Był człowiekiem niepospolitego charakteru i to pokazał w kilku okolicznościach, które przypomnieć warto, jak sądzimy, pamięci ogółu.

Dnia 17 marca 1863 roku, na trybunę Senatu francuskiego wstąpił rzadki na niej gość, książę Napoleon i wygłosił, w sprawie polskiej, pamiętną, gwałtowną mowę, w której, echem się czyniąc emigracyjnej wrzawy i z Ho-

telu Lambert wychodzących podszeptów, tak się wyraził o Aleksandrze Wielopolskim:

«Człowiek ten pozazdrościł sławy... komu? Pozazdrościł sławy Hudsonowi Lowe, katowi wielkiego człowieka i generałowi Haynau, ćwiczytelowi kobiet. Prześcignął obu nie w złem, które oni sprawili, byłoby to niepodobieństwem; ale, jak wszyscy odszczepieńcy i zdrajcy, zaszedł on dalej jeszcze, niż tamci...»

Dnia 24 tegoż miesiąca, Zygmunt Wielopolski wysłał z Warszawy pod adresem księcia Napoleona list, następującej osnowy:

«Jaśnie Oświecony książę!

W mowie wygłoszonej świeżo w Senacie francuskim, Wasza Cesarska Wysokość wyraziłeś się o moim ojcu w sposób obelżywy. Za tę niegodziwą obrazę zgłaszam się, jako syn, z żądaniem satysfakcyi, której człowiek honoru nie odmawia nigdy. Przeszłość Waszej Cesarskiej Wysokości tak dobrze znana nie daje mi wszelako wielkiej nadziei, ażeby to żądanie było przyjętem. Są odwagi, które nie sięgają poza rynsztok, i, bezczelny, kiedy chodzi o rzucanie obelg, taki *sans-culotte* gotów chować się niczemnie pod nienaruszalnością uprzywilejowanego stanowiska, kiedy pociągają go do odpowiedzialności za wypowiedziane przezeń słowa.

Wasza Cesarska Wysokość zechce może szukać ucieczki za plecami tych ludzi, którzy, dworując Jej w *Palais Royal*, znoszą się także z przywódcami morderców. Jeżeli w mojej ojczyźnie dobra sprawa, którą podjął król nasz, Aleksander II, i której od dwóch lat ojciec mój poświęca swoje usiłowania, nie odniesie ostatecznego zwycięstwa nad trudnościami, wywołwanemi przez ludzi przewrotnych lub źle natchnionych, przyczynę niepowodzenia przypisać wypadnie głównie rzekomym przyjaciom naszej sprawy, takim jak Wasza Cesarska Wysokość i Jej rewolucyjni kmatrowie.

Czekać będę odpowiedzi do drugiego kwietnia r. b. oraz wyznaczenia świadków Waszej Cesarskiej Wysokości. Gdybym zaś nie miał otrzymać satysfakcyi żądanej, zastrzegam sobie prawo ogłoszenia tego listu.

Proszę Waszą Cesarską Wysokość o przyjęcie wyrazu tych uczuć, które jej się ode mnie należą».

*Zygmunt hr. Wielopolski.*

Do pojedynku, ma się rozumieć, nie przyszło. Zygmunt hr. Wielopolski list swój ogłosił publicznie. Wyzwanie,



rzucone niezbyt wojowniczemu przeciwnikowi, nie miałyby, samo przez się, wielkiego znaczenia, gdyby nie śmiałość i stanowczość jednocześnie zaznaczonego stanowiska. Owóż na tem stanowisku, przy tej nietylko rodzinnej, ale politycznej solidarności z ojcem, Zygmunt Wielopolski wytrwał do końca. Po pojawieniu się znanego dzieła Henryka Lisieckiego w roku 1873, nie do wtóru zaiste księciu Napoleonowi, w dość krytycznym jednak tonie względem margrabiego, odezwał się z kolei hr. Stanisław Tarnowski i natychmiast otrzymał od syna znany list z pamiętną zapowiedzią, że «epigonów nie będzie». W liście tym, autor przedstawia z pietyzmem synowskim, usuwającym możliwość dyskusji, osobistość i działalność margrabiego jako b r y ł ę, z której nic ująć i do której nic dodać nie można. «W jednym tylko, pisze, omylił się ojciec mój, a mianowicie w przypuszczeniu politycznej dojrzałości swoich rodaków i możliwości dla Polaka rządzenia Polakami z prawem w rękę». Poza tem, jak syn twierdzi, ojciec był bez błędów w czynie i bez wad w charakterze. Zygmunt Wielopolski zbija twierdzenie hr. Tarnowskiego, jakoby H. Lisiecki mylnie zaznaczył, że nawet przed wypadkami 1861—1863 r., emigracja polska okazywała się margrabiemu nieprzyjazną.

«Byłem świadkiem rozmów, które w r. 1850 ojciec mój prowadził z przywódcami tej emigracji, z członkami tak nazywanego owocześnie stronnictwa Hotelu Lambert. Zostawiły mi one silne wrażenie i przekonanie niezachwiane, że ci panowie byli żywiołem wręcz przeciwnym widokom mojego ojca na przyszłość kraju... Nie mogli oni pogodzić się z myślą, ażeby kraj mógł obejść się bez nich... Porozumienie było niemożliwem».

Skądinąd, nigdy i niczem, jak sądzi Zygmunt Wielopolski, ojciec jego nie przyczynił się do podniecenia nerwowego stanu, wytworzonego drugostronnemi przyczynami wśród polskiego społeczeństwa. Rozwiązanie Towarzystwa Rolniczego było nie narzuconym mu z Petersburga, ale przez samego margrabiego obmyślonym, a przez ówczesne położenie zaleconym środkiem. Tak samo, do suro-

wej względem duchowieństwa postawy zmusiły go nieustające, a porządkowi publicznemu zagrażające manifestacje w kościołach. Sam zarzut osobistej opryskliwości i przesadnej dumy w obcowaniu margrabiego z ludźmi upada w przekonaniu syna, przed wręcz przeciwnem wrażeniem, które margrabia wywoływał, obcując w rozmaitych europejskich stolicach z najwybitniejszymi osobistościami.

W jednym z ustępów tegoż listu, Zygmunt Wielopolski z równą stanowczością i odwagą przypisuje sobie udział kierowniczy w najniepopularniejszym kroku margrabiowskich rządów, mówiąc, że osobiście przygotował «brankę» warszawską i przewodniczył jej doprowadzeniu do skutku, a wyrażając przekonanie, że «przy wszechstronnem i sumiennem jego zastosowaniu, środek ten byłby uratował sytuację». Nie dość na tem. Daleko później, w r. 1896 artykuł o ś. p. Aleksandrze Ostrowskim, z podpisem Sigmy w Nrze 21 *Kraju* ogłoszony, wywołał ze strony Zygmunta Wielopolskiego list do Redakcyi w Nrze 26 tegoż pisma zamieszczony, a zawierający takie oświadczenie:

«Tego «zamachu stanu» (branki) pierwotnie ani cesarz Aleksander II, ani W. ks. Konstanty, ani margrabia, ani Ostrowski nie chcieli: ja jeden, ówczesnie na urzędzie prezydenta miasta Warszawy, z mym przyjacielem Sergiuszem Muchanowem, oberpolicmajstrem, zaparałem zawieszenie świeżo wydanego prawa o poborze rekruckim, dla przeprowadzenia poboru w dawnej formie branki. To zawieszenie wykonania nowego liberalnego prawa było wstrętne ówczesnemu rządowi i wszystkim jego wyższym przedstawicielom. Historyczna odpowiedzialność za czyn ten cięży wyłącznie na mnie i takąo chętnie przyjmuję».

Polemika, w ten sposób wywołana, przeciągnęła się i w odpowiedzi znowu na replikę Sigmy, Zygmunt Wielopolski w Nrze 32 *Kraju* t. r. oświadczył, że «przeznaczonego mu jakoby stanowiska sędziego w tym procesie historycznym nie przyjmuje», artykuł bowiem *Kraju* jest mu wskazówką, «że sam siedzi na ławie oskarżonych». I dodał: «Na taki los nie skarżę się: w dobrem jestem towarzystwie; nie opuszczę tej ławy».

W danych warunkach, według słusznej uwagi Redakcyi *Kraju*, niezależnie od sądu wypaść mogącego w sprawie samej, takie wystawianie się na sztych było niewątpliwie świadectwem cywilnej odwagi, nakazującej uszanowanie. Można by jednak dopatrywać się w tej postawie czynników i pobudek, uwarunkowanych osobistymi stosunkami dawniejszego prezydenta miasta Warszawy, a późniejszego koniuszego Dworu Rosyjskiego i administratora Księstwa Łowickiego, wysokiego dygnitarza i urzędnika. Ale oto, na lat piętnaście przed powyżej streszczoną polemiką, w roku 1881, będąc już, dygnitarzem tym i urzędnikiem, a zarazem prawie że odludkiem w łonie polskiego społeczeństwa, Zygmunt Wielopolski czyta w *Moskiewskich Wiedomościach* artykuł pióra Katkowa, składający na Polaków całą odpowiedzialność za morderczy zamach dokonany na osobie Cesarza Aleksandra II. Wobec roli odgrywanej wówczas przez moskiewskiego publicystę, wobec reakcyi także wywołanej owym zamachem, człowiekowi dbającemu jedynie o względy sfer dworskich i urzędowych, a odludkowi, zobojętnionemu względem spraw i interesów ojczystych, milczenie byłoby najwygodniejszym. Narzucać je nawet mogła najpatryotyczniejszym przedstawicielom polskiego społeczeństwa aż nadto usprawiedliwiona ostrożność. Zygmunt Wielopolski nie zamilczał. Tem samem piórem, z tą samą odwagą i z tą samą bezwzględnością, napisał do redaktora *Moskiewskich Wiedomości* list otwarty ogłoszony w *Poriadku* z dnia 14 marca, a zawierający takie ustępy:

«Miałbym prawo wytoczyć sprawę karną za połączone z oszczerstwem wzbudzenie wrogiego usposobienia i nienawiści w rosyjskiem społeczeństwie ku narodowi również podwładnemu berłu rosyjskiemu... wołę jednak... zwrócić się do opinii publicznej, do trzeźwo myślących członków narodu rosyjskiego... Wiadomo, iż na życie ojca mego rewolucyoniści trzy razy robili zamach..., twierdzą jednak, iż nawet w owych czasach ta partya rewolucyjna... nie składała się z ludzi wyjątkowo polskiego pochodzenia... ..Winowajcami byli nie wszyscy Polacy i bardzo niewielu z nich kształciło się w szkołach emigracyjnych, więk-



szosć pobierała wykształcenie w rosyjskich zakładach naukowych... Zdobyłem na doświadczeniu oparte, głębokie przekonanie, iż składanie winy za rok 1863 na Polaków tylko — jest niesprawiedliwością, niezgodną z prawdą historyczną. Ale gdyby nawet rzecz miała się inaczej... czy zwycięzcy przystoi w ten sposób znęcać się moralnie nad zwyciężonymi? Czy władcy przysługuje prawo uskarżać się na niewolnika za tę duchową truciznę, którą mu miał jakoby podać ten ostatni? Nie moja to rzecz zapewne roztrząsać, czy zło kryjące się w samej istocie stosunków, opartych na niewolnictwie, jest zarówno zabójczym dla pana, jak dla niewolnika, ale mam prawo twierdzić, że gdyby pokolenie przyszłe zechciało odtworzyć historię XIX wieku podług pisma pańskiego, to doszłoby bez wątpienia do wniosku, iż Polacy mocno musieli uciskać Rosyan, jeśli ci ostatni tak straszną ku nim żywią nienawiść... Nowego powstania oczekujecie, znowu pragniecie rozlewu krwi, nowych konfliktów i nowego źródła zysku dla urzędników? Żal wam trochę powietrza i kawałka ziemi, które nam pozostały?...

List jest datowany z Petersburga 12 marca 1881 r., a zakończony odwołaniem się «do lepszych organów prasy rosyjskiej» i do programu, któremu piszący, jak był zawsze, tak i pozostaje wiernym, dążąc «do połączenia dwóch narodów na drodze sprawiedliwości i wzajemności».

Wysokiemu urzędnikowi cesarskiemu, człowiekowi, który pisząc pod tą datą z Petersburga, śmiał odzywać się podobnemi słowy, który bez obawy nazywał «niewolą» położenie swoich rodaków pod berłem rosyjskiem, mówił o łakomstwie rosyjskich urzędników, a w stosunkach wytworzonych nadużyciami, wskazywał główną przyczynę obustronnej rewolucyjnej agitacyi, człowiekowi takiemu należy się ta przynajmniej sprawiedliwość, aby uznano, że był niejednostronnie odważnym.

X.

### Ze wspomnień powstańca.

Pan Bolesław Anc, inżynier, uczestnik walk 1863 r., długoletni emigrant w Bułgarii i na wschodzie, od lat paru zamieszkały we Lwowie, ogłosił w *Nowej Reformie* szereg «Wspomnień powstańca». W jednym z feljetonów opisuje p. Anc, jak wyglądał Kraków podczas ostatniego powstania. Warto przytoczyć, jak ten gorący zwolennik i obrońca roku 63, a zdecydowany wróg stańczyków, charakteryzuje owe czasy.

«Były wtedy chwile, że ludność Krakowa nie tylko w dwój-ale i w trójnasób się zwiększała, a hotele i domy prywatne, od piwnic aż do strychu były przepelnione. Place i ulice roily się od tłumów młodzieży, często jak na maskaradę przebranej w różne rycerskie szaty. Nie tylko teatr, restauracye, kawiarnie, cukiernie były przepelnione, ale i w czterdziestu kościołach krakowskich pełno było ludzi. Wszędzie rozprawiano głośno o potyczkach i bitwach, a gdybyśmy byli odnieśli w rzeczywistości dziesiątą część zwycięstw, jakie na ulicach Krakowa językiem wywalezono, to z pewnością nie zostaloby Moskali nawet na nasienie».

Gorzkie to słowa o epoce, którą tak wielka jeszcze część naszego oświeconego ogółu — dzięki tendencyjnym historykom — przywykła uważać za nietykalną, nie podlegającą krytyce. Ale słuchajmy, co p. Anc pisze dalej:

«Dygnitarze powstania przesiadywali zbyt często w Krakowie, dając z bezpiecznego swego schronienia rozkazy tym, którzy mienie i życie swoje w każdej chwili narażali. Rozentuzyazmowane kobiety psuły niedorośli bohaterów, których większość o zwycięstwach na polu Amora, a nie Marsa myślała. Uciekinierzy, pasowani na rycerzy, fotografując się w najfantastyczniejszych pozach i kostyumach, zapisywali się do coraz to innego, nowo formującego się oddziału. Żołd pobierali, a za to bawili się, romansowali i politykowali do syta, całą zaś energię, którą za kordon przenieść należało, zużywała nie tylko młodzież, ale i policya narodowa, na walki partyjne, na naganki za «Mierosławczykami».

Podkreślić należy, jako szczegół znamieny, że gryzącej tej charakterystyce żywiołów ruchu w r. 1863 udzielała gościny... *Nowa Reforma*.

---

### Zbiór pism z r. 1863—4.

*Tydzień* lwowski zamieścił wiadomość o zbiorze pism powstańczych z r. 1862—4, znajdujących się w Bibliotece Ossolińskich. Pierwsze miejsce zajmuje wśród nich *Naprxód*, organ Józefa Szujskiego, drukowany, dla zmylenia pościgów szpiegowskich, w Krakowie. Ten zachował się w komplecie. Dalej znaj-

dują się w zbiorach Ossolineum: wychodząca w Warszawie, a redagowana głównie przez Agatona Gillera *Strażnica, Polska*, organ przeciwników zbrojnego ruchu, t. zw. stronnictwa białych i jej zasadnicze przeciwniczki *Niepodległość, Walka* wychodząca w Kijowie, a wreszcie przeważnie w celach informacyjnych przez rząd narodowy wydawane *Wiadomości z placu boju*. We Lwowie wyszło w tym czasie kilka numerów *Prawdy, Wolność*, którą było można prenumerować za pośrednictwem organizacji narodowej i *Wiadomości narodowe* z r. 1864, drukowane w drukarni Województwa Krakowskiego, uzupełniają liczbę pism powstańczych. W daleko większej ilości rozchodzili się ulotne odezwy.



## NEOPOLONIZM.

(Roman Dmowski: »Myśli nowoczesnego Polaka«. Lwów, 1903. Towarzystwo wydawnicze).

«Myśli nowoczesnego Polaka» obracają się około jednej głównej idei: jesteśmy bierni, stąd słabi, — bądźmy czynni, a będziemy silni. Ta bierność jest naszą słabością narodową i polityczną, wytworem historycznym, skutkiem organizacyi szlacheckiej naszego społeczeństwa; z tej słabości płyną pojęcia, któremi się karmimy, pojęcia o sprawiedliwości idealnej, o prawie międzynarodowym, o słuszności dziejowej; z tej słabości pochodzą i te właściwości nasze, które w zaślepieniu uważamy za cnoty, jak: szlachetność duszy, poszanowanie cudzej własności narodowej, miękość serca, wzgląd dla słabych. Słusznie też dano nam miano narodu kobiecego. W żadnym innym narodzie nie rządzą tak, jak u nas, kobiety mężczyznami, dziećmi rodzicami i młodzieź społeczeństwem. Tą biernością naszą nawet się chęlimy, nazywając ją wspaniałomyślnością, bezinteresownością i tolerancją. Stąd błędy historyczne nasze: równouprawnienie Rusinów, Żydów, Unia kościelna. Stąd i obecne prądy intelektualizmu, estetyzmu, etyzmu, od życia praktycznego naród odprowadzające.

Ale i w nas poczyna się odrodzenie, a to pod wpływem dojrzewania ludowych elementów, które wnoszą do rozmiękczonej szlacheckością naszej społeczności, mocne

pierwiastki zdrowego egoizmu. Bądźmy silni, przedsiębiorczy, agresywni — radzi nowożytny Polak — zapatrujmy się na Prusaków, na Anglików. Mówią, że fałszami sklejoną i krzywdami przypieczętowaną jedność niemiecka będzie przyczyną upadku narodu. Nic temu nie wierzcie! Niemcom pod wodzą Prus coraz lepiej się dzieje. I my więc polonizujemy, jak oni germanizują! Autor tezę swoją demonstruje szerzej na Rusinach: Polonizujemy ich! Jeżeli to nam się uda, tem lepiej, zyskamy parę milionów Polaków; jeżeli nie, to i tak zyskamy ogromnie, bo zaprawimy się do akcji, boju, napadu, rozwiniemy muskuły i przytępiłyśmy sobie skrupuły; staniemy się «nowożytni». Ale tu nie koniec demonstracyi: Rusini sami będą nam wdzięczni za naszą polonizacyę, bo wojując z nimi, i w nich zalety wojenne rozwiniemy, uczynimy i z nich rycerzów nowożytnych. Z tych samych powodów nowożytny Polak gorąco gotów jest popierać stworzenie nowej Polski w południowej albo północnej Ameryce; stworzy się ją — tem lepiej; nie — zawsze wytworzą się w akcji ludzie woli i czynu, których brak jest głównem naszym nieszczęściem.

Trzeba rozszerzyć widnokrąg myśli narodowej, wyjść poza kordon, iść do walki na najdalsze kresy, budować nową Polskę za morzami, a siły nasze rosnać poczną, jak nigdy przedtem. Dawny patryotyzm szlachecki był przywiązaniem do swobód; nowy, powstający na podstawie wprowadzenia warstw ludowych do życia politycznego, przynosi nowe hasło, nową etykę — etykę czynu. Wytwórzmy wśród siebie ludzi woli i czynu przez uświadomienie ludu i reformę wychowania w kierunku zasad nowożytnego Polaka, a pozyskanie państwowości dla naszego narodu stanie się rzeczą nietrudną, nawet konieczną.

\* \* \*

O książce p. Dmowskiego, która stworzoną jest na to, żeby służyła za moralne uzasadnienie eksterminacyi Polaków, propagowanej przez nacjonalistów niemieckich i rosyjskich, mówić sami nie mamy zamiaru. Chcemy tylko zdać sprawę z oddźwięku, jaki znalazła w prasie zakordonowej.

Prasa stronnictwa, do którego p. Dmowski należy, przyjęła jego książkę jak objawienie. *Słowo Polskie* napisało, że «z upodobaniem pochłonie ją» każdy, «kto chce poznać szczyty uświadomienia narodowego, do których sięga nowoczesny Polak» (Nr. 338 r. 1903), *Teka* zaleciła ją jako podręcznik duchowy dla młodzieży polskiej, a *Tygodnik Polski* orzekł, że «głos p. Dmowskiego tak jest poważny, iż nawet najwybitniejsi przeciwnicy jego, a właściwie kierunku, który on po części reprezentuje, nie wzięli się (!) wystąpić z krytyką i dopiero po pewnym czasie wyleźli z ukrycia»... (Nr. 9 r. 1903). Rzeczywiście «z ukrycia» wyszła przeciw teorii p. Dmowskiego... większa część prasy zakordonowej.

«Walczyć z tradycją bezrządu — pisał *Czas* (Nr. 247 r. 1903)— pielegnować ideę rządu, a równocześnie zajmować wobec istniejącego rządu, dlatego, że obcy, stanowisko negacyi, to jest kwadratura koła, której p. Dmowski nie rozwiąże. Teorią nie zwalczy się antypaństwowego instynktu duszy polskiej; wydrzeć go tylko może praktyczna szkoła polityczna. Teoria «nowoczesnego Polaka», prowadzi wprost do «opierania się» o rząd... własny, «na razie» tajny, o rząd jakichś pięciu samozwańców, których nikt nie zna i którzy też rządem nie są i być nie mogą».

W *Nowej Reformie* wystąpił w imieniu «starych demokratów» p. Tadeusz Romanowicz z szeregiem artykułów, w których stoczył polemikę o rolę, jaką odegrała demokracja polska w wieku XIX. «Stary demokrata» nie uczuł się bynajmniej pokrzepionym na duchu, przeczytałszy książkę p. Dmowskiego.

«Określenia dążeń i kierunków stronnictw — oświadcza p. Romanowicz — są zupełnie dowolne, ale bardzo zręcznie konstruowane tak, ażeby z nich wysnuć wnioski, jakiego autorowi potrzeba, wnioski, że poza nacjonalizmem nowoczesnym, t. j. poza sektą polityczną p. Dmowskiego, wszystko inne jest marne, bez wartości dla narodu, a nawet szkodliwe».

Nie trafił sposób myślenia p. Dmowskiego do przekonania i trzeciej grupy politycznej w Galicyi: stronnictwa ludowego. *Kuryer Lwowski* dwukrotnie wystąpił przeciw zasadom, szerzonym przez «nowoczesnego Polaka». W szeregu feljetonów zajął się niemi najpierw znany socyolog, p. Lu-



dwik Kuleczycki, który zarzuca p. Dmowskiemu, że nie umie on odróżnić współzawodnictwa narodów od brutalnych podbojów; tymczasem pierwsze są objawem i czynnikiem kultury i trwać będą zawsze, podczas gdy podboje przemocą dokonywane znikną, gdy się tylko więcej światła uczyni na świecie. O «ekspansyi», ulubionym terminie p. Dmowskiego p. Kuleczycki mówi:

«Co uderza w całem rozumowaniu, i jest jednocześnie charakterystycznym narodowych demokratów wogóle, to zjawisko, że ilekroć mówią o szerokich zadaniach do spełnienia, o rozległych horyzontach, nigdy im nawet przez myśl nie przyjdzie wskazać na pracę społeczną, podniesienie dobrobytu mas, dążność do stworzenia demokratycznych instytucyi, rozszerzenie, tak ciasnych obecnie, naszych widnokręgów umysłowych. Wszystkie te cele dla nich zupełnie nie istnieją, nie rozumieją oni nawet, jak można się nimi zajmować. A jednak dla natur bogatych, charakterów silnych, twórczych umysłów rozległych, praca na tem polu jest bardzo wdzięczna. P. Dmowski nie może się tłumaczyć, że pominął pracę w tym kierunku dlatego, że jest ona trudna i zależy nie tylko od nas, ale i od rządów zaborczych; wszak i ekspansya narodowa Polaków także jest trudną i również nie od nas tylko zależy».

*Kuryer lwowski* raz jeszcze zajął się «Myślami nowoczesnego Polaka». Tym razem wystąpił przeciw niemu z niezwykłą siłą, dopatrując się w zasadach, jakie p. Dmowski szerzy, deprawacyi ducha publicznego. Autorowi zaś poświęca *Kuryer* następującą dosadną, a może i przesadną charakterystykę:

«Walka z p. Romanem jest stokroć śmieszniejszą, niż bitwa Don Kiszota z wiatrakami. Jak rąbać takiego kameleona, który był i jest *eigentlich*, jak mawiał jego pierwowzór, p. Precliczek, wszystkim, co się komu podoba: socyalistą w dawnym *Głosie*, monarchistą i ugodowcem w obronie Wielopolskiego, niby demokratą z p. Głębińskim, szlachcicem, ludowcem i t. d.? Strzeliłeś do spiskowca a on wola: *ich bin eigentlich ein Oesterreicher!* Przeszyłeś stańczyka — masz przed sobą redaktora czerwonej *Pochodni*».

Z kolei zabrał głos krakowski miesięcznik postępowy: *Krytyka*. Autor artykułu, p. A. W., stwierdziwszy, że p. Dmowski streścił tylko w swej książce to, co od paru lat powtarzał on sam i jego przyjaciele polityczni, w na-

stępujący sposób ocenia zalecany przez p. Dmowskiego system myślenia:

«P. Dmowski stawia nam jako przykład konsekwentnego patriotyzmu Anglię z jej imperyalistami i Prusy z bezwzględny egoizmem i wskazuje na wspaniały rozwój tych państw. Otóż nie odpowiem mu na to, argumentem, że co dobre dla Bismarka rozporządzającego milionami bagnetów, to śmieszne w ustach p. D., który ma pod swą bezpośrednią władzą zaledwo paru stróżów redakcyjnych. Ale przypomnę, że w Anglii obok imperyalistów istnieje znaczne stronnictwo, które z oburzeniem odnosiło się do wojny z Boerami. Co się Niemiec tyczy, czyż nie jest ciekawem zagadnieniem, dlaczego zalet polityki hakatystyczno-bismarkowskiej, którą nam p. D. zaleca, nie uznaje w samych Niemczech stronnictwo, rozporządzające trzema milionami głosów, stronnictwo, którego wzrostu i szybkiego zbliżania się do władzy nie unicestwi żadna sofistyka narodowo-demokratyczna».

Nakoniec potępione zostały zasady, które p. Dmowski rozwija, jeszcze z jednej strony, a mianowicie przez organ grupy, kultywującej zasady Szczepanowskiego, miesięcznik p. t. *Odrodzenie* (Nr. 8 r. 1903). Píše on, że po «Egoizmie narodowym» Balickiego, jest to «nowy cios wymierzony w ideę narodową, nowy kamień na drodze rozwoju myśli polskiej, nowa kropla jadu, systematycznie wsączanego w serca».

«Cała książka — pisze *Odrodzenie* — jest plwaniem na rzeczy nam święte, bo «nowoczesny Polak nie boi się spojrzeć prawdzie w oczy», jest realny, trzeźwy i w imię tej realności drwi z wszystkiego, co znajduje się poza ciasnem państwem miary, wagi i interesu. Taki podkład duszy nie jest zresztą czemś nowoczesnem, bo i człowiek dziki zapyta: «czy moralność je się czy pije» i będzie nią gardził właśnie dlatego, że się ani je, ani pije. Dobrem będzie u niego, jeśli komu żonę ukradnie, złem, jeśli jemu ukradną. Takie wprowadzanie pojęć moralności, równa się nierządowi. I posąg grecki i obraz cynika-malarza nowoczesnego odtwarzają ciało ludzkie, a przepaść między nimi, jak między czystością a brudem, cnotą a występkiem».

---

## KOREKTA PROGRAMU.

«Stronnictwo demokratyczno narodowe w zaborze rosyjskim» (tak brzmi urzędowa jego nazwa) wydało w jesieni roku zeszłego nowy, a raczej tylko «przejrzany i znacznie pomnożony» program. Mamy więc już dwie edycje tego programu: z r. 1896 i z r. 1903. Twórcy ostatniej powiadają, że rozwój działalności Ligi Narodowej i Stronnictwa demokr.-narodowego w ciągu ostatnich lat sześciu uczynił program pierwszy «w ogromnej mierze niewystarczającym»; okazało się przedewszystkiem, że zawarte w nim wskazówki są sformułowane ogólnikowo. A tymczasem prace stronnictwa rozszerzyły się i różniczkowały, wymagając tem samem ściślejszych określeń. Wydano więc nowy program, który wedle *Przeglądu Wszechp.* (1903 r.), «tem większe zyskuje znaczenie w chwili obecnej», że «stanowisko stronnictwa i Ligi Narodowej po tamtej stronie kordonu stało się przedmiotem publicznej dyskusyi», że ich dążenia spotkały się z przeciwdziałaniem tamtejszych stronnictw i grup, które organowi wszechpolskiemu podobało się zbić w czambuł pod wspólną etykietą «żywiolów antynarodowych».

W nowym programie jest nowem przedewszystkiem określenie wzajemnego stosunku Ligi do stronnictwa demokratyczno narodowego. Kiedy pierwszy program wychodził, Liga nie była jeszcze ujawnioną; wystąpiła na widownię dopiero w trzy lata potem, kiedy to już, jak pisał



*Polak*, «żandarmi rosyjscy wiedzieli o niej więcej, niż polskie społeczeństwo». To też w pierwszym tekście programowym nie można było nawet wspomnieć o Lidze, mimo, iż ona to (tak dowiedzieliśmy się później) porodziła stronnictwo. Redaktorom nowego, rozszerzonego programu nie stało już nic na przeszkodzie w jasnym określeniu roli, jaką Liga wykrywa wobec stronnictwa demokr.-narodowego. Jest ona:

«Właściwą organizacją naczelną stronnictwa demokratyczno-narodowego w zaborze rosyjskim, dającą kierownictwo jego polityce i przyjmującą za nią odpowiedzialność przed opinią ogółu. Nie skupia ona wszystkich sił stronnictwa, bo nie pozwala jej na to charakter organizacji tajnej, nielegalnej. Częstokroć wybitni nawet przedstawiciele ruchu politycznego, znajdując swój wyraz w działalności stronnictwa, zmuszeni są pozostawać poza organizacją Ligi».

Jest więc Liga kierowniczką stronnictwa wszechpolskiego. Ale jest i czemś więcej. Jest mianowicie «organizacją państwowych (!) funkcji polskich i prac ogólnonarodowych» i jako taka kompetuje o poparcie już nietylko żywiołów wszechpolskich, ale «całego społeczeństwa», co więcej, oświadcza kategorycznie, że tego poparcia «musi żądać», pozwalając się domyślać, że na opornych nakładać będzie chyba kary za nieposłuszeństwo...

Spróbujmy porównać w głównych punktach oba, siedmiu latami odgrrodzone od siebie programy: z 1896 i 1903 roku...

Główny cel, jaki stronnictwo demokr. narodowe wypisało na wszystkich swoich robotach politycznych, przedstawia się w obu programach prawie jednakowo, cytujemy więc tylko odpowiedni ustęp w nowej redakcyi:

„*Głównym celem politycznym*, wynikającym z położenia naszego narodu, jest *osiągnięcie niepodległości* i stworzenie samoistnego *państwa polskiego*. Dla narodu, mającego żywe poczucie jedności i odrębności swych interesów, *jedyną* postacią bytu politycznego, mogącą go bezwzględnie zabezpieczyć od wynarodowienia i zapewnić mu samoistny rozwój kulturalny i polityczny — jest *własne, narodowe państwo*. Podział polityczny rozkłada siły narodu, obniża wartość i zmniej-

sza skuteczność jego pracy kulturalnej, a przynależność do obcego państwa, *nawet na zasadzie autonomii oparta*, nietylko kępuje swobodę politycznego działania, wobec potrzeby liczenia się, prócz interesu narodowego, z wewnętrznymi stosunkami i potrzebami państwa, ale bezpośrednio lub pośrednio *uniemożliwia* pełny rozwój narodowego życia. Naród więc nietylko nie może się zrzekać dążenia do niepodległości politycznej, ale osiągnięcie jej musi zrobić *głównym celem* swych usiłowań.

Widzimy więc, że w obu programach cel działań stronnictwa dem.-narodowego jest ten sam. Redaktorowie tych programów nazywają go po imieniu: jest to zdobycie własnego państwa. Ale jakim sposobem?

Na to otrzymujemy odpowiedź:

*Środków*, którymi ten cel w bliższej lub dalszej przyszłości będzie urzeczywistniony, dziś *nie można obliczyć*, ani warunków, w których to się stanie, konkretnie przedstawić). Program narodowy na dzień dzisiejszy streszcza się w tem, ażeby, wiaższy za podstawę *istniejące warunki polityczne*, w warunkach tych osiągnąć jak największą sumę składników życia narodowego i tak te warunki wszelkimi dostępnymi nam *środkami przekształcać*, ażeby one coraz bardziej odpowiadały duchowi naszego narodu i jego potrzebom i coraz bardziej *zbliżały chwilę*, w której rozwinie życie narodowe *w całej pełni*.

Dzisiejszy stan i położenie naszego narodu *nie przedstawia warunków* zbrojnej lub dyplomatycznej akcji na rzecz niepodległości, ani *nawet bezpośredniego* takiej akcji *przygotowywania*. Wobec tego stronnictwo demokratyczno-narodowe bierze za punkt wyjścia swej działalności *istniejące stosunki* i układ prawno-państwowy stawia sobie za cel *zdobycie* w każdym z trzech zaborów *stanowiska*, zapewniającego żywiołowi polskiemu możliwie najwyższą *samodzielność narodową*, odpowiadającą jego przyrodzonej i historycznej odrębności, jak najszerszy rozwój sił narodowych i wszechstronny postęp ekonomiczny, cywilizacyjny i polityczny, a tem samem *zbliżającego* go do osiągnięcia w przyszłości *niepodległego bytu*.

Postanawia więc stronnictwo dem.-narodowe pracować w ramach państwowości rosyjskiej dla zdobycia własnego państwa. Tu znowu nasuwa się natrętne pytanie: w jakiż sposób?! Program wszechpolski ma na to gotową odpowiedź. Po pierwsze: zamienią wszechpolscy nieliczne instytucje publiczne w Królestwie na

kuźnie działalności antypaństwowej — po drugie: «zmuszą» rząd, żeby takich instytucji tworzył coraz więcej.

Już w r. 1896 wszechpolacy grozili w swoim programie, że «zwróca uwagę» na wszelkie istniejące lub mogące w przyszłości powstać instytucje samorządu, zapowiadali, że na razie zużytkują dla swoich widoków samorząd gminny, z którego zrobią kursa przygotowawcze dla ludu, a niechby tylko rząd rosyjski rozszerzył go, lub dał Królestwu inne instytucje autonomiczne, to już oni potrafią z nich po swojemu «skorzystać». Te zapowiedzi i pogróżki utrzymane zostały w nowym programie w całej mocy, tylko w zmienionej nieco szacie stylistycznej.

Tak więc istota programu pierwszego i drugiego została ta sama. Przygodne objawy politycznej trzeźwości, jakie zdarzyło się w ostatnim czasie spotykać w artykułach paru wszechpolskich publicystów, nie wpłynęły nic na program stronnictwa. Pozostały prywatnym dobrem autorów.

Następnie nowy program określa stanowisko partii wobec interesów polskości na Litwie, wobec Rosyan wogóle i wobec ruchu wolnościowego rosyjskiego. Tego wszystkiego w r. 1896 nie było.

Co do Litwy: Mimo, że już program z r. 1896 nazywany był «programem stron. dem.-narodowego w zaborze rosyjskim», — właściwie tyczył się wyłącznie Królestwa Polskiego. Mimochodem tylko autorowie jego wspomnieli o reszcie zaboru rosyjskiego, przy omawianiu «istniejących i mogących powstać» instytucji samorządowych. W nowym programie znalazł się osobny ustęp o działalności stronnictwa «w odrębnych warunkach krajów zabranych, a w szczególności Litwy». Dowiadujemy się z niego, że

«jakkolwiek obecny program stronnictwa określa kierunek jego działalności w całym zaborze rosyjskim, to jednak wykonywany jest on w całości tylko na gruncie Królestwa Polskiego, w Krajach Zabrzanych zaś, głównie na Litwie, gdzie stronnictwo posiada ustaloną organizację, wprowadzany jest w życie tylko częściowo w zastosowaniu do warunków miejscowych».



Co do ruchu litewskiego, stronnictwo uznaje go za zjawisko naturalne i pożyteczne i gotowe jest wejść w ściślejsze porozumienie z jego przywódcami, o ile ci uznają następujące zasady:

a) ruch narodowy litewski, dążąc do wzmocnienia odrębności i rozwoju samoistności kulturalnej szczepu litewskiego, stoi na gruncie jedności politycznej z narodem polskim, b) w tych sferach życia duchowego i społecznego, w których nie wystarcza jeszcze język i kultura litewska, Litwini korzystają z języka polskiego i czerpią z zasobów cywilizacyjnych polskich, pracując wspólnie z Polakami nad wyparciem wpływów rosyjskich; c) Litwini uznają prawo Polaków zamieszkałych na Litwie do prowadzenia tam pracy kulturalnej polskiej.

Z Litwinami więc porozumienie uważają za możliwe, chociaż stawiają warunki, których, można z góry przewidzieć, uświadomiony ruch litewski nie przyjmie. Natomiast w stosunku z Rosyanami obowiązuje wyznawców programu wszechpolskiego skrajna ekskluzywność. Oto są dwa główne przykazania w tym względzie: 1) przeciwdziałanie pożytku towarzyskiemu z Rosyanami i wprowadzanie zasady oddzielania się od nich w miejscach publicznych i 2) zwalczanie udziału Polaków w stowarzyszeniach i instytucjach mieszanych i wogóle łączenia się z Rosyanami w jakiegokolwiek działalności.

Nawet wobec postępowych żywiołów rosyjskich postawa stronnictwa jest nie o wiele przychylniejsza. Autorowie programu wiedzą, iż te żywioły przyjść mogą niebawem do głosu, wiedzą, iż «w dziejach wewnętrznych państwa rosyjskiego rozpoczął się poważny przełom», że «zbliży się chwila zmian głębokich w samym charakterze organizacyi państwowej». Mimo to jednak nie umieją się zorientować, co by właściwie wypadło czynić. Sprzeczne poglądy na sprawę zaznaczyły się wyraźnie w programie. Z jednej strony dowiadujemy się z niego, że stronnictwo «patrzy na ruch opozycyjny w Rosyi, jako na zjawisko bardzo pożądané i pomyśne» i kiedyś, w przyszłości, obiecuje sobie nawet «sojusz formalny z opozycją

rosyjską». — Z drugiej strony zaś ten sam program zapewnia nas, iż

«nie możemy żywić za daleko sięgających nadziei co do wpływu możliwych zmian na politykę Rosyi względem Polaków. Jesteśmy pewni, że rozpiętanie polityczne skrepowanego dziś społeczeństwa rosyjskiego musi za sobą pociągnąć wzmocnienie nacisku tego społeczeństwa na Polskę, wywieranego już dziś w pewnej mierze niezależnie od polityki państwowej».

Tyle co do postanowień natury politycznej.

Na zakończenie zapisać chcemy jeszcze jeden szczegół, zaczerpnięty z nowego programu, a rzucający trochę światła na siły stronnictwa wszechpolskiego w Królestwie. Chodzi o jego fundusze. Dokładniej mówiąc: o to, czy społeczeństwo poczuwa się do obowiązku popierania Ligi Narodowej. Niestety! Już przy pierwszych wierszach ustępu, poświęconego «zebraniu funduszy na potrzeby pracy narodowej» spostrzegamy, że ta część programu nastrojona jest na ton minorowy. Społeczeństwo wzdraga się płacić podatki swemu, dobrowolnie uznanemu «rządowi». To też otrzymało i zapłatę, na jaką sobie zasłużyło. Nazwane zostało w programie «społeczeństwem najnędzniej zasilającym swe potrzeby publiczne...» Czy tak jest naprawdę?...

Nawet sami autorowie programu w to nie wierzą, skoro przyznają, że

«w razach nagłej potrzeby, na cel, który chwilowo zdołał przątnąć uwagę i pozyskać ogólną sympatyę, umiemy się zdobyć nawet na dużą ofiarność, a bywały wypadki, że wielcy obywatele umieli całe majątki oddawać».

A więc społeczeństwo polskie jest ofiarne na cele publiczne, tylko... nie chce dawać pieniędzy na Ligę. To też z ogromnym żalem skarżą się autorowie programu, że

«odbija się to przedewszystkiem na rozwoju prac stronnictwa demokratyczno-narodowego, których zakres o wiele szybciej się rozszerza, aniżeli wzrasta ich budżet. Jedyłą właściwie przeszkodą do rozwinięcia prac narodowych na stopę, na której mogłoby się skutecznie mierzyć z działalnością wrogiego rządu, jest słaba ofiarność ogółu, a właściwie istnienie ofiarności tylko w bardzo szczupłych jego kołach, podczas gdy reszta społeczeństwa zupełnie udziału w ciężarach publicznych nie bierze. Obok tego niechęć, z jaką

składamy nasz grosz na cele narodowe, oczekiwanie, ażeby nam nasz obowiązek przypomniano za każdym razem, kiedy trzeba go spełnić, sprawia, że na osiągnięcie skromnych funduszków prowadząca pracę narodową organizacja musi zbyt wiele stosunkowo sił poświęcać.

Twórcy programu wołają, iż dość już owych wiecznych «balów, rautów, koncertów, loteryj i t. d.» na dochód Ligi! Dość dobroczynności! Czas wreszcie «ustalić pobory». Odtąd stronnictwo dążyć będzie do

«dobrowolnego, powszechnego podatku narodowego, obowiązującego moralnie wszystkich członków społeczeństwa w stosunku do ich dochodów osobistych, a pobieranego na zaopatrywanie potrzeb całości prac narodowych».

Jak sobie stronnictwo wszechpolskie wyobraża «dobrowolny» podatek tam, gdzie, jak samo przyznaje, istnieje «niechęć» do składania tej daniny, to już jego rzecz. Nam wystarczy stwierdzenie faktu, że ogół polski w Królestwie, na którego reprezentantkę narzuca się Liga Narodowa, w najwymowniejszy, jaki może być, sposób daje do zrozumienia, że sobie tego przedstawicielstwa nie życzy.



## ROSJA I „UGODOWCY“.

Zadania umiarkowanego pisma polskiego, wychodzącego za kordonem, są tak rozległe, że dużo jeszcze wody upłynie, zanim zdoła ono choć część ich wypełnić. Jednym z takich zadań to wyjaśnienie istotnych warunków, w jakich działają w Królestwie pracownicy idei «ugodowej», rozproszenie błędnych pojęć, fałszywych informacji jakie w tym względzie krążą za granicami naszej dzielnicy.

I tak naprzykład, wszędzie, zdaje się, panuje przeświadczenie, mające za sobą pozory logicznej słuszności, że rząd i wogóle Rosyanie sympatyzują z «ugodowcami», że ich popierają; że mniej mają zaufania do ludzi bez wybitnej tendencyi, ale trzymających się zdala od «ugody» i walczących z «ugodowcami», a najbardziej zaś nie lubią i lękają się «wszechpolaków». Naturalnie ostatni starają się bardzo mniemanie takie szeroko rozpowszechniać i bezustannie podtrzymywać.

Tymczasem fakty pozornej tej logiki nie stwierdzają wcale. Przeciwnie, przeczą jej stale i stanowczo.

\* \* \*

Faktów tych jest tak dużo, małych i wielkich, że wszystkich przeliczyć niepodobna i nie wiadomo od czego zacząć.

Weźmy przedewszystkiem *Kraj*, jako najbardziej uznanego przedstawiciela «ugody». Według tendencyjnie tworzonych fałszów był on zawsze Benjaminkiem rządu, urzę-

dników rosyjskich, konserwatyzmu i nacyonalizmu rosyjskiego. Pisano o tem artykuły i broszury.

Nic podobnego nie było nigdy.

Od początku swego istnienia aż po dziś dzień *Kraj*, niby sól w oku, drażni *Moskowskije Wiedomosti* i wszystkie pokrewne im organy rosyjskie. Nie przepuszczono sposobności, aby nie obrzucić go gromami wszelkich rodzajów, a przedewszystkiem insynuacyami, pomówieniem o obłudę, o podstęp, a zawsze przytem starano się dorzucić niby Katonowskie *Carthaginam delendam esse puto* dowodzenie, iż istnienie *Kraju* szkodzi interesom państwa.

Zarzuty, które z tej strony sypano na *Kraj*, były zazwyczaj niedorzeczne, od prawdy rzeczowej niezmiernie dalekie, ale sama ta niedorzeczność świadczyła, iż je dyktuje zaślepienie nienawiści.

Nie badano szczegółów, nie starano się poznać ludzi, argumentów, pobudek, celu dążeń, lecz powtarzano uporczywie, jak gdyby z zamkniętymi oczami i uszami: Polakom nigdy i w niczem wierzyć nie należy, cokolwiek mówią. Każdy jest i będzie wrogiem, a najgorszy wróg ukryty, bo chce uspić Rosyę i zdradzić. *Kraj* i jego zwolennicy noszą ukryty nóż w zanadrzu i usiłują po to tylko zbliżyć się do Rosyi, aby jej cios zadać.

Powiedziano to bez ogródek, brutalnie, w roku 1883 czy 1884 po zamachu Żukowicza, kiedy *Kraj* dowodził, że za czyn ten nie może odpowiadać społeczeństwo polskie. Powtórzono mniej więcej toż samo nieco delikatniej wskutek charakteru chwili w r. 1897 po przyjeździe cesarza do Warszawy. I wtedy nawet *Moskowskije Wiedomosti* uważały za potrzebne ostrzegać Rosyę przed obłudą i ukrytymi planami *Kraju*.

Między temi datami w ciągu lat piętnastu, usiłowano skompromitować *Kraj* pomówieniami o konszachty z Niemcami, o szerzenie wśród Polaków poddanych rosyjskich austrofilstwa, o oszukiwanie rządu i Rosyi stałem zaprzeczaniem doniesieniom rosyjskich korespondentów z Warszawy i t. d.

Przyczyny takiego dziwnego na pozór zachowywania większości prasy rosyjskiej postaramy się wskazać niżej. Tymczasem przytoczymy jeszcze dwa fakty charakterystyczne.

W ostatnim roku życia ks. Imeretyńskiego w Warszawie krzątano się około podania memoriału, któryby przekonał władzę, iż prawo o wprowadzeniu języka rosyjskiego do towarzystw akcyjnych, oraz instytucyj społecznych było chyba rezultatem nieporozumienia i ze wszech względów winno zostać złagodzone lub zawieszona. Była poważna nadzieja osiągnięcia pożądanego skutku. Tymczasem *Przegląd Wszechpolski*, dla którego wszelka działalność legalna w obronie praw i interesów narodowych była niedogodną i wstrętną, doniósł, najnie dokładniej zresztą, że z inicjatywy redaktora *Kraju* grono ugodowców z margrabią Wielopolskim na czele, chcą złożyć rządowi akt zgody na język rosyjski w instytucjach rządowych, aby uzyskać ulgi w towarzystwach prywatnych. Wiadomość tę w lot pochwyliły *Moskowskije Wiedomosti* i cytując *Przegląd Wszechpolski* rzuciły się, nie na niego, naturalnie, lecz na «ugodowców», na *Kraj*, że oni śmiają się o coś starać, o czemś rząd przekonywać i t. d.

Kiedy w *Kasie* literackiej warszawskiej wyrządono parę lat temu szykany redaktorowi *Kraju*, *Moskowskije Wiedomosti*, nie tały z tego powodu wielkiej radości. Pochwaliły one gorąco Warszawę i dziennikarzy warszawskich za okazanie jawnej i jaskrawej niechęci do przedstawiciela stronnictwa najniebezpieczniejszego, najniebezpieczniejszego dla stanu rzeczy w Królestwie Polskiem, który to stan stronnictwo Katkowa wprowadziło, ukochało i pragnie zachować nietknięte na wieki.

Kto pragnie prawdę poznać, powinien przewertować roczniki *Moskowskije Wiedomosti* i pokrewnych im organów. Lektura to ciężka, przykra, wysoce drażniąca, ale wiele się z niej nauczyć można.

Taki sam mniej więcej był stosunek władzy, szczególnie władz warszawskich do *Kraju* za czasów Hurki.



Ujawniano na każdym kroku nie tylko niełaske, nie tylko niezadowolenie, ale wielką zawziętość. Przebija ona wyraźnie w artykułach i wzmiankach urzędowego organu generał-gubernatora *Warszawskiego Dniownika* z lat 1888 aż po 1893. Była to wytrwała, konsekwentna kampania przeciwko piśmie i przeciwko osobie redaktora. Przewodnią myśl tych wycieczek da się streścić w sposób następujący: W Królestwie stan umysłów byłby wyborny, gdyby nie *Kraj*. On burzy i podnieca, on podnosi różne braki i różne potrzeby, różne pożądanja i uzasadnia je w taki sposób, że w Petersburgu cenzura puszcza, nie rozumiejąc ich doniosłości. Oskarżano *Kraj*, iż podając wiadomości z Galicyi i Poznania wywołuje niezadowolenie i nienawiść do Rosyi, a budzi austrofilstwo. Powtarzano wielokrotnie (np. w Nrze *Warsz. Dniownika* z d. 9 października 1888 r.), że istnienie *Kraju* jest niepotrzebne i szkodliwe.

Gniew Zamku warszawskiego był zrozumiały. W cenzurze posadzono Jankulia. Trudno powiedzieć, co w tym człowieku było większe, złość czy głupota? Doprowadził prasę warszawską do ostatniej nicości i miał to sobie za wielką zasługę. *Kraj* przychodził i burzył co tydzień ten błogi stan ogłupiającego milczenia. Ani Jankuljo, ani zapewne wszechwładna wówczas pani Hurko nie byli zdolni do zastanowienia się, jakie następstwo mieć może dla państwa takie tłumienie w Warszawie wszelkiego jawnego głosu o sprawach publicznych, obchodzących cały ogół, będących treścią rozmów i myśli. Wytworzyły się wówczas w cenzurze warszawskiej formułki i dogmaciki o tem, czego niewolno drukować, niezgodne z rosyjskiem prawem prasowem, niezgodne z rozsądkiem, bezcelowe, których trzymano się jak katechizmu. Dużą przytem rolę grała zła natura Jankulia. Sprawiało mu istotną przyjemność, iż może tępić, dusić, dręczyć. Gniewało go i obrażało, że istnieje pismo, które może sobie z władzy jego nic nie robić, które gwałci jego postanowienia i pomysły. Obowiązywał w cenzurze bezwzględny zakaz puszczania jakichkolwiek przedruków lub cytata z *Kraju*. Wykazano to dowodnie Jankuljowi pó-

źniej (za Szuwałowa) w *Pietiersburskich Wiedomościach*. Wyrzucano lub wstrzymywano nawet płatne ogłoszenia o wy dawnictwie *Kraju* w prasie warszawskiej.

Jankuljo był kreaturą i ulubieńcem państwa Hurków. Niezadowolenie potężnego generał-gubernatora mogło mieć następstwa bardzo groźne. W r. 1859 w czasach najwyższego liberalizmu na pierwsze żądanie z Warszawy zamknięto w Petersburgu *Słowo*, pierwszy organ umiarkowanej politycznej partii polskiej, wydawany przez całe grono ludzi wysoko ustosunkowanych. W walce, *Kraj* w najlepszym razie mógł unikać jedynie ciosów śmiertelnych. Na skutek interwencji Hurki w ministerstwie spraw wewnętrznych i w głównym zarządzie prasy bezustannie radzono: co zrobić z *Krajem*, jak go poskromić, jak zadowolić warszawskiego generał-gubernatora? Myślano o odebraniu debitu *Krajowi* w Warszawie; myślano o cenzurowaniu *Kraju* w Warszawie (co byłoby równoznaczne z zamknięciem). Dzięki wielkim staraniom, wyjaśnieniom, stosunkom i t. d. skończyło się tylko na tem, iż Jankuljo otrzymał prawo wybrania cenzora dla *Kraju*, któryby doprowadził krnąbrne pismo petersburskie do jednakowego poziomu z warszawskimi. Przeciwno temu zarządzeniu obronić się nie było można. Cenzor *Kraju* został usunięty i na jego miejscu zostałznaczony jeden z «najdoświadczeńszych» członków warszawskiego komitetu cenzury.

Po ustąpieniu Hurki, po wspomnianych wyżej rewelacyach *Pieterb. Wiedomości*, Jankuljo przestał być groźny. Dalej prasie pozwolono pisać o sprawach politycznych; *Kraj* odetchnął, ale wcale nie przyszedł dlań jakieś rajskie czasy tryumfu i pewności. Niedowierzanie i niechęć, które przez lat tyle było dogmatem w sferach rządzących Królestwa, wcale nie wygasło po wyjeździe Hurki i dwóch, trzech innych dygnitarzów.

Przed samym przyjazdem cesarza do Warszawy w r. 1897 ukazał się w *Kraju* artykuł «Na zakręcie dziejowym». Było to niemal wyluszczenie katechizmu «ugodowego», t. j. programu, który da się streścić krótko: pań-

stwowość rosyjska, narodowość polska. Był to artykuł szczerzy i jasny. Mówił bardzo wyraźnie, że my, Polacy, musimy i powinniśmy dla przyszłości naszej pracować w państwie rosyjskiem jako szczerze lojalni jego obywatele, a jednocześnie musimy i powinniśmy dążyć do zapewnienia sobie w tem państwie, na gruncie zasad i ustaw obowiązujących, jak najpomyślniejszych warunków narodowego rozwoju. Artykuł ten dla swej dobitności, wykluczającej wszelkie domysły i niedomówienia, stał się przedmiotem licznych napaści ze strony szowinistów, zarówno rosyjskich, jak polskich.

Chwila była uroczysta. Za dni parę miał cesarz Mikołaj zjechać do Warszawy, przybranej już w ozdobne łuki. Naród go witał sercem ochoczem i pełnem nadziei, witał go darem miliona rubli, szybko i łatwo zebrany przez wszystkie warstwy społeczne. Wszyscy dobrze wiedzieli, że *Kraj* był jednym z najgłośniejszych dzwonników na tę uroczystość.

Pomimo to biurokracja warszawska zwróciła uwagę ministra spraw wewnętrznych na artykuł «Na zakręcie dziejowym». Uznano go za niebezpieczny, za «zuchwałę *ultimatum*»<sup>1)</sup> i znowu stanęła na porządku dziennym kwestya przedsięwzięcia środków nadzwyczajnych przeciwko *Krajowi*. Na szczęście uprzedzono redaktora *Kraju* dość wcześniej o niebezpieczeństwie, udało się przekonać sfery wyższe o niesłuszności oskarżeń, wreszcie z interwencją wystąpił wpływowy margrabia Zygmunt Wielopolski i groza została zażegnana.

Gorzej bodaj jeszcze było w półtora roku potem.

Z powodu uroczystego odsłonięcia w Warszawie pomnika Mickiewicza *Kraj* zamieścił artykuł jednego z najwybitniejszych publicystów polskich p. t. «W setną rocznicę». Artykuł trzymany był w bardzo patryotycznym nastroju, ale od zasadniczego programu *Kraju* nie odbiegał,

<sup>1)</sup> Opowiedział o tem znany publicysta rosyjski *Obserwator* w korespondencyi z Warszawy do *Piet. Wied.*



dowodem, że nie znalazł uznania w szowinistycznych kołach polskich. Pomimo tego wywołał w urzędowej Warszawie oburzenie. Rezultatem było żądanie wystosowane przez ks. Imeretyńskiego do ministra spraw wewnętrznych o przykładowe ukaranie pisma i poddanie go kontroli władz warszawskich.

Były to atoli czasy (w pierwszych dniach 1899 r.), kiedy ks. Imeretyński tracił w Petersburgu grunt pod nogami. Minister spr. wew. Goremykin, osobisty przeciwnik księcia, w artykule nie karygodnego nie znalazł i *Kraj* ocalał.

\* \* \*

W tym samym czasie ks. Imeretyński skazał na karę 1000 rubli inne pismo, będące w rękach «ugodowych», *Kuryer Polski*. W artykule inkryminowanym nie było ani cienia jakiegokolwiek niecenzuralności, nic takiego, czego by inne warszawskie nie robiły. Wyrok opiewał, że kara spada za «tendencyjne porównanie dzisiejszych czasów z czasami upadku Rzeczypospolitej» — tymczasem tam nie było wcale żadnego porównania. Redaktora nie wezwano do tłumaczenia, jak to uczyniono, gdy chodziło o pismo inne, np. o *Kuryer warszawski*, skazany później na 300 r. kary. Wprost przyszła policja do mieszkania p. Straszevicza z wyrokiem i egzekucją. Jeneral-gubernator chciał jak gdyby pokazać swoją niełaszkę «ugodowcom» i dotknąć ich pod jakimkolwiek pretekstem.

Nie chcemy bynajmniej, aby ktoś z powyższego wniosioskował, że jen. Hurkę i ks. Imeretyńskiego stawiamy na jednej linii w stosunku do sprawy polskiej. Nie. W Hurce widzimy świadomego celu, konsekwentnego, systematycznego rusyifikatora. Ks. Imeretyński był człowiek dobry, w gruncie sprawiedliwy, ale wysoce nerwowy. Ulegał wpływom rozmaitym. Miewał chwile dobre i złe.

Dodamy tu fakt drobny, ale charakterystyczny. Wszecpolacy głoszą, jak mogą, o popieraniu ugodowców przez rząd. Tymczasem żadne z pism «ugodowych» ani

*Kraj*, ani *Kuryer polski*, ani *Słowo* nie miało nigdy ogłoszeń rządowych, kiedy inne nie ugodowe miały i mają.

Tak samo, jak z pismami, władze warszawskie postępowały z osobami. Opinia ugodowości czyniła każdego podejrzanym. Wystarczy przytoczenie faktu, że z listy proponowanych członków komitetu budowy pomnika Mickiewicza w Warszawie władze wykreśliły prof. Ignacego Baranowskiego, a zatwierdziły p. Zygmunta Wasilewskiego, b. kustosa w Rapperswylu, dzisiejszego urzędowego redaktora wszechpolskiego *Słowa polskiego*.

\* \* \*

Parę lat temu wyszła po rosyjsku (a następnie za kordonem po polsku)<sup>1)</sup> książka p. t. *Oczereदनnye woprosy w Carstwie Polskom*. Złożyła się na nią praca zbiorowa. Jako wydawcy podpisali się pp. Włodzimierz Spasowicz i Erazm Piltz, inicjatorowie i redaktorowie książki.

Książka ta nie ma bynajmniej barwy politycznej, nie mówi się w niej o żadnych tendencjach, lecz o realnych szczegółowych potrzebach kraju i ludności (zarządy miejskie i gminne, szkoły, sądownictwo i t. d.). Zwrócono się o opracowanie nie do ludzi tych lub innych przekonań, lecz do znawców przedmiotu.

Niemniej przeto książka może być wzorem lojalnego względu na rząd traktowania spraw publicznych przez Polaków. Wszystkie żądania stawiane są na gruncie ustaw państwowych, wszystkie argumenty uwzględniają wymagania i warunki zasad życia państwowego. Z tego powodu szowiniści nasi źle przyjęli książkę, i rzucili się na jej redaktorów. Z drugiej strony niektórzy liberalni autorowie rosyjscy zwrócili uwagę, że zawarte w «Sprawach bieżących» żądania Polaków są bardzo umiarkowane, może nawet za skromne.

---

<sup>1)</sup> Tylko w takiej kolei można było wydać książkę, aby uzyskać wstęp do Królestwa. Po polsku nosi tytuł: «Potrzeby społeczne Królestwa Polskiego».

Zupełnie innego zdania było zorganizowane od lat paru (rekrutujące się głównie z wyższej miejscowej biurokracyi) koło szowinistów rosyjskich w Warszawie. Uznało ono w «*Oczerednych woprosuch*» zamach na interesy Rosyi w Królestwie. Trzech członków tego koła: pp. Priwisliniec (pseudonim jednego z cenzorów), Dr. Tutkiewicz (wówczas prezes sądu handlowego) i A. N. Drużinin wydali jako odpowiedź na «Sprawy bieżące» grubą broszurę p. t. «*Rossija i jeja zapadnaja okrainu*», w której oskarżają pp. Spasowicza i Piltza o najgorsze względem Rosyi intencye i nawet — mówimy bez przesady — oskarżają ich o zdradę stanu.

Mniejsza o to, co warta moralnie ta trójca osobicie, treść ich polityczną poznać bardzo łatwo: to nacyonalisci najczystszej wody. Myśl ich pełna podejrzeń i jadowitej nienawiści; co krok oskarżenia, co krok insynuacye i denuncyacye. Polaków pragnęliby doprowadzić do roli jakichś paryasów, żydów chcą wygubić doszczętnie. Zadowoleni są zupełnie z siebie, naród swój mają za ideał cnoty i dobroci i tem uzasadniają chęć duszenia i tępienia innych. Słowem typowi nacyonalisci rosyjscy, przypominający nienajgorzej naszych publicystów ze *Słowa polskiego* i z *Przeglądu wszechpolskiego*.

Pp. Piltz i Spasowicz są, według rosyjskich oskarżycieli, intrygantami, którzy pragną podstępnie zburzyć jedność państwową (str. 165 i nast.). Chcą przywrócić niewolę chłopów na rzecz panów (str. 21). Na str. 174 p. Priwisliniec przyznaje, iż dobrze nie wie, czy p. Spasowicz pragnie utworzenia państwa polskiego do Dniepru, Dźwiny i Karpat «według wzorów zachodnio-burżuazyjnych», czy też wzmocnienia pierwiastku polskiego do takiego stopnia, aby zyskał przewagę nad rosyjskim, a wtedy «będzie Polska do Tobolska i dalej». Na teźże stronnicy p. Priwisliniec upewnia, że jakkolwiek podstępni i przebiegli są pp. Spasowicz i Piltz, to on odgadł jednak «zdrowym rozsądkiem rosyjskim», że «jak w wiekach ubiegłych, tak i teraz, politycy polscy dążą do pozbawienia narodu rosyj-



skiego jego duchowej, obywatelskiej i ekonomicznej niezależności».

Pp. Spasowicz i Piltz raz pomawiani są o zamachy na Rosyę w interesie latynizmu, papizmu, drugi raz o dążenie do zapewnienia panowania żydów w Królestwie Polskiem (str. 17 i 18). Nie brak też oskarżeń o szowinizm (str. 166, 167) o «nieprzejednanie» (str. 157), o chęć wciągnięcia ludu w sferę politycznych antypaństwowych idei i namiętności (str. 157). Prócz tych wielkich oskarżeń są i mniejsze denuncyacye. Na str. 2 więc, na samym początku broszury, autorowie rzucają, niby od niechcenia, wiadomość o udziale Spasowicza w kolach rewolucyjnych 1863 roku. Na str. 163 zwrócono uwagę, że autorowie polscy nie mieli władzy rosyjskiej do powiedzenia nic nad ogólne potępienie. Wielokrotnie rzucono w broszurze rosyjskiej wyrazy oburzenia na podstępne pisanie, «nieuczciwe i niegodziwe», na «durzenie» Rosyan, na «małoduszność», na «ukryte cele» (str. 114). Przytem autorowie przeplatają umiejętnie denuncyacye, szykanę, szyderstwo — lajaniną.

Dla odmiany na str. 163 i 164 p. Priwisliniec sili się na wykazanie, iż redaktorowie książki «spotwarzają» społeczeństwo polskie — a to przez twierdzenie, iż istniejąca szkoła drażni chłopów, zaś brak instytucyj nieodzownych budzi niezadowolenie. P. Priwisliniec staje «w obronie» polskiego społeczeństwa, odpiera potwarz i upewnia, że ogół polski godzi się doskonale z istniejącym stanem, a tylko podburzają go politycy w rodzaju Spasowicza i Piltza.

Ażebym pogrążyć jak najgłębiej pp. Spasowicza i Piltza nacyonalisci rosyjscy powołali na świadectwo jakąś ekonomiczną elukubrację głośnej rewolucyonistki Róży Luksemburg (str. 112), głośnej ze swych antypolskich występów na socyalistycznych kongresach.

Niezmiernie charakterystycznym jest przyjęcie, jakiego doznały książki Scriptora. Zdawałoby się, że skoro dążą

do wytrzeźwienia społeczeństwa, do zwycięstwa umiarkowania nad burzycielstwem, powinnyby co najmniej przyjętymi być spokojnie. Przeciwnie. Nacyonalizm rosyjski uznał «Naszą młodzież» i «Nasze stronnictwa skrajne» za podkopywanie się pod państwo, za dowód najwyższej przebiegłości i obludy. P. Aleksiejew wykazuje w *Now. Wr.* że Scriptor charakteryzuje Ligę Narodową «nie jako zgromadzenie awanturników, nie przebierających w środkach, czem jest w rzeczywistości — lecz jako instytucję dążącą do dobra Polaków, pomimo swych błędów». Wedle P. Aleksiejewa Scriptor oskarża wszechpolaków tylko o «uzurpację władzy» i o to, że Liga Nar. pragnie natychmiastowego powstania. Warszawski korespondent *Now. Wr.* daje delikatnie do zrozumienia, że «w Polsce rosyjskiej istnieje niewątpliwie inny rząd, dążący do tych samych celów, które ma na oku i pierwszy rząd, lecz stopniowo, nie uciekając się teraz do powstania». Na tem polega różnica między «rządami». Innej różnicy p. Aleksiejew między stronnictwami polskimi nie widzi.



Wszystkie wystąpienia nacyonalistów rosyjskich składają się z podobnych oczywistych nedorzeczości, z podobnych zarzutów. Stawiać je może albo głupstwo, albo świadoma sobie zła wiara. I w jednym i drugim wypadku zjawisko wytłumaczy nam jedynie: istnienie i działanie wielkiej, zaślepionej, zawziętej nienawiści. Widzieliśmy ją w *Moskowskich Wiedomościach*, widzieliśmy u przedstawicieli władz warszawskich, dokładniej poznaliśmy w broszurze trzech nacyonalistów rosyjskich.

Stajemy wobec pytania, gdzie źródło takiej zajadłości? Jaka przyczyna sprawia, że stosunek opinii rosyjskiej do stronnictw polskich inny jest, niż przypuszcza logika nasza?

Przyczyn jest naturalnie dużo. Wskażemy tylko na główniejsze, na ogólniejsze.

Poglądy rosyjskie w tej kwestyi biorą przeważnie swój początek z wrażeń i wspomnień 1863 roku. Tu też należy szukać przyczyn zjawiska. Wypadki ówczesne wytworzyły w Rosyi wielką niechęć i niewiarę do pierwiastku bardziej umiarkowanego w Polsce, do ówczesnych «białych». Wiedzano czego się spodziewać można od czerwonych, od rewolucjonistów, ale liczone na to, iż biali staną przy Wielopolskim, zdobędą się na odwagę i siłę oporu przeciwko zawierusze. Stało się przeciwnie, biali naprzód biernością, a potem poparciem umożliwili i wzmocnili wybuch.

Rosyianie ani wiedzą, ani badają, jaka różnica istnieje między dzisiejszymi «ugodowcami» a ówczesnymi białymi, utożsamiają jednych z drugimi — sparzywszy się na gorącym, dmuchają na zimne.

Ale na tem nie koniec. Ten ciemny kąt opinii rosyjskiej, której wyobrazicielem był Katkow, uważał stan wyjątkowy, stan ucisku i rusyfikacyi za pożądany. Gniewał się na wszystkich i wszystko, co tylko mogło stan ten zmienić lub osłabić panujące dogmaty polityki rosyjskiej w Polsce. Rzecz prosta, że dla takich poglądów i dążeń «ugodowcy» im szersi, tem nienawistniejsi, bo oni istnieniem swoim, jeśli nie przeczą, to przynajmniej podają w wątpliwość potrzebę stosowania bez końca surowych środków wyjątkowych. *Moskowskija Wiedomosti* myśl tę wypowiedziały otwarcie w r. 1897 po przyjeździe cesarza do Warszawy.

Wykazywały one wówczas, że «ugodowcy» umieją żądać nie wiele naraz i argumentują tak, że im odmówić trudno. To naraża istniejący stan rzeczy na niebezpieczeństwo, grozi osłabieniem rusyfikacyi. Nienawiść szowinistów rosyjskich budzi to przede wszystkim, że «ugodowcy» potrzeby narodu polskiego uzasadniają względami na dobro samego państwa i mają słuszność po swojej stronie.

«Ugodowcy», uznając «państwowość rosyjską», nie są — rzecz prosta — niebezpieczni dla Rosyi, nie leży to w ich zamiarach, nie wynika ani bezpośrednio, ani pośred-



dnio z ich programu i pracy, ale właśnie to stanowisko ich, ich racya polityczna, mocno nadweręża system samowoli usiłujących rusyfikować Polskę nacyonalistów rosyjskich. Rusyfikatorzy więc słusznie za najgorszych swych wrogów mają ugodowców.

Potężna państwowo i militarnie Rosya, jednakowo nie lęka się «ugodowców», jak «wszechpolaków», ale urzędnikom rosyjskim bardziej są niedogodni «ugodowcy», bardziej ich niepokoją. Maszyna biurokratyczna lubi bezwładność, niechętnie zgadza się na wszelkie zmiany, szczególniej głębsze, zasadnicze. To też można przewidzieć, że nawet spokojni i uczciwi Rosyanie w Królestwie nieufnie i niechętnie będą patrzeć na wszelki polityczny ruch polski, mający widoki powodzenia, t. j. zmiany stosunku Polaków do państwa, a następnie może zmiany systemu; boją się ruchu takiego przez podejrzliwość, obudzoną w r. 1863, oraz przez wrodzoną i zawodową obawę nowych odmiennych sytuacji.

Czegóż więc spodziewać się można od nacyonalistów, od ludzi, którzy sami dobrowolnie przyznają się do egoizmu, głoszą go, jako zasadę życia, i zioną nienawiścią do wszystkiego, co obce, co inne? Oni pragną utrzymać Polaków w roli niewolników. Wszelkie rozumne usiłowania Polaków do dzwignięcia z upadku, do zdobycia w państwie praw, będą zwalczać wszelką bronią, nie wyłączając potwarzy, nie gardząc denuncyacją. Widzieliśmy to w postępowaniu organu *Katkowa Moskowskija Wiedomosti*, mamy bardzo charakterystyczną, bardzo wymowną próbkę w broszurze pp. Priwislinca i Spółki.

Nie obejdzie się bez tego, aby w niechęci do Polaków, postępujących rozsądnie i celowo, jakiejs roli nie grały względy czysto osobistej natury, względy na karierę. Polacy równouprawnieni staną do konkurencyi w posadach. Urzędnik Rosyanin w razie powodzenia usiłowań ugodowych może utracić przywileje.

Nie chcemy wcale twierdzić, że wśród Rosyan i wśród Rosyan-urzędników w Królestwie nie ma wcale prawdziwych patriotów t. j. ludzi, którzy dobro państwa, dobro

Rosyi przekładają nad wszelkie inne względy. Owszem spotykaliśmy takich, ale stanowią oni mniejszość, a, co więcej, w czasach tryumfu nacyonalizmu nie mają decydującego wpływu.

A przecież nie może ulegać wątpliwości, że jeżeli dobry stosunek z państwem jest dla Polaków, dla ich narodowego rozwoju i pomyślności, warunkiem koniecznym, to z drugiej strony i dla państwa rosyjskiego pozyskanie obywatelskiego współpracownictwa kilkunastu milionów ludności zwartej, kulturalnej, na pograniczu z Zachodem, nie może nie być rzeczą ze wszechmiar pożądaną.

L.

## WSKAZANIA POLITYCZNE

na dobę dzisiejszą.

Wybuch wojny rosyjsko-japońskiej wywołał wszędzie, gdzie po polsku mówią, myślą i czują, wielkie wrażenie. I jakże może być inaczej? Wojna ta wymaga od nas znacznej ofiary krwi i mienia, może się odbić na stosunkach państwa, któremu podlega największa i najżywniejsza część narodu polskiego, może zaważyć na szalach naszego losu. Te względy wystarczają, aby zrozumieć dlaczego się nią zajmują u nas ludzie gorącego serca i chłodnego rozumu, starzy i młodzi, wykształceni i prostacy. Wszyscy rozumieją, że zaszedł wielki wypadek i że może mieć nieobliczone następstwa.

W kołach ludzi politycznie wykształconych i zajmujących się sprawami publicznymi, zastanawiano się nad położeniem, które wytworzyła wojna i nad perspektywami, które otwiera. Rozstrząsano też pytanie, jakim powinno być zachowanie się wobec państwa i narodu rosyjskiego Polaków, poddanych Rosyi, i wogóle całego społeczeństwa polskiego.

Zebrań, na których takie kwestye omawiano, odbyło się niewątpliwie dużo. Na jednym z nich, które miało miejsce w końcu marca, i które zgromadziło kilkunastu wybitnych przedstawicieli różnych kierunków i z różnych stron, przyszło do porozumienia się w najważniejszych kwestyach



i do sformułowania wskazań na chwilę bieżącą. Najważniejsze z tych wskazań powtarzamy w głębokiem przekonaniu, że odpowiadają one kierunkowi myślenia znacznej większości inteligencji polskiej we wszystkich trzech dzielnicach:

1. Społeczeństwo polskie wie, że w dzisiejszej praktycznej polityce niema mowy o przesunięciu granic państwa rosyjskiego w Europie, zwłaszcza wobec wojny z Japonią, że nietylko Rosya, ale wszystkie trzy mocarstwa rozbiorowe czuwają nad **utrzymaniem obecnego stanu terytoryalnego w Polsce**, i że polityk praktyczny może się spodziewać **polepszenia losu narodu naszego tylko od takiej zmiany systematu rządowego w Rosyi**, która zająć może jedynie za wolą i **współdziałaniem społeczeństwa rosyjskiego**, i któraby zapewniła swobodny rozwój naszej narodowości i naszej cywilizacji, tudzież postęp społeczny, naukowy i gospodarczy. Z tego powodu możemy żywić ufność, że rozum, tyloma krwawemi i bolesnemi doświadczeniami nabyty, sprawi, iż się Polacy **wszelkim prowokacyom oprą**, bez względu na to, z której strony pochodzić będą, **świadomi tego, że każda prowokacya, służąc własnym interesom, gotowa nas, bez wyrzutu sumienia, na najsroźsze narazić kłęski**. Polacy winni się niemniej stanowczo oprzeć prowokacyom innego rodzaju: powinni się strzedz takich nierozważnych kroków, któreby mogły posłużyć za argument dla utrzymania lub wzmocnienia ucisku. Jeśli zaś socjaliści albo nierozważna młodzież, albo wreszcie inne żywioły, uczynią jakąś **manifestacyę**, którą mogą niechętni nam wyzyskać przeciw nam, albo podrażnić uczucia narodu rosyjskiego, którego patriotyzm został obecną wojną rozbudzony, powinno całe społeczeństwo stanowczo a spokojnie **krok taki potępić**.

2. Społeczeństwo, względem którego stosowany jest od lat 40 system represyi, pozbawione wszelkiej reprezentacji, nieposiadające organów samorządnych, jakie w innych częściach państwa rosyjskiego istnieją, społeczeństwo żyjące pod prawami wyjątkowemi, naród cywilnego a nawet religijnego równouprawnienia pozbawiony, a jawnie uważany przez rząd rosyjski za wewnętrzznego nieprzyjaciela, nie może z powodu obecnej wojny **manife-**

stować tych uczuć, które naturalny swój wyraz w innych częściach państwa znajdują, a uczciwi i światli Rosyanie winni nasze zrozumieć milczenie. Przedział jednak pomiędzy naszym a rosyjskiem społeczeństwem może się rozszerzyć, a ucisk nasz może się utrwalić a nawet wzmódz, jeśli, niepomni tego, że drogi Opatrzności są niezbadane, i że klęska rosyjska, o ileby do niej przyszło, może łatwo biurokratyczny ucisk spotęgować, albo sprowadzić zwycięstwo prądów rewolucyjnych rosyjskich, gotowych kraj nasz we krwi zatopić, a siekierę do podstaw naszego życia narodowego przyłożyć, będziemy manifestować jakieś japońskie sympaty, jeśli cieszyć się będziemy z niepowodzeń oręża rosyjskiego.

3. Pamiętać powinniśmy, że Polacy w wielkiej liczbie walczą i giną na pobojowiskach Azji wschodniej. Że, prócz tego, nie bardziej nad niedolę rannych i chorych żołnierzy, bez względu na ich narodowość, nie zasługuje na miłosierdzie chrześcijan i na pomoc ludzi cywilizowanych. Społeczeństwo polskie winno przeto, bez żadnej ukrytej myśli politycznej, a z obowiązku ludzkości i wierności dla swoich tradycyj dziejowych a z wszelką spieszyc pomocą dla rannym i chorym na dalekim Wschodzie.

4. O czysto-politycznych natomiast manifestacyach z powodu obecnej wojny ze strony społeczeństwa polskiego z przyczyn powyżej wymienionych mowy być nie może. Usiłowanie pociągnięcia społeczeństwa w tym kierunku mogłoby się udać tylko wtedy, gdyby obudzono w tem społeczeństwie nadzieję, że wielkie zmiany na lepsze dla naszego narodu zajdą w państwie rosyjskiem. Nic do takiej nas nie uprawnia nadziei. Budzić jej nie należy, ponieważ naród, oczekiwaniem rozgorączkowany, tem srożej uczuje zawód i gotów popaść w usposobienie rozpaczliwe, które najgorszym jest w życiu politycznem doradcą. Dopiero wyraźne kroki rządu rosyjskiego w celu polepszenia doli naszego narodu mogłoby zmienić uczucia społeczeństwa i wywołać usposobienie, jakie dało początek manifestacyom za pierwszych lat Mikołaja II, ale i wtedy byłoby obowiązkiem ludzi światłych przestrzedz społeczeństwo przed zbyt wybujałemi nadziejami.

5. Stroniąc od wszelkiej polityki, na niepewnych przypuszcze-

niach opartej, a tem samem na bolesne zawody i groźne niebezpieczeństwa narażającej, powinni się Polacy starać o zabezpieczenie przyszłości narodowej za pomocą skrzętnej a **powszedniej pracy**. Cel ten da się osiągnąć stopniowo zapewnieniem zupełnego cywilnego, politycznego i religijnego **równouprawnienia** Polaków i katolików z Rosyanami i prawosławnymi, we wszystkich częściach państwa rosyjskiego, za pomocą rozszerzenia na prowincye polskie tych autonomicznych instytucyi, które w innych częściach państwa istnieją, zniesienia wszystkich przeciw nam skierowanych ustaw wyjątkowych i uwzględnienia praw języka polskiego w szkole, sądzie i urzędzie, nie uwłaczając stanowisku języka rosyjskiego, jako państwowego. Aby osiągnąć stopniowe zadośćuczynienie tym potrzebom naszym, powinniśmy pracować niezmordowanie za pomocą **legalnych środków**, które nas jedynie do celu doprowadzić mogą.

6. Jak najmniej politykując, powinniśmy pracować usilnie nad **wzmocnieniem uczuć i świadomości narodowej**, czuwając także nad tem, aby się Polacy, rozsiani po ogromnych przestrzeniach państwa rosyjskiego, nie wynaradawiali. Powinniśmy i w kraju i wszędzie, gdzie nas los postawił, za pomocą towarzyskiego i rodzinnego życia, za pomocą piśmienniczej działalności, strzedz od zagłady święte narodu tradycye, pracować nad rozszerzeniem i pogłębieniem oświaty, nad wytępieniem dawnych wad, a wzmocnieniem cnót narodowych. Powinniśmy w miarę możności spełniać wszystkie zadania naukowe i społeczne, starać się o ekonomiczne narodu podźwignienie. Przy nieuniknionym podziale na różne stronnictwa, winniśmy zaniechać szkaradnych potwarzy, któremi wielu zwykło u nas ludzi odmiennych przekonań od czci i wiary i od patryotyzmu odsądzać.

7. Ze **szczególniejszą usilnością** powinniśmy się starać o **moralne i materyalne podźwignięcie ludu polskiego**, wystawionego obecnie na tak różnorodne pokusy, ludu, którego zdrowie i świadomość narodowa są zadatkami lepszej dla nas przyszłości. Nadto, Polacy zamieszkali pośród litewskiego i ruskiego ludu, a dalecy od wszelkich zamiarów narzucania polonizacyi, winni, strzegąc zazdrośnie swojej narodowości, dbać o jego zdrowie moralne, o jego dobrobyt i jego oświatę, dopomagać mu radą



i uczynkiem, popierać zdrowy rozwój jego narodowości, przestrzegać go przed hasłami mającemi go na moralną albo polityczną klęskę narazić!

8. Winni się oświeceni Polacy starać o przyjazne stosunki ze społeczeństwem rosyjskiem, od którego usposobienia losy nasze w wielkiej mierze zawisły, należy, przez obcowanie z niem żywym słowem i piórem, rozpraszać przesady i uprzedzenia przeciwnam istniejące. Należy w tym celu brać udział w zjazdach, zwoływanych w celach naukowych albo dla obrad nad sprawami potrzeb społecznych, ekonomicznych i administracyjnych państwa rosyjskiego. Śmieszne i upokarzające dla nas jest przypuszczenie, jakobyśmy takim udziałem naszą narodową, albo cywilizacyjną odrębność narazić mieli na niebezpieczeństwa, a niezawodną jest szkoda wynikła z tego, gdy się bez potrzeby od innych Słowian wyłączamy i tym sposobem odosobniamy. Nie wolno marnować sposobności, przy której możemy o swojej wartości społeczeństwo rosyjskie przekonać, niejednych naszych interesów skutecznie bronić, dobrą czasem radą w sprawach, nas nawet bezpośrednio nie dotyczących, pozyskać sympatyę społeczeństwa, zajmującego coraz bardziej wpływowe w państwie rosyjskiem stanowisko. Jeżeli otrzymamy samorządne instytucje w ziemiach polskich — a może udział w podobnych instytucjach, mających się naradzać nad sprawami obchodzącemi całe państwo, będziemy mogli z tym większym dla swego społeczeństwa pracować pożytkiem, tem bezpieczniej swoją narodową rozwijać cywilizację, a także radą i doświadczeniem dopomagać do wytworzenia w całym państwie rosyjskiem stosunków opartych na sprawiedliwości, a zapewniających pomyślność wszystkich narodów, to państwo zamieszkujących. Uczynimy to tem pewniej, że wzorujący się na obcych przykładach jednostronny a bezwzględny nacyonalizm, upatrujący korzyści dla własnego narodu w krzywdzie i szkodzie ościennych lub innoplemiennych, stoi w jaskrawem przeciwieństwie z polską tradycją dziejową i z myślą narodową, wyrobioną przez myślicieli, a tak wspaniale wyrażoną przez poetów minionego stulecia.

9. Dopóki w Rosyi trwa wrogi nam system rządowy dzisiejszy, muszą Polacy potajemnie spełniać pewne zadania, któ-

rych dokonanie bywa, przy sprawiedliwym ustroju państwowym, jawnym a powszechnym obowiązkiem obywatelskim. Mianowicie: praca nad oświatą ludu, uprawianie znajomości języka i dziejów ojczystych, muszą się u nas odbywać potajemnie tak długo, jak długo zwycięstwo rozumu i sprawiedliwości nie umożliwi pracy jawnej, od której to chwili będzie obowiązkiem tajnych zaniechać robót.

10. Należy jednak przestrzegać pilnie, aby się ta praca nie zamieniła w agitację rewolucyjną, albo socjalistyczną. Wypada ubolewać nad treścią niektórych pism szerzonych pomiędzy ludem, a także *Polaka*, o ile objawia się w nim dążenie do zaszczepiania nienawiści i — złudzenie, jakoby duch, czynnie rewolucyjny, rozbudzony pośród ludu, mógł przynieść pożytek sprawie narodowej. Silne przywiązanie ludu do swej narodowości i swej religii, będzie najsilniejszą podstawą naszego narodowego życia, najskuteczniejszą ochroną przeciw wszelkim eksterminacyjnym zakusom, doświadczenie zaś dziejowe poucza, jak łatwo ruch rewolucyjny ludowy da się skrzywić i zamienić w wybuch społecznych i bratobójczych nienawiści.

11. Wydawanie wreszcie bezimiennych pieczęciami zaopatrzonych odezw, dających pozory istnienia tajnej władzy narodowej, jest rzeczą najszkodliwszą, najniebezpieczniejszą i ze stanowiska patriotyzmu niedozwoloną. Chociaż taka odezwa zaleca spokój, jest już rzeczą złą dlatego, że rozkazy niby wydaje, i że się znajdują tacy, którzy tych bezimiennych rozkazów słuchają. Tej samej pieczęci i tej samej taktyki może później użyć nietylko szaleniec, ale nawet wróg chcący zgubić naród. Dlatego powinien każdy Polak oświecony i patriotyczny rodaków jak najusilniej przestrzegać przed odezwami i organizacjami, usiłującami przybrać pozory rządu narodowego.

## RUCH SOCYALISTYCZNY.

### Przemiany i doświadczenia ostatniej doby.

(Rywalizacja grup socjalistycznych w Królestwie. — PPS. — Jej stosunek do żydów. — Program »Proletaryatu«. — »Socjaldemokracja Królestwa Polskiego i Litwy«. — Ruch socjalistyczny w Poznańskim i na Śląsku. — Strejki rolne w Galicyi. — »Międzynarodowa solidarność proletaryatu na ziemiach polskich«. — Chłodne stosunki socjalistów polskich z rosyjskimi i zatargi z partją niemiecką).

Krótkim stosunkowo był okres, w którym «Polska Partya Socjalistyczna», utworzona na zjeździe w Paryżu w r. 1893, mogła z pewną słusnością uważać się za przedstawicielkę proletaryatu polskiego. W dwóch dzielnicach, w Królestwie i w Wielkopolsce, coraz bardziej ostatnimi czasy podnoszą głowę grupy socjalistyczne, usposobione wrogo dla kierunku, robót i hegemonii PPS. W Królestwie Polskiem, oprócz samowładnej prawie do niedawna Polskiej Partii Socjalistycznej, czynne są w tej chwili w większym, lub mniejszym stopniu: «Polska Partya Socjalistyczna Proletaryat» i «Partya Socjaldemokratyczna Królestwa Polskiego i Litwy». Pomiedzy te trzy stronnictwa rozdziela się wpływ na masy robotnicze, wpływ oczywiście nierówny, zmniejszający się stopniowo w takim porządku, w jakim wymieniliśmy trzy partye. «Socjaldemokracja» i «Proletaryat» rozwijają działalność głównie — można powiedzieć: prawie wyłącznie — wydawniczą. «Socjaldemokracja» podjęła z końcem r. 1902 wydawnictwo *Czerwonego Sztandaru* i *Przeglądu Socjaldemokratycznego*, drukowanych za kordonem, a poświęconych w lwiej części części udaremnianiu wpływów PPS. «Proletaryat» — stojący trochę silniej — jest grupą, pracującą również za pomocą «bibuły». Prócz organu partyi, noszącego to samo,



co i ona, miano, w szeregu wydawnictw «Proletaryatu» pojawiło się kilkanaście broszur politycznych, przeznaczonych dla wykształconych czytelników i obszerna (488 str.) historia ruchu socjalistycznego w zaborze rosyjskim (Kraków, 1904). Ale właściwą robotę agitacyjną i organizacyjną prowadzi głównie PPS.

Ona jedna zdołała dotąd wytworzyć i utrzymać przy życiu prasę nielegalną, wydawaną na miejscu, w Królestwie, pod okiem władz państwowych. Warszawski *Robotnik* doczekał się dziesięcioletniego jubileuszu. Nawet wykrycie drukarni, za którą długie czyniono poszukiwania i uwięzienie redaktora J. Pilsudzkiego (który niebawem zbiegł za granicę), nie zabiło wydawnictwa. Wkrótce po tych wypadkach ukazał się «jubileuszowy» 50-ty numer *Robotnika*, a zagraniczna prasa partyjna podniosła z dumą i z uznaniem dla socjalistów warszawskich, że zdołali zapewnić swemu organowi tak długi byt, gdy *Proletaryatu* z lat osiemdziesiątych wyszło tylko 5 numerów, a rosyjska *Narodnaja Wola*, organ potężnej organizacji rewolucyjnej, skonął po 10 numerach. Liczba krótkotrwałych pisemek, odbijanych na litografii, pomnożyła się znowu o jedno, noszące tytuł *Z pola walki* i nazywające się «organem młodzieży socjalistycznej w zaborze rosyjskim» (lipiec, 1903). W czerwcu 1903 odbył się zjazd partyjny PPS, z którego ważniejsze momenty ogłosił *Robotnik*. Zjazd zajmował się sprawą stosunku stronnictwa do żydowsko-socjalistycznego «Bundu», z którym PPS od dawna znajduje się na stopie wojennej. Uchwała zjazdowa stara się przekonać żydów, że «ich interesem i obowiązkiem jest czynnie dopomagać Polakom do zniesienia niewoli», obok tego jednak, jakby niedowierzając, aby ta perswazyja trafiła do przekonania «Bundu», który zasadniczo nieprzyjaźnie zachowuje się wobec polskiego postulatu niepodległości, zapowiada uchwała zjazdowa utworzenie osobnego komitetu agitacyjnego, któryby pod kontrolą partyi działał wśród żydów i zwalczał oczywiście wpływy «Bundu». Na Litwie udało się — jak zapewnia *Robotnik* — zdobyć już dla PPS jaki taki grunt pod nogami. Zjazd uchwalił wydawać dla Litwy osobne pismo *Walka*, a nawet podniesiono myśl wyodrębnienia w autonomiczną całość organizacji litewskiej (obejmującej Polaków).

Nie wielkie natomiast sukcesy osiągnąć musiano na wsi; zjazd ograniczył się do stereotypowego wezwania do

rozpowszechniania wśród ludu, wydawanej w Londynie, *Gazety ludowej* i do powzięcia uchwały:

«Zjazd uchwała, że w agitacji wśród włościan tak samo, jak wśród robotników wiejskich, trzymać się należy naszego programu — walki klasowej z uciskiem politycznym i ekonomicznym, dążenia do zdobycia, jako celu ostatecznego, społecznej własności ziemi i narzędzi pracy w republice ludowej».

Główny rywal PPS, «Polska Partya Socjalistyczna Proletaryat», powstała w r. 1900 (w osiem lat po upadku pierwszego «Proletaryatu», którego jest ideowym spadkobiercą z całym dobrodziejstwem inwentarza, a więc i z jego postulatem terroru), ale dopiero w ostatnim czasie rozwinęła żywszą działalność. Główna rzecz, jaka dzieli PPS od «Proletaryatu», to ich odmienny stosunek do socjalistów rosyjskich i do Rosyi, oraz stanowisko wobec sprawy niepodległości Polski. PPS ma w swoim programie od r. 1893 niepodległość i uważa oderwanie się od Rosyi za niezbędny warunek udania się właściwych, społeczno-ekonomicznych celów socjalizmu w Polsce. «Proletaryat» nie miałby w gruncie rzeczy nic przeciw niepodległości, ale nie widzi możliwości zdobycia jej wobec olbrzymiej przewagi państw rozbiorowych; powstanie, o którym marzy PPS, uważa «Proletaryat» za utopię; niepodległość powinna spaść z wokandy, jako sprawa nieaktualna, nie do urzeczywistnienia. Nie mogąc jednak zrealizować *maximum* polityczno-narodowych pragnień, trzeba i należy postawić sobie skromniejszy, a za to wykonalny program i dążyć do jego zrealizowania. Takim skromniejszym programem jest: konstytucya ogólnorosyjska i autonomia dla ziem polskich. «Proletaryat» staje więc — w przeciwieństwie do PPS — wyraźnie na gruncie państwowości rosyjskiej, a takie postawienie sprawy normuje już z góry jego stosunek do rosyjskiego ruchu rewolucyjnego, którego chce być więcej, niż sprzymierzeńcem — bo współtowarzyszem.

Stosunek Królestwa Polskiego do Rosyi, po uzyskaniu konstytucyi, tak sobie «Proletaryat» przedstawia (Program, r. 1902):

«Na terytoryum Polski istniałoby prócz ogólnopństwowego, także specjalnie miejscowe prawodawstwo, zastosowane do warunków miejscowych. Organem prawodawczym byłby sejm, oparty na podstawach powszechnego prawa głosowania, w połączeniu z systemem przedstawicielstwa ustosunkowanego. Władza wykonawcza jest wybieralną i odpowiedzialną przed sejmem».

Tylko wtedy, tylko w konstytucyjnej Rosyi, będzie

można «uświadomić, zorganizować i zaopatrzyć w broń ogromną większość mas robotniczych w miastach i wsiach, czego przy absolutnej formie rządu dokonać nie można». Tylko wtedy stanie się możebną masowa rewolucya. A więc główna rzecz: walka o reformy polityczne w Rosyi, walka o konstytucyę. W myśl tej zasady «Proletaryat» nie przywiązuje wielkiej wagi do organizowania robotników dla osiągnięcia zdobyczy ekonomiczno społecznych. Strejkom odmawia tego znaczenia, jakie do nich przywiązuje PPS., przyznaje im co najwyżej wartość pedagogiczną, co zaś do masowych wystąpień, to, jak mówi program, «nikogo nie może zachęcić widok batożonych przez kozaków i uciekających tłumów». Za najskuteczniejszą broń w walce z rządem uważa «Proletaryat» na dziś terror «zaczepny» i «odporny», który zwraca się najczęściej przeciw niższym przedstawicielom władzy i osobom, podejrzanym o szpiegostwo.

Na stanowisku odmiennem od «Proletaryatu» i PPS stoi «Socyaldemokracja Królestwa Polskiego i Litwy». Trzymając się ściśle gruntu socyalistycznego, ograniczyć chce całą działalność do organizacyi zawodowych, strejków i demonstracyi. Potępia terror. Zaznaczając zaś trudność zdobycia niepodległości Polski, sądzi zgodnie z prawowiernym socyalistycznym poglądem na świat, że kwestya narodowego ucisku może być rozwiązana dopiero przez ostateczny tryumf socyalizmu. Te idee rozwija miesięcznik *Przegląd socyaldemokratyczny*, wydawany w Zurichu i popularny organ *Czerwony Sztandar*.

\* \* \*

W Królestwie grupy socyalistyczne ścierają się z sobą prawie wyłącznie — na szpaltach swoich zakordonowych i zagranicznych organów. Inaczej ma się rzecz na Śląsku i w Poznańskim. Tam także nastąpił ostry rozłam. Po jednej stronie, podobnie jak z tamtej strony kordonu, stoi PPS z programem niepodległości i zabarwieniem patryotycznym, po drugiej — grupa Róży Luxemburg i Kasprzaka, która stawianie sobie celów patryotycznych uważa za zboczenie od zasadniczej myśli socyalistycznej. Tu jednak między obu partjami wre walka już nie papierowa, ale rzeczywista: na zgromadzeniach ludowych, na kongresach, przy urnie wyborczej. Obie strony częstują się przezwiskami: socyalpatryotów (PPS) i socyalhakatystów (grupa



Luxemburg-Kasprzak). Ci na Śląsku Górnym, tamci w Poznaniu mają przewagę. Góruje wpływem i liczbą PPS, ale i ten wpływ i liczba są tak minimalne, że wogóle zaledwie coś znaczą.

Przy wyborach do parlamentu w lecie 1903 r. socjaliści polscy odegrali tylko w jednym okręgu rolę jęczyczka u wagi, przechylając szalę na stronę narodowo demokratycznego kandydata, p. Korfantego. Sami nie zdobyli ani jednego mandatu. *Przedświt* krakowski czyni z tego powodu smutny bilans ruchu w zaborze pruskim, smutny nie tylko dlatego, że stwierdza bezsilność jego dziś, lecz dlatego przedewszystkiem, że nie rokuje mu lepszych nadziei na przyszłość.

Przejdźmy wraz z nim po kolei pozycje tego rachunku:

«W Prusach Zachodnich — czytamy w *Przedświcie* — wskutek słabości żywiołu polskiego w miastach, prawie zupełnie, albo w znacznej mierze niemczonych, polskie o ruchu socjalistycznym wcale niema, a głosy polskich robotników, padające na kandydatów socjalistycznych (wyłącznie Niemców), nikną wśród głosów niemieckich. To też możemy mówić jedynie o stanowisku socjalistów polskich w Poznańskim i na Górnym Śląsku. Tu bowiem tylko liczyło się z ich działalnością społeczeństwo polskie. W Poznańskim zresztą rola socjalistów sprowadzała się do przyspieszania odbywającej się w społeczeństwie polskim ewolucji za pomocą dyskredytowania dotychczasowych kierowników narodu — ugodowej szlagoneryi. A i to nawet zadanie mogło być spełnione głównie na prowincyi, ponieważ niefortunny wybór kandydata socjalistycznego na Poznań w osobie Niemca Gogowsky'ego, po prostu kompromitował socjalistów. Zresztą o żadnych poważniejszych sukcesach wyborczych w Poznańskim nie podobna było marzyć, mogło chodzić jedynie o pomnożenie głosów socjalistycznych najwyżej o parę tysięcy w całym kraju».

Czy je pomnożono? Tabliczka głosów socjalistycznych, oddanych przy wyborach, dowodzi ślimaczego rozwoju ruchu, jeśli o «rozwoju» wogóle można tu mówić. Dość powiedzieć, że w Poznaniu i okolicy w r. 1893 padło było głosów 1101, obecnie zaś, po latach dziesięciu — 1472. Przyrost wynosi: 370 głosów! W niektórych powiatach Księstwa (szamotulski, leszczyński, czarnkowski, gnieźnieński) trochę głosów socjalistycznych przybyło, ale naogół przybytek to mizerny. Nie łudzą się też socjaliści co do swej pozycji w Księstwie.

«Socjalizm przy wyborach — pisze *Przedświt* — bardzo długo jeszcze nie będzie odgrywał w Poznańskim wybitniejszej roli — nie tylko samodzielnej, ale nawet pomocniczej — przy wyborach ściślejszych. Słabe uprzemysłowienie kraju nie sprzyja wytworzeniu się silnych ośrodków socjalistycznych, skądby agitacja promieniowała na wieś. Z drugiej strony stopniowe radykalizowanie się drobnomie-

szczaństwa i inteligencji, wskutek stale wzmagającego się ucisku narodowościowego, wytwarza grunt dla prosperowania przez czas dłuższy wszelkich zwolenników «ostrego tonu», za którymi idą niezadowolone masy — tem bardziej, że ci zwolennicy «ostrego tonu» poczynają w pewnym stopniu przystosowywać i ekonomiczne swe żądania do wymagań tych mas. Jeśli do tego wszystkiego dodamy jeszcze niski stopień uświadomienia socyalistów niemieckich na punkcie obowiązków ich względem obrony interesów narodowych Polaków — niskie uświadomienie, przechodzące w socyalhakatyzm u takich Gogowsky'ch, to zrozumiemy, że socyalizm na blizkie tryumfy wyborcze w Poznańskim liczyć nie może».

Inaczej ma się rzecz na Górnym Śląsku. Tam już w r. 1898 kandydaci socyalistyczni otrzymali około 25.000 głosów, a od tego czasu ruch wzmógł się na siłach, do czego przyczyniło się i przeniesienie na Śląsk (do Katowic redakcyi *Gazety Robotniczej*, głównego organu PPS. Ale i tu nawet sukcesów niezwykłych nie ma, gdzieniegdzie zaś są straty. Warto uwidocznic liczbę głosów socyalistycznych, które padły przy trzech ostatnich wyborach w tej jedynej przemysłowej dzielnicy polskiej pod pruskim panowaniem:

	1893	1898	1903
Kluczborek-Oleśno . . . . .	223	181	310
Opole . . . . .	471	521	1.235
W. Strzelce-Kozle . . . . .	—	81	230
Lubliniec-Gliwice . . . . .	149	2366	980
Bytom-Tarnowskie Góry . . . . .	258	7955	10.260
Katowice-Zabrze . . . . .	646	9829	10.041
Pszczyna-Rybnik . . . . .	66	627	95
Racibórz . . . . .	610	1743	1.748
Głubczyce . . . . .	466	293	?
Prudnik . . . . .	893	1147	1.217
Nysa . . . . .	310	794	?
Niemodlin-Grotków . . . . .	387	220	?

Więc ostatecznie i tu, mimo, że pozycja jest silniejsza, niż w Poznańskim, postępów nie ma.

Dla ruchu socyalistycznego w Galicyi najważniejszym wypadkiem był wielki strejk rolny, który wybuchł wyłącznie wśród ludu wiejskiego i ogarnął, jeśli wierzyć relacyom socyalistycznym, około 100.000 ludzi. Ten ruch, a raczej jego rozmiary i szybkość, z jaką rozlał się po kraju, były czemś zupełnie niespodziewanem. Kto go wywołał? jaki był właściwie jego charakter? czy to był społeczny rozrachunek najemników i pracodawców, czy zamach sfanatyzowanego chłopu ruskiego na polską szlachtę? Pytania te dotąd nie zostały wyjaśnione. «Zasługą» jednak wywołania strejku, na którym lud ruski więcej stracił, niż zyskał, podzielili się: ruscy, zowinistycznie usposobieni





radykali i socjaliści. Ci ostatni od szeregu lat już marzą o zatknięciu czerwonego sztandaru na wsi. Wielki strejk rolny umocnił ich w przekonaniu, że skuteczna agitacja jest tam możliwa, że jeśli nawet nie udałoby się zamienić chłopą w uświadomionego towarzysza, to zawsze grać można z pewnem powodzeniem na strunach jego tradycyjnej niechęci do «panów». Naturalnie nie trafią socjaliści do konserwatywnie usposobionego chłopą posesyonata. Trafiają za to o wiele łatwiej, lub przynajmniej obiecują sobie trafić, do chłopów bezrolnych, najemników, służby dworskiej i najuboższych posiadaczy. Klasa ta liczy około miliona głów. Ostatni «kongres krajowy» w Galicyi zastanawiał się szeroko nad zadaniami socjalizmu na wsi i uchwalili polecić specjalnej komisji wypracowanie osobnego programu «wiejskiego».

\* \* \*

Nadzwyczaj ciekawy proces przechodzi w obecnej chwili idea «międzynarodowej solidarności proletaryatu» pod wpływem zaostrzonych i zaostrzających się ciągle sprzeczności narodowościowych. Może nigdzie proces ten nie występuje w tak typowej postaci, jak na ziemiach polskich.

Pierwsza polska organizacja socjalistyczna w Królestwie «Proletaryat», z lat 1880—1885, zostawała w ścisłym sojuszu z «Narodną Wolą», działającą wówczas w Rosyi. Pomiedzy obu partjami istniała formalna umowa co do wzajemnego wspierania się, przyczem akcyja polityczna, zmierzająca do obalenia rządu absolutnego, miała się odbywać pod kierunkiem «Narodnej Woli». Inna organizacja, «Związek robotników», z lat 1888—1892, uznawała również konieczność solidarnego działania z towarzyszami rosyjskimi.

Podobnie było po drugiej stronie kordonu, w Poznańskiem. Kiedy budził się ruch robotniczy pod wpływem silniejszego i starszego ruchu niemieckiego, nie przychodziło nikomu na myśl działać inaczej, jak w najściślejszym związku z niemieckim socjalizmem. Nawet, kiedy w r. 1893 polscy socjaliści w Poznańskiem utworzyli odrębną, narodową organizację, to i wtedy jeszcze związek ów pozostał nienaruszonym, a widomymi jego znakami były: uznawanie przez Polaków niemieckiego zjazdu partyjnego za najwyższą instancję, pobieranie z kasy partyi niemieckiej zapomóg dla *Gazety Robotniczej* itd. «Proletaryusze wszyst-



kich krajów» «łączyli się» w imię wspólnych celów społecznych. Nie istniała w międzynarodowym obozie socjalistycznym kwestya narodowościowa.

Nie istniała jeszcze wczoraj. Dziś już istnieje i zapowiada się, jako wcale nie przelotny gość w ruchu robotniczym, zagrażając zasadniczymi zmianami w jego łonie.

Spójnia pomiędzy rosyjskim i polskim ruchem socjalistycznym zerwała się. Nawet «Proletaryat», idący najdalej w uznawaniu potrzeby współdziałania z partjami rosyjskimi, nie utrzymuje z nimi właściwie żadnych stosunków i zastanawia się dopiero nad warunkami, pod jakimi socjaliści polscy mogliby współdziałać z rosyjskimi. (*Proletaryat*, 1903, XI, 4). Możliwość tego współdziałania wypływa z zasadniczego stanowiska «Proletaryatu», które polega na dążeniu do zwołania w Rosyi konstytuanty i zażądania niepodległej Polski, lub przynajmniej szerokiej autonomii. Pod względem organizacyjnym «Proletaryat» proponuje federacyę polskich i rosyjskich partji, federacyę, która dawałaby organizacyom polskim zupełną swobodę w zakresie spraw im przynależnych, a tylko w akcyi politycznej ogólnie państwowej wymagałaby poddania się powadze zjazdów socjalistycznych, złożonych z przedstawicieli wszystkich partji wszystkich narodowości, zamieszkujących państwo rosyjskie.

To «Proletaryat».

PPS dzieli od socjalistów rosyjskich już wyraźna niechęć. Po jednej i po drugiej stronie okazują się silne uprzedzenia narodowościowe. Czwarty zjazd partyjny PPS sformułował warunki, na jakich mogłaby być zawarta umowa z partją rosyjską, przyczem na pierwszym miejscu postawiono warunek, aby partya rosyjska uznała dążenie do niepodległości Polski i rozpowszechniała uznanie słuszności tego żądania.

«Ale socjalni demokraci rosyjscy — tak rzecz tę przedstawia *Przedświt* (1903, VII. 315) — jak się później okazało, byli bardzo dalecy od popierania naszych dążeń. Urządzili oni zjazd, na który jednak nasza partya nie otrzymała zaproszenia. Na zjeździe tym rosyjskie organizacye socjalno-demokratyczne zjednoczywszy się w «Socjalno-demokratyczną partję robotniczą Rosyi». O niepodległości Polski w programie tej partji mowy nawet nie było; ani jednym też słowkiem nie zostało wyjaśnione stanowisko tej partji względem naszych dążeń. Całe zachowanie się socjalnych demokratów rosyjskich dowodziło jasno, że są oni przeciwni żądaniu niepodległości. Nie dość na tem. Nie tylko o niepodległości Polski niema mowy w programie socjalnych demokratów rosyjskich, lecz wogóle nie uwzględnia on interesów narodowości, podbitych przez carat; cały ten program stoi

na gruncie czysto rosyjskim; prawa innych narodowości zbywa nie nie mówiącym frazesem».

Nie lepsze są stosunki z socjalną demokracją niemiecką.

Drobna grupa poznańska *Gazety ludowej* (Luxemburg-Kasprzak) żyje wprawdzie w zgodzie z partją niemiecką, za której cząstkę się uważa, ale pożycie PPS z niemieckimi towarzyszami i tymi, którzy zasiadają u steru partji w Berlinie i z tymi zwłaszcza, którzy są czynni w Poznaniu — jest coraz gorsze.

Stosunek PPS do partji niemieckiej był od dawna już, można powiedzieć od samego początku, niejasnym. Socjaliści polscy oddzielili się od partji niemieckiej w r. 1893, podając za powód konieczność zwalczania germanizacyi i potrzebę czynnego zaprzeczenia szkodliwym dla ruchu pogłoskom, jakoby polscy socjaliści wysługiwali się Niemcom. Wówczas powstała Polska Partya Socjalistyczna. Ale jakkolwiek nazywała się ona sama «partją», przecież w rzeczywistości występowała wobec Niemców nie jako grupa, z osobnym, sobie tylko właściwym programem politycznym, lecz jako polska część ogólnej socjalno-demokratycznej partji w Niemczech. Istotnie socjaliści niemieccy widzieli w niej tylko pewnego rodzaju agitacyjną komisję dla spraw polskich, niezbędną ze względów techniczno-językowych. Stosunek unormował się w ten sposób, że PPS posyłała swych delegatów na kongres partji ogólnonemieckiej, stawiała tam swe wnioski, przyjmowała uchwały kongresu itd., równocześnie zaś pobierała od tejszej partji z ogólnego funduszu stałe zasiłki na agitację i wydawnictwa. Niebawem jednak zaczęła wysyłać na kongresy niemieckie nie delegatów, lecz gości, jak to czynią partje socjalistyczne innych państw, a niepodległość Polski «w socjalistycznym tego słowa znaczeniu» z maksymalnego zamieniła się w najbliższy cel polityczny, podobnie, jak u PPS w Królestwie. Teraz dopiero PPS pod zaborem pruskim i soc. dem. partja niemiecka okazały się dwiema różnymi partjami, o zupełnie odmiennych programach politycznych: pierwsza chce demokratyzacyi konstytucyi w przyszłym państwie polskiem, druga — w obecnym państwie niemieckiem. Tak rozwinął się nieunikniony konflikt, który doprowadził do tego, że PPS przeciw kandydatom parlamentarnym partji niemieckiej na Górnym Śląsku postawiła własnych. Był to czas największego rozdrażnienia, kiedy, podług słów samego *Przedświtu* (1903, II. 42) «stosunki mię-



dzy całością ruchu polskiego, a zarządem niemieckiej partji stały się wprost niemożliwymi», a wysunięcie kandydatur niemieckich przeciw kandydatom PPS, stało się «wypowiedzeniem otwartej walki ruchowi polskiemu, zerwaniem stanowczem solidarności międzynarodowej proletaryatu». Obie strony jednak, jak *Przedświt* zapewnia, zrozumiały niehawem, że «tak dalej iść nie może», w ślad za czem zwołano do Berlina konferencyę polsko-niemiecką, która opracowała warunki umowy PPS z partją niemiecką. Umowa ta, którą obie strony przyjęły, a zjazd ogólnopartyjny w Berlinie zatwierdził, poręcza Polskiej Partji Socjalistycznej kierownictwo agitacyą i prawo organizowania proletaryatu polskiego w Niemczech, uznaje *Gazetę Robotniczą* za organ partyjny, ale żąda od PPS ściślejszego zespolenia się z partją niemiecką, uznania kompetencyi jej zjazdów i wprowadzenia do polskiej komisji prasowej męża zaufania partji niemieckiej.

Umowa ta nie wywołała zachwytu w kołach polskich socjalistów. Przeciwnie. Tu i owdzie nie zdołano ukryć zupełnie kwaśnych min na wiadomość o pakcie berlińskim.

«Umowa ta — pisał *Przedświt* (1903, II. 42) — daje dzisiejszej PPS, na obecnym stopniu jej rozwoju, zupełną możność dalszego rozwijania się w dotychczasowym kierunku. Czy w przyszłości, kiedy polski ruch socjalistyczny w zaborze pruskim spotężnieje i ogarnie drzemiące dziś jeszcze masy ludowe na całym obszarze zaboru pruskiego — czy wówczas przyjęta w Berlinie umowa wystarczy, tego obecnie przesądzać niepodobna. Ruch, rozwijający się normalnie zawsze rozsada wszelkie formy, krepujące jego siły naturalne i wyźlbia takie łożysko, jakie jest dlań niezbędne. Czy jednak w zaborze pruskim chwila ta nastąpi wcześniej, czy później, dziś obowiązani jesteśmy lojalnie spełnić warunki umowy, choćbyśmy jej nie jedno mieli do zarzucenia».

Lecz zgoda berlińska okazała się lataną zgodą. Gdy socjaliści niemieccy w Prusach Zachodnich uchwalili poprzeć przy ściślejszych wyborach dwóch polskich kandydatów demokratycznych, uważali za potrzebne zastrzedz się z góry przeciw okropnemu podejrzeniu, jakoby w ten sposób chcieli «popierać jakiegokolwiek reakcyjne polskoonarodowe zamiary i plany». Było to najoczywistsze liczenie się z opinią hakatystów. Przyznał to zresztą bez ogródek *Vorwärts* berliński, mówiąc, iż «końcowy ustęp rezolucyi toruńskiej jest wymierzony przeciw zarzutowi hakatystów, że partya socjalistyczna przez rozstrzyganie na korzyść Polaków popiera ich rzekomo wrogie oświacie i zdradzieckie względem Niemców zamiary». Z goryczą



też musiał *Przedświt* wyrzucić *Vorwärts*'owi, że «liczenie się z opinią hakatystyczną jest czemś, bardzo mało z socjalizmem międzynarodowym licującym». Ale o wiele gorszy fakt stał się w Grudniadzu. Tam socjaliści niemieccy już nie słowami, lecz czynem dowiedli, iż liczą się z hakatystami. Oto, mimo uchwały, aby poprzeć przy ściślejszym wyborze Polaka-demokratę, oddali głosy agraryuszowi i hakatyście Niemcowi, co już *Przedświt* zakwalifikować musiał, jako fakt «najwyraźniejszej zdrady zasad» i dowód «łatwego przystępu do umysłów tych socjalistów hasel szowinizmu hakatystycznego»...

\* \* \*

### Rozczarowania zrobiły swoje.

W duszach socjalistów polskich, którzy tyle lat, z taką brawurą, sławili międzynarodową solidarność proletaryatu, zjawiała się pierwsza żrąca wątpliwość, ażali nie padli ofiarą fatalnej pomyłki, ażali to, co brali za rzeczywistość, nie jest czasem tylko ponętną, lecz nieuchwytną marą? Zwątpienie to wydarło z piersi *Przedświutu* (1903, VII.) pelen gorczyczy okrzyk:

«Nie chcemy oglądać się na współczesny proletaryat innych narodów! Jeśli nasze powstanie nastąpi po wybuchu rewolucyi np. w Niemczech lub Rosyi, tem lepiej dla nas. Chwila rewolucyjna na pewno tak wyszlachetni wszystkich walczących, iż w powodzi ludowej, jak brudne pyłki, utoną wszelkie w rodzaju «Iskrowych» doktrynki, podszyte szowinizmem, a proletaryat polski od razu stanie w bratnich szeregach Międzynarodówki, jako «wolny z wolnym i równy z równym». Ale czyż nadzieje na taki przebieg wypadków dziejowych byłyby dziś najpożywniejszą karmią duchową dla nas? Dziś, gdy w Niemczech mamy do czynienia z prądem socyhalakatystycznym; w Rosyi -- z «Iskra»; gdy w Danii widzimy burmistrza socjalistycznego w pałacu królewskim flirtującego z Wilhelmem II; gdy przedstawiciele Niemiec, Holandyi i Danii w Międzynarodowem Biurze Socjalistycznym odmawiają wyrazów uznania włoskim deputowanym socjalistycznym za zapowiedź kontrdemonstracyi przeciwko wizycie Mikołaja II w Kwirynale; dziś, gdy taki Jaurés ludzi się nadziejami na wspaniałe skutki zainicyowanej przez cara Mikołaja II konferencyi haskiej?»

Bankructwo «solidarności międzynarodowej»?.. Jakże jaskrawo odbija wynurzenie socjalistycznego organu od tych płomiennych, pełnych młodzieńczego entuzjazmu, wynurzeń z czasów «naporu i burzy», gdy całą duszą wierzone, że międzynarodowy proletaryat zbawi Polskę!..

On.

## SPRAWY SPOŁECZNE.

### Polityka i Tow. Kred. Ziemskie.

Na początku ubiegłego roku generał-gubernator warszawski przedstawił w Petersburgu wniosek, aby w każdej z dziesięciu Dyrekcyj szczegółowych (gubernialnych) Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego w Królestwie Polskiem mianowany został komisarz rządowy, któryby w czynności ich bezpośrednio wglądał, prawności i prawidłowości funkcyonowania doglądał. Przy rozpatrywaniu tego projektu ministerstwo skarbu przyszło do wniosku, że jeżeli istotnie Dyrekcyje szczegółowe dają rządowi powód do niezadowolenia, to, zamiast krępować w działalności, lepiej je całkowicie znieść i zaoszczędzić przynajmniej stowarzyszonym koszta ich utrzymania. Generał-gubernator zgodził się z tym poglądem i Komitet Towarzystwa otrzymał polecenie wypracowania projektu reorganizacji.

Starania wpływowych przedstawicieli Towarzystwa o odwrócenie od instytucji tej dotkliwej innowacji, a przynajmniej o odroczenie terminu wprowadzenia jej w życie na lat kilka, nie odniosły skutku i obecnie naznaczono władzom Tow. nowy termin 1/14 października dla ostatecznego przedstawienia projektu.

Sprawa poruszyła nie tylko całe ziemiaństwo polskie, ale i cały kraj. W zniesieniu Dyrekcyj szczegółowych do-

patrzono się nietylko zamachu na całość najpoważniejszej w kraju instytucji, która od lat blisko osiemdziesięciu istniejąc, przetrwała wszystkie burze polityczne — ale także i nowego aktu represyi politycznej.

Podczas zgromadzeń wyborczych, jakie się tylko co w Królestwie odbyły, stowarzyszeni wszystkich gubernii uchwalili jednobrzmiące prawie rezolucye, domagające się utrzymania Dyrekcyj szczegółowych, jako niezbędnych kół w organizmie T. K. Z.

Władze administracyjne uchwałam tym nie przeszkadzały, pozwoliły nawet pismom miejscowym bronić skazanych na kasacyę instytucji, ale, o ile się zdaje, od swoich zamiarów zreformowania Tow., w ten lub inny sposób, ani na krok nie odstąpiły. Jedyna nadzieja, jaka pozostała, to ta, że może w najwyższych decydujących sferach zwycięży w końcu przeświadczenie o bezużyteczności i szkodliwości projektu.

W krakowskim *Czasie* ukazał się w sierpniu z. r. wyczerpujący i z wielką znajomością rzeczy napisany artykuł w obronie Dyrekcyj szczegółowych. Wyjmujemy z niego najważniejsze ustępy:

Autor udowadnia, że Dyrekcyje te potrzebne są w Towarzystwie z wielu względów, a przedewszystkiem ze względów natury prawnej, wypływających z prawa hypotecznego i zasadniczych ustaw Tow. Ale są i głębsze powody.

«Tow. kredytowe wydaje pożyczki do połowy szacunku dóbr i w tym celu przed udzielaniem pożyczek, dobra podlegają szczegółowemu oszacowaniu na podstawie przepisów, zatwierdzonych przez ministra finansów. Szacowania tego dopełniają przedwstępne delegacye na gruncie, a następnie po wszechstronnem zbadaniu rzeczy, szacunki te ustanawiają Dyrekcyje szczegółowe i przedstawiają do zatwierdzenia Dyrekcyi głównej. To dokładne oszacowanie dóbr jest pierwszorzędnej wagi nie tylko dla samego Tow. kredytowego. Wobec braku szacunku katastralnego w Królestwie, jest to jedyny zasadniczy szacunek majątków, będący podstawą wszelkich finansowych stosunków własności ziemskiej. Transakcyja kupna dóbr i opłacany przytem stempel alienacyjny, kredyt banku państwa, wszelkich instytucyj, oraz i kredyt prywatny, na tym szacunku się opiera. Przesfilitro-



wanie tego szacunku, oprócz delegacyi na gruncie, przez dwie instancje, z których jedna wśród samych dóbr w guberni ma siedzibę, i z miejscowymi stosunkami dokładnie jest obznajomiona, stanowią rękojmię sprawiedliwości i ścisłości. W razie zniesienia Dyrekcyj szczegółowych, czynności te z wielką trudnością przez samą Dyrekcyę główną w Warszawie będą mogły być spełniane.

Nie na samem tylko wydawaniu pożyczek ogranicza się działalność Tow. Musi ono przestrzegać wpływu rat, całości zastawu dóbr, musi przeprowadzać egzekucyę dóbr niewypłacalnych. Dlatego Tow. rozciąga nad dobrami pilny nadzór, a rzecz oczywista, że nadzór ten skutecznie tylko przez władzę, będącą blisko dóbr, jaką jest Dyrekcyja szczegółowa, może być wykonywanym.

Dalej autor przypomina, że dzięki swej roztropnej organizacyi, Tow. kredytowe przetrwało najkrytyczniejsze ekonomiczne chwile, a listy zastawne Towarzystwa stale cieszyły się niewzruszonym zaufaniem tak miejscowych, jak i zagranicznych kapitalistów. Jeżeli Dyrekcyje szczegółowe będą zniesione, to na ich miejsce będzie musiała być utworzona jakaś inna organizacya, już nie na podstawie wyborczej oparta, a więc nie mogąca budzić tego zaufania, co Dyrekcyje szczegółowe; wiele spraw będzie musiało być decydowanych w Warszawie, co pociągnie za sobą znaczne koszta i stratę czasu dla stowarzyszonych, którzy odtąd jeździć do Warszawy będą zmuszeni.

Artykuł *Czasu* dotyka i strony politycznej sprawy:

«Niewątpliwie trudno jest nam przenieść się na stanowisko rosyjskiej władzy państwowej, zdaje nam się jednak, że i z tego patrząc stanowiska, trudno dopatrzeć się korzyści, jaką przyniesie rosyjskiej państwowości to zwycięstwo gen. Czertkowa nad spokojną instytucyą kredytową. Instytucyja ta przez 78 lat swego istnienia nie zboczyła nigdy z drogi legalnej działalności; nawet w najgorszych czasach przed 40 laty ani grosz z jej funduszów nie został użyty w sposób nieodpowiedni przeznaczeniu, jak to wykazała najściślejsza rewizya, dokonana z rozporządzenia namiestnika hr. Berga — czego nawet o kasach rządowych powiedzieć nie można. Radzowie Tow., wybrani z ludzi, zażywających powagi w swojej okolicy, posesyonaci i przeważnie ludzie starsi, jeżeli jaki wpływ osobisty na powinności mogą wywierać, to z natury swego położenia zachowawczy i umiarkowany».

Artykuł *Czasu* pragniemy uzupełnić i poprzeć niektórymi informacjami i uwagami.

Trudno przypuścić, żeby inicjatywa zniesienia Dyrekcyj szczegółowych urodziła się z dbałości o dobro samej instytucji albo z jakiegokolwiek realnej potrzeby. Tow. kred. ziemskie cieszy się opinią wielkiej solidności, a opinię tę zawdzięcza w pierwszym rzędzie temu, że na organizacji wyborczej oparty jest nietylko zarząd centralny, ale i prowincjonalne jego wydziały. Całe gospodarstwo Tow. kred. ziemskiego stoi jak pod szklanym kloszem, prowadzi się pod kontrolą opinii publicznej. Przez trzy ćwierci stulecia nie zdarzyło się w Towarzystwie ani jedno z nadużyć, których ofiarą padały banki ziemskie w Rosyi, może urządzone nowożytniej niżeli trochę staromodna instytucja kredytu ziemskiego w Królestwie, ale mniej zabezpieczone od niespodzianek. Spokojna, roztropna i uczciwa działalność Tow. kredyt. ziemskiego zawsze uznawaną była przez rząd centralny i wskazywaną za wzór innym. Oceniał wysoko tę działalność b. minister skarbu Sergiusz Witte, to też kiedy przed kilku laty zaszła konieczność dopełnienia rewizyi zachwianego Banku szlacheckiego w Tyflisie, do tej rewizyi powołał jednego z przedstawicieli wyborczych władz Tow. Zniesienie Dyrekcyj szczegółowych da najwyżej jakieś sto tysięcy rubli oszczędności (bo jacyś agenci na miejscu być muszą); czy warto dla zaoszczędzenia tej sumy obniżyć moralną i finansową odpowiedzialność Tow.? Ze zniesieniem Dyrekcyj szczegółowych znaczna część ich czynności przejdzie do Dyrekcyi głównej w Warszawie; tam stowarzyszeni jeźdźci będą zmuszeni. Wpłynie to na pewne opustoszenie miast gubernialnych, a czy to może leżeć w interesie kraju i rządu? Czy wogóle Warszawa nie za dużo wysysa soków kulturalnych z całego kraju? Czy nie należałoby pomyśleć i o podniesieniu kulturalnych ognisk na prowincyi?

Nie, ekonomicznymi argumentami nie można uzasadnić projektu reformy T. K. Z. Domyślamy się, że się nawet o to nie silono. Argumenty polityczne mają w takich

razach, w naszych stosunkach, daleko bardziej przekonywującą wymowę; tych użyto. Jakież to były argumenty? Historya projektu reformy, którą opowiemy, wydać się może fantastyczną, a jednak jest od początku do końca prawdziwą.

Od lat kilku w pewnych umysłach rosyjskich, które o naszych sprawach radzą, opiniują, a często i rozstrzygają, utrwaliło się przekonanie, że nastrój kraju przypomina czasy z przed laty czterdziestu. Oto w jaki sposób przekonanie to jest uzasadniane: Jak wówczas tak i teraz, jednocześnie z próbą zmiany polityki na łagodniejszą, zaczął się budzić «ruch», poprzedzający każdą działalność rewolucyjną. Czerwoni zaczęli się organizować i terroryzować umysły. Po roku 1897 stronnictwo «ugodowe» zostało rozbite. (Takiego zdania był już ks. Imerytyński w r. 1898). Pozostała wprawdzie pewna grupa szczerych i przekonanych «ugodowców», ale to grupa nieliczna, na opinię publiczną wpływu nie wywiera i zawsze przez czerwonych z każdego zajętego posterunku wypartą być może. Jest tak nieliczną, że przy określeniu, jakiej polityki trzymać się w Królestwie należy, nie może być braną w rachubę. Co do warstw społecznych, jest gorzej, niż było przed 1863 r. Wytworzyła się wprawdzie klasa przemysłowo-handlowa interesem ekonomicznym z cesarstwem związana, ale, jednocześnie i w związku z nią, powstał liczny stan robotniczy, poddający się różnoimiennej agitacji socjalistycznej, a i lud wiejski zatracił już w drugim i trzecim pokoleniu uczucia wdzięczności za uwłaszczenie i nie jest dość oporny na wpływy, podburzające go przeciw prawowitej władzy. Szlachta i duchowieństwo są, jak dawniej, wrogo usposobione. Liczba żydów w ciągu lat 40-tu wzrosła olbrzymio, zwłaszcza po immigracyi z głębi Rosyi, gdzie im pobyt utrudniono, ale ten klin, wbity w organizm polski, nie okazał się tak pewnym, jak przypuszczano: ruch antypaństwowy w najostrzejszej formie zaczął się szerzyć i pomiędzy żydami; ze wszystkich związków socjalistycznych w Rosyi, «Bund» żydowski może najwięcej spr-



wiał władzom w ostatnich latach kłopotu. Słowem, nie można uważać «kraju Nadwiślańskiego» za terytorjum, o którego spokój władza administracyjna i militarna troszczyćby się nie potrzebowała. Imeretyński popuścił cugle, trzeba je ściągnąć, wrócić do żołnierskich czasów Hurki. Niema potrzeby gnębić i drażnić, ale trzeba zrozumieć, że jesteśmy w kraju wrogo dla nas usposobionym, trzeba rękę trzymać na rękojeści szabli i na cynglu karabinu, w niczem systemu poprzedniego, który się zbawczym okazał, nie zmieniać, z żadnej ze zdobytych pozycyj nie ustępować...

Ci Rosyanie, którzy tak rozumują, nie lękają się dziś powstania; wiedzą oni doskonale, że ruch zbrojny jest w danych warunkach materyalnie niemożliwy: w Królestwie stoi w tej chwili cztery razy tyle wojska, ile go było w styczniu 1864 r.; administracya, sądy, urzędy, koleje, poczty, telegrafy, są w ręku Rosyan; ale chcą, jak mówią, przewidzieć wszystkie ewentualności i uchronić się od niespodzianek. Nie sądzą, żeby mogło być obojętnem dla państwa, jakim jest nastrój ludności dziesięciomilionowego kraju np... w razie wkroczenia wojsk austryackich. Czujni konsulowie oglądają się więc naokoło, czy niema jeszcze jakiejś niezniesionej doszczętnie bateryi nieprzyjacielskiej, któraby ich zaniepokoić mogła i znajdują: jest nią... Towarzystwo kredytowe ziemskie. *Voilà l'ennemi!*

W ręku Polaków jest jeszcze potężna instytucya, obejmująca zapomocą sieci wyborczej cały kraj, rozporządzająca milionami. Dziś jest ona spokojną, ale pamiętajmy dokąd zachodziła słabość charakteru konserwatystów polskich — w chwili ogólnego podniecenia umysłów może stać się niebezpieczną. Więc naprzód trzeba zmusić Tow. do przeniesienia swych kapitałów do Banku państwa (*dictum, factum*), a następnie wprowadzić do prowincyalnych wydziałów Tow. komisarzy rządowych w roli nadzorców i kontrolerów. Ministerstwo skarbu uważa, że można znieść zupełnie Dyrekcyę szczegółowe? Tem lepiej! Będziemy spokojniejsi...

Przewidujemy, że niejedyn z czytelników, znający

stosunki w Królestwie nie *de auditu* ale *de visu*, przeczytawszy wszystko, co opowiedzieliśmy, posądzi nas o przesadę, lub fantazyę. Nie uwierzy, żeby w rosyjskich sferach rządowych mógł się znaleźć ktoś, coby w taki sposób przedstawiał sobie nastrój kraju naszego, coby w najkonserwatywniejszej pod słońcem instytucyi, jaką jest poczciwe nasze Tow. kred. ziemskie, dopatrywał się niebezpieczeństwa. A jednakże, powtarzamy, tak jest. Historia nieprawdopodobna jest jednak najzupełniej prawdziwą<sup>1)</sup>.

Gdzie leży źródło rozumowań i działań, tak dla nas niezrozumiałych?

Trzeba daleko sięgnąć w przeszłość, aż do 1863 r. Rzeki krwi, ruiny i zgliszcza, rozdzieliły wówczas Polskę od Rosyi, uosobionej w armii urzędników, którzy przychodzili nas uśmierzać, karać i przekształcać. Czas, wielki lekarz największych cierpień i smutków, zbliżnił otwarte rany i złagodził ostrość wspomnień, ale całkowicie wymazać ich z ludzkiej pamięci nie zdołał. Między biurokracyą rosyjską a ludnością polską stoi dotąd wysoki mur, zlepiony ze wzajemnych uprzedzeń, niechęci, podejrzeń i ignorancyi. W jednym i tem samym mieście, Rosyanie i Polacy, ocierając się o siebie w biurze, na ulicy, w miejscach publicznych, tak mało o sobie wiedzą, tak mało się rozumieją, tak daleko od siebie stoją, jakby ich rozdzielały lądy i morza.

Przed laty kilku ks. Imeretyński, człowiek dobrej woli, dużej energii i intuicyi, próbował mur, rozdzielający te dwa odrębne, obce sobie światy, rozwalić. Zdażył zaledwie wyrwać z niego kilka kamieni. Po jego śmierci nastąpiła znowu cisza.

Znajomość naszego języka i naszej literatury jest wśród Rosyan rzeczą rzadką, znajomość naszych stosun-

---

<sup>1)</sup> W projekcie reformy T. K. Z. odegrały rolę także i te pobudki, dla których odmówiono w jesieni utworzenia centralnego komitetu wyborczego pomocy dla powodzi. System obecny przeciwny jest tworzeniu jakichkolwiek choćby czasowych organizacyj, któreby skupiały Królestwo, i dąży do osłabienia istniejących.

ków jeszcze rzadszą. Gdyby ci, co nami rządzą, albo o naszym losie radzą, zadali sobie trud poznania nas z bliska, toby się przekonali, jaką jest różnica między *Dichtung* a *Wahrheit*, jak wytworzony w ich wyobraźni obraz dalekim jest od rzeczywistości.

Ogół polski jest dziś nie mniej patryotyczny, niż przed 40 laty, nie mniej czuły i wrażliwy niż dawniej, ale ze złudzeń powstańczych i konspiracyjnych całkowicie się wyleczył. Niema dziś u nas epigonów, ani czerwonych ani białych. Ruch «wszechpolski», mimo wszelkich pozorów organizacyi podziemnej i konspiracyjnej, którą sobie nadaje, nie jest właściwie ruchem rewolucyjnym. Przelewa on strugi atramentu, ale krwi polskiej, sam to oświadczył, nie chce przelać ani kropli. T. zw. «rząd narodowy» to papierowa pukawka, która nikogo nie przestrasza i której nikt na seryo nie bierze. Czy pięciu panów, schodzących się we Lwowie, Krakowie czy nawet w Warszawie na czarną kawę, nazywa siebie «rządem narodowym», czy też ten rząd, *alias* komitet centralny L. N., wcale nie istnieje — to rzeczy nie zmienia, w jednym i drugim wypadku jest on mistyfikacją. Pewną popularność, którą sobie ruch wszechpolski zdobył, zawdzięcza on tylko temu, że się zajmuje tajną oświatą ludową; dopóki zaś szkoła w Królestwie będzie miała zadania nie wychowawcze ale polityczne, dopóki nie odpowie potrzebom ludności, trudno wymagać, ażeby tajna działalność na polu oświaty mogła nie znajdować odzwierciedlenia w społeczeństwie. Pozatem ruch wszechpolski nie znajduje w Królestwie poparcia i nawet samo «uświadamianie ludu», o ile ma charakter podburzający, jest pojęciem.

Niepodobni są dzisiejsi «czerwoni» do swych antenatów, ale jeszcze większa różnica leży między «białymi» i «ugodowcami». Pierwsi byli idealistami w polityce, drudzy są przede wszystkim realistami. Do realizmu tego zaprawiły się nowe pokolenia w nowych warunkach politycznych, społecznych, ekonomicznych, w jakich Królestwo



znalazło się po powstaniu, w ciężkiej walce o byt, w szkole długiej niedoli. Przypuszczać, że realności dzisiejsi dadzą się znowu wytrącić z równowagi, może tylko albo wielkie, chorobliwe zaciętrzewienie, albo wielka naszych stosunków nieświadomość.

Kto te stosunki zna, ten wie, że na lep gorącego wszechpolskiego frazesu nie pójda nawet «neutralni», ceniący ponad wszystko spokój.

Również uderzająco błędną jest klasyfikacya naszych warstw społecznych pod kątem wrażliwości politycznej. Pod tym względem stosunki u nas ułożyły się zupełnie odmiennie od tych, jakie istniały przed czterdziestu paru laty. Większa wrażliwość, większa nerwowość w tej czy innej warstwie narodu, zależy od tego, którą z nich system represyi politycznej więcej lub mniej bezpośrednio dotyka. Najsilniej na nią reagują: młodzież ucząca się w szkołach, których ustrój i kierunek potępił nawet Hurko; młoda inteligencya, która po ukończeniu studyów znajduje drzwi do służby publicznej przed sobą zamknięte; drobni urzędnicy, dlatego że Polacy, wydalani albo upośledzeni w awansach; aspiranci do pracy naukowej nieznajdujący dla niej pola; literaci krępowani w swobodzie wypowiedziania swych myśli; księża podlegający surowym przepisom i t. d. — z drugiej strony te sfery czy klasy społeczne, których dobrobyt zależy od organicznego związku z Rosyą, a więc: właścicielstwo ziemskie, przemysłowcy, kupcy, rzemieślnicy eksportujący do cesarstwa i t. d., choć odczuwają represyę, to jednak, znajdując jakiś częściowy równoważnik w korzyściach ekonomicznego związku z Rosyą, mogą mniej nerwowo, bardziej spokojnie sądzić o położeniu.

Stopień wrażliwości politycznej zależy od różnych czynników. Dojrzałe pokolenie jest naturalnie trzeźwiejszem od młodego; ludzie zamożni łatwiej mogą bronić się od ucisku, więc go mniej odczuwają; klasy posiadające mają więcej do stracenia, niż ci, co żyją z dnia na dzień, są zatem z natury ostrożniejsze; wreszcie wykształceni żydzi polscy stanowią element najwrażliwszy, najbardziej

nerwowo, odczuwając na swej skórze dotkliwość zarówno praw wyjątkowych antypolskich jak i ograniczeń specjalnie żydów dotyczących.

Za dalekoby nas zaprowadziło, gdybyśmy chcieli wyczerpać charakterystykę współczesnego nastroju społeczeństwa polskiego. Wystarczy tych kilka rysów, które przytoczyliśmy, ażeby zrozumieć, że niepodobna szablono z przed laty 40 przykładać do dzisiejszych stosunków, i że upatrywanie w ziemiaństwie polkiem kadrów przyszłego ruchu, a w ziemiańskiej instytucji kredytowej jakiegoś składu materiałów palnych, do których lekko-myślność może w każdej chwili lont przyłożyć, jest niedającą się usprawiedliwić fantazją. Tow. kred. ziemskie w Królestwie Polskiem nie dało nigdy powodu rządowi do posądzeń o nieprawomyślność, oparło się rewolucji 30 r., nie dało się skusić ruchowi 63 r. Czy podobna przypuścić na serjo, że dziś, kiedy cały kraj wytrzeźwiał, ono jedno mogłoby się oddać upojeniu?

Wiemy dobrze, że dla pewnej części biurokracji rosyjskiej w Królestwie Towarzystwo było zawsze solą w oku. Jego powaga i wpływ, jego aparat wyborczy i reprezentacyjny drażnił sfery urzędnicze. Zawsze mawiano, a w ostatnich czasach stało się to ulubionym tematem rozmów, że Tow. kred. ziem. powinno być zredukowane do roli banku ziemskiego, bo niczem więcej nie jest, i że stanowisko reprezentacji zorganizowanego ziemiaństwa, które zajęło w Królestwie, jest jakimś *status in statu*, jest sztucznem i szkodliwem. Zniesienie Dyrekcyj szczegółowych, albo wprowadzenie do tych dyrekcyj komisarzy, ma złemu zapobiedz.

Nie przeczymy, że znaczenie Tow. kred. ziemskiego wyrosło ponad miarę. Ale skąd to pochodzi? Stąd, że przez długie lata było ono jedyną organizacją wyborczą, jedyną instytucją, w której praca społeczna, choć w skromnym finansowym zakresie, była możliwą. Utworzenie Sekcji rolnej przy Tow. przemysłu i handlu, zawiązanie w miastach gubernialnych towarzystw rolniczych, które skupiły młod-

sze i żywotniejsze siły, wpłynęło już na pewne obniżenie roli Tow. kred. ziem. Jeżeli przyjdą ziemstwa wyborcze, których zakres działania będzie nieskończenie większy niż instytucji wzajemnego kredytu, wówczas detronizacja Towarzystwa może pójść jeszcze szybszem niż dotąd tempem. Mówiąc otwarcie, my mamy zupełnie innego rodzaju niepokój niż inicjatorowie reformy: obawiamy się, że jeżeli tak dalej pójdzie, może zabraknąć z czasem kandydatów na radców Tow., tak jak dotychczas brakło w niem miejsca dla zaspokojenia wszystkich szlachetnych ambicji prowincjonalnych. W interesie instytucji, która zawdzięcza tyle współpracownictwu z wyborów, pragnąć należy, ażeby ta naturalna ewolucja w opinii, którą Tow. obecnie przechodzi, nie doprowadziła do zubożenia ogółu dla jego spraw, nie wpłynęła na traktowanie Tow. kred. ziemskiego jako zwyczajnego Banku ziemskiego, straci ono bowiem wówczas tę powagę moralną i finansową, jaką daje instytucja, oparta na zaufaniu ogółu.

Z jakiegokolwiek punktu widzenia rozpatrywać będziemy projektowaną reorganizację Tow. K. Z., musimy dojść do wniosku, że jest ona niefortunnym pomysłem. Nie należy nikogo uszczęśliwiać wbrew jego woli; w uproszczeniu mechanizmu Towarzystwa, w zaoszczędzeniu kosztów jego utrzymania — zainteresowani są sami stowarzyszeni, im trzeba pozostawić do rozstrzygnięcia pytanie, czy kółka gubernialnych wydziałów są w tym mechanizmie zbyt liczne i czy je usunąć należy. Gdyby nawet organizacja T. K. Z. była nawet trochę archaiczną, to i w takim jeszcze wypadku należałoby pójść za przykładem angielskiego konserwatyzmu, który nawet dla lepszej formy nie poświęca treści rzeczy i umie uszanować prawodawcze i społeczne zabytki, jeżeli korzyść ich jest oczywistą. Co się zaś tyczy nieskończenie bardziej drażniącego projektu wprowadzenia komisarzy rządowych, to pozwalamy sobie wypowiedzieć zdanie, że oddawanie Dyrekcyi szczegółowych pod nadzór polityczno policyjny nie da się usprawiedliwić niczem. Jest to środek zresztą zu-



pełnie beużyteczny, bo skoro administracya, prokuratorya, żandarmerya i policya, czuwające nad porządkiem i spokojem w każdym mieście gubernialnem, i mające bardzo rozległy zakres kompetencyi, okazały się niedostatecznymi dla strzeżenia prawomyślności organów T. K. Z., to nie podola temu zadaniu i komisarz rządowy. Jeżeli radcowie Tow. K. Z. istotnie spiskują przeciw całości państwa, co, bez obrazy przeciwników Towarzystwa, między wierutne bajki włożymy, to potrafią swoje «podziemne knowania» ukryć przed okiem komisarskiem, zamknąwszy się w *forum internum*.

Wedle naszego głębokiego przeświadczenia, projektowana reforma Tow. kred. ziemskiego, szkodliwa dla instytucyi, nie odda usługi państwu. Nie sądzymy przytem, żeby chwila obecna, chwila wymagająca, wobec zewnętrznego wroga, zwrócenia wszystkich sił państwa w jednym kierunku — była właściwą dla zarządzenia, które nietylko zainteresowane ziemiaństwo ale i całe społeczeństwo polskie zrozumie i odczuje, jako nowy, niczem niewywołany i niezasłużony akt represyi.

Or.

---

### Wykład języka polskiego w szkołach średnich Królestwa.

Z końcem b. roku szkolnego 1903/4 upływa termin trzechletniej próby wprowadzenia wykładu języka polskiego w gimnazyach, progimnazyach i wogóle we wszystkich szkołach średnich Królestwa, na nowych zasadach, w myśl uchwały komitetu ministrów z d. 22 lutego 1899 r. Z tego powodu kuratoryum warszawskiego okręgu naukowego rozesłało do zwierzchników tych szkół następujący (nieopublikowany dotąd nigdzie) cyrkularz:

»Obowiązujący obecnie plan nauk i próbny program języka polskiego został przez poprzednika mego (Ligina) zatwierdzony czasowo na trzy lata. Wobec upłynięcia tego terminu, mam honor prosić Szan.

Pana, o przedstawienie mi poglądów rady pedagogicznej zakładu naukowego, powierzonego pieczy pańskiej i własnych wniosków Szan. Pana o tem: o ile program ten odpowiada ilości godzin wykładowych przeznaczonych na język polski, o zmianach w nim pożądanym na gruncie wskazań trzechletniego doświadczenia, a także o dostarczenie mi wiadomości co do tego, w jakim stopniu w zakładzie powierzonym pieczy Szan. Pana zachodziła potrzeba posiłkowania się, przy wykładzie, językiem miejscowym, w zastosowaniu wskazówek dołączonej do programu obowiązującej zapiski.

Jednocześnie proszę Sz. Pana o dostarczenie mi wykazu przyjętych w powierzonym Panu zakładzie podręczników dla języka polskiego z oznaczeniem czasu ich, przyjęcia, oraz zatwierdzonego przez radę pedagogiczną na początku bież. roku szkolnego wykazu utworów do ćwiczeń praktycznych, wierszy do uczenia się na pamięć i tematów do wypracowań.

(Podpisał) Kurator okręgu *A. Szware.*

Sprawa wykładu języka polskiego — stanęła w ten sposób znowu na porządku dziennym. Poddają ją analizie w laboratorjach kancelaryjnych w Warszawie i w Petersburgu, rzecz słuszna żebyśmy i my nią się zajęli.

Sprawa ta ma bardzo długą, pouczającą historię. Poucza ona, do jakich kresów dojść może w sferze wychowania publicznego doktryneryzm polityczny. Bo przecież w danym wypadku nie chodzi tu o to, w jakim języku mają być wykładane ogólne przedmioty w nauce szkolnej, chodzi o jeden tylko przedmiot: język polski, chodziło i chodzi o to: w jakim języku wykładany ma być język polski w kraju rdzennie polskim, dzieciom polskim, przez nauczycieli Polaków?

Zdawałoby się, że kwestyi takiej być nie może, tak bardzo wydaje się ona naturalną i prostą. Istniała ona jednak przez lat dziesiątki i rozwiązywaną była w sposób zasadam pedagogii i rozumnej polityce przeciwny, istnieje w pewnym stopniu do dziś dnia jeszcze.

Każda próba upośledzenia w szkole języka rodzinnego uczniów, języka wyrobionego na równi z najdoskońszymi językami cywilizacyi, używanego od kolebki do grobu, w domu, na ulicy, w kościele, na wielkim obszarze, przez wielomilionową ludność od najniższych klas do naj-

wyższych — nie może dać żadnych rezultatów praktycznych. Jest tylko prostą szykaną — i niczem więcej. I jeżeli o utrzymanie tej szykany tak długo i tak energicznie walczyli pedagodzy rosyjscy w Królestwie z Apuchtinem na czele, to jest to tylko świadectwem, że w duszy tych pedagogów zawziętość polityczna przytłumiła wszelkie lepsze uczucia, że stępiła w nich rozumienie nawet tych zadań, które im ze stanowiska rosyjskich interesów państwowych w udziale przypadły.

Mikołaj Milutin, który był wprawdzie wrogiem polskości, ale był i mężem stanu zarazem, przy reorganizowaniu Królestwa po powstaniu dał jednak językowi polskiemu szerokie miejsce w szkole publicznej: wszystkie przedmioty, z wyjątkiem rosyjskiego, historii i geografii Rosyi, miały być wykładane po polsku — i w tym kierunku poczęły się organizować szkoły publiczne po roku 1864. Ale wkrótce potem przysła, na falach reakcyi niesiona, reforma tołstojowska szkoły rosyjskiej, — i gdy nową szkolną ustawę zastosowano, w roku 1870, do cesarstwa, rozciągnięto ją, *purement et simplement*, i do Królestwa i stworzono wtedy złośliwą i szkodliwą fikcyę: szkoły normalnej jednakowo dobrej dla Warszawy i Kalisza jak i dla Kazania i Aschabadu. Jedyna różnica: utrzymano język polski jako przedmiot, — ale utrzymano go przez ironię i na szyderstwo; uczyniono zeń przedmiot nieobowiązkowy i, dzieciom polskim, wykładano go po rosyjsku.

Wobec tego systemu, wyjednane w r. 1880 przez Albedyńskiego podniesienie liczby lekcyi języka polskiego z 12 na 19 tygodniowo, mogło tylko świadczyć o dobrej woli tego administratora, polepszyć nie jednak nie było w stanie, — nawet gdyby ukaz najwyższy, wprowadzający tę innowacyę, został wykonany. A jakkolwiek się to może wydać dziwnem, ten ukaz wykonanym nie został; Apuchtin umiał go sparaliżować, co mu broszura «*Ko dniu jubileja*» (Moskwa) publicznie za wielką poczytała zasługę.

Taki stan rzeczy trwał aż do czasu rządów ks. Imiretyńskiego. Wielkorządcy temu udało się to, czego nie



mógł dopiąć Hurko; złamać potęgę wpływów apuchtinowskich w rządzie centralnym. Dopiero wyjednaawszy usunięcie wszechwładnego kuratora, mógł on zająć się porządkowaniem spraw wychowania publicznego w Królestwie. Niezrażony pierwszym niepowodzeniem, jakie poniósł w Komitecie ministrów, zdołał dla sprawy usposobić przychylnie monarchę, i po raz wtóry (w lutym 1899 r.) broniąc swego projektu, zapewnił mu w Komitecie ministrów większość. Zgodzono się na wykład po polsku; ale obawiając się, aby nie wytlómaczono sobie tej innowacji jako podważenia ustawy ogólnej r. 1870, postanowiono językowi polskiemu nie dawać praw osobnych, ale go zrównać tylko w prawach z językami nowożytnymi: francuskim i niemieckim.

Decyzja ta była ważnym krokiem naprzód, ale całkowicie jeszcze kwestyi nie rozstrzygiwała. Ustawa bowiem z r. 1870 pozwala wyklądać te języki po francusku lub niemiecku dopiero w czterech wyższych klasach. Jest to naturalnie słusznie, bo w niższych klasach nicby uczniowie w takim razie nie pojęli; ale nie jest słusznem odnośnie do języka polskiego, którego doskonałą, choć dopiero naturalną tylko znajomość przynoszą uczniowie polscy z domu, wstępując do najniższych klas gimnazjalnych.

Pozostały niezalutwionemi jeszcze inne anomalie, np. ta, że język rodzinny uczniów — pozostał przedmiotem nieobowiązującym; że wykład jego uczyniono zależnym od decyzji poszczególnych rad pedagogicznych (nauczyciel języków nowożytnych posiada bowiem fakultatywną tylko możność wykładu przedmiotu swego w języku przedmiotu, może on to czynić, ale nie musi) i t. p.

Byłoby jednak niesprawiedliwością nie przyznać, iż pomimo wszystkich słabych stron, jakie posiada nowa, w r. 1899 uchwalona i w następnym r. 1900 wprowadzona w życie, organizacja wykładów języka polskiego w szkołach średnich Królestwa, stosunki zmieniły się na lepsze. W połowie klas przynajmniej usunięto barbarzyństwo pedagogiczne: wykładu Polakom ich języka w języku rosyj-

skim; zastosowano w pełni przepisane 19 godzin wykładów tygodniowo; rozszerzono w bardzo znaczny sposób naukę literatury polskiej, doprowadzając ją aż do Kononickiej, Asnyka i Tetmajera; w tej nauce literatury dano pewne miejsce narodowemu duchowi naszemu, skoro w programie szkolnym znajduje się «Pan Tadeusz», «Konrad Wallenrod» i «Irydion»; ulepszono wykład gramatyki i pisowni. Jeżeli przypomnimy sobie, że Apuchtin z lekcji języka polskiego uczynił ćwiczenia tłumaczenia tekstów polskich na język rosyjski, — różnica, doprawdy jest znaczna.

Co jednak będzie na rok przyszły? Czy po trzechletniej próbie, która wykazała jaskrawo wszystkie braki obecnego ustroju wykładów języka polskiego, braki te będą usunięte?

Rady pedagogiczne w tej sprawie już się wypowiedziały; mniej więcej wszystkie one są za utrzymaniem dzisiejszego stanu i za wprowadzeniem mniejszych albo większych ulepszeń. Ale, niezależnie od tych opinii, zaważą coś także i raporty «sekretne» dyrektorów szkół, które złożone zostały kuratorowi okręgu i w których niewątpliwie, oświetloną będzie sprawa ze stanowiska politycznego. Nie znamy treści tych raportów, ale wiedząc, że wśród ciała pedagogicznego w Królestwie duch apuchtinowski nie wygasł jeszcze zupełnie, mamy obawę, że pewna liczba dyrektorów, nie sympatyzując odrazu z nowatorstwami Imeretyńskiego i Ligina, może zechce i obecnie raczej ograniczyć, aniżeli zgodnie z wymaganiami zdrowej pedagogii postawić wykład języka polskiego na takiej stopie, aby mógł odpowiadać swemu zadaniu: dać uczniom polskim przez systematyczną, od pierwszej do ostatniej klasy prowadzoną, naukę gramatyki, stylistyki i historii literatury polskiej, możliwość nabycia dokładnej znajomości swego rodzinnego języka.

Aby to zadanie osiągnąć, starać się należy:

1) o wprowadzenie wykładów gramatyki polskiej do czterech niższych klas po polsku; jest to przecież warunek

pedagogiczny co najmniej równie ważny jak wykład w czterech wyższych klasach po polsku;

2) o ulepszenie wykładów języka literatury w klasach wyższych, pospiesznie bowiem choć z niewątpliwie dobrą wolą ułożony przed trzema laty program pelen jest wad: podrzędni autorowie są tu uwzględnieni, jak np. Trzecicki, a ważni opuszczeni jak np. Szarzyński, Bielski, Strykowski, Twardowski, a z nowszych Sienkiewicz, Zacharyasiewicz, Orzeszkowa; z niektórych autorów studyuje się rzeczy podrzędne, a przepuszcza pierwszorzędne np. pomieszczono w programie «Hejnał» Reya, a pominięto «Wizerunek»; nie ma też w programie ani jednej ballady Mickiewicza, która to forma tak jest charakterystyczną dla romantyzmu, nie ma ani jednej dumki ukraińskiej Zaleskiego; natomiast wątpić należy, aby «W Szwajcaryi» było odpowiednią lekturą wykładów gimnazyalnych;

3) o zrobienie języka polskiego przedmiotem obowiązującym i wprowadzenie stopnia zeń do świadectwa dojrzałości; jest to przecież konieczne, jeżeli się chce usunąć wrażenie upośledzenia rodzinnego języka uczniów;

4) o wprowadzenie reformy i do szkół żeńskich, czego dotąd z niepojętych powodów zaniedbano;

5) o lepsze uposażenie nauczycieli języka polskiego, nauczyciele Polacy są płatni gorzej od innych;

6) o pozynienie środków do lepszego przygotowania nauczycieli tego języka; na uniwersytecie warszawskim nie ma wcale katedry języka polskiego; istnieje tylko katedra filologii słowiańskiej, na której literatura polska wykładana jest — po rosyjsku. Gdzie nauczyciele języka polskiego, jeżeli to nie mają być dyletanci, mogą się wykształcić w swoim fachu?

Nie należy się ludzić, aby porzeby powyższe stały w całej swej przekonywującej jasności przed oczami wyższych władz edukacyjnych w Petersburgu, które o losie sprawy, przez nas poruszonej, rozstrzygać będą. Mogą one nie mieć potrzebnego materiału reformacyjnego, aby ich doniosłość zrozumieć i ocenić. I dlatego, jakkolwiek po



tem, co slyszeliśmy o nowym ministrze oświaty jen. Głazowie, nie mamy prawa wątpić o jego bezstronności, sądzimy, że obowiązkiem naszym, obowiązkiem rodziców dzieci polskich i tych wszystkich ludzi, którym sprawa wychowania publicznego na sercu leży, jest przyczynić się do tego, aby czynniki decydujące o wszystkich stronach danej sprawy dokładnie poinformowane zostały.

Or.

---

### Instytucye gminne w Królestwie.

T. zw. kongresowe Królestwo Polskie straciło w roku 1831 konstytucyę, a po powstaniu i autonomię krajową i od r. 1863 odbywa się w niem proces asymilacyi politycznej z cesarstwem przez ugruntowanie tych samych, jakie cesarstwo posiada, instytucyj. Posiada jednak Królestwo dwie oryginalne instytucye świeżej daty, dwa wytwory władzy prawodawczej rosyjskiej po 1863 r., nie jednocześnie powstałe i jeden od drugiego niezależne, które nawet z rosyjsko-państwowego stanowiska, nietylko nie kwalifikują się do zniesienia, ale owszem, zalecałyby się raczej do rozciągnięcia na całą Rosyę.

Jedna z tych instytucyi to gmina — kreacya Milutinowska (ustawa z 2 czerwca 1864), odpowiadająca rosyjskiej *wołosti* włościańskiej, ale tem się od niej różniąca, że na gruncie, już zniwelowanym demokratycznie przez kodeks Napoleona wprowadzony do Księstwa Warszawskiego od 1 maja 1808 r. i uchylający wszelkie klatki i przepierzenia klasowe i stanowe, nie mogła już powstać żadna instytucya wyłącznie włościańska, a możebna była tylko bezstanowa. Utworzono gminę, nie stanową, ale wyłącznie własnościowo-rolną, usunięto z niej przedstawicieli kapitału, inteligencyi i tego, co było zwane dawniej stanem średnim czyli trzecim (*tiers état*) albo burżuazją, ale zlano w jedno i postawiono całkiem na równej stopie i dawniej-

szych właścicieli ziemskich i uwłaszczonych nabywców nadziałów włościańskich wielkości nie mniejszej od trzech morgów.

Milutin był radykalistą, chłopomanem i przeciwnikiem szlachty. W Królestwie dążył do wytępienia wszystkich pierwiastków oligarchicznych, o których mylnie sądził, że niemi było całe społeczeństwo przesiąknięte. Próbował schłopić właścicielstwo ziemskie wsadziwszy je do gminnej gromadzkiej masy, w której ginęli liczebnie, i nacisnąwszy je, że tak powiemy, włościańskim butem. Rządzić całością miała gromada, licząca nieraz tysiąc, a co najmniej kilkaset ludzi, zbierająca się cztery razy do roku na kilka godzin pod gołym niebem i obierająca peryodycznie na trzy lata wójta i urzędników gminnych. Od wójta nie wymagano, aby był człowiekiem piśmiennym, żądano tylko, aby miał 6 morgów gruntu. W takich warunkach samorząd gminy stał się prostą fikcją; rozporządza nią dowoli naczelnik powiatu za pomocą podwładnego mu wójta i jeszcze bardziej uległego gminnego pisarza, którego mianowanie przywłaszczyli sobie powiatowi naczelnicy faktycznie wbrew wyraźnemu przepisowi prawa (216 art. Urządzeń w Kr. p. w 2-m tomie «*Swoda zakonow*» powiatowi naczelnicy).

Dla złagodzenia tej fikcyjności i zmniejszenia nieladu w gminie, osobna miejscowa komisya pod przewodnictwem senatora Podgorodnikowa wypracowała projekt prawodawczy, nad którym pracuje dziś Ministerstwo spraw wewnętrznych, osnuty głównie na tem, by w zgromadzeniach gminnych brali bezpośrednio udział tylko właściciele gruntów folwarcznych, posiadający co najmniej 60 morgów, zaś z pomiędzy włościan zagrodników posiadających mniej niż 60 morgów by wybierano do udziału w obradach gminnych tylko 10<sup>o</sup>/<sub>o</sub>.

Druga instytucya datuje od 1875, kiedy na Królestwo Polskie rozpostarto reformę sądową rosyjską z d. 24 listopada 1864 r. Są to sądy gminne, które się od razu powiodły, do których kraj od razu przyłgął i mocno się

przywiązał. Jest to jedyny może przykład wyborowego urzędu w kraju, uważany dotąd przez rosyjskich ludzi stanu i członków Rady państwa za tak głęboko zrewolucjonizowany, że każde dopuszczenie w nim wyborczego pierwiastku mogłoby tylko być powodem do opozycji i okazyą dla manifestacji. Zaznaczamy przedewszystkiem niewłaściwość terminu «sądy gminne». Jeżeli wyłączymy miasta, reszta kraju składać się będzie z 1331 wielkich gmin, ale sądów gminnych jest tylko 374, bo na każdy sąd takowy składa się kilka gmin (1—4), które podają rządowi kandydatów wybranych przez siebie na sędziów i na ławników. Wskażmy następnie to miejsce, które sądy gminne Królestwa zajęły w ramach całego rosyjskiego sądownictwa. Organizacya sądowa rosyjska z 1864 r., osnuta na wzór angielskiej, składała się w 1875 r. kiedy wprowadzono reformę do Królestwa, nie z jednego wielopiętrowego gmachu, ale z dwóch odrębnych budynków mieszczących się pod wspólną kopułą kasacyjnego Senatu, a mianowicie z dwupiętrowego budynku sądów zwyczajnych dla spraw ważniejszych (sąd okręgowy i izba sądowa) i z drugiego, również dwupiętrowego budynku (pojedynczy sędzia pokoju od wyborów i zjazd tychże sędziów pokoju) dla spraw pomniejszych.

W Królestwie Pol. walczyła sądowa reforma rosyjska z dwiema olbrzymimi trudnościami, których nie doświadczyła w cesarstwie. Po pierwsze musiano dla tego kraju odstąpić od zasady wyborczości sędziów pokoju. Sędziowie pokoju w Królestwie byli to przybysze wychowani w Rosyi, obcokrajowcy nie obeznani z miejscowemi warunkami, a nawet z prawem, które powołani byli stosować (kodeks Napoleona). Powtórę, przybysze ci, nieznający polskiego języka, nie mogli się bez specjalnego tłumacza porozumieć z miejscową ludnością, której mieli służyć. — Z miastami Królestwa postąpił rząd z zupełną bezwzględnością, łamiąc opór, wprowadzając do sądów obcy język i wzbraniając nawet sędziom obywateli się bez urzędowego tłumacza. Wiedziano, że miasta były niechętne względem



rządu usposobione i skorzystano z tego, że się znalazła jaka taka adwokatura mogąca urzędować w języku urzędowym. Lud jednak wiejski należało oszczędzić, bo na pociągnięciu go ku państwu opartą była cała polityka rządowa. Sąd nowy należało bądź co bądź uczynić w ludności wiejskiej popularnym. Dopięto tego przez dwa napozór nieznaczne ustępstwa. Po pierwsze zamiast sędziów pojedynczo działających, mianowanych przez rząd, urządzono sądy kolegialne z sędziego i ławników, składające się z ludzi miejscowych i od wyborów. Wyborowość ta była mocno osłabiona przez to, że na każdy wakans sędziowski podawano przynajmniej podwójną liczbę kandydatów. Minister sprawiedliwości jednego z nich wybierał, a mógł i wszystkich zabrakować i od siebie sędziego mianować. Prawie trzecia część posad sędziów gminnych była w ten sposób — mianowana z urzędu. Po wtóre sądom gminnym dano ten przywilej, że chociaż w nich część piśmienna i wyroki miały być w języku rosyjskim, ale postanowiono że przy rozpoznaniu spraw może być dopuszczane używanie, prócz rosyjskiego, jeszcze i miejscowego języka, skoro strony i uczestniczące w sprawie osoby nie rozumieją rosyjskiego. (Uwaga do artykułu 264 organizacyi sądowej s. różdz. XVII).

W Radzie państwa sądy gminne były przedmiotem zaciętego sporu. Zostały wreszcie przyjęte dzięki mocnemu ich poparciu przez sekr. stanu do spraw Król. Polsk. Nabokowa, późniejszego ministra sprawiedliwości. Płonkami okazały się obawy, że będą te sądy nie sądziły, a politykowały. Do wielkiego stosunkowo powodzenia sądów gminnych przyczyniły się te okoliczności, że odrębnych stanów już nie było w Królestwie od początku XIX wieku, że ostry antagonizm ziemian z włościanami ustał wnet po rozcięciu kwestyi agrarnej przez ustawę 2 marca 1864 r. że w gminie włościanin nie piał się do posad sędziowskich dla braku wykształcenia, natomiast miejscowa inteligencja polska, usunięta od wszelkiego państwowego urzędowania, ubiegała się o te posady, na których mogła przynieść ko-

rzyść swojemu społeczeństwu i zadawalniała się lichem stosunkowo wynagrodzeniem (700 do 1000 rubli płacy rocznej gminnego sędziego), na którem żaden prawnik, przybysz z Rosyi, by nie poprzestał.

W ciągu kończącego się trzydziestolecia od wprowadzenia reformy sądowej do Królestwa w r. 1876, sądy gminne zyskały u miejscowych władz administracyjnych (począwszy od generał-gubernatora Hurki) i sądowych (starsi prezesowie izby warszawskiej Gerard i Arystow) reputację urzędów nieposzlakowanych i kwalifikujących się do utrzymania bez zmian. Równie też bez zmian figurują one w projekcie rządowym ustaw sądowych, przedstawionych Radzie państwa.

Kwestya dalszego ich ukształtowania nie jest jeszcze dla dziennikarstwa aktualną; będzie nią, skoro Rada państwa przystąpi do rozpoznania projektów. Nim to nastąpi, pozwalamy sobie na zakończenie zaznaczyć punkt zapatrywania się na tę kwestyę w teraźniejszości, znacznie odmienny od tego, z którego zapatrywano się na nią w 1876 r. przy wprowadzaniu sądowej reformy do Królestwa, gdy szanowano jeszcze kardynalne zasady ustaw sądowych 1864 r., od których już dzisiaj znacznie odstąpiono. Wedle tych ustaw rosyjskie sądownictwo miało na wzór angielski taką organizacyę, że się składało z dwóch odrębnych części: 1) z sądów *z w y c z a j n y c h* dla ważniejszych spraw (sądy okręgowe i izby sądowe) i 2) z sądów *p o k o j u* wyborowych dla pomniejszych spraw, (sędziowie pojedynczy i ich zjazdy). Od 1881 r. zaczęła się mocna reakcyja przeciwko liberalnym reformom Aleksandra II.; zniesiono sędziów pokoju i ich wyborowość, wprowadzono ustawą 12 lipca 1889 r. sędziów wiejskich i naczelników ziemskich przez rząd mianowanych, jednoczących w swym ręku obie władze i administracyjną i sądową, co jest krzyżącym odstępstwem od głównej zasady sądownictwa i uniezależniono ich od kasacyjnego senatu, poddając odrębnym kasacyjnym urządzeniom gubernialnym.

Przejrzenie ustaw sądowych albo będzie powrotem

do połamanych kardynalnych zasad, co byłoby do życzenia, ale na to się nie zanoszą, albo do reszty popsuje budynek, w którym już poczyniono takie ogromne wyłomy.

Cieszyć się należy, że nowy projekt ustaw zachowuje sądy gminne w Królestwie jakie są, więc jest niejaka nadzieja, że ocaleją chociażby jako miejscowy wyjątek i że w nich się przechowa pierwiastek wyborczości, tak konieczny dla krajów potrzebujących rozwinięcia miejscowego samorządu.

W.

### Cenzura książek polskich.

Cenzura pism i książek polskich w Rosyi odbywa się, jak wiadomo niejednemu z naszych czytelników, na innych zasadach, aniżeli pism i książek rosyjskich. Dzienniki rosyjskie w obu stolicach, Petersburgu i Moskwie, wolne są od cenzury uprzedniej, podlegają, nie konfiskacie jak w Austrii, ale ostrzeżeniom, z których trzecie z kolei pociąga za sobą zawieszenie pisma i oddanie go pod cenzurę. Rygor ostrzeżeń został przed trzema laty znacznie z woli cesarza Mikołaja osłabiony: przez uchwałę, że moc prawna każdego ostrzeżenia ustaje po upływie roku. W ostatnich latach kilka pism codziennych na prowincyi uzyskało również uwolnienie od cenzury prowincyjnej: *Kijewlanin*, *Wilenski Wiestnik* i *Jużnyj Kraj*; wszystkie inne wychodzą pod cenzurą. Z pism tygodniowych tylko niektóre, w drodze wyjątkowej, nie mają cenzury uprzedniej; (rzecz charakterystyczna, że z faworu tego korzystał przez lat 25, świeżo za ostry ton opozycyjny zawieszony tygodnik żydów rosyjskich *Woschod*). Wszystkie bez wyjątku pisma ilustrowane są pod cenzurą. Nakoniec miesięczniki podlegają specjalnej, nie tyle cenzurze, ile kontroli: po wydrukowaniu każdego zeszytu komitet cenzury rozpatruje jego zawartość i jeżeli znajduje coś, co wedle jego przekonania jest zbyt rażąco sprzeczne z ustawą prasową, zmusza redakcyę do przedrukowania odnośnych arkuszy.



Dodać trzeba, że z tego prawa cenzura korzysta dość ogólnie z wyjątkiem pism posądzanych o kierunek teoretyczno-socyalistyczny, które są kontrolowane bardzo surowo.

Prasa polska w Rosyi nie zna bezcenzuralności, z której korzystają pisma codzienne rosyjskie, ani specjalnej cenzury, stosowanej do miesięczników rosyjskich. Naturalnie, że różnica w położeniu prawnem t. j. w teoryi nie przesądza jeszcze o położeniu faktycznym, t. j. o praktyce administracyjnej. Od większej lub mniejszej surowości cenzury zależy byt pisma daleko więcej, aniżeli od węższej lub szerszej koncesyi. Słuszność atoli wyznaczyć nakazuje, że, za obecnego panowania, różnica, niegdyś ogromna, w cenzurowaniu pism polskich i rosyjskich (o ile naturalnie te ostatnie podlegają cenzurze) zmniejszyła się znacznie i prawie zupełnie się wyrównała. Wiemy, że pod tym względem kursuje wśród publiczności inna opinia, tem niemniej jest to fakt, który zamilowanie prawdy stwierdzić nas zmusza.

Warunki prawne drukowania książek rosyjskich i polskich były jeszcze przed kilku laty, teoretycznie przynajmniej, zupełnie jednakowe. Podług obowiązującej ustawy prasowej, książki, objętości większej niż 10 arkuszy, drukowane w Petersburgu i Moskwie, nie podlegały cenzurze uprzedniej. Przed kilku jednak laty, na skutek porozumienia się generał-gubernatora warszawskiego z ministrem spraw wewnętrznych, wydane zostało rozporządzenie, orzekające, że ulga powyższa do książek polskich się nie stosuje. Do zrobienia tego wyjątku od prawa pomogła niejasność wyrażenia ustawowego *«otieczestwiennaja literatura»*. Co to jest «literatura ojczyzna»? Komentatorowie oficjalni orzekli, że pod tem wyrażeniem rozumieć należy tylko literaturę i prasę rosyjską, nie zaś polską, niemiecką, francuską, fińską i t. d. Tym sposobem drukowanie i wydawanie książek polskich (po nad 10 arkuszy) bez cenzury, praktykowane w Petersburgu, głównie przez ruchliwą firmę księgarską Kaz. Grendyszyńskiego, ustało. Wszyst-

kie książki polskie w obrębie państwa rosyjskiego podlegają odtąd cenzurze uprzedniej i, na mocy jednocześnie wówczas wydanego rozkazu, tylko cenzurze warszawskiej.

Na gruncie powyższych przepisów wynikła w roku zeszłym kwestya kazuistyczna. W Petersburgu od lat dziesięciu wychodzi «Zbiór pism Włodzimierza Spasowicza». Do roku 1903 wyszło tego zbioru wogóle 7 tomów, na zasadzie poprzedniego prawa a więc bez cenzury uprzedniej. Kiedy w marcu r. z. wydrukowany został tom 8 my, komitet cenzury w Petersburgu zatrzymał go, opierając się na wydanym zakazie. Wtedy p. Spasowicz, działając zarówno w interesie własnym jak i z pobudek ogólnych, zwrócił się z odpowiednim memoryałem do ministra spraw wewnętrznych p. Plewego, wykazując nielegalność postąpienia komitetu jak i wogóle niesłuszność wyjmowania literatury polskiej z pod ogólnie obowiązującego prawa.

W rezultacie, od naczelnika głów. zarządu spraw prasowych pod datą 16/29 maja r. z. za nr. 4905, otrzymał p. Spasowicz następującą odezwę:

Szanowny Panie!

P. Minister spraw wewnętrznych raczył pozwolić na wydanie VIII tomu, jak również i dalszych tomów zbioru pism pańskich w języku polskim, w porządku ustanowionym dla wydawnictw bezcenzuralnych, o czem jednocześnie zawiadomiony został komitet cenzury w Petersburgu dla wydania dalszych rozporządzeń.

Powiadamiając o tem Szan. Pana mam zaszczyt i t. d.

(podp.) *Zwierew.*

Naturalnie, że decyzya powyższa dotyczy tylko danego, w urzędowym podaniu p. Spasowicza podniesionego, faktu, i nie przesądza kwestyi zasadniczej. W porządku biurowym inaczej stać się nie mogło. Ale ma ona ważność precedensu. Te same racye, które wpłynęły na dalsze wydawanie Zbioru pism W. Spasowicza w Petersburgu bez cenzury uprzedniej, mają walor logicznie i konsekwentnie, dla rozstrzygnięcia i całości kwestyi. Jest więc otwarte pole do przedstawiań i starań.

Racye, o których mówimy, są zarówno formalne i rzeczowe.

Formalnie niepodobna uważać ograniczenia dla książek polskich za uzasadnione prawnie. Z zestawienia odnośnych paragrafów ustawy prasowej jasno wypływa, że prawodawca «literaturę ojczystą» przeciwstawiał nie innym «literaturom ojczystym» w Rosyi, ale literaturze zagranicznej. Wyrażenie «*otieczestwiennaja literatura*» jest istotnie sporne i elastyczne, ale że nie zagradza drogi do sprawiedliwszej interpretacyi dowodzi fakt, że przed dwoma laty najwyższa w Rosyi instytucya prawodawcza: Rada państwa — zrozumiała i wyłożyła go w sencie odmiennym: mianowicie zgodziła się z wnioskiem ministra o obłożenie cłem książek polskich, drukowanych za granicą, na równi z takimi książkami rosyjskimi, z zasady, że i te i tamte podpadają pod pojęcie «*otieczestwiennoj literatury*».

Z r z e c z o w y c h r a c y i przytoczymy te tylko, które wypływają nie ze stanowiska interesów naszej literatury narodowej, ale ze stanowiska interesów państwowych.

Przy ocenianiu stopnia cenzuralności książek i pism cenzura rosyjska ma dwie, logicznie usprawiedliwione i prawnie uznane, miary: Inaczej traktuje utwory pióra, podlegające cenzurze prewencyjnej, na których kładzie napis «*dozwoleno cenzuroju*», inaczej te, które kontroluje tylko *a posteriori*, i na których tego cenzuralnego *placet* niema. Do drugich odnosi się daleko wyrozumialej, jak do pierwszych. Jest to zupełnie zrozumiałe. Są książki i artykuły, których rząd w całości aprobować formalnie nie może, ale przeciw którym *jurem gladii* stosować nie uważa za stosowne, a często nawet i za potrzebne. Dwie miary odnosić się mogą w tym stopniu do literatury polskiej, co i rosyjskiej.

Następnie prawo drukowania książek polskich bez cenzury jest jakby rodzajem apelacyi od instancyi warszawskiej do wyższej, petersburskiej, do rządu centralnego. Taki sąd apelacyjny istnieje we wszystkich zakresach stosunków administracyjnych, nie należałoby wyłączać od jego kompetencyi i stosunki prasowe. Warszawski komitet



cenzury, działający pod kontrolą czy bez kontroli miejscowej władzy administracyjnej, nie powinien być instancją bezapelacyjną.

Jesteśmy przekonani, że obecny minister spraw wewnętrznych, który już niejednokrotnie złożył dowody spokojnego i bezstronnego o naszych stosunkach sądu, sam znakomity prawnik, uzna słuszość powyższych argumentów, zwłaszcza, że je uznał już w zastosowaniu do «Zbioru pism» Spasowicza.

*Or.*

## O ustawach grudniowych

z d. 10 grudnia 1875 r. i 27 grudnia 1884 r.

Kwestya rewizyi ustaw, ograniczających prawa Polaków we władaniu i rozporządzaniu ziemią w dziewięciu guberniach litewskich, białoruskich i małopolskich, nigdy prawie nie schodziła w Petersburgu z porządku dziennego. Ku końcowi panowania Aleksandra III, z inicjatywy generał-gubernatorów Drentelna i Orzewskiego, miano te ustawy jeszcze obostrzyć. Do tego nie przyszło skutkiem zmiany panowania. Cesarz Mikołaj II zniósł kontrybucyę i w ukazie odnośnym wskazał na potrzebę opieki nad kulturalną pracą polską na Litwie. Nie godziły się z tą zasadą nowe ograniczenia. To też w memoryale, złożonym w r. 1899 przez ministra spraw wewnętrznych Goremykina, nie było mowy o nowych ograniczeniach; skrytykowane nawet zostały ostro owe projekty wileńskie i kijowskie, do nich zmierzające; poruszoną została atoli potrzeba wydania przepisów dla zatamowania możności obchodzenia praw grudniowych. Jako jeden ze środków miało służyć zniesienie prawa o przedawnieniu w zastosowaniu do procesów, wytaczanych przez władze rządowe o obejście praw 10 i 27 grudnia. Nawet komitet ministrów, mniej dbający o stronę prawną niż Rada państwa, wniossek, jako sprzeczny z zasadniczymi podstawami rosyjskiego prawa cywilnego, odrzucił. Wniesieniu całego projektu nowych przepisów do

Rady państwa przeszkodziła dymisya ministra Goremykina. Akta sprawy zwrócone zostały nowemu ministrowi Sipiaginowi, a po jego śmierci i po mianowaniu W. K. Plewego, znalazły się znowu w kancelaryi ministerstwa spraw wewnętrznych. Sprawa rewizyi ustaw grudniowych nie została złożoną do akt, ale i nie rusza się żywiej. Stoi formalnie ciągle jeszcze na porządku dziennym, w każdej chwili może być wznowioną w tym czy owym kierunku. To dostateczny powód, abyśmy na nią zwrócili uwagę.

Przekroczyłyby rozmiary naszego artykułu rozwozić się nad ujemnem znaczeniem ustaw grudniowych, nad ich szkodliwością dla kulturalnego rozwoju kraju, nad ich bezużytecznością ze stanowiska celów, któremi uwodzili się ich twórcy.

Dziś, po latach 40, ustawy te, urzędownie nazwane «tymczasowemi», tracą nawet w oczach rządu charakter pozytywnego środka. Widać to z przedstawienia ministra Goremykina do Rady państwa, które mówi, że «zadaniem rządu powinno być już dziś nietylko usiłowanie rozszerzenia własności ziemskiej rosyjskiej w kraju zachodnim, ile raczej o zachowanie jej». Rząd po kilkudziesięcioletniem doświadczeniu mógł się przekonać, że pomimo znacznego przyrostu tej własności (około 6 mil. dziesięcin) nie zaszczerpił kultury rosyjskiej w kraju zachodnim, że rosyjscy ziemianie są absenteistami i kupują ziemię przeważnie dla spekulacyi lub tylko dla zysku, i że wogóle rozwój ekonomiczny kraju jest przez ukazy grudniowe spętany.

Czy stąd wynika, że można się obecnie już spodziewać zupełnego zniesienia ukazów grudniowych? Tego bynajmniej twierdzić nie chcemy. Naturalnie, że gdyby stosunki w Rosyi wogóle się zmieniły i nastąpiłoby zupełne równouprawnienie wszystkich narodowości i dzielnic — uprzątnięteby zostały i te prawa wyjątkowe. O tak radykalnej zmianie stosunków w tej chwili atoli mówić nie można. Nawet w najżycielszym nam odłamie wyższych administracyjnych i prawodawczych sfer, kwestya zupełnego zniesienia praw grudniowych jeszcze nie dojrzała. Natomiast

sądźmy, że chwila obecna nadawałaby się do podniesienia kwestyi złagodzenia praw grudniowych, a to z powodów następujących:

Pod względem czynników, od których utrzymanie ograniczeń ustawodawczych w mniejszym, lub większym stopniu zależy, trzeba przyznać, że zaszły zmiany na lepsze. Niepodobna porównywać czasów Ignatiewa i Dren-telna w Kijowie, a Kachanowa, Orzewskiego i Trockiego w Wilnie z chwilą obecną, kiedy generał-gubernatorem wileńskim jest światły administrator ks. Światopełk Mirski a generał-gubernatorem kijowskim jen. Klejgels, który bądź co bądź zostawił po sobie w Warszawie dobrą pamięć i trzeba mieć nadzieję, że i na nowem stanowisku nie będzie występował przeciwko Polakom wrogo.

Cokolwiek sądzą o znaczeniu obecnego ministra spraw wewnętrznych dla Rosyi, to jednak nie da się zaprzeczyć, że p. Plewe w zapatrywaniu się na nasze stosunki różni się od swoich poprzedników. Dość dla przykładu porównać jego poglądy na urzędnia ziemskie w kraju zachodnim z poglądami i projektami pp. Goremykina i Sipiagina, dość przeczytać jego ostatni memoriał do Rady państwa, jego zdanie o szkodliwości przewagi biurokracyi i o potrzebie wciągnięcia do pracy elementu miejscowego. P. Plewe nie jest naturalnie «polonofilem», ale, jako człowiek rozumny i znający stosunki, wie, że bez udziału żywiołu polskiego żaden postęp społeczny i ekonomiczny na Litwie, żaden rozwój kulturalny i cywilizacyjny nie jest możliwy i temu przypisać należy, że niewzruszalna zasada niedopuszczania Polaków do służby rządowej i rządowo-społecznej w Kraju zachodnim została obecnie, dzięki jego decyzji lub zgodzie, naruszoną przez nominacye pewnej ilości Polaków na «*niepremiennych członow*» (delegaci urzędowi zarządów ziemskich na powiaty), na naczelników ziemskich i na członków zarządów gubernialnych ziemstw.

Byłoby błędem nieprzebaczonem przeceniać znaczenie wszystkich wymienionych faktów, ale nie mniejszym — bagatelizować. Byłoby złudzeniem przypusz-



czać, że rząd zgodziłby się na zniesienie ukazów grudniowych, ale, z pewnem prawdopodobieństwem, przypuszczać wolno, że zniesienie tych ich części składowych, które są tylko uciskiem, nie przynosząc państwu odpowiednich korzyści — możeby nie natrafiło na zbyt wielkie przeszkody i protesty w Petersburgu.

Nawet minister Goremykin, odznaczający się wielką niechęcią i nieufnością do nas i przedstawiający w r. 1900 projekt rewizyi ustaw grudniowych, w tym duchu ułożony i skierowany przeciwko różnym formom obejścia prawa, i ten jednak wymienił kilka punktów, które, przyjęte, miałyby charakter nie obostrzenia, ale raczej pewnego osłabienia ustaw grudniowych, jak np. zniesienie wydawania świadectw na kupno przez generał-gubernatorów i pozwolenie rosyjskim właścicielom majątków, t. zw. instrukcyjnych, oddawania tych majątków w dzierżawę i administrację Polakom.

Motywy do rewizyi ustaw grudniowych w duchu liberalniejszego ich stosowania mogłyby być między innymi następujące:

Naprzód: ogólnoprawne i ekonomiczne, które demonstrowali w sposób przekonujący najwybitniejsi nasi prawnicy i działacze społeczni, poczynając od Włodz. Spasowicza, który przed dwudziestu laty w szeregu artykułów wstępnych w *Kraju* wykazywał całą ich nielogiczność, od adwokata B. Olszanowskiego, który w broszurze swojej, ogłoszonej w Petersburgu poddał je kompetentnej krytyce, do p. Edw. Woyniłłowicza, zasłużonego wiceprezesa towarzystwa rolniczego mińskiego, który w swym referacie, złożonym w r. b. w Komitecie rolniczym zebrał wszystkie najważniejsze argumenty natury ekonomicznej i społecznej.

Następnie możnaby udowodnić, że nigdy, ani w tekście ustaw, ani w ich motywach nie było mowy o tem, żeby prawodawca miał na celu zupełne unicestwienie własności ziemskiej polskiej w kraju zachodnim, wszędzie mowa jest tylko o tem, że celem tych zarządzeń jest tylko *«usilenje ruskawo ziemlewładenja»* (wzmocnienie rosyjskiej

własności ziemskiej). Wprawdzie w ukazach grudniowych nigdzie nie ma wzmianki o tem, co pod «*usilenjem*» rozumieć należy, do jakich granic własność rosyjska dojść powinna, aby uważać ją za dość silną ze stanowiska rosyjskich interesów państwowych, są jednakże dowody i wskazówki, że myślano tylko o przewadze żywiołu rosyjskiego:

1) Zarówno przepisy 10 grudnia 1865, jak i 27 grudnia r. 1884 noszą charakter i tytuł «tymczasowych», na pewien czas tylko ustanowionych. Ukaz r. 1865 z inicjatywy Murawiewa wydany, miał nie tylko na celu uruchomienie własności ziemskiej i wytworzenie w niej większości rosyjskiej, był on zarazem środkiem bojowym i karnym. Czy po 40 latach spokojnego rozwoju kraju, można jeszcze uważać środki represyjne za potrzebne, a system karny za usprawiedliwiony? Zdawałoby się, że nie.

Wskazuje na to pośrednio i tekst manifestu z dnia 27 marca 1897 r. o zniesieniu kontrybucyi, w którym jest mowa o zapomnieniu przeszłości i o opiece nad kulturalną pracą ziemian polskich.

2) Że ustawodawca i rząd myśleli zawsze tylko o wytworzeniu przewagi rosyjskiej w większej własności ziemskiej kraju zachodniego, a nie o zupełnym zaniku własności polskiej, o tem świadczy pośrednio ustęp ukazu 31 grudnia 1870 r., z przed laty 33, a więc w kilka lat za ledwie po powstaniu w chwili mocnego jeszcze zaognienia stosunków wydany. «Uważając kontrybucyę w 9 guberniach zachodnich», — są słowa ukazu — «za środek tymczasowy wywołany okolicznościami nadzwyczajnymi rozkazujemy zaprzestać pobierać opłat tych stopniowo we wszystkich tych guberniach, skoro  $\frac{2}{3}$  części własności obywatelskiej przejdzie do rąk właścicieli pochodzenia nie-polskiego, a liczba tych ostatnich wyniesie najmniej połowę posiadaczy majątków obywatelskich w gubernii».

3) Ślad podobnego zapatrywania rządu znajdujemy i w memoryale ministra Goremykina do Rady państwa z r. 1898, w którym powiedziano między innymi że: «Na przyszłość, dla rozwoju rosyjskiego nieustannego posiada-

nia ziemi w kraju zachodnim potrzebnem jest nie zarządzenie nowych środków nadzwyczajnych ku wyparciu własności ziemskiej z rąk osób pochodzenia polskiego, ile raczej baczna ochrona ziemi, już należącej do obywateli Rosyan od powrotu do rąk polskich».

Ze wszystkich powyższych przesłanek wynika:

1) Że za pomocą dokładnej statystyki, którą można zebrać w urzędach gubernialnych i uzupełnić danemi centralnego komitetu statystycznego, możnaby udowodnić, że w pewnych powiatach *respective* guberniach własność ziemska rosyjska dosięgła obszarów, które ze stanowiska rosyjskich interesów państwowych uważać należy za urzeczywistnienie celów, jakie miał na względzie ukaz d. 10 grudnia.

2) Że opierając się na powyżej przytoczonym ustępie z raportu Goremykina, możnaby sądzić, że udałoby się przekonać rząd, jeżeli nie o możliwości zupełnego zniesienia ukazów grudniowych, tj. o zniesieniu ustaw, które zabezpieczają *status quo* własności rosyjskiej, to przynajmniej o możliwości, o potrzebie, o konieczności zniesienia ograniczeń krępujących własność ziemską polską: a więc uznania swobody rozporządzania tą własnością, przechodzenia ziemi z rąk polskich do rąk polskich, długoletnich dzierżaw, których wymaga racjonalna kultura ziemi i t. d.

Naturalnie, że stępienie ostrza praw grudniowych w powyżej określonym kierunku nie rozstrzygałoby jeszcze kwestyi o ich całości. Polityczne uspokojenie kraju, o co przecież państwu chodzić musi, nastąpiłoby tylko wtedy, gdyby usunięta została anomalia, sprawiająca, że cała kategoria ludności, spokojnej i wzorowo z uznaną korzyścią dla kraju i państwa pracującej, pozbawiona jest najważniejszych praw cywilnych, nastąpiłoby wtedy, gdyby ludność ta, zrównana w obowiązkach, mogłaby się poczuć i zrównaną w prawach. Ale póki ta pożądana przyszłość nie nastąpi, byłoby rzeczą ze wszechmiar pożądaną, ażeby przynajmniej najdotkliwsze środki prawodawczej represyi, przeciwko polskiej ludności kraju zachodniego skierowane, zostały usunięte.

Or.



## WŚRÓD NASZEJ MŁODZIEŻY.

---

W pojęciach i poglądach młodzieży naszej zaszły ostatnimi czasy charakterystyczne zmiany, o których nie można mówić inaczej, jak z uczuciem szczerego zadowolenia. Młodzież polska, albo, ściślej mówiąc, jej część najlepsza i najrozumniejsza po kilkoletnim okresie, w którym wydawało się jej, że głównem jej zadaniem jest nie nauka, lecz uprawianie polityki, a nadewszystko czuwanie nad bezpieczeństwem i czcią narodu, które starzy chcą zaprzęścić, ta młodzież ocknęła się i zadała sobie nakoniec pytanie: czy to wszystko nie było czasem z jej strony tylko przykrą pomyłką? Autor znanej publikacji, poświęconej rozbiorowi prądów, nurtujących obecne pokolenie młodzieży polskiej, przeprowadziwszy analizę współczesnej duszy młodzieńczej, znalazł w niej szereg nienormalności, które określił nie jako organiczne, lecz nabyte: rozpolitykowanie się, skłonność do oceniania zjawisk publicznego życia ze stanowiska szowinistycznej ciasnoty i wyłączności, nieufność do starszych i pochop do dawania im lekcji patriotyzmu, nieraz w brutalnej formie, a zawsze z wielką dozą zarozumiałości. Młodzież przeczytała książkę Scriptori skwapliwie i odpowiedziała grzmiącym protestem przeciw «tendencyjnemu oczernieniu» jej... Leczą, o dziwo! Kilka zaledwie miesięcy minęło, — a oto posypał się szereg wynurzeń, w których wybitniejsi przedstawiciele, prze-

ważnie, narodowo-demokratycznego kierunku, wśród młodzieży akademickiej w Galicyi i zagranicą dają pośrednie świadectwo prawdziwości charakterystyki Scriptora...

Głosy te, to dowód także, że w młodzieży polskiej są istotnie te szlachetne struny duszy, o których Scriptor z gorącem pisał uznaniem; dowód tężyzny charakteru, dozwalającej prawdzie spojrzeć w oczy i błąd własny uznać. Z głosów tych przytoczymy bodaj parę bardziej znamienych wyjątków.

Na dorocznym obchodzie Mickiewiczowskim we Lwowie 23 marca 1903 r. powiedział przewodniczący czytelnicy akademickiej:

«Nie jesteśmy wolni od wad, nawet wielkich, niestety. Największą z nich jest, żeśmy nie doszli jeszcze do zupełnej zgody i karności działania wewnątrz nas samych. I w tem właśnie okazują się najzgubniejszymi skutki przesadnego rozpolitykowania; w ważnych chwilach stajemy już często razem wszyscy: mimo to wszystko rozrywają nas w codziennem działaniu niezgoda, *podęjrliwość, wyłączoneść i nietolerancja obcych poglądów*, tem większa, im mniejszy i ściślej określony kąt widzenia dane zapatrywania obejmują. Prawda, że gdzie życie, tam wre i walka, prawda, że tylko w wirze mogą się tworzyć silne charaktery, ale też przyznać trzeba, że fale niezgody wzbierają czasem na z b y t w y s o k o i sprowadzają gorycz i chwilowe zniechęcenie».

Tenże sam mówca uznał, że rozpolitykowanie się młodzieży wpływa niekorzystnie na studia, obniża poziom jej naukowego przygotowania.

«Pojawiają się — rzekł — zdania, że polityka zabija w nas wszelkie pragnienie wiedzy. *Istotnie* stwierdzić można, że studia nasze *nie odbywają się* w warunkach *normalnych*, że zajęcia sprawami publicznymi *pochłania* znaczną część sił dzielniejszych, że już *stale, nie dorywczo, o g a r n i a* coraz *szersze* koła młodzieży. Są *szkody, nawet może straty*».

Jeszcze dosadniej i z uwzględnieniem szkód, jakie to może wyrządzić rozwojowi nauki polskiej, wypowiedział tę samą myśl przewodniczący związku polskich towarzystw akademickich w Austrii «Ogniwo» w przemówieniu, otwierającym zjazd delegatów we Lwowie, w kwietniu 1903 r.

«Wyjątkowe stanowisko młodzieży polskiej w Galicyi, mającej możność pracy nad rozwojem nauki polskiej, wkłada na nią nowe obowiązki. Tymczasem widzimy, że wśród ogółu młodzieży istnieje *zbyt małe przywiązanie* do naszych wyższych zakładów naukowych. Mamy przykłady, że fakultet uniwersytetu, obsadzony przez ośmiu profesorów, *może nie mieć ich następców* na katedrach. Istnieją seminaria, które nie wydają *żadnej pracy*, instytut urządzony po europejsku, w którym *niema pracowników*. Nie mamy wśród siebie ducha *pracy obywatelskiej*. «Ogniwo» będzie musiało pomyśleć o środkach zaradzenia złemu».

W ostatnich dniach grudnia 1902 r. odbył się w Zurychu zjazd delegatów stowarzyszeń polsko-akademickich. O nastroju, jaki panował na tym zjeździe, pisze sprawozdawca *Teki*:

«Zrzekliśmy się *pretensyi wiecznego krytykowania* społeczeństwa: nie chcemy go mentorować, wyrażać uznania i pogardy, nawet rad mu dawać nie chcemy, doszliśmy bowiem do przekonania, że wszystko to jest bezcelowe, a raczej ehybiające celu i śmieszne czasami, o ile nie *szkodliwe* przez ten przykry *rozdźwięk*, wytwarzający się skutkiem *nepowołanej krytyki* między pokoleniem młodem a starem. Że zaś naprawdę zupełnie wyleczeni jesteśmy z *dawnych błędów*, dowodem tego najlepszym choćby ten fakt, że upadł wniosek wpływania na społeczeństwo, w celu powstrzymania go od brania udziału w wystawie wszechsłowińskiej».

Równocześnie zaś sama redakcyja *Teki* wystąpiła z artykułem, który był męskim uderzeniem się w piersi po poznaniu swych win.

«Chyba nie może być *więcej demoralizującego* stosunku młodzieży do swojego społeczeństwa, jak to *uzurpowanie* sobie prawa wyrażania różnych «pogard», «hańb» i t. d., które oprócz innych stron wstretnych, jest właściwie nieustającym kultem samoadoracyi dla członków sekty. Rzucając naokoło «hańby» *oddziela* się ona od społeczeństwa i cieszy się z tego, napawa dumą. W imię czego? Czy w imię tych zasług, które położyła już, czy tych, które położyć zamierza?»

Młodzież lubi dużo mówić o swoich rzeczywistych, lub, co częściej urojonych prawach, ale, jak ognia, unika słowa: «obowiązek». Tymczasem (powiada *Teka*):

«Zamiast pytać, jak ma postępować społeczeństwo, aby zyskać aprobatę młodzieży, należy zastanowić



się, *co młodzież powinna czynić*, aby wnieść w życie nowe pierwiastki myśli i czynu, którym chce w społeczeństwie zapewnić panowanie. Jest to różnica stanowisk kardynalna, chociaż nie zaznaczoua w żadnym programie: pierwsze czysto opozycyjne względem społeczeństwa, negatywne, stwarza tylko *zarozumiiałych krytyków*, oddziela młodzież od żywego środowiska, *wyjałowia mózgi i wysusza serca*, służy za podstawę atomizacji społecznej, bo taka młodzież, gdy wejdzie w życie, da typ dekadentów moralnych, ludzi skończonych, zadowolonych, że i oni byli kiedyś farysami.

Pismo *Przyszłość*, które w styczniu 1903 r. założyła pewna grupa akademików w Krakowie, oświadczyło, że pragnie

«zająć stanowisko czysto przedmiotowe, *wolne od szowinizmu i partyjności*. Dlatego też nie przyłączamy się do *żadnego* z istniejących *stronnictw* i żadnego z nich wyrazem nie będziemy. Sumienny, a niezawisły względ w sprawy narodowo-społeczne — oto podstawa, na której pragniemy my młodzi *budować* nasze zasady».

Nareszcie wyszła w Krakowie 1903 r. broszura p. t. «Uwagi z powodu Naszej młodzieży Scriptora; odczyt, wygłoszony w jednym z Towarzystw Zjednoczonych», której autor, polemizujący ze Scriptorem na całej linii, daje od siebie charakterystykę młodzieży w trzech czwartych zgodną z jego charakterystyką. Autor, sam należący do młodego pokolenia, radzi młodzieży zaprzestać mieszania się do polityki.

«Jeżeli każde zajęcie — mówi słusznie — wymaga pewnej wiedzy, pewnego doświadczenia, słowem przygotowania, to tembardziej wymaga go tak skomplikowana rzecz, jaką jest polityka. Rozumie się, że młody człowiek, który dopiero co, albo najwyżej przed kilku laty wyszedł z gimnazjum, ani potrzebnej wiedzy, ani doświadczenia nie ma; działalność więc jego polityczna, a chociażby tylko krytyka działalności innych, będzie z konieczności podlegała wrażeniom chwili, znaczenie jej będzie żadne; przykład uchwały akademików lwowskich po przeszłorocznej mowie malborskiej Wilhelma II, przytoczony przez Scriptora na 146 str., pokazuje nam najlepiej, do jakiego zaniku zmysłu krytycznego młodzież może dojść w swych politycznych uchwałach. Ten udział młodzieży w krytyce politycznej, jeżeli bezpośrednio nie wywiera żadnego wpływu na bieg spraw politycznych, to w każdym razie pośrednio może dużo zaszkodzić, przez to, że demoralizuje młodzież».

Wszystkie te wynurzenia są w równym stopniu po-

cieszające, jak niezwykle. Lepsza część młodzieży już ocknęła się z tego oszołomienia, w jakie ją wprawiły zabiegi pewnych polityków, zakładających w studenckich kółkach podwaliny «partyi».

Czy między temi faktami, a książką Scriptora zachodzi związek, to rzecz obojętna. Obchodzi nas tylko to, iż w pojęciach młodzieży zaczęła się zbawienna reakcja. Przyznanie się do błędów już nastąpiło. Teraz należy oczekiwać drugiej części dzieła: żeby zasady weszły w życie.

---

Jak wiadomo, słowiańskie Towarzystwo Dobroczynności w Moskwie posłało w styczniu 1902 r. sumę 200 rubli dla rodzin dzieci wrzesińskich, prześladowanych przez rząd pruski, na ręce prezesa Koła polskiego w Wiedniu, p. Apolinarego Jaworskiego. Prezes Koła polskiego przyjął tę ofiarę z podziękowaniem, w mniemaniu, iż nie uchybia godności narodowej. Był jednak w błędzie. Kompetentniejsza bowiem od niego Czytelnia akademicka we Lwowie uznała, że to się nie zgadza z honorem narodowym, zebrała więc 200 rubli i w grudniu 1902 r. posłała je Słow. Tow. Dobr. z objaśnieniem, że młodzież «zwraca» to, co przyjął prezes Koła polskiego i «przeznacza» rzeczoną sumę dla rodzin prześladowanych duchoborców, w czem była oczywista sprzeczność, bo jeżeli się coś komuś zwraca, to niepodobna tą rzeczą równocześnie rozporządzać. Tow. Dobr. nie przyjęło 200 rb. i odesłało je do Lwowa z listem, wyjaśniającym, że cel, na który je Czytelnia przeznaczyła, nie wchodzi w zakres jego zadań. Wobec tego Czytelnia wysłała zakwestyonowaną kwotę redakcyi *Oswobodźdienia* w Sztutgarcie z opisaniem całej sprawy *ab ovo* i prośbą o doręczenie owych 200 rb. rodzinom duchoborców. Redakcyja *Oswobodźdienia* podjęła się tej misyi i wysłała wspomnianą sumę duchoborcóm rosyjskim w Kanadzie. Na tem się ostateczna sprawa zakończyła.

---

Korespondent *Teki* maluje w bardzo ciemnych barwach obraz współczesnej młodzieży wileńskiej. Naczelną cechą tej młodzieży jest niesłychanie rozwinięta nerwowość, która się objawia ciągłą zmianą stanów psychicznych, nagłymi, niczem nieuzasadnionymi przeskokami od apatyj do podniecenia i chorobliwej wiary w cud, mający zbawić Polskę. Do najpoczytniejszej lektury zaliczają się też rzeczy tak biegunowo różne, jak powieści modernistyczne, osnute na pierwiastku zwątpienia i niewiary, — i jaskrawe opowiadania o zwycięstwach na polach bitew i o przyszłym powstaniu. W atmosferze tej

«powstają ludzie stepiali w uczuciach etycznych i narodowych. Przykładów wiele możnaby przytoczyć. Jednym z takich jest znane zabójstwo Tomaszewskiego, dokonane przez studentów; do objawów zwyrodnienia zaliczyć również należy wypadki częstszych samobójstw wśród młodzieży gimnazjalnej, aczkolwiek rzadko przez Polaków popełnianych, lecz ilustruje to środowisko, w którym żyjemy».

---

*Teka*, w artykule p. t. «Do polskich szkół wyższych!» (1903, nr. 8—9), podnosi, że Królestwo Polskie wysyła za wiele młodzieży do uniwersytetów zagranicznych lub wogóle nie polskich, a za mało do wyższych szkół w Galicji. «Okolo 5.000 Polaków uczy się zagranicą (przeszło 2.000 w Rosyi, około 2.000 na Zachodzie), przeszło połowa z nich przypada na uniwersytety, a na uniwersytecie lwowskim było w ostatniem półroczu «obcokrajowców» — 55! To stanowczo za mało, nawet, gdy się uwzględni Kraków, który (wraz ze studyum rolniczem) ściąga większą liczbę «obcych poddanych» (w ostatniem półroczu zim. 244). Istnieją już dzisiaj wskazówki, jak społeczeństwo z tamtych zaborów, posyłając tu swą młodzież może nawzajem dbać i o jej utrzymanie i o szkoły, w których się ona uczy. Akcje takie, jak poparcie pieniężne «domów akademickich» w Krakowie a podobno i we Lwowie, jak tworzenie specjalnych stypendyów dla młodzieży zakordonowej (np. fundacya Czabana), jak mnóstwo istniejących już stypendyów bez tych zastrzeżeń z fundacyj mających swe źródła w innych zaborach — mogą się w miarę potrzeb rozszerzać». Przy tej sposobności omawia *Teka* stan obecny uniwersytetu warszawskiego i dowodzi, że nauka stoi tam tak nisko, iż młodzież, nawet miejscowa, musi szukać światła gdzieindziej.

---

Korporacye studentów polskich w Rydze «Welecy» i «Arkonii» przeszły przesilenie, którego następstwem było wypisanie się tak znacznej liczby członków, iż w dwóch towarzystwach zostało ich tylko 15. Podług informacji *Promienia*, z którego tę wiadomość czerpiemy, stało się to na tle różnicy zdań, jaka wynikła w sprawie uroczystego pochodu wszystkich korporacyj studenckich w Rydze dla zamanifestowania uczuć wobec wojny. Pochód był zainicyowany przez dyrektora politechniki. «Welecy» i «Arkonii» nie wzięły w nim gromadnego udziału.

---



## RZECZY BIEŻĄCE.

---

### Sprawa ambulansu.

Odezwa ks. arcybiskupa warszawskiego Popiela, ogłoszona w pismach i wzywająca ogół do składek na urządzenie polsko-katolickiego oddziału sanitarnego, który wysłany zostanie na teren wojny, wywołała nieoczekiwany i nieprzewidziany skutek. W nocy z d. 28 na 29 marca b. r. nieznani sprawcy, uzbrojeni w kamienie, znaleźli się przed mieszkaniami osób, które ks. arcybiskupa uprosiły do przyjmowania składek, i powybijali wszystkie szyby frontowych okien. Stało się to mianowicie w pałacu bar. Leopolda Kronenberga, ks. Włodzimierza Czetwertyńskiego, p. Ludwika Górskiego, p. Szlenkiera i ks. Macieja Radziwiłła. Sprawcy po spełnieniu tego czynu umknęli szczęśliwie. W pałacu arcybiskupim wybicie szyb nie powiodło się.

Ten czyn, sam w sobie drobny, wywarł silne wrażenie nie tylko w Warszawie, ale i daleko od jej rogatek. I nie mogło być inaczej. Sprawa oddziału sanitarnego była humanitarna, nie polityczna i w dodatku postawiona na wyznaniowym gruncie. Mimo to — posypały się kamienie!

Demonstracya nie skończyła się na tem. Znalazły się pisma, które nie tylko nie zdobyły się na jej skarcenie, lecz powitały ją z uznaniem, jako akt wielkiego patriotyzmu.

*Nowa Reforma*, która ostatnimi czasy kilkakrotnie złożyła dowody, że potrafi spokojnie oceniać zjawiska naszego życia politycznego i kilka jeszcze dni przedtem wyszydziła najostrzej ze wszystkich pism odezwę Ligi Narodowej, ta sama *Nowa Reforma* wystąpiła teraz z artykułem, w którym oświadcza, że «pojmuje» to, co się stało w Warszawie i że «ocenia ten objaw niezadowolenia młodzieży z całej inicjatywy ks. arcyb. Popiela, i z zawiązanego pod jego auspicjami komitetu...» jako rzecz naturalną. Zaznaczywszy, że «należy się liczyć z ogólnym nastrojem ludności polskiej w Królestwie wobec wojny», tak tłómaczy swoje stanowisko w sprawie projektu arcybiskupiego:

«Co do ambulansu dla rannych «katolików», to ufundowanie go mogłoby liczyć na pewne ze strony polskiej sympatyje, gdyby się jakakolwiek, choćby najmniejszą, miało pewność, że służyć on będzie wyłącznie do leczenia polskich żołnierzy. Tego zapewnienia ani ks. arcybiskup, ani komitet od rządu rosyjskiego nie żądał i swojemu społeczeństwu dać go nie mogli. Cechą odrębności ambulansu ma być jedynie to, że opiekę nad rannymi obejmą w nim Siostry Miłosierdzia i księża katoliccy. Nie daje to atoli żadnej gwarancji, czy ambulans nie będzie musiał przyjmować rannych żołnierzy bez względu na ich wyznanie, a raczej pewnym być można, że wyznaniowej segregacji ambulansowi, podległemu komendzie rosyjskiej, nie będzie wolno robić».

Jak największego nieszczęścia obawia się więc *Nowa Reforma*, aby wypadkiem który żołnierz Rosyanin nie skorzystał z okruszyn polskiego miłosierdzia. Naturalnie, że ktoś, kto wychodzi z takiego założenia, nie może warszawskiego wybryku potępić. *Nowa Reforma* ma za wiele kultury, aby się mogła nim zachwycać (zobaczmy zaraz, że i tacy się znaleźli), lecz z łatwością zdobywa się na usprawiedliwienie tego, co się stało. Kończy swoje wywody słowami:

«Demonstracya to bez wątpienia przykra dla tych, przeciw którym była skierowana, atoli jest ona znowu wpływem tłumienia opinii publicznej tam, gdzie jej gnębione i wśród anormalnych stosunków żyjące, społeczeństwo polskie najwięcej potrzebuje».

Podobnie odezwało się *Słowo Polskie*.

Po krótkim nieoryentowaniu się, podczas którego *Słowo* wyrwało się niebaczne potępienie zajścia i przypisanie go socyalistom, doniosło — widocznie na podstawie swoich warszawskich informacji — że demonstracya była dziełem młodzieży rzemieślniczej i «wyrazem usposobienia, panującego w tych kołach». Zrazu *Słowo* robiło taką minę, jakby pragnęło utrzymać się ponad tem, co się stało w Warszawie; sądziło, że demonstracya «nie daje powodu ani do wygłaszania zachwyków, ani do wygłaszania protestów»; że jest to tylko «objaw charakterystyczny nastroju opinii warstw ludowych w Warszawie i wogóle w Królestwie...» Ale wnet organ wszechpolski opuszcza to górne stanowisko i schodzi na poziom ulicznej awantury. Bo czyż tak samo nie rozmawiali zapewne warszawskie szybotłuki, jak rozumuje *Słowo Polskie*, gdy pisze, że

«nie ci, którzy wybijali szyby, ale ci, którym szyby w Warszawie wybito, świadczą, że przestajemy być narodem cywilizowanym, kiedy w wyższych warstwach tego narodu tracimy poczucie swej samodzielności, dążymy do zlania się z dziczą moskiewską w jeden organizm państwowy, do zsolidaryzowania się chociażby w dziele miłosierdzia z barbarzyńskim jej rządem».

Wysłanie przez Polaków oddziału sanitarnego dla pielęgnowania rannych, to «zlewanie się z dziczą moskiewską!» *Słowo Polskie* nie posiada się ze złości na ks. arcyb. Popiela, jako organizatora akcji, nazywa go «lęklwym starcem», «człowiekiem słabego charakteru» i wreszcie konkluduje, że

«gdyby nawet przedsięwzięcie arcybiskupa Popiela miało wyłącznie charakter humanitarny, to jest ono szkodliwem, skoro znieprawia politycznie szerokie warstwy ludności».

W górnieszy jeszcze ton uderzył *Przeł. Wszechpolski*... W oczach jego wybicie szyb urosło do znaczenia historycznego niemal faktu, stało się «samorzutnem wystąpieniem patryotycznej ludności przeciwko akcji, obrażającej jego uczucia...»

W obronie demonstrantów wystąpił *Kuryer Lwowski*. Dla niego jest faktem niezbitym, że w akcji, zainicyowanej przez ks. arc. Popiela, szło o politykę, i basta. To



samo, co *Kuryer Lwowski*, «zrozumiała» i garść demonstrantów warszawskich,

«zrozumiała, że tu nie chodzi o pomoc dla rannych, ale o manifestację polityczną na korzyść Rosyi, o zaznaczenie sympatii dla oręża rosyjskiego, słusznie więc ta służalcza demonstracja, projektowana przez dostojników, wywołała kontrdemonstrację ludową».

Ale gdyby to nawet nie była manifestacja «na korzyść oręża rosyjskiego», tylko akt sympatii, czy miłosierdzia dla cierpiących Rosyan, to także zasługiwałby w oczach *Kuryera* na potępienie. Wprawdzie bowiem «dzisiaj nikt nie jest pozbawiony litości nad rannymi, choćby przeciwnikami», lecz litość ta dopóty jest dozwolona, dopóki jest platoniczna, pod żadnym zaś warunkiem nie wolno jej objawić się czynnie. Z tego, że żywimy ludzkie uczucie miłosierdzia dla Rosyan, którzy obok Polaków, padają pod kulami japońskimi, «nie wynika, aby społeczeństwo polskie miało zbierać składki na rannych żołnierzy rosyjskich».

Oczywiście, że i *Naprzód* zsolidaryzował się z awanturą, zaznaczając w liście z Warszawy krótko, że

«bicie szyb spotkało się z aprobatą powszechną i tylko skrajni ugodowcy oburzają się na jego sprawców».

Przeciw projektowi oddziału sanitarnego (jeszcze przed demonstracją w Warszawie) wystąpił odrazu *Polak* (nr. marcowy), dając ludowi jedną ze swoich charakterystycznych lekcji patryotyzmu:

«Nadchodzi na nas czas próby — woła *Polak* — musimy dowieść, że naród nasz posiada już tyle oświaty i zrozumienia swoich interesów, że nie da się wziąć na lep pięknych słówek urzędników moskiewskich lub tych Polaków, którzy Moskalowi służą. My z całej duszy życzymy powodzenia Japończykom, a jak największych klęsk Moskwie».

Czem jest zamierzony oddział sanitarny dla rannych? To «zwyczajne oszustwo, przez służalców moskiewskich wymyślane dla otumanienia ludzi ciemnych, niedoświadczonych, a serca posiadających miękkie». Bo przecież na wojnie «trudno wybierać Polaków rannych, a innych pomijać, tam trzeba każdego pomagać...». Nakoniec

uśmierzanie cierpień rannym «jest pomocą w prowadzeniu wojny, jest — ułatwieniem wrogowi zwycięstwa...»

Tak wypowiedziała się prasa skrajna za kordonem.

Zdania jej znalazły poważną przeciwwagę w opinii pism umiarkowanych, którą znowu streścimy pokrótce.

Jeden z dwóch głównych organów wielkopolskich *Dziennik Poznański* opowiedziawszy przebieg demonstracji, którą nazwał «jedną z najbardziej nonsensowych, jaką znają dzieje tromtadracyi patryotycznej w rozmaitych dzielnicach naszego kraju», — wyznał, że trudno wprost pojąć, jak mogła

«ta gołowaśa polityka, tey patryotyzm pajdokratycznie pojęty, uznać za czyn niepatryotyczny to, że udało się po niemałych staraniach, uzyskać pozwolenie na sformowanie osobnych oddziałów sanitarnych dla żołnierzy katolików i Polaków».

*Czas* karci ostro ekscesy warszawskie i nazywa je «objawem barbarzyństwa», wypadkiem «upokarzającym cywilizowane społeczeństwo». Ponadto jednak mają one jeszcze inną wymowę.

«Okazało się mianowicie po raz nie wiadomo już który, że żadne radykalne stronnictwo nie jest w stanie opanować rozbudzonych przez siebie mas, nie jest w stanie zatrzymać raz puszczonej w ruch lawiny. Jakąże wartość mają wobec tego nawoływania stronnictw radykalnych, do spokoju, do powagi, do trzeźwości».

Z żalem stwierdza *Czas*, że skrajnym opiniom, «jawnym lub zamaskowanym», nie przeciwstawia Królestwo opinii poważnej, że stosunki nie dopuszczają wydobycia się na powierzchnię prawdziwego przekonania społeczeństwa.

«Zobaczylibyśmy wówczas, jak silnem i powszechnem jest pociępienie tego rodzaju wybryków i za czyje to niesumienne lub dziecinne uczynki odpowiadać ma całe społeczeństwo».

*Głos Narodu*, opowiedziawszy znaczenie całego przedsięwzięcia, pisze, iż z żadnej strony nie spodziewano się, aby podobna akcja mogła wywołać czyjeś niezadowolenie.

«Nikt nie mógł przypuścić, że ten akt miłości chrześcijańskiej nie spodoba się pewnej garstce ludzi bezmyślnych, przeciwnych wszelkiemu aktowi, któryby dawał nawet tylko pozory lojalności wobec rządu, nie rozumiejących, że idzie jedynie o zupełne naturalną pomoc rodakom pozbawionym religijnej opieki».

Z bardzo rozumną uwagą wystąpiła *Gazeta Narodowa*:

«Jakkolwiek do demonstracji, która się odbyła wieczór w niedzielę w Warszawie, nie należy przywiązywać zbyt wielkiego znaczenia, za tłum bowiem — który sam nie sądzi, objawiając opinię swoją za pomocą wybicia szyb w oknach — żaden naród odpowiedzialnym być nie może — zajścia warszawskie przepelniają nas nie mniej głębokim smutkiem, są one bowiem dowodem chorobliwej i nieuleczalnej podejrzliwości, która wszędzie wietrzy zdradę».

*Gazeta Narodowa* zrozumiała, że demonstracja taka, jak ostatnia, to «woda na młyn prześladowców naszych», i że drażniąc już nie rząd, ale naród rosyjski, popełniamy, teraz zwłaszcza, błąd nie do darowania. Wśród Rosyan są wszakże tacy, co potępiają wynaradawianie i eksterminację. A właśnie wypadek ostatni musi rozdrażnić naród rosyjski. Wszak, jako główny motyw stanowiska wrogiego wobec ambulansu figuruje obawa, żeby z niego nie skorzystał, broń Boże, jaki chory Rosyanin!... Przypuśćmy — powiada *Gazeta Narodowa* — że «polskie siostry miłosierdzia będą pielęgnować rannych żołnierzy rosyjskich...»

«Zbrodni w tem nie widzielibyśmy, ale jedynie tylko prosty akt chrześcijańskiego miłosierdzia, jedynie tylko zastosowanie zasady prawa narodów: *Hostes dum vulnerati fratres*».

W parę dni po tym artykule zabrał głos w *Gazecie Narodowej* «jeden ze znakomitych polityków polskich» i z jeszcze większą siłą napiętnował wyskok szowinizmu. Wyznaje, iż chwytą za pióro

«z uczuciem bolesnego upokorzenia, pytając się, czy ucisk, w którym społeczeństwo polskie pod berłem carskiem pozostaje, zdołał istotnie sprawić, żeśmy przestali być narodem cywilizowanym? Wszystkie narody cywilizowane, a nie tylko narody chrześcijańskie, ale także poganie i muzułmanie, o ile chcą uchodzić za ludzi cywilizowanych, a nie za dzicz barbarzyńską, wyznają głośno zasadę, że należy nawet nieprzyjaciela, o ile on jest rannym lub chorym, ochraniać, ratować, pielęgnować».

Należałoby zwątpić o sobie, gdybyśmy się okazali niezdolnymi do tych wyższych uczuć. Nie obniżajmy lekko-myślnie poziomu naszej moralnej kultury! Lepszej przyszłości możemy się spodziewać po wzroście naszej siły,



ale także i po wzmagającym się wśród ludzi cywilizowanych poczuciu sprawiedliwości, które sprawi,

«że wreszcie sumienie ludzkości nie zezwoli na dalsze krzywdy narodu cywilizowanego. Ale, aby to nastąpiło, trzeba znowu, abyśmy na to zasługiwali, a wtedy zasłużymy, a wtedy naprawdę swoje siły wzmoczymy, jeśli stroniąc od polityki jałowej a bezsilnej, doradzanej przez nierozważne a mściwe uczucia, nauczymy się z chwałą pełnić obowiązki ludzi cywilizowanych, w sposób godny wielkiego narodu, Do tych obowiązków należy w pierwszym rzędzie niesienie pomocy rannym, bez względu na to, czy to swoi, czy obcy, przyjaciele czy nieprzyjaciele».

Nawiązując zaś jeszcze raz do warszawskiego ambulansu, stwierdza autor, że tu nie chodzi o «popieranie» Rosyi, jako strony wojującej, ale wyłącznie

«o spełnienie czynów miłosierdzia, nakazanych zarówno przez chrześcijaństwo, jak i przez kodeks międzynarodowej moralności».

Jeżeli zaś ten lub ów Rosyanin będzie zawdzięczał uzdrowienie Polakom, tem lepiej! Przysporzy to nam tylko przyjaciół w narodzie rosyjskim.

---

### Ostatnia faza w dziejach Skarbu Narodowego.

W życiu naszych skrajnych stronnictw instytucja Skarbu Narodowego zasługuje na osobliwą uwagę. Jest bowiem typową. Olbrzymie założenie obok mizernych środków, organizacja ustawicznie wahająca się między jawnością przygodnie utajaną, a tajnością wyprowadzaną na jaw, systematyczne okłamywanie siebie i drugich, błaga podszyta naiwnością bez granic: wszystkie rysy cechujące naszą polityczną agitację na rewolucyjnym gruncie odnajdują się tutaj w najwyższym spotęgowaniu.

W założeniu, jak wiadomo, Skarb przeznaczonym był na odbudowanie niepodległej Polski «krwią i żelazem». Fundusz na żelazo potrzebny, założyciele, pod wodzą Z. Milkowskiego, obliczali oczywiście na miliony, jeżeli, nie na miliardy. Ale, jak wiadomo także, ofiarność naroda nie dopisała. Po latach kilkunastu, po ogromnych

wysileniach i po odwołaniu się do Ameryki, kapitał zgromadzony wyniósł około 250.000 fr. Wobec tego Z. Milkowski pierwszy uznał konieczność wycofania się z pod tej góry, mysz wypuszczającej ze swego łona, i w tym celu, odstępując od założenia, zmienił charakter instytucyi, symboliczne już tylko przypisując jej znaczenie. Do tegoż samego wniosku według *Gońca Polskiego* (1902, nr. 13) skłoniły się także żywieli w demokratycznym obozie emigracyjnym, wyrzekając się myśli odbudowania Polski zapomocą tego funduszu, a upatrując w nim tylko patriotyczne godło «trwałość sprawy polskiej poręczające». Ten zwrot okazał się jednak niebezpiecznym, finansową stronę przedsięwzięcia na szwank wystawiającym. Symbol jest z natury swojej pierwiastkiem idealnym, źle sięgającym do kieszeniowej realności. Stąd nowa zmiana poglądów. Przy składanych odsetkach, niemasz kapitału tak drobnego, któryby, po wielu latach, nie mógł osiągnąć bodaj miliardowej cyfry. Po wielu latach? Z właściwą sobie fantazyą w tymże samym *Gońcu Polskim* (r. 1902, nr. 13). Z. Milkowski nie cofnął się przed odroczeniem terminu bodaj do «dwóch tysięcy lat!» Ale, obok siebie, znalazł mniej cierpliwych towarzyszy, dochodzących do tego drugiego wniosku, że tymczasem żyć, a nawet walczyć trzeba. Tym sposobem, obóz rozpadł się na dwa pułki, wydzierające sobie ową garść złota i upatrujące w niej z jednej strony budżetową, tymczasowo nienaruszalną podstawę przyszłej, «kiedyś wojować mającej Polski», a z drugiej strony kasę teraz już uruchomioną, w rozporządzeniu «dzisiejszej wojującej Polski».

Już w r. 1896, mimo późniejszych wahań i sporów, ta druga Polska zwyciężyła. Gdy bowiem, w tym czasie, fundusz przeniósł kwotę 100.000 fr., uchwalonem zostało zastosowanie § 22 ustawy, orzekającego natychmiastową rozporządzalność  $\frac{2}{3}$  odsetek z tegoż funduszu, na rzecz «organizacyi politycznej, któraby uosabiała w sobie ruch narodowy i kierowała nim *de facto*». Dla umiejących czy-

tać odnośną kryptografię, kandydat do tej rozporządzalności był gotowym i nazywał się — Ligą narodową.

Od tej pory też, Skarb Narodowy stał się *de facto* funduszem obrotowym tejże Ligi; ale jednocześnie i przez to samo stał się instytucją martwą. Duch z niej wyszedł, razem z przypisanemi jej dawniej celowemi lub symbolicznemi przeznaczeniami. Nastąpić też musiał rozkład, przyspieszony skądinąd i uwarunkowany ogólniejszym procesem rozkładowym, dokonywującym się w łonie samej emigracji naszej.

Podwójne to zjawisko uwydatniło się drastycznie na posiedzeniu komisji nadzorczej Skarbu Narodowego, odbytem w dniach 2—6 sierpnia r. z. Podług komunikatów udzielonych rozmaitym pismom, a ogłoszonych zbiorowo w *Gońcu Polskim* (sierpień — wrzesień 1903 r.) postanowione zostało: 1) przeniesienie funduszków z Muzeum Rapperswylskiego do Zurychu, jako urzędowego nadal siedliska instytucji; 2) ograniczenie przyszłych sprawozdań do wykazu każdorazowych składek; 3) powiększenia liczby członków komisji nadzorczej z pięciu do dziewięciu, przy wprowadzeniu członków tajnych z zaboru rosyjskiego.

Jawnemi, w urzędowych komunikatach wskazanemi przyczynami tych postanowień są: 1) Konieczność zabezpieczenia funduszków, wobec zagrażającej im «koalicji rządów zaborczych i ugodowych trójlojalistycznych, różnorodnym demokratyzmem zabarwionych, a postępowemi się mieniących stronnictw polskich» (list Z. Miłkowskiego do zarządu Związku postępowej młodzieży polskiej w Paryżu, Zurych, 15 sierpnia 1903 r.); 2) konieczność «wzmocnienia dozoru funduszków skarbowych i odpowiedzialności za nie, wobec ich wielkiego wzrostu, który odnośne czynności administracyjne zbyt uciążliwemi czynił dla pięciu osób» (komunikat komisji nadzorczej z d. 18 sierpnia 1903 r. i inne dokumenty w wyżej wskazanym zeszycie *Gońca Polskiego*).

Koalicja mocarstw zaborczych, zmierzająca do zagarnięcia kapitału wynoszącego 300.000 fr. i niesposobność



pięciu osób do podolania administracyi tego kapitału są argumentami, w przedmiocie których dyskusya zdaje się zbytęczną.

\* \* \*

Zagarnięcie skarbu narodowego przez Ligę wywołało jednogłośny protest całej prasy polskiej, zajmującej się losami tej instytucyi, z wyjątkiem oczywiście pism wszechpolskich.

Z obszernem pismem ogłoszonym w *Kuryerze Lwowskiem* (1903, nr. 286, 287) wystąpił członek komisyi nadzorczej Skarbu, emigrant zamieszkały we Francyi, dr. Henryk Gierszyński. Chociaż obdarzony mandatem skarbowym, dr. G. nie waha się wystąpić stanowczo przeciw instytucyi, zepchniętej jego zdaniem na bezdroża. Kiedyś, przed laty, dr. Gierszyński sam głosował za tem, aby odsetkami Skarbu wspomagać Ligę. Potem jednak rozczarował się do jej robót, przekonał się, że ta organizacya wzoruje się nietyle na Komitecie Centralnym z r. 62, jak sobie tego życzyli autorowie ustawy skarbowej, ile na współczesnych Prusakach, od których przejęła szowinizm i egoizm nacyonalistyczny. Tak samo rozczarowali się do Ligi dyspozytorowie skarbu narod.: Henryk Bukowski i Karol Lewakowski, z których pierwszy «gorzko żałował przed śmiercią» swej pomyłki. To też dziś, gdy chodzi już nie o odsetki, ale o samą instytucyę, którą Liga potrafiła zręcznie uprzętnąć z Rapperswylskiego zamku, dr. Gierszyński nie chce dłużej obwijać rzeczy w bawelnę i nazywając ją po imieniu, powiada, że: «Skarb Narodowy przestanie być, niestety, skarbem narodowym, a stanie się przyboczym funduszem Ligi, z którego czerpać będą rozmaite wiecznie dziurawe worki, należące do mających wszelkie dane i odpowiednie kwalifikacye...» Oskarżenie, z którem występuje dr. G., jest ciężkie, bardzo ciężkie. Więc to nie o «sprawę» chodzi? Więc w grze są pobudki, niemające nic wspólnego z dobrem publicznem?

Dr. Gierszyński powtarza raz jeszcze:

«Skarb Narodowy, wskutek sprytnych machinacyj ma być skonfiskowany na rzecz sztabu Ligi Narodowo demokratycznej. Mówię na rzecz sztabu, ponieważ wierzę w dobrą wiarę, w dobre chęci i w czystość uczuć patriotycznych wielu narodowych demokratów z zaboru rosyjskiego, którym ciężkie warunki cenzuralne pod carem nie pozwalają poznać szkodliwych tendencyj swoich naczelników, mieszkających poza kordonem granicznym».

Przeciw «konfiskacie» Skarbu wystąpiła i *Nowa Reforma*, która opiekowała się nim gorliwie całe lata, a więc teraz nie bez słuszności rości sobie prawo kontroli nad jego losami.

Dalszy protest padł z łamów *Dziennika Polskiego*. Nazwawszy Ligę «anonimowem kółkiem, które sobie nakreśliło pewne, przez siebie tylko uznane cele polityczne», powiada *Dziennik*, iż fundusz skarbowy został «poprostu skonfiskowany», że jest to «najzwyczajniejszy zamach i zabór, dokonany wbrew wszelkim pojęciom o sprawiedliwości», że nie ma się co ludzić, bo fundusz Skarbu pójdzie poprostu na zapomogi dla tych, którzy, «dzięki sprytowi Ligi muszą uchodzić z Królestwa za granicę i tam powiększać liczbę polskich nędzarzy».

«Jeżeli — woła *Dziennik* — nie powiedzie się narodowi, skrepowanemu stosunkami politycznemi, usunąć nadużycia, jakiego na funduszu całego społeczeństwa dopuściła się garstka stowarzyszonych anonimów — to niechaj przynajmniej naród wie o tem, że Skarb narodowy, jako narodowy przestał istnieć i stał się funduszem agitacyjnym gronka ludzi, o których zamiarach i kompetencyi nic nie wiemy. Niechaj ludzie patriotyczni nie padają ofiarą celów stronnicych i działania, którego objawy dość już dotkliwie odczuwamy nawet w Galicyi».

Jeszcze bardziej stanowczy protest przeciw obróceniu Skarbu narodowego na partyjne potrzeby wszechpolaków padł z łamów *Kuryera lwowskiego*, trzeciego z pism, które zawsze zbyt seryo brały instytucję Skarbu. *Kuryer* wyraża bez ogródek obawę, aby Skarb, usunięty z pod kontroli publicznej, nie dostał się z czasem w ręce niepowołane: lekkomyślne, albo wręcz nieczyste. Ukrycie

Skarbu musi z natury rzeczy wywołać nieufność ogółu co do jego trwałości i bezpieczeństwa.

«Pieniądze, narażone przez czas bezgranicznie długi na przechodzenie z rąk do rąk, mogą w końcu dostać się w niepowołane dłonie i zostać użyte na cele obce, co tem łatwiej mogłoby nastąpić, że nadzorcy Skarbu narodowego mają nie tylko obowiązek strzeżenia bezpieczeństwa i całości powierzonego ich pieczy kapitału, lecz posiadają prawo rozporządzania dochodami. Tym sposobem dla niezbyt skrupulatnych charakterów otwiera się pole do popełniania rozmaitych nieprawidłowości».

Tak pisały dzienniki, biorące całą komedię «Skarbu narodowego» za dobrą monetę.

Z innego stanowiska spojrział na cały zatarg *Czas*. Przyznając chętnie Lidze, że stara się, jak może, naśladować Komitet Centralny z 1862 r., choć jej to idzie nie-  
sporo, zwrócił uwagę, że nie to jest najbardziej uwagi godne w sporze, czy Skarb należy się Lidze, lub nie, ale stanowisko przytoczonych pism wobec samej zasady istnienia «Skarbu narodowego».

«Więc są u nas — zapytuje *Czas* — naprawdę pisma i ludzie, którzy z całą powagą traktują ten plód politycznej histeryi? którzy nie czują, że te 250.000 franków, jako «kasa wojującej Polski», są najpierw śmieszne, bezgranicznie śmieszne, a w drugim rzędzie szkodliwe? że «arlekinada», jak się wyraziła *Nowa Reforma*, jest nie tylko owa brednia o zamachu rządów [zaborczych na całość Skarbu, ale sam fakt istnienia tej instytucyi]?...»

Z pism wielkopolskich wziął *Dziennik Poznański* z zatargu o skarb rapperswylski asumpt do wypowiedzenia następującej trafnej uwagi o samej tej instytucyi:

«Polska cała nie sympatyzuje z ideą posiadania tego wspólnego Skarbu Narodowego. Nam specyjalnie zaś pod zaborem pruskim, nie tylko on na nic się nie przyda, ale nam szkodzi przy każdej sposobności — jak to procesy ostatnich lat, przeciw młodzieży naszej wytoczone, wykazują. Hakatyści czerpią z niego dowód na twierdzenie, w które sami nie wierzą, ale którem opinię w Niemczech i sfery rządowe straszą, iż istnieje polski Skarb narodowy, który w danym razie dopomoże do oderwania się Polaków od Prus. Stąd każda nowa zmiana, wymierzona przeciw nam, motywowana jest potrzebą obrony Prus przed żywiołem polskim, który myśli o powstaniu i doń się przygotowuje».



Cała więc prasa polska różnych odcieni i kierunków zaprotestowała przeciw zaborowi Skarbu na rzecz partji wszechpolskiej. Zaprotestował przeciw temu «Związek postępowej młodzieży polskiej» w Szwajcaryi (2 sierpnia, 1903) i wiec polski w Paryżu, odbyty w grudniu 1903 z udziałem paruset osób.

Cóż jednak znaczyły te platoniczne protesty? *Beati possidentes* dalecy byli od tego, aby sobie cośkolwiek robić z objawów powszechnego, jak widzieliśmy, niezadowolenia. *Słowo Polskie*, które zabrało głos dla wyjaśnienia sytuacji, uczyniło to w sposób niezmiernie prosty. Oświadczyło bez ogródek, że «nie ma co bałamucić opinii frazesami o celach ogólnonarodowych, nibyto bezpartyjnych» (1903, nr. 541). Jedną jest tylko instytucja, powołana do korzystania z funduszków skarbu, a na imię jej: Liga Narodowa.

Tem musiała się zadowolnić opinia, zaniepokojona o całość Skarbu.

X.

## PRZEGLĄD PRASY.

### Teorie powstańcze i ich krytycy.

Od lat kilku toczy się na szpaltach organów Polskiej Partii Socjalistycznej zawzięta dyskusja na temat przyszłego polskiego powstania przeciw Rosji. Ostatnimi czasy wyczerpywać się zaczęły argumenty zapaśników i polemika przycichła, ale to, co w ciągu paru poprzednich lat napisano o widokach nowego zbrojnego ruchu w Polsce, pozostanie na zawsze dowodem gołębiej naiwności pewnego odłamu naszych socjalistów. Powiedzmy z góry, że szkodliwość tej «powstańczej propagandy» jest prawie żadna. Kiedy powstańczy program wszechpolski, rozwijany w piśmie tego stronnictwa, przy całym aparacie pozorowanej trzeźwości, mógł właśnie dzięki tym pozorom wprowadzić zamęt w niejednym umyśle, tutaj jest wszystko tak doskonale naiwne, że nie podobna nawet przypuścić, aby mogło być branem na seryo przez jakąkolwiek liczniejszą grupę.

Prawie cała rozprawa o powstaniu stoczyła się na łamach londyńskiego jeszcze wówczas *Przedświt*, a wzięli w niej udział wybitni publicyści PPS, pp.: Wroński, Mazur, Luśnia, Piotrowski i Veto, który niebawem wraz ze swoim powstańczym programem pomnożył szeregi wszechpolskie, przeszedłszy «od socjalizmu do nacyonalizmu». Nie będziemy rozwijać szeroko poglądów tych panów, poglądów, których niewinną próbkę stanowi zapewnienie p. Mazura (zob. *Przedświt*, 1901, III. art. «W ważnej sprawie» str. 91), że skoro za parę tysięcy sprowadza się przez granicę rosyjską zakazane broszury, to «za dziesiątki milionów nie trudniej sprowadzić karabiny, ładunki i armaty»...

Ale artykuły powyższe wywołały ciekawą broszurę polemiczną ze strony innej socjalistycznej grupy, ze strony partii «Proletaryatu». Broszura nosi tytuł: «W sprawie powstania i innych zagadnień programowo-taktycznych» i chociaż napisaną została *ex re* publicystycznych wystąpień PPS, to może być uważaną za zajmującą próbę krytyki teorii powstańczej wogóle, bez względu na to, kto ją rozwija.

Publicyści Polskiej Partii Socjalistycznej dowodzą trzech rzeczy: że powstanie może się udać nawet przy wyłącznym udziale naszych sił, że żądanie konstytucji ogólnorosyjskiej, nawet z autonomią dla Polski, jest szkodziwe, gdyż obniża nasze ideały, nie dając żadnych korzyści, że wreszcie w Rosji niema poważnego ruchu rewolucyjnego i nie prędko będzie.

Zaznaczyć trzeba od razu, że «Proletaryat», który w powyższych sprawach stoi na odmiennem stanowisku, ma zadanie ogromnie uproszczone: cały bowiem budynek rozumowań publicystów PPS jest domkiem karcianym, na który dość dmuchnąć, aby się rozleciał. Tak np. kombinują ci panowie, że skoro Szwajcarowie wypędzili dobrze uzbrojonych najeźdźców skromną halabardą, skoro mała Japonia pobiła wielkie Chiny, skoro we Francji w r. 1871 mogły się pod boki najeźdźcy formować całe armie ludowe, skoro Burowie, mimo przewagi Anglików, trzymali się latami, dlaczegoby w Królestwie nie mogła zorganizować się armia polska i pobić Moskali?..

Na takie rozumowanie łatwo przychodzi »Proletaryatowi« odpowiedzieć:

«Nie można porównywać położenia narodu podbitego, nie mającego swego wojska i administracji cywilno-państwowej, z położeniem pobitej Francji cesarskiej, która nie była w całości zajęta przez wojska niemieckie i nie przestawała być państwem, posiadającym systematyczną organizację. Co było możliwe we Francji, jest niemożliwe u nas. Trudno sobie wyobrazić, aby pod okiem wojsk rosyjskich, w obecności żandarmeryi i innych gałęzi administracji rosyjskiej można było w Polsce zorganizować armię rewolucyjną».

Pan Mazur kombinował w *Przedświcie* londyńskim jak następuje: Rosya nie może skoncentrować w Królestwie i na Litwie na stałe więcej, niż 300.000 wojska, bo musi pamiętać i o wschodnich i innych granicach. Ludowa zaś rewolucya polska jak nie dostarczy pół miliona żołnierzy, «po chwilowem zaś powodzeniu może tę siłę podnieść do miliona». Otóż półmilionowa armia polska jest zupełnie w stanie nie tylko zmusić wojsko rosyjskie do skon-



centrowania się w twierdzach, a w części rozbić je — ale przenieść raptownie rewolucję na Litwę, względnie nawet na Ruś. «Wobec lepszych komunikacyj w Królestwie — poetyzuje p. W. — marsz naszej armii na Ruś i Litwę może być znacznie prędzej wykonanym, niż mobilizacya reszty wojsk rosyjskich», a siły polskie mogą wówczas przekroczyć milion, przy dobrowolnem poparciu Rusinów i Litwinów! Rosya zmobilizuje wtedy 2<sup>1</sup>/<sub>2</sub> miliona. «W tej proporcji — konkluduje p. W. — zwycięska walka jest zupełnie możliwa».

Oto i plan powstańczego marzyciela. «Proletaryat» sądzi go bardzo pobłażliwie, dopatrując się w tych po prostu dziecinnych rojeniach tylko «zadziwiającej lekkomyślności i braku wszelkiej argumentacji»...

«Wszystkie liczby, przytaczane przez p. Mazurę, nie są oparte na żadnym absolutnie rachunku. Dla p. Mazury Polska, Litwa i Ruś wogóle przedstawiają jednakowy teren powstania, chociaż należałoby się zapytać, na jakiej podstawie autor artykułu przypuszcza, że matorusini np. poprą polskie powstanie?»

A broń? Broń dla półmilionowego wojska? A żywność? amunicya? odzież?

«Powstanie 1863 r. rozporządzało znacznymi środkami; administracya Królestwa była w znacznym stopniu (prawie zupełnie P. R.) polska, a jednak nawet dla ówczesnej, względnie nie licznej armii polskiej nie można było mieć broni w dostatecznej ilości».

P. Mazur dziwi się swoim adwersarzom, że za mało znaczenia przypisują zapalowi i inteligencji polskiego żołnierza, jego waleczności itd. Autor broszury odpowiada na to, że «nie możemy uważać się za naród wybrany».

«Żołnierz polski wyróżniał się dzielnością w pierwszej połowie zeszłego stulecia, przeszedłszy szkołę napoleońską i kształcąc się pod wpływem tej tradycji. Już jednak w 1863 r. nie widzimy tej wielkiej dzielności, co poprzednio. Trzebaby również dowieść, że przy dzisiejszych warunkach polityczno-policyjnych może powstać i rozwinąć się tajna organizacya, ogarniająca cały kraj i licząca dziesiątki tysięcy członków. Co do nas, przypuszczamy, że organizacya taka w zarodku zostałaby zgniecioną. W naszych warunkach trudno jest tysiącu osobom tworzyć organizacyę tajną».

Czy powstanie takie mogłoby się utrzymać długo, czy regularna armia, mająca na swe usługi cały aparat państwowy, nie zgniotłaby go wkrótce?

P. Luśnia, inny jeszcze wybitny przedstawiciel PPS, wierzy, że proletaryat zachodniej Europy pomoże odbudować państwo polskie. Mając takiego sprzymierzeńca, nie potrzebujemy sobie suszyć głowy nad sposobami prowadzenia broni itp.

«Niestety — mówi autor broszury — stanowisko socyalnej

demokracji niemieckiej wobec kwestyi niezależności organizacyi polskiej w zaborze pruskim dowodzi wymownie, że nie możemy liczyć na pewno nie tylko już na pomoc zbrojną zachodnio-europejskich socyalistów w walce z Rosyą, ale nawet na uznanie przez nich należnych nam praw w granicach poszczególnych istniejących państw; socyalna demokracja stacza się po pochyłości oportonizmu coraz bardziej, oddala się natomiast od tradycyj rewolucyjnych».

Uogólniając swoje uwagi, stwierdza autor broszury, że w dzisiejszych warunkach wywołać powstanie byłoby stokroć trudniej, niż było przed laty kilkudziesięciu, a to z przyczyn natury ogólnej, i z przyczyn specjalnych, wpływających z naszego położenia.

Oto owe przyczyny:

«1. Udoskonalenia wojskowo-techniczne coraz bardziej zwiększają przepaść między armią stałą, dobrze uzbrojoną, a masą ludową, źle uzbrojoną. 2. Rozwój środków komunikacyi i porozumiewania się: koleje żelazne, telefony itp. obejmując większą przestrzeń, umożliwiają zorganizowanej sile rządowej panowanie nad narodem. 3. Rozwój życia pokojowego przyzwyczajają naród do wygodnego życia i oddala go od popędów wojowniczych. 4. Administracya naszego kraju jest całkowicie opanowana przez najeźdźców — nie tylko ogólna, ale i specjalna, jak naprzykład kolejowa. 5. Dozór policyjny dziś jest bez porównania większy, niż był dawniej. 6. Stanowisko międzynarodowe Rosyi jest obecnie silniejsze, niż było przed laty kilkudziesięciu».

Wszystkie okoliczności powyższe czynią politykę powstanczą w Polsce absurdem i skłaniają stronnictwo, do którego autor należy, do realizowania swoich planów politycznych w ramach państwowości rosyjskiej.

Jakkolwiek nic wspólnego nie mamy z konkluzjami, do których dochodzi autor broszury, nie możemy odmówić mu słuszności, gdy przedstawia, do jakiego upadku doprowadziły naród polski powstania w XIX wieku.

«W początku XIX w. cywilizacya polska stała pod każdym względem niesłychanie wyżej od rosyjskiej. Społeczeństwo polskie za czasów Królestwa kongresowego było jednym z najpostępowszych w Europie. Konstytucya była stosunkowo bardzo liberalna, na kilka milionów ludności zapewniała udział w życiu politycznem przeszło stu tysiącom osób, podczas gdy np. konstytucya francuska powoływała do życia politycznego tylko 80.000 osób na dwadzieścia kilka milionów ludności. Posiadaliśmy prawa o wolności słowa i prasy liberalniejsze, niż w Niemczech. Poziom umysłowy szkół był wysoki; dość wspomnieć, że w szkołach ludowych mówiono o prawach krajowych, obowiązkach obywatelskich itp. Towarzystwo naukowe w Warszawie stanowiło instytucyę pożyteczną. Nowo utworzony uniwersytet lepszy był od rosyjskich; wileński zaś nie ustępował zagranicznym. Liceum krzemienieckie znane było szeroko ze swego poziomu

naukowego. Nauka polska miała wybitnych przedstawicieli. Porównując ówczesne społeczeństwo polskie z rosyjskim, widzimy, iż pierwsze przewyższało drugie we wszystkich kierunkach. Niepoślednim wyrazem żywotności umysłów ówczesnych Polaków, rozumienia przez nich potrzeb kultury, była polityka ekonomiczna, która położyła podwaliny pod obecny stan ekonomiczny Królestwa. Na początku XX stulecia stosunek kultury polskiej do rosyjskiej jest rdzennie zmieniony. Nauka rosyjska, pozostając w tyle za angielską, francuską i niemiecką, znacznie wyżej stoi jednak od polskiej, zarówno pod względem koncepcyj ogólnych, jak i pod względem gromadzenia i urabiania materiału naukowego. Społeczeństwo polskie nie może utrzymywać swych uczonych, nie daje im warunków, sprzyjających pracy naukowej. Dłuższe trwanie takiej niewoli, w jakiej żyjemy obecnie w zaborze rosyjskim, doprowadzić nas może do zupełnego upadku, przez tamowanie rozwoju naszej kultury, a nawet przez częściowe uwstecznienie, przez mechaniczne wtłaczanie w nasze społeczeństwo żywiołów najgorszych ze społeczeństwa rosyjskiego, które stopniowo, napływając w większej liczbie do naszego kraju, po latach kilkudziesięciu zmienić mogą jego charakter i zmniejszyć przez to naszą odporność. Miasta prowincjonalne powoli nabierają cech rosyjskich, inteligencya ich staje się nam obcą, jest bowiem w większości niepolska (urzędnicy, nauczyciele itp.). Po 25 latach, a tembardziej 50-ciu, kraj nasz, o ile nie nastąpią radykalne zmiany w ustroju politycznym, przeobrazi się znacznie na naszą niekorzyść.

Powstania przyprawiły nas o polityczne bankructwo. Ich dziełem jest smutny stan obecny naszego narodu. Czyż mamy ważyć się na jeszcze jedno szaleństwo, stokroć większe od poprzednich i zagrzebać pod gruzami resztę narodowego mienia? Czy możemy na nowem powstaniu, dalszem, czy bliższem, zasadzać nasze losy w przyszłości?

»Znosić upokorzenia przez lat 75, przyzwyczajając się do ucisku, aby potem wywołać powstanie, które się nie uda, o ile stosunki międzynarodowe nie będą dla nas przyjazne, przez ten okres osłabnąć kulturalnie i politycznie w stosunku do Rosyi, na taki program — kończy autor broszury — ludzie żywi, a nie pół trupy nigdy zgodzić się nie mogą«.

Tak pisze organ socyalistów «Proletaryatu», stronnictwa rywalizującego z «Polską Partją Socyalistyczną». Polemika tych dwóch obozów zasługuje na baczną uwagę.

### „Proletaryat“ o wszechpolakach.

Z obszerną i z wielu względów ciekawą charakterystyką ruchu wszechpolskiego, popartą zajmującymi wspomnieniami z czasu pierwszych zawiązków tego ruchu, wystąpiło w nr. 13 r. 1903 czasopismo *Proletaryat*. Redakcyja



powiada na wstępie, że dotąd żadne z wydawnictw partyjnych nie poświęciło ani jednego artykułu t. zw. narodowej demokracji, obecny więc artykuł należy uważać za sumaryczny niejako pogląd na cele i robotę tego stronnictwa.

Po krótkiej charakterystyce *Głosu*, któremu *Proletaryat* oddaje ze stanowiska socjalistycznego należne pochwały, a w którym, jak wiadomo, dzisiejsi męczy wszechpolscy zaczęli swój zawód publiczny, autor artykułu kreśli obraz kształtowania się właściwej partji wszechpolskiej. Jesteśmy u kolebki ruchu w pierwszych latach ubiegłego dziesięciolecia.

«Obóz patryotyczny pisze *Proletaryat* — składał się z wielce różnorodnych pod względem przekonaniowym żywiołów, niezwiązanych ściśle określonym programem w ogólności, społecznym zaś w szczególności, co spowodowało szybkie zmiany w nim pod wpływem różnych okoliczności. Ważniejsze z tych okoliczności były: powstanie dość silnego prądu ugodowego, który wzbudził sympatję w t. zw. wyższych sferach społeczeństwa, chwilowo nawet w kręgach inteligencji «niezależnej», rozwianie się iluzji co do blizkiej wojny europejskiej, wreszcie przeniesienie się do Galicji głównych męczy partyjnych. Ruch ugodowy, który rozwinał się silnie w końcu 1894 r. wzbudził pewne nadzieje polityczne, chociaż starannie ukrywane, u protoplastów narodowej demokracji: ten broszur z cyklu «Z dzisiejszej doby» zmienił się bardzo — zlagodniał. Patryoci zajęli stanowisko wyczekujące. W *Głosie*, organie p. Wasilewskiego, dzisiejszego redaktora *Słowa Polskiego*, pojawił się artykuł wstępny za czasów miodowych miesięcy rządów Imeretyńskiego — w którym autor ubolewa nad tem, że inteligencja polska nie garnie się do komitetów trzeźwości, organizacyi rządowej — wymyślonej przez satrapę warszawskiego dla mydlenia oczu społeczeństwu polskiemu. Autor artykułu przeceniał znaczenie tej instytucyi, uważając ją za rozległy teren działalności. *Przegląd Wszechpolski* zganiał wprawdzie *Głos* za ten artykuł, ale sam fakt jego pojawienia się charakteryzuje nastrój pewnej części narodowej demokracji, świeżo wówczas ochrzczonej tem mianem».

Umiarkowany stosunkowo ton wydawnictw narod. przysporzył stronnictwu nowych zwolenników, — nowe środki materyalne. Upadek ugody zwiększył szeregi tego obozu, co odbyło się kosztem jego jakości.

«Narodowi demokraci zaczęli spożywać słodkie owoce wielolicebności swej partji; główny sztab stronnictwa zaczął dbać przede wszystkim o pozyskanie jak największej ilości osób «poważnych». Unikano więc wszystkiego, co razić może tę lub inną koteryę ludzi «wpływowych» albo «majętnych» z pośród szlachty, burżuazji i duchowieństwa. Drobnomieszczanstwo usiłowało zjednać antysemityzmem. Dawni «patryoci», a późniejsi «narodowi-demokraci» w początku lat 90 tych opierali swe rachuby polityczne na spodziewanej wojnie. Szczególne nadzieje budził w nich «nerwowy» cesarz Wilhelm II, mogący wywołać zawieruchę w Europie. Nadzieje na zagraniczne

konfliktu, mogące być punktem wyjścia «odrodzenia Polski», zawiodły, a więc naszym popowstaniowym patriotom, którzy nigdy nie posiadali jasnego planu taktyki, nie pozostało nic innego, jeno zrzec się wszelkiej akcji politycznej, którą dawniej od czasu do czasu wysuwano (np. w roku 1887, a w r. 1893 zalecano terror) i zająć się wyłącznie pracą ogólnie-kulturalną i szowinistyczno-narodową wśród ludu wiejskiego bez żadnego programu, co w języku narodowo-demokratycznym, nazywa się «uruchomieniem ludu». W czasach ostatnich pierwiastek ogólnie-kulturalny w pracy tej, ustępuje coraz bardziej miejsca klerykalizmowi i szowinizmowi».

Następnie niektórzy menerzy partyjni przenieśli się do Galicyi. Tutaj «chęć pozyskania szerokiego wpływu, nadzieja dojścia do władzy, musiała popehnać narodowych demokratów na pochyłą drogę kokietowania i wysługiwania się konserwatystom».

«Narodowi demokraci wiedzą, że stronnictwa żywotne powinny mieć oparcie na szerszych warstwach ludu — stąd ich maskarada demokratyczna; jednocześnie jednak boja się narazić konserwatystom, stąd ich ostrożność, która przechodzi stopniowo w schlebianie im i wysługiwanie się. Narodowi demokraci dostarczają dziś namiestnictwu publicystów rządowych w rodzaju tych, których satyryk rosyjski nazwał «dyżurnymi publicystami», odbywającymi po kolei swą służbę».

Redaktorowie *Proletaryatu* oświadczają, że nie są bynajmniej utopistami i nie wymagają, aby wszyscy ludzie hołdowali socjalizmowi. Przeciwnie, rozumieją, że każda klasa społeczna musi wytwarzać własny kierunek, oparty na odrębnych interesach.

«Jeżeli zwalczamy narodowych demokratów, to nie tylko dlatego, że są naszymi wrogami, że występują przeciwko socjalizmowi, lecz i dlatego jeszcze, że są szulerami politycznymi, ludźmi bez określonej barwy, bez konsekwencyi, bez szerszych aspiracyi politycznych, mających znaczenie na dziś. Cała energia narodowej demokracji skierowuje się przeciwko tym, których rządy zaboreze nie chcą i nie mogą bronić, t. j. socyalistom, żydom, rusinom i t. d. Jest to walka łatwiejsza, nie przedstawia wielkiego ryzyka, a może dać sławę zbawców ojczyzny».

Powodzenie narodowej demokracji objaśnia *Proletaryat* tem, że długi ucisk polityczno-narodowy wyplenil na czas jakiś z naszego społeczeństwa ludzi śmiałych, zdolnych do energicznej walki. Cechą demokracji narodowej jest bierność. Ta bierność, zdaniem *Proletaryatu* zbliża ją do ugodowców.

«Ci ostatni są zjawiskiem zupełnie naturalnem; zawsze i wszędzie przy analogicznych warunkach powstają stronnictwa ugodowe z ludzi zajmujących bardzo wysokie stanowiska w hierarchii społecznej i mających wiele do stracenia pod względem materyalnym. Ugodowcy mogliby, przy pewnych warunkach, odegrać nawet znaczną rolę polityczną w chwili, kiedy rząd, pod naciskiem ruchu rewolucyjnego, zdecydowałby się na ustępstwa».

Odżegnywa się *Proletaryat* od «ugodowców», zarzuca im, że się chcą godzić, nie otrzymując nic w zamian (!) że nie bronią praw i interesów narodowych? Ale narodowi demokraci stokroć gorsi:

«Narodowi demokraci, jak powiedzieliśmy, są impotentami politycznymi, ale głoszą frazesy patryotyczne o przyszłej Polsce, o «utrzymaniu stanu posiadania», o «unarodowieniu» różnych klas społecznych i kierunków umysłowych i t. d., przez co są szkodliwsi od ugodowców: zachowując pewne pozory opozycji patryotyczno-rewolucyjnej ludzą wielu ludzi «przyszłą akcją narodu polskiego». Jest to banda barbarzyńców, wroga niezależnej myśli, banda, grająca na najniższych instynktach ludzi ciemnych — na nienawiści do wszystkiego, co nie polskie, banda, chcąca rozwój naszego narodu odosobnić od wielkiej drogi świata i ludzkości. Ugodowcy są to tchórze<sup>1)</sup> ale — kulturalni; narodowi-demokraci to — także tchórze, ale w dodatku apostołujący swojskie barbarzyństwo. Ugodowcy mają odwagę otwarcie przyznać się do tego, czem są, nikogo nie oszukują; narodowi demokraci zaś — to szulerzy polityczni, którzy co chwila wykonują różne wolty i sprawiają swoim zwolennikom ciągle niespodzianki».

Zastanawia się następnie *Proletaryat* nad stosunkiem wszechpolsaków do ruchu konstytucyjnego w Rosyi. *Przegląd wszechpolski* wystąpił niedawno z artykułem w tej sprawie i uznał, że zajmowanie się sprawą konstytucyjną w Rosyi jest utopią, kwestyą zupełnie nieżywozną i t. d. Otóż *Proletaryat* ze swego stanowiska tak tę rzecz oświecla:

«Narodowi demokraci i p.p.s.-owcy nie mogą tego zrozumieć, że wolność polityczna, ustrój parlamentarny jest instytucją, która powstać musi z biegiem czasu we wszystkich państwach, przy pewnym stopniu rozwoju społecznego, ekonomicznego i kulturalnego. Powstanie i rozwój wielkiego przemysłu, skupienie się robotników w miastach i osadach fabrycznych, wzmoczenie się kultury miejskiej, rozwój środków komunikacji, oświaty ludowej, wzrost świadomości klasowej różnych warstw społecznych, zwiększanie się wydatków państwowych, komplikacja całego gospodarstwa krajowego — wszystko to razem pcha Rosyę szybko i stanowczo do konstytucyj. Ta ostatnia nie jest li tylko «marzeniem o przyszłej wojnie Niemiec i Rosyi», nie jest snem przyjemnym o sojuszu z Japonią lub naszym «naturalnym sprzymierzeńcem sultanem tureckim», nie jest halucynacją powstania ze «szwarcowanemi» armatami. Konstytucja jest właśnie czemś realnem, czemś, co wynika koniecznie z rozwoju wszystkich istniejących w Rosyi stosunków. Natomiast «legiony polskie», przyłączenie Bukowiny do Polski i odbudowanie Rzeczypospolitej z Gdańskiem, Kijowem i t. p., to są śmieszne marzenia, godne starych dzieci. Odbudowanie Polski może być tylko postulatem warunkowym. Państwo polskie istnieć będzie, albo nie — zależy to od okoliczności, których dziś przewidzieć nie możemy».

<sup>1)</sup> Pozostawiamy te epitety, których wartość każdy z łatwością oceni, bez omówienia, ponieważ nam chodzi tylko o zaznaczenie, że surowa krytyka demokracji narodowej pochodzi ze strony, wrogo dla «ugodowców» usposobionej.



Ostatecznie sądzi *Proletaryat*, że stronnictwo narodowo-demokratyczne w dzisiejszej swej postaci nie ma przed sobą przyszłości i musi rozpaść się na kilka grup.

### Cnota z konieczności.

Źródłem stałego zmartwienia dla rezydujących we Lwowie wszechpolskich polityków jest fakt, że wpływ propagandy wszechpolskiej pod panowaniem rosyjskiem kończy się na Królestwie. Wrażliwi i nerwowski koroniarze dostarczają ruchowi, grającemu na popularnych strunach, pewnego zastępu zwolenników, zwłaszcza wśród kobiet i młodzieży. Natomiast chłodny, zrównoważony Litwin okazuje się jaknajgorszym, zupełnie niewdzięcznym materiałem. Ludzie za Niemnem są twardzi, podejrzliwi, nie lubią frazesów i frazesowiczów, nie poddają się żadnym mamiłom, choćby Bóg wie, jak ponętym. To są urodzeni realści. Nic dziwnego, że tu kończą się nawet te pozorne sukcesy, jakimi wszechpolacy mogą się popisać nad Wisłą. Napróżno dla nawrócenia opornych Litwinów drukują się w Krakowie «Noworoczniki litewskie demokracji narodowej»... Stracony to zachód. Sami wszechpolacy zmuszeni są przyznać, że trudy ich są daremne, że ta sfera wpływu nie do nich należy.

Oto jak korespondent *Słowa Polskiego* z Dynaburga (23/VIII 1903), przy sposobności wystawy Towarzystwa rolniczego witebskiego i zjazdu ziemian charakteryzuje społeczeństwo polskie na Litwie:

«Istnieje typ jeszcze jeden, to Wielopolscy i Lubeccy na małą skalę — politycy ugodowi, którzy zajmują w życiu tutejszem poważne stanowiska, są śmiali w wystąpieniach, bo na legalnym stają gruncie, o czym mówią głośno, mają plecy, o czym mówią zupełnie cicho i lubią palnąć piękną, wiele znaczącą mowę. Wszyscy ci ludzie czują się należącymi do Polski zmarłej, pielęgnują wspomnienia o niej i te resztki, które z niej uznają — tradycję szlachecką, wiarę i język. Polski żywej nie czują i w obronie jej interesów stanąć nie umieją. Są wyjątki, nieliczne niestety. Panuje też tutaj niepodzielnie Piltz i spółka».

Korespondent był «poprostu zdziwiony», jak ludzie znają na Litwie «scriptorowskie piśmidła» i był w najwyższym stopniu podrażniony tem, że «petersburscy krętańcze cieszą się tutaj nieograniczonym panowaniem». W innej korespondencji (1903 25/VIII) ten sam korespondent

w następujący sposób zmuszony był scharakteryzować obywatelską wartość ludzi, wśród których «petersburscy krętarze» cieszą się zaufaniem.

«Można było skonstatować na wystawie, że kultura rolna podnosi się na Litwie, że przy całej swej politycznej surowości, a często narodowej obojętności, szlachta polska trzyma się tam ziemi mocno i że trzymać się coraz mocniej będzie. Warunki gospodarowania są niezmiernie trudne, nie można naprzykład sprzedawać ziemi, ażeby jej z rąk polskich nie wypuścić i dlatego trzeba często w nieodpowiednich warunkach gospodarować, sprzedanie zaś oddalonych folwarków lub pól mogłoby dać kapitał i wzmocnić pozostałą resztę».

Ten stan rzeczy wyjaśnia nam zarazem, skąd pochodzi ta względna wstrzeźliwość, w którą usiłują się stroić wszechpolacy, gdy określają dezyderaty swojej polityki na Litwie. Cuota to — z musu, tylko z musu.

### O duszę polskiego chłopa.

W Gliwicach, na Śląsku Górnym, wychodzi od kwietnia 1903 r. tygodnik ludowy, «poświęcony sprawie wstrzeźliwości i wychowania narodowego, pt. *Iskra*. W jednym z zeszytów tego mało znanego piśmka znajdujemy uwagi godny artykuł pt. «Budzenie się ducha narodowego w Królestwie Polskiem», nadesłany jakoby przez pewnego włościanina z Lubelskiego, a rzucający nieco światła na wpływ, jakie oddziaływują na nasz lud wiejski. Jak wiadomo, wszechpolskie pisma i odezwy Ligi Nar. twierdzą ustawicznie, że włościanin w Królestwie znajduje się pod wyłączeniem wpływem ruchu wszechpolskiego. Ruch ten ma być aż tak duży, że, opierając się na jego rozmiarach, Liga mianowała się przed paru laty «jedyną reprezentantką ludu». Wspomniany wyżej artykuł *Iskry* technic cały z jednej strony nienawiścią do socyalistów, z drugiej entuzjazmem dla działalności *Polaka*. Tembardziej więc musimy temu uwierzyć, gdy autor czyni zupełnie niespodziewane odkrycie, że wśród ludu w Królestwie krzewi się coraz silniej socyalizm.

«Ludzie szlachetni — woła korespondent — rąk zapewne nie opuszczają i nie zaprzestaną dalszej pracy, tembardziej, że oprócz różnorodnych przeszkód, czynionych przez naszych zaborców, Prusaków i Moskali, nasi własni bracia zaczynają burzyć tę pracę i jej objawy w zaczątku. Takimi burzycielami są nasi socjaliści. Socjaliści, mieszkając zwykle po większych miastach, nie mają i nie mogą mieć ciągłej styczności z ludem wiejskim, przeto robiąc wycieczki do miasteczek i wiosek i wywiadując się o czytających gazety, starają się ich przerabiać na swoje kopyto. A ponieważ ci więcej czytelnicy są zwykle niewyrobieni, a chciwi nowości, więc najczęściej bywają obalamucani do tego stopnia, że

stają się ślepe mi narzędziami szkodliwych dążeń socjalistycznych. Z pomocą właśnie tych obalamuconych jednostek, socjaliści szerzą swoje różne pisma, szkodzące właściwie nie tyle możliwym, przeciw którym są wymierzone, ile samemu ludowi, którego socjaliści mieniają się przyjaciółmi».

Wiadomość, podana przez *Iskrę*, zasługuje na baczną uwagę, tem bacniejszą, że, jak korespondent stwierdza, agitacja socjalistyczna krzewi się głównie wśród młodzieży wiejskiej i ciągle przybiera na sile. Oto świadectwo niepodejrzanego świadka:

»Podobnie obalamuconej młodzieży (t. j. obalamuconej socjalizmem) już dzisiaj jest znaczna liczba i z każdym dniem ta kołowa-czna ogarnia coraz szersze kręgi».

Być może zresztą, że w artykule *Iskry* jest pewna przesada, nawet duża. Niemniej ludzie, znający nasz lud wiejski, są przekonani, że, o ile tajne oświecanie go jest nieodzownem wobec braku prawidłowego szkolnictwa, o tyle rozbudzanie w nim pewnych rewolucjonizujących go instynktów jest sieją, z której żniwo zebrać musi socjalizm.

### „Związek chłopski“ w Galicyi wobec wojny.

Wypadkami na azyatyckim wschodzie interesują się w Galicyi nie tylko warstwy miejskiej inteligencji, ale i oświecenijsza sfera włościańska. Tylko, że ku szczeremu zmartwieniu pism wszechpolskich włościanin tamtejszy ani rusz nie chce «trzymać z Japonią». Chłopski rozum powiada mu, że lepiej zawsze dbać o zgodę z sąsiadem, niż ubiegać się o zamorskie względy. Oto np. jak wypowiada ten pogląd czasopismo *Związek chłopski*, wydawane w Nowym Sączu w Galicyi przez włościanina i długoletniego posła na sejm krajowy, p. Stanisława Potoczka.

»Nasze społeczeństwo polskie — pisze *Związek* — ma zdania podzielone. Jedni są przychylni Japończykom, a drudzy Rosyanom. Dla nas chłopów bliżsi są Rosyanie, jak Japończycy — pierwsi nie szkają tuż obok nas i ciągle się z nimi stykamy, a drudzy są aż nad Oceanem Spokojnym i nigdy a nigdy ich na nic nie będziemy potrzebowali. Mądry sąsiad stara się zawsze o przyjaźń i zgodę ze swymi sąsiadami. Nie myślimy wcale cieszyć się z powodu klęsk Rosyan, jakie dotąd ponieśli w obecnej wojnie — ani też nie potrzebujemy się smuć bardzo, gdyby Rosyanie Japończykom dali porządnie po skórze».

*Związek* ocenia wybornie «chłopskim rozumem», że nawet pokonana Rosya będzie jeszcze dość silną, aby odplacić się potem pięknem za nadobne tym, którzy w nie-szczęściu jej bratali się z jej wrogami. Niektóre zapalone głowy u nas sądzą, jak *Związek* wyraża się,



«że jak Rosya utraci Mandżuryę, to przestanie istnieć — od razu będzie Polska! Tymczasem utrata Mandżuryi dla Rosyi, gdyby mogła nastąpić, znaczy tyle, co utrata przyszczyпка na bucie. Rosya wcale tego nie poczuje, a w wojnie japońskiej nabierze doświadczenia i potem wszystkim się odwdzięczy za okazaną jej nieprzychylność w czasie wojny z Japonią. Zamiast sobie dołą naszą polepszyć, jeszcze ją sobie bardziej pogorszymy».

Wszepocholaków, którzy niejednokrotnie z uznaniem odzywali się o «zdrowym instynkcie naszego ludu», powinienby ten głos chłopskiego czasopisma zastanowić, tem bardziej, że w danym wypadku jest to prawdziwy autentyczny głos opinii oświeconego włościaństwa polskiego, cały bowiem *Związek* jest pisany przez chłopów. I dodajmy, że chłop ci znają dobrze stosunki polsko rosyjskie, o czem świadczy choćby dalszy ustęp wspomnianego wyżej artykułu:

«My życzymy Rosyi, ażeby po wojnie japońskiej poznała wady swego niedomagającego organizmu — i te wady starała się raz na zawsze usunąć przez okazanie większej życzliwości i opieki dla ludu polskiego, aniżeli dotąd!»

### „Uświadomieni“.

W korespondencyi z lubelskiego w Nrze 171 r. b. opisuje *Słowo Polskie* paniczny strach Moskali przed grożącym jakoby powstaniem. Korespondent opowiada cały szereg faktów, w których urzędnicy i oficerowie rosyjscy zaalarmowani zostali rzekomem zbliżaniem się «powstańców» z bilgorajskich lasów, a nawet — Sokolów ze Lwowa... Co chwila do prawosławnego popa, do uriadnika, do komendanta załogi wpada goniec z ostrzeżeniem przed powstaniem.

I któż to owe ostrzeżenia przynosi?

Posłuchajmy:

«Mikliński czytając głośno w którejsz z gazet codziennych o powstańcach na Balkanach, pokazywał rodzinie podobizny przywódców tego ruchu. U nadgajowego był wówczas jakiś chłop z okolicy i słyszał, że mówiono coś o powstańcach. Począł tedy rozpowiadać po wsi, że widział u Miklińskiego powstańców, inny chłop pobiegł do popa z wieścią, że tam są powstańcy, stąd poploch i rewizye».

Drugi wypadek:

«W tej samej okolicy mieszka w Biszczy pop Ochocki, bardzo gorliwy rusyfikator. Pop ten wyprawił całą swą rodzinę do Bilgoraja z obawy przed «Sokolami galicyjskimi», którzy mają zjawić się w Królestwie i wywołać powstanie. Ponieważ wieść tę przyniósł chłop, który chodził najakiś odpust do Galicyi, przeto naczelnik Lewicki zaopatrzywszy go w pieniądze, wysłał tego człowieka za kordon, aby zasięgnął języka i dowiedział się, kiedy mają wkroczyć «Sokoli».

Fakt trzeci:

«W Zamościu mieliśmy również, «usmirenie miatieża» (stłumienie buntu). Jakiś pijak z Szewni dał znać naczelnikowi powiatu zamojskiego, że widział w Kosobudzkiem lesie powstańców».

Ten «pijak z Szewni» i ten chłop, chadzający na odpusty do Galicyi i owi dwaj inni chłopci biłgorajscy, lejący na wyścigi z donosami na «powstańców», to lud lubelski, lud z tych samych właśnie okolic, z których *Polak* drukuje najwięcej «autentycznych» korespondencyj pochodzących od «uświadomionych» włościan...

Czy *Słowu Polskiemu* nie nasuwa to żadnych refleksyj?...

### Jak się uspokaja umysł?

*Słowo Polskie*, które we wstępnych artykułach z całym namaszczeniem przepisuje narodowi polskiemu zachowanie zupełnego spokoju ducha wobec wojny i zaleca mężką równowagę, przyczynia się znakomicie do utrzymania owego spokoju i równowagi w ten sposób, iż całymi łokciami drukuje nadsyłane sobie przez korespondentów warszawskich bajki, o tem, jak z powodu wojny na Moskalach w Królestwie skóra cierpie, jak starszyczna wojskowa i czynownicy wysyłają rodziny swe w głąb Rosyi, w obawie przed powstaniem itp. Roi się w *Słowie Polskiem* od anegdot, malujących przerażenie 250.000 żołnierzy rosyjskich przed «rzezią» i kruchość panowania rosyjskiego nad Wisłą.

Wyborny, zaiste, środek utrzymania umysłów w spokoju! Jako ilustracyę naszych słów mogą posłużyć korespondencye w numerach 171 i 197.

### Nastrój w Poznańskim.

*Goniec Wielkopolski* (8/III) zaznacza ze smutkiem, że społeczeństwo polskie w Księstwie stoi w obecnej wojnie rosyjsko-japońskiej sympatyami swemi po stronie Rosyi i jej życzy zwycięstwa. Podług *Gońca*

«do urabiania opinii w kierunku moskalofilskim przyczyniają się pisma polskie w zaborze pruskim. Jedne występują jawnie ze swem moskalofilstwem, inne zarzekają się go, rozróżniając carat od społeczeństwa rosyjskiego, lecz rozumowania ich przyczyniają się do szerzenia moskalofilstwa. Powiadają, iż uciskowi Polaków winien carat i że społeczeństwa rosyjskiego o ucisk ten winić nie można, bo ono rzekomo sympatyzuje z nami».

*Goniec* nie zgadza się na to rozumowanie. Bo

«przedewszystkiem owo społeczeństwo rosyjskie jeszcze nigdy nie okazało, że nas chce bronić, a zresztą nie ma ono nic do mówie-

nia w sprawach państwowych i mogłoby zabierać głos dopiero w razie zmiany ustroju państwowego Rosyi.

Redakcyja *Goińca* zdradza zupełną nieznaną już nie samego społeczeństwa, ale prasy rosyjskiej, po którą wszakże nie trzeba jechać do Moskwy i Petersburga, bo można ją mieć i w Poznaniu.

### Sojusz z Japonią.

Na dowód, jak dalece wojna obecna wytrąciła u nas niektórych ludzi z kolei zdrowego myślenia, przytaczamy ustęp artykułu, jaki zamieścił gliwicki *Głos Śląski*. Autor artykułu proponuje, ani mniej, ani więcej, tylko, żebyśmy zawarli z Japończykami «sojusz na śmierć i życie».

«Japonia od Polski — powiada — rozgraniczona jest geograficznie całą szerokością Azji, zaś politycznie Rosyą. Polska nie posiada kolonii, nie posiada absolutnie żadnych interesów, któreby krzyżować mogły interesy żywotne, plany i zabiegi japońskie. Oba więc narody mają dane wprost idealne na to, aby dążyć do przymierza. Sąsiadem obu, klinem ich rozpierającym, jest Rosyanin. Na wschód i zachód z równą rozpięta się siła, zagraża najżywotniejszym interesom sąsiadów, dąży do ich pożarcia. Rosyanin jest śmiertelnym wrogiem tak Japonii, jak Polski. Wobec tego cóżby było naturalniejszym, jak sojusz Polski z Japonią, na śmierć i życie, przeciw wspólnemu wrogowi?»

Projekt gliwickiego polityka odbił się sympatycznym echem na szpaltach jednego tylko pisma polskiego, a jest nim — *Słowo Polskie*.

### Nad trumną Szwarcego.

Nad trumną zmarłego we Lwowie Bronisława Szwarcego, niegdyś członka Komitetu Centralnego w r. 1862, jednego z twórców ostatniego powstania, a następnie długoletniego więźnia Szlisselburga i zesłańca na Syberję, wypowiedział poseł Dr. Tadeusz Rutowski znamienne słowa:

«W kazamatach i lochach Sybiru — mówił dr. Rutowski — targala mu się dusza pytaniem, czyśmy niewinni, czy on nie winien porwania się do tej szalonej, nierównej walki. I to kajanie się jego, to roztrząsanie sumienia, to jedna z najpiękniejszych chwil w życiu Szwarcego, a i najpiękniejsza spuścizna po nim. On, co tyle przecierpiał, mógł powiedzieć: jam odpokutował swe winy, jam je okupił ciężką pokutą».

Pewna część młodzieży założyła «protest» przeciw przemówieniu Dra Rutowskiego, o którym wyraziła się przy tej sposobności, że «podszywa się pod miano demokracji». Charakterystyczną jest rzeczą, że narodowi demokraci lwowscy świecili nieobecnością na pogrzebie Szwar-



cego, a młodzież rozwinęła nawet — jak świadczy *Pro-  
mień* — silną agitację za tem, aby nie iść na pogrzeb.  
*Teka* zaś napisała o zmarłym:

«Prasa codzienna tak *Kuryer* jak i *Słowo Polskie* nie zdołała unikać pewnej przesady, niepożądaney nawet w nekrologach. Cześć dla r. 1863 popchnęła do przesadnych uwielbień dla osoby, do porównań zmarłego «z pierwszymi apostołami chrześcijaństwa», do dytyrambów o «chlubie, jaka spada na Lwów», ponieważ w tem mieście umarł Szwarce; raził sztuczny entuzjastyczny ten, jak gdyby chodziło o uczczenie jednego z największych bohaterów narodowych tej miary, co Żółkiewski lub Kościuszko. Tymczasem ś. p. Szwarce znaczniejszego wpływu na losy narodu nie wywarł, bo tych wpływów, choćby z przyczyn fizycznych, wywierać nie mógł, z życiem obecnem zapoznać się nie umiał, bo też okazywał niezrozumienie dzisiejszych społecznych kierunków, dzisiejszych ludzi».

Dla zrozumienia tego nekrologu dodać trzeba, że Szwarce występował przy różnych sposobnościach przeciw «egoizmowi narodowemu», i surowo potępił próbę propagowania wśród młodzieży polskiej wallendaryzmu wojkowego.

#### Trafna charakterystyka.

Niedzielnemu feljetoniście *Dnia* udało się w dowcipny, a niesłychanie trafny sposób paru zdaniem scharakteryzować demokrację wszechpolską «przy robocie». Oto przed zdumionym ogółem, powiada feljetonista, staje

«figura z cyrkłami i przysięga, że ona odbuduje Polskę zapomocą tryangulacyjnego wymierzenia zadań polityki galicyjskiej, a zapomocą doktrynerskich dedukcyi wywróci imperyum rosyjskie razem z cesarstwem niemieckim i Austryą w dodatku.

Mierzy, mierzy, mierzy, dodaje, ujmuje, rubrykuje, nareszcie wytacza ogromną armatę... Wszystko w osłupieniu wyczekuje strzału, który ma trzy potencye zgruchotać — gdy w tem wielki geometra... chowa lont do kieszeni i oświadcza, że jeszcze nie pora...

A czemuż, błźnie, wytaczasz armatę i odrywasz ludność od tej codziennej, a tak potrzebnej, a tak pożytecznej pracy nad odrodzeniem Ojczyzny?»

## RACHUNKI DZIENNIKARSKIE.

### O nowych i starych stańczykach.

W niesłychanie brutalnym artykule p. t.: «Neokonserwatyści» napadło *Słowo Polskie* na młodszy odłam stronnictwa krakowskiego. Pan Popławski zrobił się nagle ogromnie wybredny na punkcie parenteli i, zapominając, kto go, politycznie, rodzi, wyrzuca przedstawicielom partyi krakowskiej «niskie pochodzenie» z «mieszczkańskiego radykalizmu», z socjalizmu (!), ba nawet «z masoneryi». Wesoły ten rodowód jest dla p. Popławskiego kluczem do wyjaśnienia brzydkiego rysu neo-konserwatystów, mianowicie skłonności «do ciskania obelg i potwarzy». Kato wszechpolski nie umiał oczywiście przytoczyć choćby jednej «obelgi» lub «potwarzy», rzuconej na kogokolwiek kiedykolwiek przez organy partyi krakowskiej. Natomiast sam, jakby dla zadrwienia z siebie, daje w tym samym artykule istny koncert tego kunsztu, nazywając neo-konserwatystów «parwieniuszami» (znowu!), «zdemoralizowaną czeladzią», «zbieraniną», «podrzutkami» i t. d. Skąd gniew, bryzgający aż takimi wyrażeniami? Gniew ten ma swoje wcale ciekawe źródło, które warto odsłonić.

Nie zawsze były organy wszechpolskie równie niełaskawe na «młodych stańczyków». Był czas (czyż to *Słowu Polskiemu* wyleciało już z pamięci?) gdy ze strony lwowskiej grupy wszechpolaków podejmowane były raz po raz próby nawiązania bliższych stosunków z neo-konserwatami i ich organem krakowskim. Zaloty te zauważyła i podkreśliła cała niemal prasa galicyjska. Wszechpolakom uśmiechała się perspektywa spółki politycznej, która dawałaby im odrazu cechę poważnego stronnictwa w Galicyi, a zarazem użyczyłaby niejako sankcyi ich zakordonowej organizacji i robotom, prowadzonym pod firmą Ligi, Skarbu Narodowego i t. d. Ale *Czas* zawiódł nadzieje. *Czas* zajął wobec wszechpolskiej roboty takie stanowisko, jakie nakazywało mu

zająć sumienie publiczne i wierność sztandarowi, to znaczy, potępił je z całą surowością, a kiedy pojawiła się praca Scriptora, wykazująca szkodliwość tych robót dla sprawy narodowej, powitał ją z żywym i gorącym uznaniem. To było zupełnie naturalne. Ale to był bolesny zawód dla lwowskiej grupy wszechpolaków, którym zdawało się, że zdołają wziąć «stańczykowską twierdzę» kilku wstępnyimi artykułami, nastrojonemi na nutę taniego pochlebstwa. Stąd gniew. Stąd złorzeczenia.

Dla większego pognębienia znieawidzonych neo-stańczyków i aby miara zemsty była dopełnioną, *Słowo Polskie* umyśliło przeciwstawić im «starych», których, dla kontrastu, maluje w dość różowych kolorach. Innym razem, kiedy zachodzić będzie tego potrzeba, wszechpolacy użyją sobie i na starych stańczykach, którym przypiszą wtedy wszelkie zbrodnie, jakie im tylko podyktuje lotna i w tym kierunku szczególnie bogata fantazyja. Dziś jednak wpadają w formalny liryzm, raczą przyznawać, że «pobudką działania ich (t. j. starych stańczyków) był interes publiczny, interes narodowy», że «w imię zasad prowadzili walkę, która ich oczyszczała i hartowała», że niejednokrotnie «wyrządzano im niesprawiedliwość», która musiała «oburzać» i t. d. I oni to, oni właśnie, musieli zejść na to, iż dziedzictwo polityczne wzięli po nich ludzie, uznający pożytek działalności Scriptora!...

Biedny p. Popławski, pisząc swój artykuł, nie wiedział tylko, że entuzjastyczna ocena Scriptora w *Czasie*, ocena, której samo wspomnienie wyprowadza *Słowo Polskie* do dziś z równowagi, nie wyszła z pod pióra neo-konserwatysty, lecz «starego» stańczyka — Koźmiana, nie wiedział również wówczas, że temuż Scriptorowi poświęci życzliwy artykuł w *Przeglądzie Polskim* inny «stary» stańczyk Bobrzyński, jak nie wie do dziś, że, wśród licznych pochlebnych opinii, wypowiedzianych o dziele Scriptora, do najbardziej pochlebnych należy opinia Juliana Dunajewskiego, który stawia je w rzędzie najważniejszych polskich publikacyj politycznych ostatniej doby. *Ton.*

---

### Skuteczna metoda.

Wychodzące we Lwowie pismo *Monitor* w numerze z 6 grudnia 1903 r. zamieściło artykuł p. t.: «Precz z agentami caratu», w którym wymieniwszy po imieniu redaktorów *Słowa Polskiego* i, w jednej osobie, głównych przywódców partji wszechpolskiej, zarzuciło im, że są agentami rządu rosyjskiego.



«Przed dwoma laty — są słowa *Monitora* — przyszli do nas nieznanymi ludźmi i osiedli w Lwowie. Nikt nie znał ich pochodzenia, nikt nie zna ich celów. Sami o sobie nic nie mówią i nie zdradzają tajemnicy, kryjącej mrok, z którego się wynurzyli. A zachowują tę tajemnicę tak ściśle, że chyba tylko baczne oko i słuch skonstatować może, iż za tajemną zasłoną jest coś, co nie ma widzieć światła dziennego. Wasilewski, Dmowski, Popławski, Hlasko, to wszystko ludzie, których u nas nikt nie widział w pracy publicznej, których nikt nie zna i nie wie: co zaczynają oni. O sobie niczego nie podają, a wolani przed c. k. sądem, nawet swych generalistów podać nie chcą. Różnie o nich mówią, a podejrzenie jest powszechne, że nie bez celu znaleźli się na gruncie galicyjskim».

*Monitor* rozpatruje dwuletnią działalność *Słowa Polskiego* po opanowaniu go przez grupę wszechpolską i znajduje, że główną, rzucającą się w oczy jej cechą była: destrukcyjność. Redaktorowie wszechpolscy — powiada *Monitor* — «napadali systematycznie na ludzi naszych, wypróbowanych w pracy publicznej...» «nie uszedł ich napaści ani Stanisław hr. Badeni, którego starano się zohydzić jako marszałka kraju i napiętnować zdradą, za to, że nie chciał nieść tlejącego łączywa na Ruś...» «rzucano się na namiestnika hr. Potockiego...» «kopano w podły sposób wilcze doły pod starym regimentarzem Koła Polskiego, wymyślając różne kłamstwa i snując sieci intryg...» «zohydzono Romanowicza i Rutowskiego... słowem terroryzowano każdego działacza, który nie przymknął pod ich chorągiew...» W tych stosunkach ludzie zaczynają się odsuwać od pracy publicznej, «obawiając się podłych napaści *Słowa Polskiego...*» tembardziej, że organ wszechpolski nie cofa się przed «wywlekaniami nawet spraw czysto rodzinnych ludzi pracy publicznej, by ich zohydzać». Wytworzyła się we Lwowie atmosfera «straszna, duszna, dławiąca...» A przy tem wszystkim ludzie ci udają zagorzałych patriotów.

«Chwycili się oni starej a wypróbowanej taktyki. Chcesz być szpiegiem w kołach robotniczych, wówczas udajesz zagorzałego socjalistę; chcesz szpiclować w patriotycznych kołach inteligencji — udajesz wówczas wecielenie patriotyzmu, jesteś patriotą-szowinistą. Stara to maksyma — i tej się jęła mafia, która kraj nasz naszła. Oddawna czuliśmy, że ludzie ci nie bez pewnego ukrytego celu przyszli do nas i od samego początku natrafiłiśmy na trop, że ich łączy coś z rządowymi sferami moskiewskimi. W Królestwie denuncjowali przez wystąpienia swe w Galicyi masę ludzi, narażając ich na prześladowanie, z drugiej strony zyskiwali co chwila pochwały i uznania rosyjskich pism rządowych. Ta słaba nitka, na którąśmy natrafiłi, z dniem każdym rosła i grubiała i dziś sprawdzilo się to, cośmy przeczuwali jeno».

I cóż się sprawdziło?

Oto, podług *Monitora*, przywódców wszechpolskich w Galicyi, których pismo to nazywa «tajemniczymi bandytami»,

«zdemaskowano jako agentów rządu moskiewskiego, którzy tu przybyli mącić i judzić, aby to nieszczęsne społeczeństwo nie mogło się wzmódz i urosć w siły! Publiczne, jawne oskarżenie tej mafii posunęło się nawet tak daleko, że wymieniono nawet miesięczną kwotę 600 rubli, jaką ma herszt tej bandy pobierać od rządu, jako zółd za zdradę biednego narodu i za zbrodniczą w tem społeczeństwie pracę».

I dalej woła *Monitor*:

«Uprzywilejowanym agentom caratu pozwala się bezkarnie opanowywać opinię publiczną w kraju, rzucać się z wściekłością na każdego uczciwego człowieka, deprawować, mącić i judzić!... Po-dejmcie walkę z tym wrogiem, którego się wykryć udało! Wytnijcie tego raka, który się wpil w organizm społeczny, gdyż inaczej biada naszej przyszłości! Stwórcie specjalną organizację, któraby tych łotrów na każdym kroku kontrolowała i zapobiegała dalszemu spusztoszeniu w naszym ciele! Precz z nastanymi nam agentami caratu!»

Tyle *Monitor*.

W jakim celu przytoczyliśmy głos tego pisma?

Nie dlatego naturalnie, żebyśmy *Monitora* uważali za poważne i bezstronne źródło informacyjne, albo jego zarzuty za uzasadnione. Nie. Inny cel mieliśmy na widoku, który wyjaśnimy. Istnieje pewna, wypróbowana przez niektóre organy prasy i najczęściej, niestety, niezawodząca w skutkach metoda walki publicystycznej, polegająca na tem, żeby nie zmagać się z ideą, lecz rzucać się z całą bezwzględnością i brakiem skrupułów na ludzi, kwestyę stawiać osobiście, odzierać z czci i wiary i doprowadziwszy przeciwnika do zupełnego zmęczenia, zmusić go wreszcie do kapitulacyi. Tę taktykę doprowadziła u nas do mistrzostwa prasa wszechpolska.

Publicyści umiarkowanego obozu, którzy jej niejednokrotnie na sobie doświadczyli, mogli byli odplącać się grupie wszechpolskiej tą samą monetą. Nie brakło ku temu nawet usłużnych zachęt. Ale są pewne rodzaje broni, które wymagają specjalnych szermierskich uzdolnień. Aby swobodnie i skutecznie wlaść bronią, z taką wprawą używaną przez rycerzy wszechpolskich, trzeba do tego uzdolnień, płynących z osobnej tradycyi, osobnej kultury, osobnej etyki. Nie wszyscy są w tem szczęśliwym położeniu. Są jednak tacy poza obrębem umiarkowanego obozu i ci, o ile mają z wszechpolakami jakieś rachunki do załatwienia, załatwiają je zwykle w sposób zupełnie dla siebie pożądanym. Mężowie wszechpolscy okazują się bowiem nadspodziewanie przystępni dla tego rodzaju argumentów. Tak czyni *Naprzód*, tak postępuje *Monitor*, którego klasyczny atak powtórzyliśmy w wyjątkach. Przed dwoma laty Jerzy Moszyński rzucił oskarżenie, że redaktorowie *Przełądu Wszechpolskiego* są na żółdzie pruskim. Dziś *Monitor* robi ich agentami rządu rosyjskiego.

Wszechpolscy dziennikarze nie są ludźmi, nie dającymi się przekonać. Owszem. Od czasu, gdy *Monitor* i *Naprzód*, dla uproszczenia sobie zadania, przeniosły walkę na grunt osobisty i z całą właściwą tym organom «brawurą» natarły na głównych przedstawicieli obozu — bohaterskie baterye *Słowa Polskiego* umilkły, niby na komendę.

---

### O informacjach „Naprzodu“.

Warszawski korespondent *Naprzodu* w numerze z 4 marca maluje, jak sam powiada, na podstawie «plotek», nastrój różnych stronnictw w Królestwie, wywołany wojną. Ugodowcy, podług tych «plotek», straszą okupacją pruską na wypadek rozruchów w Królestwie. Obok tego

«aby nie drażnić opinii, pogrzebali myśl podania adresu wierнопoddanego w imieniu Polaków. W pewnej mierze ofiarą tego adresu padł p. Tadeusz Kowalski, radca Towarzystwa kredytowego ziemskiego, który dawniej należał do komitetu obywatelskiego, przyjmującego Mikołaja II podczas pamiętnych dni gorączki ugodowej r. 1897. P. Kowalski gwałtownie agitował przeciwko projektowi adresu, już napisanemu i przez cały ten czas znajdował się w stanie silnego podniecenia, co, według twierdzenia jego znajomych, w znacznym stopniu przyczyniło się do przyspieszenia jego zgonu».

O projekcie polskiego oddziału sanitarnego, mówi korespondent, że «trudno spodziewać się, aby elementy opozycyjne przeciwko temu mogły protestować», forma bowiem akcji «została, trzeba to przyznać, bardzo zręcznie wybrana». Warto zapisać to zdanie socjalistycznego dziennika, wypowiedziane przed demonstracją. Po awanturze *Naprzód* oczywiście zmienił zdanie.



## MISCELLANEA.

### Litwini w Krakowie.

O zawiązaniu się w Krakowie naukowego Towarzystwa polsko-litewskiego otrzymaliśmy następującą relacją od jednego z uczestników zebrania.

W mieszkaniu p. Janusza Niedziałkowskiego odbyło się zebranie Litwinów i Polaków, na którym zawiązano Towarzystwo litewskie. Obrady trwały kilka godzin i wykazały w pierwszym rzędzie naszą upokarzającą ignorancję w rzeczach, dotyczących się narodowego ruchu litewskiego. Gospodarz i inicjator zebrania zaprosił na nie, oprócz Litwinów zamieszkałych w Krakowie, także grono Polaków, pochodzących z litewskich gubernii. Okazało się, że niektórzy z nich, starzy mianowicie, jak o żelaznym wilku słuchali o istnieniu paromilionowego plemienia, mówiącego odrębnym od nas językiem, a nazywającego się litewskim narodem. Cóż dopiero mówić o Galicyi. O Litwinach wie coś niecoś garstka uczonych i dziennikarzy. Szeroki ogół nigdy o nich nie słyszał. Naukowo nikt nie pracuje nad litewszczyzną. Jak niegdyś, przed wiekami, pierwszym zbieraczem litewskich pieśni ludowych był Krzyżak, tak samo i dziś pole to zostawiliśmy do uprawy Niemcom. Zdaje się, że pięćset lat politycznego i kulturalnego współżycia dwóch sąsiedzkich narodów były snem tylko, nie rzeczywistością!...

Zebranie krakowskie było szczęśliwym krokiem, zrobionym w celu wzajemnego poznania się. Wzięła w niem udział młodzież, dojrzała męźowie i siwowłosi starcy, A oto przebieg obrad:

Wybrano przewodniczącym obrad dra Znanietowskiego, najstarszego wiekiem, Nowogrodzianina. Gospodarz domu, Litwin z krwi i kości, znany w Krakowie inżynier, wyjaśnia obecnym,

że nowe Towarzystwo będzie miało za zadanie poznawać i szerzyć znajomość kultury litewskiej. Następnie otwiera się dyskusja nad potrzebą takiego Towarzystwa.

Zabiera głos kupiec krakowski p. Angrabajtis.

— Od siedmiu lat mieszkam w Krakowie — mówił p. A. — więc spostrzeżenia moje nie są przelotne. Te siedm lat utwierdziły mnie w przekonaniu, że potrzebne jest towarzystwo, któreby się podjęło zaznajomić z sobą Polaków i Litwinów. Tutaj, w Krakowie, ile razy zdarzyło mi się zetknąć z wykształconą publicznością, zawsze przekonywałem się ze smutkiem, że ona wie więcej o Chińczykach niż o Litwinach. Mnie samego pytali się ze zdumieniem: jakto? to Litwin nie rozumie po polsku? niepodobna! Inteligentni ludzie nie chcą wierzyć, że język litewski, to nie polski. Taka rzecz — ciągnął p. Angrabajtis, wysławiając się z pewną trudnością po polsku — jest dla nas bardzo bolesna, bo Litwin chce być współbratem Polaka, ale nie może być Polakiem. Już teraz z tego nieporozumienia zaczyna powstawać między Litwinami niechęć do Polaków. Wprawdzie to tylko zapalone głowy, a nie rozumni i poważni ludzie, ale przecież i to być nie powinno. Trzeba na to coś radzić, żeby była zgoda. Tymczasem cóż robią polskie gazety dla tej zgody? Nic. Czy starają się zaznajomić swoich czytelników z narodem litewskim? Nie. Czasem jeszcze napisze coś o Litwinach *Kraj* i na tem kończy się. Czego my chcemy? My nie chcemy przecież, aby wszyscy Polacy uczyli się po litewsku, ale powinni być między nimi uczeni panowie, którzyby język nasz poznali i resztę Polaków z nami, z naszym życiem zaznajamiali, żeby wiadano, że my tworzymy także naród. Ale nietylko, że tego niema, lecz nawet, kiedy sam Litwin, taki, co dobrze po polsku pisać potrafi, przyniesie do polskiej redakcyi artykuł i prosi o wydrukowanie go, to odrzucają i nie chcą drukować. Tak było — kończył p. Angrabajtis z żalem — tutaj w Krakowie. Powiedzieli nam: co tu głowę zawracać Litwinami!... To źle, bardzo źle i boleśnie!...

Tak prawił szczery Litwin z nad Niemna, przeszczepiony na grunt krakowski.

Ale teraz powstał obecny na zebraniu Litwin z Grodzieńskiego z wielkiem oburzeniem:

— Z tego, co tu pan Angrabajtis powiedział, wynikałoby, że ja, Litwin z dziada pradziada, Litwinem nie jestem, bo po litewsku ani słowa nie umiem! Na to muszę wyrwać moje najwyższe zdziwienie i zdumienie. To może i Mickiewicz nie był Litwinem?! Wszak i on narzeczka litewskiego nie znał! Nie, pierwszy raz słyszę coś podobnego! Pan Angrabajtis skarży

się, że Polacy czują niechęć do Litwinów... To zupełnie coś nowego. To nieprawda! Czyż nie cześci każdy Polak Kościuszki, Mickiewicza?...

A więc jesteśmy przy *a, b, c* polsko-litewskiego stosunku!

Wyłania się elementarna kwestya: co to jest Litwin? Jedni w zebraniu mają na myśli pojęcie etnograficzne, drudzy historyczno-polityczne. Ani sposób porozumieć się. Sam przewodniczący, sędziwy dr. Znanietowski, czuje się wywodami p. Angrabajtisa zgorszony. Jakto? Więc on nie jest Litwinem dlatego, że nie mówi jakimś tam litewskiem «narzeczem»? A to wyborne! On, który urodził się w sercu Litwy, w Nowogródku, ba, na tym samym kawałku ziemi, co Mickiewicz?...

Zabiera głos Angrabajtis i wypowiada serdeczne i prostoduszne, a mądre słowo:

— Nie tylko nie zaprzeczam, że pan Doktor jest Litwinem, ale całym sercem go kocham i cieszę się, że go widzę, bo on także z Litwy. Otóż moje zdanie takie: i ten Litwin, co mówi po polsku, i ten Litwin, co nie rozumie po polsku, tylko po litewsku. Oba Litwini. Tylko trzeba temu drugiemu uznać prawo do tego języka, bo to jego skarb po pradziadach.

Do dyskusyi, która się robi gorącą, dorzuca jedyny obecny na zebraniu Galicyanin, cierpką uwagę: Skoro «sami Litwini» nie doszli jeszcze do porozumienia między sobą, to czyż można się dziwić, że w Galicyi o tych rzeczach nie mają ludzie dokładnego wyobrażenia? W Zakopanem słyszał mowca zresztą od pewnej rodziny litewskiej, że oprócz Litwinów, są tam także «litwomani».

Litwomani!...

Młodzi Litwini czują się dotknięci do żywego. Litwomani — to obelga! to szyderstwo! Cóżby powiedzieli Polacy, gdyby ich kto nazwał «polomanami»?!

Teraz zabiera głos Litwin, p. Herbaczewski z Maryampola i ma długi wykład o litwomaniach, o pojęciu Litwy etnograficznym i historyczno-politycznym, o zadaniach tworzącego się towarzystwa. Wyjaśnia, poucza, godzi. Polacy powinni uznać ruch litewski, bo on jest faktem, który się cofnąć nie da. Trzy miliony ludzi używa litewskiego języka jako ojczystego. Ale czyż nie można mimo to żyć w zgodzie na podstawie wzajemnego uznania prawa do życia i rozwoju? Czyż koniecznie trzeba się wynaradawiać? Dlaczegoż w Szwajcaryi ludzie szanują swoje narodowe odrębności?

Następnie wdaje się p. H. w rozwikłanie różnych subtelnych zawilości, jakie się wytworzyły na gruncie polsko-litewskiego pożycia. Powoływano się tu na Mickiewicza, który był



Litwinem, a przecież po litewsku nie umiał. Czy Mickiewicz był Litwinem?... Tak, niewątpliwie był. Litwini zastanawiali się nad tem niejednokrotnie i uznali go za swego, choć pisał po polsku.

— Temu panu, który się powołał na Mickiewicza — wywodził p. H. — wskażę na wypadek zupełnie podobny w innym narodzie. Oto Byron należy do literatury angielskiej, a jednak był Szkotem. Mickiewicz był duchowo Litwinem, podobnie jak Towiański. Język jest tutaj cechą zewnętrzną. Ale duchowa istota Mickiewicza pochodzi od Litwy. Jako Litwin objawił się Mickiewicz najwyraźniej na katedrze Collège de France. Jego mistycyzm, to wpływ duszy litewskiej, to rozwinięcie religijno-kontemplacyjnego pierwiastka, który tkwi w ludzie naszym.

Ale dość rozpraw.

Przystępujemy do zawiązania Towarzystwa litewskiego w Krakowie. Nazwa jego brzmieć będzie «Ruta», bo wyraz ten ma jednakowe znaczenie w polskim i litewskim języku, a przysiętem to kwiat ulubiony na Litwie.

— Zgoda?...

Powszechna zgoda!

Stowarzyszenie pod tą nazwą mieć będzie na celu zjednoczenie wszystkich Litwinów i miłośników Litwy etnograficznej dla wspólnej pracy nad rozwojem kultury litewskiej. Zwyczajnymi członkami będą mogły być osoby, poczuwające się do narodowości litewskiej, nadzwyczajnymi — członkowie innych narodowości. Prezes i sekretarz muszą biegle władać językiem litewskim. Protokoły obrad będą spisywane w dwóch językach: po litewsku i po polsku. Towarzystwo będzie utrzymywało czytelnię i bibliotekę. Urządzać będzie odczyty i zebrania literackie. W razie rozwiązania się, fundusze swe przekaze Akademii umiejętności w Krakowie z zastrzeżeniem, aby były użyte na badania naukowe litewszczyzny.

Zgromadzeni przyjęli projekt ustawy *en bloc*. W kilkanaście dni namiestnictwo zatwierdziło go i stowarzyszenie litewskie «Ruta» w Krakowie rozpoczęło swój żywot. Potrzebę jego wykazał najwymowniej sam przebieg pierwszego zebrania.

A.

---

### Wacław Koszczyc.

W 73 roku życia umarł we Lwowie literat Wacław Koszczyc, znany pod imieniem Sahi-beja. Był to osobliwy typ

spiskowca z urodzenia, temperamentu i nałogu. Wacław Koszczyć Wołodźko, jako kapitan inżynierii w wojsku rosyjskiem, przeszedł w r. 1863 w powstańcze szeregi. Po upadku powstania przebywał siedem lat w Turcyi, poczem, zateśkniwszy za krajem, osiadł we Lwowie. Zarabiał tu piórem, jako autor czytanych niegdyś powieści, i dziennikarz. Zmarł w nędzy i opuszczeniu, nie chcąc przyjąć znikąd pomocy. Życie Koszczyca od osiedlenia się we Lwowie w r. 1870 było jednym pasmem konspiracyj.

W r. 1877 zależało Turcyi i Anglii na wywołaniu powstania polskiego w Królestwie w celu zrobienia dywersyi Rosyi, zajętej wojną na Bałkanach. Już we wrześniu 1876 r. zanim wojna wybuchła, rząd turecki zwrócił się do kilku polskich emigrantów w Stambule z propozycją wywołania w Polsce ruchu zbrojnego przy materyalnem poparciu Turcyi. Rokowania odbywały się między wielkim wezyrem Midhatem paszą, a emigrantami: Bolesławem Stolzem inżynierem w służbie tureckiej i A. Zimmermanem (Arturem bejem) pułkownikiem tureckim w Egipcie. Obaj ci panowie uznali myśl powstania za bardzo szczęśliwą i zwrócili się z nią do Koszczyca we Lwowie. Koszczyć zwołał naradę. Uchwalono dać przychylną odpowiedź Turkom i zawiązano t. zw. «Konfederacyę Narodu Polskiego», o której naród oczywiście nie wiele wiedział, a która miała powstaniem pokierować. Duszą «Konfederacyi» był Koszczyć, który przybrał sobie rewolucyjne imię «Płomiennego». Anglia rzuciła trochę pieniędzy i «przygotowania» rażno zostały rozpoczęte. Ale wnet wybuchły w łonie Konfederacyi nieporozumienia. Koszczyć okazał się mianowicie zbyt «płomiennym». Turcyja nagliła o pośpiech i pewnego razu zażądała od konfederatów, aby przygotowali wybuch koniecznie do dwóch tygodni. Koszczyć był za wypełnieniem żądania Turcyi, ale innym członkom organizacyi, przy całym optymizmie, wydał się ten termin za blizkim; stąd powstała scysya i «Płomienny» rozgoryczony «zwlekaniem» sprawy opuścił konfederackie szeregi, żegnając współspiskowców słowami: «Życzę Panom z całej duszy powodzenia, a dodam, że nie godzi się ludzi Turków i wprowadzać ich w błąd w ruchach strategicznych»<sup>1)</sup>.

Powstanie do skutku nie doszło, bo myślała o niem już tylko garść wartogłówów, nie naród. Rosya wygrała wojnę. Turcyja i Wielka Brytania przeszły do porządku nad Polakami, nie potrzebując już dywersyi.

Minęło znowu lat dwanaście. Dla Koszczyca były one la-

---

<sup>1)</sup> Dzieje konfederacyi opisał Koszczyć w książce p. t.: «Konfederacyja narodu polskiego w r. 1877».

tami przygotowania się do nowego spisku. W r. 1889 zanosilo się na wojnę austryjacksko-rosyjską. W głowie austryjckiego generała, szefa sztabu Rosenberga-Orsiniego powstała myśl wywołania na wypadek wojny, zbrojnego ruchu Polaków w Królestwie. Z idea tego rodzaju można było trafić tylko do tak zdumiewająco niepoprawnych i zapalnych głów, jak Koszczyca. Tam też Orsini się zwrócił. Utworzyła się organizacja powstańcza we Lwowie, a na jej czele stanęli: Karol Widman i Koszczyc. Ale tymczasem wojna została zażegnana.

I to nie był jeszcze ostatni zawód starca. Zawiódłszy się na kombinacjach wojennych europejskich, zwrócił się w latach dziewięćdziesiątych ku Stanom Zjednoczonym Ameryki, przemysłiwając nad tem, aby pod protektoratem gwiazdzonego sztandaru przygotować powstanie polskie. Nakoniec, nie ustając ani na chwilę snuć pasmo swoich złudzeń, zdziecinniały starzec popadł w manię prześladowczą, dopatrując się (jak świadczy przyjaciel i biograf jego, p. Roman Czaplicki w *Sł. Pol.*) «w każdym prawie swego i ojczyzny wroga».

Tak strawiło się bez pożytku dla kraju to niespokojne i tragiczne niewątpliwie życie, które miało wiele danych, aby zostawić po sobie trwałe i owocne ślady.

Y.



## UWAGI.

Jaki cel mieć mogą rok rocznie publikowane w piśmiech «wyciągi z najpoddającego sprawozdania Nacz. Prokuratora św. Synodu» o rozwoju prawosławia w Królestwie i na Litwie? Kogo mają pouczyć, kogo przekonać, kogo pozyskać? Uczucia, jakie budzić muszą te wyciągi u czytelników polskich, nie mogą być dla nikogo tajemnicą, ani niespodzianką: sprawiają ostry ból, burzą i drażnią. Ale czytelnicy rosyjscy? — czy dużo jest takich, którzy wierzą w prawdziwość odmalowanego przez prokuratorę Synodu obrazu? czy uwierzą w to, że walka o dusze, prowadzona między duchowieństwem prawosławnym i katolickim na terenach spornych, jest walką złych i dobrych duchów, że duchowni prawosławni, to apostołowie pokoju, «kierujący się zasadami łagodności chrześcijańskiej i poślizliwości względem ludności innowierczej», a księża, to «szerzyciele fanatyzmu i nietolerancyi», czyhający na cudzą własność duchową, pełni uczuć «wrogich» i nienawiści itd.?

Raport Nacz. Prokuratora Synodu dowodzi, że jego autorowie nie mają żadnego zmysłu artystycznego; gdyby znali teorię światłocienia, nie skupiliby po jednej stronie snopów światła, a po drugiej same ciemności.

Nie mamy bynajmniej zamiaru dowodzić wyższości duchowieństwa katolickiego nad prawosławnym. Są to dwie ilości nie dające się ze sobą porównać. Na wielką ich między sobą różnicę składają się, oprócz charakteru religii

i narodowości, do których należą, jeszcze i takie przyczyny, jak celibat lub życie rodzinne, mniejsza lub większa zależność od organizacyi państwowej itd. Pozwalamy sobie tylko sądzić, że w gorączce «walki z katolicyzmem» (tego terminu używa sam raport Synodu) muszą wytwarzać się fanatyzmy i po stronie atakującej.

Poczucie sprawiedliwości nakazuje przytem wziąć pod uwagę, że walka ta odbywa się w warunkach bardzo nierównych. Odstępstwo od prawosławia uważa i karze kodeks karny rosyjski jako jedno z najcięższych przestępstw, za skuteczną działalność w kierunku przeciągania katolików na prawosławie otrzymuje kler prawosławny ordery, nagrody, awanse. Najmniejsze podejrzenie działania księży w odwrotnym kierunku (naturalnie tylko w stosunku do b. unitów, bo o nawracaniu prawosławnych mowy niema) pociąga za sobą surowe kary, usunięcie z urzędu i często zesłanie. Współdziałal administracyi w obu kierunkach należy już prawie do przeszłości, ale dziś jeszcze prowadzi się, choć z mniejszą siłą, akcyja zniewalania dzieci katolickich do uczęszczania do szkół prawosławnych, tzw. cerkiewno-parafialnych. Jest to już propaganda, wychodząca poza granice moralnego tylko wpływu. Sprawa biskupa Zwierowicza dowodzi takiego właśnie charakteru tej akcyi. Gdyby b. biskup wileński, protestujący w sposób ostry przeciwko niej, nie miał za sobą słuszności, nie byłoby jego wygnanie skończyło się po roku nominacją na katedrę sandomierską.

Cyfrы, które przytacza nacz. prokurator Synodu w sprawozdaniu o stanie dyecezyi chełmskiej, dowodzą, że wszystkie ostrzejsze, czy (jak obecnie) łagodniejsze <sup>1)</sup> środki

---

<sup>1)</sup> Od lat kilku zauważyć się daje znacznie łagodniejsze postępowanie administracyi wobec «opornych». Prześladowanie za «śluby krakowskie» ustało. Ze strony generał-gubernatora warszawskiego udzielono kilka pozwoleń na budowy kościołów w miejscowościach, w których przedtem niepodobna było pomyśleć o czemś podobnem. Zdaje się więc, że ostrzejszy kierunek idzie wyłącznie ze sfer hierarchiczno-duchownych.

nie prowadzą do rozwiązania kwesyi unickiej. Liczba «opornych» topnieje bardzo powoli i dziś jeszcze wynosi podług urzędowych świadectw 79.340 dusz (w rzeczywistości cyfra ta musi być znacznie większa).

Przed kilku laty, z okoliczności spisu jednodniowego, przedstawiony został cesarzowi przez ks. Imeretyńskiego projekt, aby położyć kres kwesyi unickiej, przez pozwole nie zaliczenia się do kościoła katolickiego tym, którzy się przy spisie za katolików podali, i przez ułaskawienie zesła nych. Cesarz, bawiący wówczas w Spale, zgodził się w za sadzie na projekt. Ale następnie wszystko się odwróciło. Czynniki, bardzo wpływowe, które projekt ks. Imeretyń skiego od razu z najwyższem oburzeniem przyjęły, potra fiły udowodnić, że owo zapisywanie się na katolików było nie skutkiem gorącej wiary i głębokiego przywiązania do katolicyzmu, ale agitacyi politycznej. «Niebezpieczeństwo dla prawosławia» zostało odwrócone, projekt przepadł <sup>1)</sup>.

Ten obrót sprawy musi każdego, pragnącego, aby na terytoryum Królestwa i w stosunkach polsko-rosyjskich zapanował spokój i stosunki normalne, przejąć głębokim smutkiem. Agitacya polityczna na Podlasiu prowadzona

---

<sup>1)</sup> I fakt agitacyi i fakt niepożądanych jej skutków potwier dził, z rzadką i godną uznania szczerością, sam *Przegląd Wszech polski*, pisząc w zeszycie lutowym z r. 1900, co następuje: «W roku 1897 organizacya Ligi Narodowej w zaborze rosyjskim postanowiła skorzystać ze spisu jednodniowego dla rozwinięcia żywej agitacyi w duchu katolickim i polskim wśród ludności unickiej w Królestwie i nawet na Litwie. Wydano odpowiednią odezwę i rozpowsze ch niono w znacznej liczbie numery krakowskiego *Polaka*, zawierające wsk az ó w ki, jak się należy zachowywać podczas spisu. Ta a gi tacya miała skutek doniosły. W wielu miejscowościach gubernii siedleckiej i lubelskiej unicy, którzy pokornie przyjęli narzu cone im prawosławie, przy spisie ludności podali się, jako kato licy i Polacy. Na Podlasiu opór przybrał nawet ostrzejszy charakter. W sferach rządowych powstał wówczas projekt pozwolenia o por nym przejść na katolicyzm. Zaniechano tego projektu z o b a w y, że wszyscy byli unicy okażą się opornymi!» Takie tryumfy świeciła stale Liga Narodowa, ile razy chciała swoją teorię «zmu szania rządu do ustępstw» przeprowadzać.



była w czasie spisu ludności istotnie, ale wbrew woli i wbrew najoczywistszym interesom ludności. Przypuszczać, że to ona ludność oporną podburzyła, to znaczy zupełnie nie znać stosunków i rozumować nie na gruncie faktów. Opór unitów datuje się z czasów, kiedy o wszechpolakach i Lidze Narodowej słyhać jeszcze nie było. Charakter tego oporu i jego natężenie nie zmieniło się na jotę wskutek tego, że Liga Narodowa rozrzuciła kilkadziesiąt, czy kilkaset swych proklamacyi między milionową ludność unicką. Dowodem zachowanie się byłych unitów po spisie i po dziś dzień.

Liczba opornych na Podlasiu zmniejsza się tak powoli, że przy sprzyjających dla prawosławia warunkach, potrzeba będzie jeszcze kilkadziesiątu lat, aby się ta wiecznie otwarta i drażniąca rana mogła zablżyć. W czym interesie leży upór, z którym broni się sprawy, tak wątpliwej co do swej słuszności, jak i co do znaczenia państwowego? Jakie może mieć znaczenie dla potężnego państwa, liczącego sto milionów prawosławnych mieszkańców, kwestya, czy sto lub dwieście tysięcy wierzących chrześcian, którzy wolą raczej żyć w związkach nieślubnych i bez chrztu dzieci, aniżeli odstąpić od wiary ojców, zaliczy się do tego czy innego kościoła? Czy skutki wytężonej w tym kierunku od tylu lat akcji odpowiedzą nakładowi sił i energii, jakie się dla dopięcia tego celu włożyło?

Nie potrzeba żadnych innych dowodów: ostatni raport Nacz. Prokuratora Synodu, podany do wiadomości ogółu, jest świadectwem, że niema innej drogi dla rozcięcia węzła tej bolesnej kwestyi, jak tylko wrócić do projektu z r. 1897, uznania za katolików tych «opornych», którzy się podczas jednodniowego spisu za katolików podali i za takich po dziś dzień się poczytują. Wierzymy, że czulemu i wrażliwemu sercu monarchy podpowie to rozwiązanie ten sam szlachetny wzgląd, który go skłonił od samego początku panowania do całego szeregu ulg w zakresie tolerancyi religijnej. Tysiące ust będą z wdzięcznością powtarzać i błogosławić imię wspaniałomyślnego cesarza.

---

Do rzędu pomysłów, za pomocą których ma się dokonać pokojowy podbój Królestwa na rzecz idei państwowej należy chęć odebrania Królestwu na zewnątrz charakteru kraju społecznie i narodowo polskiego i nadania mu cech prowincyi z ludnością mieszaną, polsko-rosyjską. Objawem tej tendencyi jest powoływanie przez władze do reprezentowania społeczeństwa miejscowego nie samych tylko Polaków, ale także chociażby paru Rosyan, jak to miało naprzykład miejsce w r. z. przy wyznaczaniu osób, które się przedstawiały Najjaśniejszemu Panu w Skierniewicach.

Ponieważ społeczeństwa rosyjskiego w Królestwie nie ma, a urzędników do reprezentacyi społecznej wyznaczyć nie podobna <sup>1)</sup>, więc wyszukuje się jakiego przypadkowo bawiącego w kraju właściciela majoratu (tj. majątku ziemskiego, po r. 1830 skonfiskowanego), jakiegoś handlującego w Warszawie kupca, albo posiadacza domu i każe im się spełniać rolę «*Parade-Russen*». Rola to nie zbyt szczytna i nie wesola, bo czują się oni intruzami w obcym gronie, a ich charakteru przedstawicielskiego nie uznaje nikt, nawet ci, wobec których społeczeństwo miejscowe ma być reprezentowane. Są oni, jak owi słomiani założyciele w niektórych przedsiębiorstwach handlowych lub przemysłowych, których się przybiera do firmy dla łatwiejszego uzyskania koncesyi, ale którzy naprawdę żadnego głosu w prowadzeniu interesu nie mają, bo reprezentują akcye cudze.

Zgadzając się na to, że w pracy publicznej dla dobra kraju koniecznem jest współdziałanie społeczeństwa i rządu, nie mamy nic przeciwko temu, aby w tych wypadkach, gdy rząd uważa za niemożliwe oddać pewien zakres spraw wyłącznie w ręce przedstawicieli społeczeństwa, ci ostatni pracowali wspólnie z urzędnikami Rosyanami w komisjach

---

<sup>1)</sup> Zdarza się wprawdzie, że włościan w Królestwie reprezentują komisarze włościańscy, lub naczelnicy powiatu, ale tego rodzaju przedstawicielstwa nikt przecież nie bierze na seryo.

lub instytucjach o charakterze mieszanym. Owszem, uważamy takie współdziałanie za krok naprzód ku instytucjom samorządowym, czysto społecznym, z jakich od r. 1864 korzystają wewnętrzne gubernie cesarstwa; w przeciwnieństwie do szowinistycznych ostrzeżeń potępiamy usuwanie się od pracy w takich wypadkach i pozostawianie jej wyłącznie żywiołom biurokratycznym. Ale jeżeli Rosyan zalicza się do przedstawicieli społeczeństwa w kraju, gdzie społeczeństwo to jest *par excellence* polskiem, to musimy w tem widzieć jedynie fortel polityczny, fałszujący charakter reprezentacyi i odbierający jej znaczenie nawet w oczach rządu i społeczeństwa rosyjskiego.

To też sądzimy, że nawet najbardziej umiarkowany Polak, najdalej idący w kierunku zbliżenia się do narodu rosyjskiego, nie może nie zaprotestować przeciw tej procedurze. Aby uniknąć pozoru nawet milczącej akceptacyi, powinniśmy na przyszłość wszelkim zakusom nadania Królestwu charakteru kraju o społeczeństwie mieszanem polsko-rosyjskiem stanowczo przeciwdziałać. Stojąc na gruncie państwowości rosyjskiej, musimy z całą czujnością baczyć, by linia graniczna pomiędzy niezbędnymi wymaganiami państwa, a słusznymi prawami narodowości polskiej, nie była przerwana z krzywdą tej ostatniej.

---

Z różnych stron Królestwa napływają niepokojące wieści o nędzy, spowodowanej skutkami zeszłorocznej powodzi. Korespondenci warszawscy do pism rosyjskich zapewniali, że polskie wiadomości o rozległości klęski były przesadzone; wpłynęło to niewątpliwie na zmniejszenie zapomogi skarbowej. Dziś widać, że przesady wielkiej nie było i że trzeba znowu energicznie się zakrzętnąć, ażeby choć najbardziej dotkniętym pomoc okazać. Niestety, chwila najwłaściwsza, chwila pierwszych silnych wrażeń — przeszła i pomoc ta nie da się już tak energicznie i w takich rozmiarach zorganizować, jakby to pod pierwszym impulsem było możliwem. Warto opowiedzieć, dla czego tak się



stało. Opowieść będzie tysięcznym pierwszym (z pewnością nie ostatnim), dowodem, w jak trudnych warunkach żyć i działać musimy, wystawieni w każdej chwili i w każdej sprawie na krzyżowy ogień niechęci, uprzedzeń, zaciętości ze strony pewnej części biurokracji rosyjskiej i bezmyślności szowinizmu z naszej własnej strony.

Pierwszym rysem charakterystycznym była zwłoka, wynikająca może nawet nie z rozmysłu, ale z opieszałości i powolności, z jakimi toczą się od pewnego czasu wszelkie, choćby najpilniejsze sprawy krajowe. Z prośbą o zezwolenie na zawiązanie komitetu obywatelskiego, któryby zajął się akcją ratunkową dla powodzian, zwrócił się książę Maciej Radziwiłł do władz warszawskich zaraz na początku lipca r. z. Później, w połowie t. m. złożyli memoriał w tej sprawie na ręce, życzliwego dla kraju, pomocnika jenerał-gubernatora, senatora Podgorodnikowa: Władysław hr. Wielopolski, Maurycy hr. Zamoyski, Juliusz hr. Ostrowski, Zdzisław książę Lubomirski, prof. Ig. Baranowski i adwokat Suligowski. W kilka tygodni później złożono jeszcze jeden memoriał, zredagowany przez pp. W. Spasowicza i Eust. Dobieckiego, w którym podano cały program akcji ratunkowej i wyłuszczone powody, dla których niezbędną rzeczą jest zawiązanie centralnego komitetu w Warszawie.

Nakoniec nastąpiła decyzja w październiku, a więc w cztery miesiące po powodzi, i to decyzja odmowna. Pozwolenia na centralny komitet w Warszawie nie udzielono. Ustanowiono natomiast komitety gubernialne mieszane, t. j. złożone z urzędników i obywateli pod przewodnictwem gubernatorów.

Takie rozstrzygnięcie kwestyi było bardzo dla sprawy niepomysłne. Komitety lokalne są oczywiście potrzebne i pożyteczne, gdy chodzi o bezpośredni podział pomocy pomiędzy ludzi, dotkniętych klęską powodzi. Ale podział ten może nastąpić tylko wtedy, gdy są już zgromadzone fundusze, a pod tym względem komitety gubernialne zdziałać mogą stosunkowo niewiele.

Ażeby zgromadzić znaczniejsze środki, trzeba najpierw działać na gorąco, gdy jeszcze nie minęło bezpośrednie wrażenie klęski. Trzeba było akcyę zcentralizować, aby każdy ofiarodawca wiedział, gdzie ma złożyć swoją ofiarę. A przede wszystkim trzeba było do tej akcji poruszyć Warszawę, jako serce kraju, które nadaje impuls wszelkim porywom uczuciowym, a więc i filantropijnym. Rozbić zaś akcyę na dziesięć komitetów lokalnych, z pośród których trzeba zrobić wybór, pominąć agitacyę za pomocą prasy warszawskiej, to znaczyło ograniczyć składowanie do obywateli prowincjonalnych, do odezw urzędowych i osiągnąć w końcu rezultaty mizerne.

Jaki był motyw do odmowy zezwolenia na komitet centralny — nie wiemy. Względy polityczne nie mogło tu być żadnych, o ile nie odegrały roli nieuzasadnione uprzedzenia i osobiste urojenia. Natomiast brak niezbędnej pomocy dla biednej ludności wiejskiej stać się musiał klęską ekonomiczną, która, właśnie ze względu na tych których dotknęła, nie mogła chyba być dla rządu obojętną.

Ze sposobem, w jaki sprawa organizacyi pomocy społecznej dla powodzią została załatwioną — może skutecznie rywalizować chyba zachowanie się naszej szwinstycznej prasy zakordonowej.

Kiedy przysły pierwsze telegramy o powodzi w Królestwie, cesarz Mikołaj ofiarował natychmiast z własnej szkatuły, 200 tys. rubli. Suma — nie zdolna do zaradzenia całej klęsce, ale stosunkowo ogromna. Nieprzypominamy sobie, żeby na jakikolwiek cel inny, dla Rosyan, cesarz podobną sumę ofiarował, albo żeby kto inny z monarchów europejskich kiedykolwiek tak hojnym się okazał. Zdawałoby się, że jeżeli co, to ten czyn, płynący z pobudek sympatyi i współczucia, nie powinien wywołać protestów. Bynajmniej. «Słowo Polskie» z tego właśnie powodu wybuchło najwyższem oburzeniem i rzuciło się na ofiarę cesarską z taką wściekłością, jakby to był co najmniej ukaz o nałożeniu kontrybucyi.

Jeżeli pismo polskie, skrajne ale przecież ostatecznie

zmysłów nie pozbawione, w ten sposób postępuje, to czy można się dziwić, że ktoś, czerpiący w lekturze pism wszechpolskich swoje informacje, natchnienie i pomysły, stawia tamę organizowaniu pomocy dla dotkniętych klęską?

Z mocy Najwyższego reskryptu, ogłoszonego w maju 1903 r., we wszystkich średnich zakładach naukowych Królestwa Polskiego wykład religii ma być prowadzony w języku ojczystym uczniów. Dotyczy to jednak wyłącznie religii rzymsko-katolickiej; o wyznaniach protestanckich zapomniano. I oto wytworzyła się dziwna anomalia: w państwie słowiańskim dzieci słowiańskie, nie rozumiejące po niemiecku, zmuszone są słuchać wykładów religii w tym właśnie języku, tak, że lekcyje religii stają się dla nich jakimiś dodatkowemi lekcyjami języka niemieckiego. A dzieci tych jest gromada niemała. Przedewszystkiem bowiem sporo rodzin rdzennie polskich przechowuje święcie wiarę, przekazaną przez ojców i dziadów od czasu reformacyi. Kalwini naprzykład, w kraju naszym są prawie bez wyjątku pochodzenia rdzennie polskiego. Ale i wśród ewangelików, noszących nazwiska niemieckie, dziś do wyjątków już należą ci, którychby do niemieckiej narodowości zaliczyć można. W Warszawie przynajmniej język niemiecki przestał już od dawna być językiem domowym. W rodzinach pochodzenia niemieckiego, a zdawna w Polsce osiadłych, stał się on dla nich językiem obcym, a wielu nie zna go i nie rozumie wcale. Jeśli w Łodzi lub Sosnowicach, lub gdzieś w jakimś zakątku wiejskim wśród świeżo przybyłych kolonistów niemieckich utrzymuje się dotąd język niemiecki, to przecież do tych wyjątków nie należałoby stosować prawidła ogólnego. Na anomalię powyższą wskazywała już w roku 1901 prasa rosyjska (np. pismo *Niedziela*, 1901. nr. 8). Niedawno znowu niektórzy ojcowie, pragnąc ochronić dzieci swe od tej przymusowej germanizacyi w państwie słowiańskim, zwrócili się



do zwierzchności szkolnej, domagając się ostatecznego usunięcia tej anomalii.

Ciekawa rzecz, co przy ostatecznem rozstrzygnięciu tej sprawy zwycięży: rutyna biurokratyczna, czy logika i sprawiedliwość?

Od czasu do czasu zjawiają się w *Warsz. Dniwniku* artykuły o szkolnictwie ludowem w Królestwie, podpisywane przez inspektora szkół ludowych 3-go okręgu dyrekcji warszawskiej, p. Aleksandra Zunina. Jak każdy, kto się przyjrzy panującym w tej dziedzinie stosunkom, p. Z. zdumiewa się nad oplakany stanem urzędowej oświaty ludowej, która z każdym rokiem się cofa i cofać się musi, bo przyrost ludności jest daleko większy, aniżeli liczba uczniów szkół ludowych.

Szkół tych jest obecnie 2688 na 6<sup>1</sup>/<sub>2</sub> miliona ludności wiejskiej; niema szkół zupełnie w 129 gminach, a niektóre z tych gmin liczą po 10 do 12 tysięcy ludności. Odległość wsi od najbliższej szkoły wynosi nieraz 16 wiorst. Stan budynków szkolnych jest okropny: nisko, ciasno, ciemno, wilgoć i zimno.

Pan Zunin wszystkie te braki widzi wyraźnie i ma luje je jaskrawo; ale gdy zaczyna wyjaśniać ich powody i projektować środki zaradcze, zdradza wielką nieznamość istniejących w Królestwie stosunków prawnych i społecznych. Więc raz sypie wymysłami pod adresem znamyżnych właścicieli wiejskich, że nie dbają o lud, który na nich w pocie czoła pracuje, że go nazywają «bydłem», a szkoły ludowe «bydlęcym uniwersytetem», że są «plantatorami», którzy powinni być zmuszeni przez administracyę do podniesienia prawidłowości szkolnej. W innym artykule, objaśniony już widocznie, że więksi właściciele niosą ciężary szkolne, jako uczestnicy gminy zbiorowej, aczkolwiek są od wszelkiego wpływu na szkolnictwo usunięci, ubolewa nad tem, że wójci i pisarze gminni nie wszędzie są dość sprytni na to, by wymóżyć od zebrania gminnego uchwałę na rzecz szkoły, a włościanie stale i uparcie, bądź

przez ciemnotę, bądź »pod wpływem obywateli«, odmawiają opłat na założenie nowych, lub lepsze zaopatrzenie szkół istniejących. Żąda więc interwencji komisarzy, naczelników powiatu, gubernatorów, a wreszcie odebrania gminom prawa opodatkowywania się na rzecz szkół i wprowadzenia natomiast powszechnego ziemskiego podatku szkolnego. Jak wiadomo, komisya general gubernatorska, rewidujące prawodawstwo włościańskie, również zaprojektowała wprowadzenie takiego podatku, tj. zniesienie w tym zakresie samorządu gminy.

Nie mamy tutaj potrzeby wykazywać całej ignorancji p. inspektora szkół ludowych. Powody, dla których włościanie odmawiają uchwał na rzecz szkoły, znajdzie on wyliczone w wydawnictwie «Potrzeby społeczne w Królestwie Polskiem», które wyszło również i po rosyjsku. Nie jest to ciemnota, bo chłop nasz oświatę ceni i do niej się garnie; gdy nie znajduje jej w szkole, zdobywa ją za szkołą. Powodem jest tu głównie i przede wszystkim niezadowolenie naszych włościan z takiej szkoły, jaką, wbrew programowi Milutina, stworzył Apuchtin; ze szkoły, w której religię wykłada najczęściej człowiek świecki, w której rachunków uczą po rosyjsku, w której dziecku polskiemu każą śpiewać rosyjskie pieśni ludowe.

Wpływ obywateli, tj. inteligencji wiejskiej, niezawodnie może wiele, pomimo, iż rząd zrobił wszystko, co mógł, aby ten wpływ unicestwić. Ale i obywatele nie mogą namawiać włościan do zakładania szkół nowych, bo muszą uznać, że niezadowolenie ludu z dzisiejszej szkoły jest zupełnie słuszne. Znany zresztą jest fakt, że obywatele, mający wielkie zaufanie u chłopów, jeździli z upoważnienia władzy po zebraniach gminnych, aby przeprowadzić uchwałę o założenie szkoły rolniczej w Miechowie. Tymczasem chłopci sprzeciwili się stanowczo, a zapytani o powody, oświadczyli wyraźnie, w obecności komisarza i naczelnika powiatu, że nie mają zaufania do rządowej administracyi funduszami szkolnymi, bo widzą, jak się administruje np. funduszami szpitalnymi.

Gwałceniem i wymuszaniem uchwał gminnych przez administracyę rządową, ani też odebraniem gminie nadanego jej przez Milutina samorządu w zakresie samoopodatkowania na rzecz szkół — sprawy się nie rozwiąże i nie polepszy. Polepszyć ją może tylko z jednej strony zrzczenie się apuchtinowskiej nadziei zrobienia ze szkoły narzędzia politycznego i zreformowania jej w duchu reskryptu Aleksandra II z roku 1864, jako źródła oświaty, bez wszelkiej domieszki politycznej, a powtóre, zrzczenie się drugiej, równie nieziszczalnej mrzonki, że cywilizacyjne podniesienie ludu polskiego jest możliwe bez udziału inteligencyi polskiej, zapomocą środków administracyjno-policyjnych.

Dziś stało się oczywistem, że powzięta po powstaniu idea odgrodenia ludu od inteligencyi, a nawet uzbrojenia pierwszego przeciwko drugiej, idea, która znalazła wyraz w usunięciu inteligencyi od wpływu na najważniejsze strony bytu ludowego — zbankrutowała doszczętnie; że oddanie spraw gospodarczych w ręce biurokracyi i policyi, bez udziału przedstawicieli społeczeństwa, prowadzi tylko do łapownictwa i nadużyć i nie tylko nie osiąga rezultatów pod względem cywilizacyjnym, ale podkopuje i niweczy powagę państwa i rządu. Czas wielki z tej drogi zawrócić!

Jeden z uczonych niemieckich, Fryderyk Paulsen, wydał parę lat temu broszurkę o «Etyce w polityce». Każdy się domyśli, że profesor berliński mówi tam nie tyle o etyce, ile o braku etyki, nie tyle o moralności, jaką zawód polityczny wytwarza, ile o niemoralności, będącej jego nieodłącznym dodatkiem. Ze ścisłością której pozazdrościćby można, wylicza Paulsen różne systemy niesu- miennej polemiki politycznej, a jako jeden z głównych, wymienia «podsuwanie uwłaczających pobudek».

Te słowa uczonego Niemca przypomniały nam się, gdyśmy, przeglądając dzienniki polskie z ostatnich mie-



sięcy, przebiegali raz jeszcze okiem artykuły o Zjeździe Historyków i Filologów Słowiańskich. Zjazd ten — jak wiadomo — został odwołany; wszystkie argumenta za wzięciem udziału w tym kongresie i wszystkie zarzuty, któremi na nie odpowiadano, straciły już wartość aktualną. Gdy myśl takiego Zjazdu ożyje znowu, inne już w świecie słowiańskim panować mogą prądy i inaczej brzmieć mogą rozumowania o potrzebie wspólnej pracy naukowej. To, co ubiegłej zimy pisano o kongresie, a zwłaszcza to, co pisano przeciw kongresowi, jest dziś już tylko zajmujące, jako wyborna charakterystyka naszej psychologii politycznej.

Paulsen miał słuszość. Po co się wysilać na dowody, po co się męczyć nad dociekaniem prawdy? Istnieje przecież sposób stokroć prostszy i łatwiejszy. Podsuśmy przeciwnikowi jakieś pobudki nieczne i wstrętne, a położymy go trupem bez wysiłku i trudu.

Cudzoziemiec, słysząc, że byli w Polsce ludzie pragnący, by nasz naród miał przedstawicieli na zjeździe i że równocześnie byli u nas przeciwnicy tego projektu, mógłby wyobrazić sobie, że jedni i drudzy mieli na celu dobro nauki i dobro narodu, i że naród, wierząc w dobre intencje jednych i drugich, wysłuchał obu stron, by spór sprawiedliwie rozstrzygnąć.

Cudzoziemiec ów dowiedziałby się, że są w Polsce uczeni, którzy twierdzą, iż skoro w Petersburgu między historykami rosyjskimi, czeskiemi, serbskimi i chorwaczkami toczyć się mają obrady o historii polskiej, to lepiej, żeby się toczyły w naszej obecności i pod naszą kontrolą, niż poza naszymi oczyma. Dowiedziałby się, że są ludzie, którzy twierdzą, że uczeni polscy powinni starać się wszystkimi siłami o dostęp do bibliotek i archiwów rosyjskich, a chcąc ten dostęp sobie zdobyć, nie mogą na zaproszenie Akademii petersburskiej odpowiadać impertynencyą. Dowiedziałby się, że zdaniem niektórych Polaków otwierala się, dzięki zjazdowi i połączonej z nim publikacyi, sposobność wypowiedzenia w obrębie państwa rosyjskiego pe-

wnych prawd historycznych, które w inny sposób wypowiedziane tam być nie mogą. Wysłuchawszy tego wstydkiego, czekałby dowodów strony przeciwnej.

Zawiódłby się srodze.

Rzecz jasna, iż argumentów przeciw zjazdowi przytaczano bardzo wiele, ale podstawą ich jest zawsze ten pewnik niewątpliwy, iż każdy, kto przemawia za zjazdem, czyni to z pobudek niepatryotycznych, nieobywatelskich, niemoralnych.

Posłuchajmy jeno.

Profesor Spasowicz przemawia za jazdą do Petersburga, a przecież wiadomo powszechnie, że zdanie Spasowicza, gdy idzie o Rosyę, jest podejrzane! *Kraj* dowodzi, iż na Zjeździe być trzeba, a wiemy przecież doskonale, że *Krajowi* idzie tylko o fałszowanie historii polskiej razem z Moskałami. W Krakowie dały się słyszeć głosy za udziałem w Zjeździe. Jest to oczywiście głos ludzi, którzy «lekceważą godność narodową, a w Zjeździe upatrują sposobność do okazania pokory, która się s owicie opłaci».

Jakież to przewyborne ilustracye do teoryi Paulsena! Wmówić w słuchaczy, że przeciwnik działa z pobudek nikczemnych, czy może być prostszy sposób do przekonania o słuszności własnej?

~~~~~

Warto rozczytać się w płodach publicystów wszechpolskich, by się utwierdzić w tej dawnej prawdzie, iż dawne nawyczki polityczne, dawny sposób postępowania i dawna metoda myślenia stają się jarzmem, którego nie zrzucimy, gdy nam się sprzykrzy, i które mimo wszelkich wysiłków wlec ze sobą musimy. Możemy buntować się i zżymać. Jarzmo gniecie nam karki i zapomnieć o sobie nie pozwala.

Liga narodowa chce się uzbroić w trzeźwość polityczną, chce przemawiać tonem mężów stanu, chce zrzucić z siebie palącą «Dejaniry» koszulę i ukazać się zdumionemu światu w todze senatora.

Usiłowania te są widoczne od wybuchu wojny chińsko-japońskiej. Liga i jej wasale odczuwają grozę położenia, czują, że na pokolenie nasze spada obowiązek zdania sprawy z każdego kroku, domyślają się, że nadejść może chwila, w której będziemy dźwigali na sumieniu odpowiedzialność nie tylko za losy naszego pokolenia, ale za losy pokoleń przyszłych. Liga nie chce na razie awantury. Czeka chwili stosownej, by dowieść czynem, że stać ją na prawdziwy rozum polityczny.

Ale koszula Dejaniry zrosła się z ciałem. Ulubione frazesy, powtarzane z rozkoszą przez lat tyle, same cisną się pod pióro. Pozbyć się ich niepodobna. Stąd wynika ta dziwaczna dwoistość, którą od trzech miesięcy widzimy we wszystkich artykułach i odezwach, inspirowanych przez Ligę.

I dlatego mówi się o spokojnem wyczekiwaniu korzyści, które z wojny muszą wyniknąć, a równocześnie z góry się już te korzyści niweczy, a przynajmniej zmniejsza, ostrzegając Rosyę, iż serca polskie na każde zwycięstwo Japonii odpowiedzą radosnem biciem!

Dlatego mówi się o niebezpieczeństwie wszelkich zmian w posiadaniu terytoryalnym na granicy rosyjsko-pruskiej, a równocześnie zapowiada się w innem miejscu, że Rosya nie zdoła utrzymać swego panowania na kresach zachodnich.

Mówi się o spokoju, a jątrzy się społeczeństwo przeciw arcybiskupowi warszawskiemu.

Budzi się w umysłach nadzieję, że Rosya sama ze chce układać się z nami, a równocześnie oznajmia się Rosyanom, że Polacy uważają wysłanie ambulansu katolickiego za czyn nikczemny, bo ambulans taki nie będzie mógł odmówić pomocy rannemu Rosyaninowi.

Dziwna zaiste sprzeczność! Dziwny objaw niemocy! Dziwna potęga dawnego nalogu!



Dwa i pół miliona rubli wydał w ciągu jednego roku skarb państwa rosyjskiego na walkę z pijaństwem przy pomocy systemu zaprowadzania instytucji godziwej i pouczającej rozrywki. Te instytucje udzielają tej rozrywki za skromną opłatą, z kąd powstają sumy, bardzo jednak pokaźne, bo równe w wielu miejscach subwencyjom rządowym. Humanitarne to przedsięwzięcie rozporządzało zatem w roku 1900 (według urzędowych, tylko co ogłoszonych wykazów) pokaźną sumą pięciu milionów rubli.

Oto trochę liczb dotyczących kuratoryów trzeźwości Królestwa Polskiego: Otrzymały one zapomogi skarbowej 276 tys. rubli, w stosunku do dochodów swoich najmniej ze wszystkich okręgów (tylko 43·5 procentów tych dochodów, podczas gdy inne okręgi mogą się pochwalić liczbami 50, 68, 70, a nawet i 92 procentami). Dochód z herbaciarni i jadłodajni wynosił 207 tys. rub., z wydawnictw i rozrywek 123 tys. rub. Przedsięwzięcia kuratoryjne najlepiej się opłacały u nas, bo dochody z opłat pokryły aż 52·2% wydatków, której to wysokiej liczby nie wykazuje żaden inny okręg w państwie. Świadczy to wymownie, że nasza ludność dobrze jest przygotowana już do przyjęcia owoców tego rodzaju kulturalnej działalności.

Jeżeli takie porównawcze rezultaty osiągnięto już teraz, przy tak małych nakładach, nie będących wcale w stosunku do liczby ludności i przymusowej bierności żywiołów inteligentnych polskich na prowincyi, to jakież owoce przyniosłaby ta działalność, gdyby nie koncentrowała się ona wyłącznie w rękach naczelników straży ziemskich i komisarzy włościańskich? Rozwój zabaw ludowych i teatrów ludowych w Warszawie, gdzie Polakom dano możność rzeczywistą, — nie fikcyjną, jak na prowincyi — pracować w kuratoryach może służyć na przykład i miarę.

Praca ta zresztą łatwą u nas nie jest; rząd czuwa nad każdym ruchem kuratoryów, mnożąc często formalności, krępujące swobodę i inicjatywę a nie zawsze celowe. Przy zarządzie warszawskim generał-gubernatorze

istnieją dwie komisye, jedna czuwa nad repertuarem teatrów ludowych, druga nad katalogiem bibliotek ludowych. Co do pierwszej, należy jej oddać sprawiedliwość, iż czynnie pomaga teatrowi ludowemu w Warszawie. Zakwalifikowała ona do grania już 210 sztuk, co stanowi poważny repertuar. Natomiast z katalogiem bibliotek ludowych sprawa stoi fatalnie. Komisya nie jest tu wcale instytucją decydującą; wybrane książki idą na opinię do okręgu naukowego, tu leżą miesiące i podlegają trzebieniu; te co ocalały idą — jeszcze dalej: do decyzji petersburskiego uczonego komitetu, na nowy odpoczynek i nowe trzebienie. Ostatecznie z 700 książek, wybranych przez komisję, wchodzi do bibliotek jakieś 40, 50. Lud też nie ma co czytać.

Obecnie Kuratorya trzeźwości odpaść mają, wedle ostatnich krążących wieści, od ministerstwa skarbu i przejść pod zarząd ministerstwa oświaty czyli, jak u nas, pod opiekę okręgu naukowego i jego organów. Można będzie położyć wtedy krzyż na tych instytucjach, wadliwie zorganizowanych, ale mających u nas wszelkie dane do rozwoju, co przebija nawet przez dzisiejszą ich wegetację. Pedagogowie rosyjscy u nas są przeniknięci ideą, iż obowiązek ich polega nie na kształceniu, lecz na rusyfikowaniu Polaków, aby można było spodziewać się od nich czego innego oprócz ostatecznego zmarnowania kuratoryjnych instytucyj.

---

*Ruś*, nowo założone pismo rosyjskie przez Suworina-syna, dla konkurencyi z *Nowem Wremieniem*, wydawanem przez Suworina-ojca, otworzyło gościnnie i szeroko swoje szpalty dla dyskusyi w kwestyi polsko-rosyjskiego zbliżenia. Dotychczasowy plon tej rubryki nie jest bogaty, najlepsze głosy, to głosy samej redakcyi. Korespondenci polscy należą przeważnie do ludzi przeciętnych, nie umiejących objąć całości sprawy, nie mających dostatecznych informacyj i dość nieudolnie władających piórem. A jednak wartoby, żeby redakcyja *Rusi* do dalszych prób na raz

obranej drodze nie została zrażoną, wyjaśnianie bowiem wzajemnych między nami i Rosyanami stosunków jest rzeczą wagi pierwszorzędnej. Kardynalną przeszkodą do zupełnie pomyślnego przeprowadzenia zainicyowanej ankiety, są znaczne szczyrby w argumentacyi i w materyale faktycznym, wynikające z obowiązujących przepisów cenzuralnych; o wielu rzeczach nie mówi się wcale, albo mówi niedomówieniami. Ponieważ jednak istnieje cały szereg spraw, które na szpaltach pism, wychodzących bez cenzury, omawiane być mogą, więc zachęcalibyśmy jak najmocniej publicystów naszych i rzeczoznawców społecznych, aby z rzadkiej sposobności przemawiania wobec szerokiego audytorjum rosyjskiego skorzystali.

Pod adresem zaś samej redakcyi *Rusi* chcielibyśmy zwrócić się z następującą uwagą: *Ruś* ma rację, kiedy mówi albo daje do zrozumienia: «Polacy nie mają prawa tłumaczyć stronienia się swego od Rosyan postępowaniem rządu, my za rząd nie odpowiadamy; zbliżenie się między dwoma narodami nastąpić musi poza rządem, poza jego polityką, na terenie neutralnym, a zbliżenie to naturalną koleją rzeczy odbije się następnie i na polityce rządowej».

W takim postawieniu kwestyi widzimy słuszność i logiczność, sądzymy tylko, że prasa rosyjska może przyczynić się do szukania przez Polaków owego neutralnego terenu, jeżeli, nie dotykając nawet zasadniczych stron naszego stosunku do państwa, co dobrze wiemy że nie zawsze jest możliwe, — zajmie określone i jasne stanowisko w pewnych realnych sprawach, stojących na porządku dziennym. Wypowiadając się za dopuszczeniem języka polskiego w ziemstwach i sądach, za normalnem zgodnie z uchwałą komitetu ministrów z 26 lutego 1899 r. rozwiązaniem kwestyi wykładu języka polskiego w szkołach, za poszanowaniem takich instytucyj jak Tow. kred. ziemskie, za zniesieniem lub złagodzeniem praw grudniowych itp. zdziała nieskończenie więcej dla sprawy rosyjsko-polskiego zbliżenia, aniżeli choćby najszlachetniejszymi ale ogólnikowymi frazesami o braterstwie narodów.

---



Stoimy w przededniu reformy miejskiej i ziemskiej w Królestwie. Pierwsza z tych reform już jest oficjalnie zapowiedziana: projekt wprowadzenia samorządu miast został już wniesiony do świeżo utworzonej Rady centralnej do spraw lokalnych w Petersburgu. Ziemstwa, o ile sięgają nasze informacye, mają być wprowadzone nieco później, podług typu zastosowanego na Litwie. W każdym razie, z tego właśnie powodu, wstrzymane zostało rozpoznawanie przedstawionego przez władze warszawskie projektu gubernialnych i powiatowych Komitetów podatkowych z udziałem przedstawicieli od społeczeństwa, uznano bowiem w Petersburgu, że takie komitety miałyby za wężki zakres działania i pożytku by nie przyniosły.

Kwestya wprowadzenia samorządu miejskiego została zdecydowaną podczas parotygodniowego pobytu ministra spraw wewnętrznych w Warszawie, w październiku r. z. P. Plewe nie dał się uwieść pozornymi blaskami gospodarki miejskiej w Warszawie. Przekonał się o wielkich jej brakach, nieodłącznych od urzędniczych rządów, pomimo najlepszej woli obecnego prezydenta miasta jen. Bibikowa. Warszawa przypomina trochę przysłowie: «z przodu gronostaje, z tyłu niedostaje»: pryncypalne jej ulice mają charakter nowożytny, dalsze stoją na poziomie partykularzy prowincjonalnych, wielu zadań kulturalnych miasto nie spełnia. Wreszcie Warszawa zaciągnęła świeżo wielką, 33 milionową pożyczkę, słuszną żeby administracyę jej złożono w ręce zainteresowane i odpowiedzialne.

Konieczność wprowadzenia samorządu miejskiego do Królestwa była oddawna odczuwaną. Od 30 lat zasiadały różne komisye, stopy papieru zużyto na spisywanie protokółów i prowadzenie korespondencyi z Petersburgiem. Jeżeli mimo zasadniczego zgodzenia się i mimo oczywistej potrzeby, zwlekano ciągle z jej zaspokojeniem, to stało się to głównie skutkiem (jest to już dziś publiczną tajemnicą) kwestyi... językowej. Nie chciano dopuścić języka polskiego do obrad na zebraniach «dumy», a jednocześnie rozumiano, że wielu radnych po rosyjsku przemawiać nie

będzie umiało. Czekano, aż znajomość języka rosyjskiego rozpowszechni się więcej.

Nie rozpowszechniła się; stoi na tym samym poziomie, co przed laty 10, 20, 30-stu. I nic dziwnego. Język rosyjski znają u nas dokładnie tylko ci, co kończą uniwersytet, i to głównie na wydziale prawnym, tam bowiem poznają się z terminologią społeczno-prawną. Mniejszą znajomość wynoszą uczniowie z gimnazyów, ale choćby i większą wynieśli, stanowią oni drobną tylko stosunkowo część społeczeństwa (rocznie wychodzi ośmiuset uczniów. Z czasem i ta większa znajomość skutkiem nieużywania się obniża. Temu nieużywaniu języka rosyjskiego niepodobna się dziwić. Mamy przecież własną swoją bogatą literaturę, swoją poezję, swoją kulturę; po polsku, wyłącznie po polsku mówimy w domu i w rodzinie, modlimy się po polsku, po polsku przemawiają do nas ze sceny i katedry odczytowej. Nie używamy, nie potrzebujemy i nie możemy używać języka rosyjskiego, mając swój własny, piękny, bogaty, gorąco umiłowany. A potem jeszcze inne przyczyny. Z książką rosyjską bierze u nas rozbrat każdy zaraz po opuszczeniu szkoły, dzienniki rosyjskie czytają tylko—wyjątki. Nie uważamy tego za rzecz dobrą, owszem za złą, ale jest ona naturalną wobec awersyi, jaką żywią Polacy w Królestwie do języka, który uważają za narzędzie represyi, do języka szkoły, którą nawet Hurko w znanym memoryale nazwał «szkołą bez serca».

Jak wyglądałoby zebranie rady miejskiej złożone nie z adwokatów tylko i urzędników, a z bezpośrednio interesowanych obywateli: właścicieli domów, mieszczan, kupców, handlowców i rzemieślników, z których połowa nie zna prawie zupełnie języka rosyjskiego, a druga zna go niedosatecznie? W coby się obróciła sama idea samorządu i przedstawicielstwa interesów ludności, jeżeliby radnym w ten sposób uniemożliwioną albo przynajmniej utrudnioną została możliwość bronienia swego zdania i wogóle dyskusowania?

Ale odsuńmy na bok stronę prawną i praktyczną tej kwestyi, którą szczegółowo rozpatrzył w świetnym artykule *Now. Wremje* Włodzimierz Spasowicz. Dotknijmy w kilku słowach strony politycznej, strony sprawiedliwości. Dlaczego ma być na samorządowych zebraniach miejskich i ziemskich język polski zabroniony. Językiem państwowym, językiem urzędowym jest język rosyjski, ale zebrania dum i ziemstw nie są urzędami. Jeżeli język państwowy ma rozszerzyć się i na dziedzinę pracy i instytucyj społecznych, to gdzież się jego kompetencya skończy? Jaki może mieć cel, jaki może mieć interes państwo w akcie bądźco bądź rusyfikacyjnym, który, jak słusznie mówi Spasowicz «uzbroiłby przeciw sobie wszystkie bez wyjątku stronnictwa polskie?»

Kapitałną jest argumentacya najnowszego orędownika zabronienia używania języka polskiego w instytucjach samorządowych, który, kończąc swój artykuł przeciw Spasowiczowi wymierzony, zapewnia, że posłowie w parlamencie austriackim zdziwiliby się, gdyby im wmawiano, że język niemiecki może być dla nich przeszkodą do posłowania. Ale przecież rada miejska warszawska, o ile się zdaje, nie jest przeznaczoną do odegrania roli parlamentu. Centralna instytucya społeczna, o ile kiedyś będzie, będzie prawdopodobnie w Petersburgu, a tam przeciw używania języka rosyjskiego nikt z innoplemieńców protestować nie będzie. Naiwność następcy p. Aleksiejewa (w korespondencyach warszawskich do *Now. Wrem.*) jest bez granic, kiedy powołuje się na Czechów. Czech ma świadczyć, że, biorąc analogicznie, mówić po czesku w pragskiej radzie miejskiej powinno być zabronionem.

Nie wątpimy ani przez chwilę, że opinia rosyjska przechyli się raczej do parokrotnie wyrażonego już zdania samej redakcyi *Now. Wrem.*, aniżeli do jej naiwnych w swej nienawiści do wszystkiego co polskie korespondentów i że rząd centralny nie uzna za słuszne, ażeby na ziemi rdzennie polskiej, w instytucjach samorządowych wyłącznie prawie z Polaków złożonych, obowiązywała za-



sada, równająca się rozwieszanym dawniej w Wilnie plakatom: *«zdieś wospreszczajetsia goworit po polski»*.

*Gazeta Narodowa* zamieściła przed kilku tygodniami list «jednego z bardzo poważnych w Polsce obywateli», odgrywającego wybitną rolę w życiu politycznym Galicyi, który omawia zadania stronnictwa «ugodowego» i «wszechpolskiego» w Królestwie. Autor wychodzi z założenia, że oba te stronnictwa są potrzebne, oba mają do spełnienia pewną misję. Gdy bowiem jedno przez opozycję napina strunę żądań, drugie, choć walczy z niem, klasyfikuje te żądania i część ich może realizować w drodze kompromisu z rządem. Taki powinien być i bywa zazwyczaj normalny stosunek opozycyi i stronnictwa umiarkowanego, w krajach, w których jakaś grupa ludności ma do zdobycia pewne prawa. Tak jest n. p. na Węgrzech. Ale u nas rzeczy ułożyły się inaczej. Wprawdzie nie stoi na porządku dziennym sprawa jakichkolwiek układów z Rosją, gdyby jednak wypadki wzięły pomyślny dla nas obrót i coś w rodzaju kompromisu stało się prawdopodobnem, to pokazałoby się, że żadna z dwóch grup narodowych: ani wszechpolacy, ani ugodowcy nie są przygotowani do spełnienia właściwej misyi politycznej.

Tu autor obszernej krytyce poddaje obie grupy.

Jakież grzechy zarzuca «ugodowcom?» Grzech główny partyi ugodowej, to pomyłka 1897 roku: «sugerowanie społeczeństwu swoich własnych gorących nadziei» bez posiadania w ręku poważnego dokumentu, iż nadzieje te będą spełnione. Dla partyi, która błąd taki popełniła, byłoby zabójczem, gdyby «próbowała wykazać sympatyę dla rządu rosyjskiego w obecnej chwili», (ale przyznaje autor) «stronnictwo ugodowe nie każe co do siebie tych obaw żywić». Grzech drugi, to «namiętność, z jaką ugodowcy zwalczają grupę przeciwną, t. j. «wszechpolską» namiętność, posuwająca się aż do chęci «wygladzenia przeci-

wnika z powierzchni ziemi». Cóż dziwnego, że stronnictwo wszechpolskie «broniąc się», oddaje pięknem za nadobne?»

Jak widzimy, autor daleki jest niesłuchanie od faworyzowania «ugodowców». Cóż mówi o grupie wszechpolskiej, o jej przygotowaniu do spełnienia «dziejowej misyi»? Autor podnosi bardzo słusznie że w praktycznej polityce, olbrzymie znaczenie ma okoliczność,

«czy dane stronnictwo przedstawia się rządowi jako opozycyjne, czy też z punktu widzenia tego rządu jako wprost rewolucyjne. Z opozycyjnem rząd w układy wchodzić może, — z rewolucyjnem, w zwykłym *nota bene*, pojęciu nigdy».

Stronnictwo wszechpolskie «przekracza ten Rubikon», poza który w realnej polityce przejść nie wolno, nie jest grupą opozycyjną, z której żądaniemi rząd mógłby się liczyć, ale rewolucyjną i przez to samo zamiast ułatwiać, uniemożliwia jakiegokolwiek zdobycze kompromisowe.

Kończy autor wezwaniem do wzajemnej wyrozumiałości obu grup i do skorygowania wytkniętych im błędów.

Cały artykuł podyktowany został niewątpliwie przez najszlachetniejsze uczucie obywatelskie. Przyznając to, musimy niemniej wyrazić najwyższe zdumienie, że zarzut prowadzenia namiętnej, nielojalnej walki publicystycznej skierowany został do — «ugodowców». Żałujemy nieskończenie, że szanowny autor zaniedbał poparcia swego twierdzenia choćby jednym jedynym przykładem. Uznajemy chętnie, że sanacja musi być przeprowadzona, ale sanacja po tej stronie, z której w ostatnich latach paru wyszła cała literatura potwarcza na ludzi z «ugodowego» obozu, z której padały oskarżenia o zdradę i kalamnie, targające cześć ludzką.

Gdzie i kiedy walczyli «ugodowcy» tą samą bronią? Gdzie i kiedy napadani byli w pismach umiarkowanych pp. Popławscy i Wasilewscy, chociaż nie było nic łatwiejszego, jak napaść na nich przedrukowywać całemi szpal-tami z pism zakordonowych?

Autor artykułu w *Gazecie Narodowej* proponuje zgodę. Odpowiadamy na to: Polityczną działalność wszechpola-

ków uważamy za szkodliwą i dlatego walczyć będziemy z ich wpływem do ostatniego tchu. W szczególności nie spoczniemy, dopóki nie obalimy blagi o «rządzie narodowym» i dopóki nie zmusimy grupy wszechpolskiej, pozującej na przedstawicielstwo narodu, aby się zredukowała do właściwej roli, do roli stronnictwa, czem jest, tylko i wyłącznie. Walkę tę prowadziliśmy i prowadzić będziemy nadal uczciwymi środkami, zwalczamy zasady, nie ludzi, i mamy prawo oczekiwać, że nam to każdy bezstronny przyznać musi.

Im gorzej, tem lepiej. Straszne męki musiał znosić naród, który taką sformował sobie zasadę polityczną. A jednak zasada ta obowiązywała w Polsce przez lat wiele, a dzisiaj pokutuje jeszcze — może nieświadomie — w wielu głowach.

Im gorzej, tem lepiej. Cieszymy się z ucisku, bo ucisk budzi ducha! Cieszymy się z demonstracyj, choćby najgłupszych, bo po demonstracjach będą aresztowania, a każde aresztowanie budzi nienawiść do Moskali.

Śp. Bronisław Szwarce dowodził do końca życia, że gdybyśmy nawet nie upatrywali w ostatniem powstaniu żadnych innych korzyści dla sprawy narodowej, to tę jedną każdy z nas przecież widzi, iż od powstania niema żadnego Polaka w służbie rządowej na całym obszarze Królestwa, Rusi i Litwy. Jest to gorzej, ale właśnie dlatego lepiej.

W tych dniach uraczono nas nową próbą tej starej doktryny.

Mija właśnie lat czterdzieści od nadania Królestwu Ustawy gminnej. Ogłoszono ją w chwili, kiedy pogromcy zbrojnego powstania, wyobrażali sobie, że z polskiego chłopca zdołają stworzyć jakieś społeczeństwo nowe, nie mające nic wspólnego z dawą Polską, społeczeństwo bez aspiracji, bez szerszych horyzontów, bez siły odpornej.

Zamiary reformatorów nie ziściły się. Ustawa gminna



okazała się dla społeczeństwa polskiego lepszą, niż sobie wyobrażali jej twórcy.

O gminie mamy dziś w Królestwie Polskiem całą literaturę. Wszyscy przyznają, że gmina jest w zasadzie ciałem żywotnem, wszyscy atoli zgadzają się, że ma braki, a przede wszystkim, że choruje na jeden błąd organiczny.

W Królestwie niema Rady gminnej. Najwyższą instancją są Zebrania ogólne. Uczestnikiem ich bywa każdy mieszkaniec gminy, jeżeli posiada trzy morgi ziemi, ale nie bywa nim ani lekarz, ani kupiec, ani fabrykant, jeżeli trzech morgów nie posiada.

Te Zebrania gminne odróżniają Królestwo od całego cywilizowanego Zachodu.

Brak im czynnika, który jest sprężyną wszystkich ciał reprezentacyjnych w Europie zachodniej, brak im pierwiastku odpowiedzialności. Pierwiastek ten istnieje tam tylko, gdzie są obierani i obierający, gdzie są członkowie Rady gminnej odpowiedzialni przed wyborcami, i wyborcy, mogący żądać sprawy z czynności Rady.

Ta odpowiedzialność mogłaby dodać Radzie hartu wobec naczelnika powiatu. Dlatego też nie podobala się Rosyanom. Zebrania gminne stanowiły najsmutniejszą stronę ustroju gminnego w Królestwie. Przyznali to wszyscy, którzy pisali o gminie.

Nareszcie po latach czterdziestu zanosi się na zmianę. Komisya rządowa postanowiła poświęcić Zebrania gminne, a dać nareszcie Królestwu prawdziwą Radę gminną, złożoną z członków stałych, posiadających przynajmniej po 60 morgów i z członków obieralnych, tak, iżby każdy radny reprezentował dziesięciu wyborców.

Stało się to, czego Królestwo pragnęło.

I oto czerwona prasa galicyjska, jakby na dane hasło, zalewa się łzami. Żal jej Zebrań gminnych. Żal jej tych bezmyślnych zebrań, będących narzędziem w ręku każdego urzędnika.

Zebrania były złem, uznanem powszechnie. Były gorsze od Rad gminnych — ale przecież, im gorzej, tem lepiej.

Jeszcze z końcem r. 1902 podniesioną została we Lwowie myśl urządzenia pięćdziesięcioletniego jubileuszu działalności T. T. Jeża, przyczem różne okoliczności wskazywały, że inicjatorom szło nietyle o uczczenie pisarza, (który, mimo zasług, należy do dawno minionej doby i który, mówiąc nawiasem, parokrotnie już zasłużony hold w formie jubileuszowej odbierał), ile o manifestację na cześć emigracyjnego polityka i prezesa Ligi Narodowej. Charakter i cel zamierzonego jubileuszu był dość przejrzysty. Zrozumiała to wybornie opinia publiczna, a *Dziennik Poznański*, oddawszy należny szacunek pisarzowi i człowiekowi, nie zawahał się nawet skarcić manifestacji, mającej gloryfikować w osobie Jeża «opiekuna tajnych robót między młodzieżą», robót, które «dość szkód już przyniosły ojczyźnie». Inicjatorowie opamiętali się jednak w porę i zaniechali zamiaru. Dziś, gdy przebrzmiało ostatnie echo niedoszłego jubileuszu, można powiedzieć, iż wielu szczerym przyjaciółom sędziwego pisarza oszczędzono w ten sposób prawdziwej przykrości. W tym starcu, którego trzęsąca się dłoń piastowała niegdyś szablę 48 r., w starcu, który się całe życie uważał za żołnierza i sługę sprawy narodowej, są rysy, nakazujące szczerzy szacunek. Nawet w błędach jego, w tych zaoceanowych wędrówkach, podejmowanych dla «budzenia dusz», w tych rojeniach o miliardach, mających zbawić Polskę, jest coś, co rozrzewnia. I dlatego właśnie, że się ma dla starego weterana i pisarza cześć, zmieszaną z pobłażliwością, niepodobna byłoby patrzeć obojętnie, jak, pod płaszczykiem jubileuszu, z imienia i zasług Jeża wybijałoby się polityczną monetę na użytek partii wszechpolskiej.

Wszechpolscy publicyści niestrudzeni są w tępieniu wszystkiego, coby mogło doprowadzić do jakiegokolwiek zbliżenia się Polaków do lepszych żywiołów rosyjskiego społeczeństwa, choćby tylko na czysto kulturalnym gruncie. Błotem obrzucili przed kilku laty uroczystość na cześć Puszkina, urządzoną przez grono Polaków, gdy Związek pisarzy rosyjskich uczcił pamięć Mickiewicza. Uczonych polskich, którzy w Puszkiniowskim obchodzie wzięli udział, nazwał *Przegląd Wszechp.* pogardliwie «mołami», a kolegium profesorów uniwersytetu lwowskiego «spółką nieuków, karyerowiczów i szubrawców...» Daje to miarę, jak niesłychanie wszechpolaków wyprowadza z równowagi najmniejszy objaw, wskazujący, że porozumienie się z Rosyanami byłoby możliwe. Nie zmienili się wszechpolacy pod tym względem ani na włos od jubileuszu Puszkina.

W marcu r. b. umarł filozof Borys Cziczerin, jeden z najszlachetniejszych ludzi w Rosyi, nasz gorący i wierny przyjaciel. Klub słowiański w Krakowie uczcił go uroczystem zebraniem, na którym prof. K. Morawski wygłosił mowę, poświęconą pamięci Cziczerina. Fakt ten wydał się *Słowu Polskiemu* wysoce niepokojącym. I oto, w jaki sposób go oceniło:

«Na krakowskim gruncie krzewi się od pewnego czasu, jakkolwiek dotąd słabo, moskalofilizm, nazwijmy go nawet nie tak ostro, rusofilizm, gdyż są ludzie, którzy oburzyliby się bardzo na zarzut moskalofilstwa, ale wcale nie reagują, gdy się ich nazwie rusofilami. Należy do nich pewna dosyć wpływowa część profesorów uniwersytetu krakowskiego, jak to z wielu ich dotychczasowych wystąpień wyrozumieć można było. Prąd ten dotąd bardzo słaby, gdyż zdrowa opinia publiczna jest mu stale przeciwną, stara się jednakże zdobyć dla swej myśli politycznej jak najliczniejszych zwolenników — gdyż wtedy dopiero mógłby się pokusić o jak najbardziej bezwzględne postawienie swej zasady: zgody z Rosyą — na szerszym politycznym gruncie. W tym celu korzysta w braku jakichkolwiek pomysłów dla nas politycznych objawów w Rosyi, bodaj z najdrobniejszych, literackich, naukowych, z którychby się dało wydobyć przy należytem oświetleniu choćby najślabsze drgnienie, czy to litości, czy sympatii z tamtej strony dla nas. Podziwiać należy całą precyzyę wykonania, z jaką usiłują ci panowie dyskretnie wszczepić i suggestyonować w polski ogół przekonanie, że w Rosyi nie brak



«podniosłych duchów, górujących nad swem otoczeniem i teraźniejszością, które rzucają posiewy na przyszłość, których siejba kiedyś przebieje się przez to, co jest niezdrowe i strupieszale w społeczeństwie rosyjskiego narodu i szlachetnym zaznaczy się plonem, że obudzą się w Rosyi te lepsze pierwiastki»<sup>1)</sup>).

Organy wszechpolskie lubią się, jak wiadomo, przechwalać, że mają za sobą ogół społeczeństwa polskiego w Królestwie. Zwykle o powodzeniu lub niepopularności pewnego kierunku wnosi się z prasy, która odbija w sobie prądy nurtujące dany organizm społeczny. Ale prasa polska w Królestwie stanowi wyjątek w regule. Skrępowana cenzurą, nie może być uważana za wyraz usposobienia ludności kraju. Nie można więc sporządzić na niej tego, co wszechpolacy opowiadają o rozległości i potędze swoich wpływów. Trzeba poszukać innego sposobu. Sposób taki istnieje, a jest nim rozejrzenie się w prasie galicyjskiej.

Prasa ta zajmuje się i zajmowała się zawsze bardzo żywo stosunkami w zaborze rosyjskim. Kierunki i prądy, płynące pod ziemią, niejako, w Królestwie, osiągną tu swój wyraz publicystyczny. Do pewnego stopnia więc możemy z pism zakordonowanych sądzić o sile i rozpowszechnieniu się pewnych kierunków u nas. Przyjąwszy taką podstawę do wnioskania, zobaczymy, jak sami wszechpolacy przedstawiają swój polityczny bilans.

«Dziwną mieszaninę — pisze *Słowo Polskie* (1903 4/1) — przedstawia obóz naszych przeciwników. *Kraj* petersburski, organ ugodowców, idzie ręką w rękę z socjalistycznym *Naprzodem*, a nawet rewolucyjnym *Przedświtem* londyńskim. *Przegląd* p. Masłowskiego współzawodniczy w gorliwości potwarczej z warszawską *Prawdą* i *Monitorem* p. Breitera. Wyranżerowani c. k. demokraci, nie mający własnego pisma, urządzają sobie występy gościnne w różnych organach tej ligi antynarodowej. Do chóru napaści, ziejących insynuacyami i kłamstwami wtrącają niekiedy swój głos *Kuryer Lwowski* i *Nowa Reforma*, nie mówiąc o *Czasie*, który prowadzi kampanię na własną rękę».

Tak było w r. 1902... Ale od tego czasu bilans powyższy pogorszył się. Żadne z wymienionych pism nie zbliżyło się do ruchu wszechpolskiego, — natomiast stanowczo oświadczyło się przeciw niemu *Dziennik Polski*, częściowo zaś i *Gazeta Narodowa*. Widzimy więc z własnego przedstawienia rzeczy przez *Słowo Polskie*, że olbrzymia większość opinii publicznej w Galicyi potępia ruch wszechpolski, jako szkodliwy dla sprawy na-

---

<sup>1)</sup> Z przemówienia prof. Morawskiego.

rodowej. Faktowi temu nie potrafią odebrać jego wymowy żadne wykręty, ani złorzeczenia wszechpolaków; pozwala on wnosić, że gdyby zaprowadzoną została w Królestwie swoboda prasy, gdyby i u nas, jak w Galicyi wolno było otwarcie bronić albo zwalczać pewne kierunki, to opinia, znajdująca swój wyraz w dziennikarskich głosach, i tu także stanęłaby — w poprzek ruchu wszechpolskiego.

Kiedy na projekt wysłania katolicko-polskiego oddziału sanitarnego na teren wojny ulica Warszawska odpowiedziała kamieniami, — wystąpił *Czas* z uwagi godnym artykułem, oświetlającym fakt ów, jako typowy rys «psychologi rozstroju». To, co się stało, stało się podług starych, podług nieśmiertelnych prawideł psychologicznych. «Rząd Narodowy, w postaci Ligi, raczył nakazać spokój i zimną krew, Ale rząd narodowy, jak wszystkie rządy na świecie, ma opozycję, z tą tylko różnicą na swą niekorzyść, że opozycja ta gnieździ się w własnym jego obozie. «Patryotyczna młodzież rzemieślnicza», jak sprawców wybicia szyb nazywają teraz wszechpolskie organy, nie rozumie, co to znaczy zimna krew; nie myśli się bynajmniej tamować. Niech tam sobie szczyty organizacji uchwalają spokój, — ona zrobi to, co uważa za swój patryotyczny obowiązek. I zatrzęsły się szyby w mieszkaniach członków komitetu.

Cóż zrobił «rząd narodowy?» Kapitulował przed ulicą. Gdy się pokazało, że rękami «patryotycznej młodzieży», którą wszechpolskie pisma początkowo wzięły za młodzież socjalistyczną, kierował *l'enfant terrible* obozu — *Polak* rząd narodowy, niepomny uroczystych swoich wezwań do spokoju, zaczął sam własnoręcznie bić brawo ulicy. Dlaczego? Bo — powiada *Czas* — rząd narodowy «ma odwagę wyrażania w bezimiennych odezwach swej wielkiej radości z powodu oczekiwanych klęsk rosyjskich, w które święcie wierzy, ale nie ma odwagi powiedzenia, co myśli o burdach gawiedzi». Zdaniem *Czasu* Liga Nar. nie wiedziała nic o gotującej się demonstracji. Gdy do niej przyszło, usnuła ją, aby salwować swą powagę.

Ale krzywdzącemu temu podejrzaniu stanowczo zaprzeczyło *Słowo Polskie*. Liga wiedziała o demonstracji! Wybicie szyb nie było wcale objawem niekarności w obozie wszechpolskim! Przeciwnie, było ono najzupełniej «w duchu odezwy Ligi!... *Słowo Polskie* wprowadzie pomyliło się w zaznaczeniu charakteru demonstracji, ale cóż stąd? To Ligi się nie dotyczy, to tylko błąd dziennikarski. «Rząd narodowy» wie zawsze o wszystkim!...

Czy można temu uroczystemu zapewnieniu nie wierzyć? My mu wierzymy. I szerzący chyłkiem nadzieje powstańcze między ludem *Polak* i owa «patryotyczna młodzież», która, jak się *Czas* wyraził, «kamieniem na księdza katolickiego, na siostrę miłosierdzia», są pozornie tylko *les enfants terribles* w wszechpolskim obozie. W rzeczywistości pomiędzy działaniem ich o propagandę Ligi Nar. zachodzi ścisła koordynacja myśli i ruchów. Dwa organy, — jeden organizm.

~~~~~

Dotąd słyszeliśmy tylko o «Demokracji Narodowej», «manifestacjach narodowych», «Skarbie narodowym», o «narodowej młodzieży rzemieślniczej», (zajmującej się wybijaniem szyb). Z ostatniego numeru *Słowa Polskiego* dowiedzieliśmy się o nowym terminie: «nieprzyzwoitość narodowa». Tem mianem ochrzczono zabawę, która ma się odbyć w Warszawie w parku pragskim na fundusz pomocy rodzinom żołnierzy chrześcian, którzy udali się na daleki Wschód. W takim odwoływaniu się do kalety mas ludowych widzi *Słowo Polskie* chęć «popularyzowania wojny» w tych masach i zapewnia, że akcja ks. Siemca i adw. Dziewulskiego spotkała się w Warszawie z «surowem potępieniem». Organ wszechpolski protestuje przeciwko chrześcijańskiemu charakterowi komitetu, chociaż wcale się nie zastanawia nad tem, czy katolicki i protestancki tylko byłby możliwy. My inny postawilibyśmy zarzut: dlaczego wogóle komitet nosi charakter wyznaniowy?

.....



## KRONIKA.

= Prasa **angielska** zajmowała się w ostatnich czasach parokrotnie Królestwem i jego stosunkiem do Rosyi. Najwybitniejszy londyński dziennik *Times* zamieścił artykuł, w którym podnosi, że Polacy «zrozumieli nakoniec to, co powinni byli zrozumieć już dawno», że **odbudowanie Polski** jest nieziszczalne. Trzy wielkie mocarstwa militarne: Rosya, Austrya i Niemcy nie dopuściłyby do niego. A interwencya zagranicy na rzecz Polaków, interwencya Francyi i Anglii, na które Polacy nalogowo zawsze liczyli? *Times* odpowiada wymownie: «Czy jest teraz kto kolwiek we Francyi lub Anglii, kto kiedykolwiek marzyłby o rozpoczęciu wojny z Rosyą, Niemcami i Austryą o niepodległość Polski?»

= Senat **Uniwersytetu Jagiellońskiego** wysłał następującą depezę do wdowy po zmarłym myślicielu rosyjskim **B. Cziczerinie** na wiadomość o jego zgonie: «Uniwersytet krakowski oplakuje śmierć swego doktora honorowego i oddając hołd sławnej pamięci znakomitego męża Pani, wyraża cześć wielkim ideom sprawiedliwości i równości, których był on zawsze jednym z najszlachetniejszych szermierzy. *Krzymski*, rektor».

= Młodzież krakowska podniosła myśl sprowadzenia do kraju spoczywających na obczyźnie **prochów Słowackiego**, chcąc tym sposobem uczcić pamięć autora «Grobu Agamemnona», tak, jak przed laty czternastu naród uczcił Mickiewicza. Myśl ta znalazła żywy od-

dźwięk we wszystkich kolach. Z **protestem** przeciwko niej wystąpił tylko... **Jeż** (pulk. **Mitkowski**), który ogłosił obszerny list otwarty do młodzieży, przestrzegający ją, iż sprowadzenie zwłok Słowackiego na ziemię polską będzie jednoznaczne z uznaniem panujących obecnie na tej ziemi stosunków. Skrupułów sędziwego prezesa Ligi oczywiście nikt w kraju nie podzielił, a nawet najszczerzych jego wielbicieli «protest» wprawił w zakłopotanie.

= *Naprzód* krakowski zdobył skądś dokument, z którego wynika, że wydawnictwo *Słowa Polskiego* miało w ubiegłym roku **deficyt** w kwocie 28.116 koron 17 halerzy. W celu pokrycia tego deficytu rozesłało wydawnictwo listy z prośbą o **poparcie finansowe** do różnych osób w Galicyi, zbliżonych politycznie do *Słowa*, a nawet (sądźmy jednak, że stało się to przez pomyłkę, choć *Naprzód* temu nie wierzy) do ludzi, stojących po za partyą wszechpolską. Wiadomość powyższą podał *Naprzód* z wielkiem oburzeniem do wiadomości publicznej. My oburzenia tego, o ile szło o pokrycie deficytów *Słowa* przez wszechpolaków, nie podzielamy. Na całym świecie pisma partyjne nie przynoszą dochodów, dla czegoż nie miałyby się odwoływać do ofiarności osób, dzielących ich przekonania? Tak też czyni i *Słowo Polskie*. Ale w takim razie *Słowo* powinno być trochę powściągliwsze, gdy chodzi o inne pisma i wydawnictwa będące własnością zbiorową.

= Warszawski komitet robotniczy PPS. rozrzucił po Warszawie **odezwę**, w której zapowiada, że, rozmnażając się nadmiernie armię **szpiegów** trzeba będzie może karać już nie tylko słuszną pogardą, ale czynnie. Zachodzi jednak obawa, że wielu przywoitych ludzi może wzbudzić podejrzenie o szpiegostwo jedynie przez niezręczne zachowanie się. Co czynić? Autorowie odezwy wpadają na taki sposób: Dla uniknięcia nieporozumień trzeba, żeby porządni ludzie odtąd unikali wszystkiego, co zwykli robić szpiegzy, a więc: 1) nie zatrzymywali się na rogach ulic, 2) nie stawali pod bramami, na schodach i w podwórzach, 3) nie spacerowali tam i napowrót po ulicy na wielkiej przestrzeni, 4) nie stali na brzegach chodników dla oglądania przejeżdżających w dorózkach i t. d. i t. d. Wesola ta instrukcja dla publiczności ma oprócz swego mimowolnego humoru jeszcze jedną zaletę, o której widocznie komitet robotniczy nie pomyślał: Ostrzega ona «szpiclów», czego robić nie powinni, jeśli chcą nie zwrócić na siebie uwagi...

= Dnie 1 i 3 maja miały w tym roku w Warszawie przebieg spokojny. W dniu 1 maja urządzenie «święta robotniczego» ujęły w swe ręce aż dwie organizacje niezależnie od siebie. Była więc bardzo słaba, właściwie na spacerze w alejach Ujazdowskich polegająca demonstracja, urządzona przez PPS i była druga, nieco burzliwsza na placu Bankowym, aranżowana przez «Socjaldemokrację» w połączeniu z «Proletaryatem» i «Bundem». Dzień 3 maja przeszedł zupełnie spokojnie.

= W Nikolsku w kraju jakuckim na Syberii odebrał sobie życie Ludwik Janowicz, członek «Proletaryatu», pierwszej polskiej organizacji socjalistycznej w Królestwie, aresztowany w r. 1884 i po przebyciu 13 lat w więzieniu szlisk-burskim zesłany na Sybir. Przy-

czyną **samobójstwa**, jak określił Janowicz w liście do urzędu policyjnego w Jakucku, były «stargane nerwy i znuzenie, będące wynikiem długoletniego więzienia i zesłania»...

= Członek partii socjalistycznej «Proletaryat» stolarz Bolestaw Kiełczewski dokonał **zamachu** na gubernatora łomżyńskiego bar. Korfa podczas polowania w dobrach p. Lutostawskiego w Drozdowie. Kiełczewski strzelił do Korfa trzy razy, lecz przedziurawił mu tylko czapkę. Mimo pościgu policyi udało się Kiełczewskiemu umknąć za granicę.

= Policja krakowska aresztowała nieznanego **robotnika**, co do którego istnieją poszlaki, iż jest tym, który w czerwcu 1902 **zastrzelił** w Dąbrowie górniczej inżyniera Karola Bokalskiego i uciekł za granicę. Domniemany sprawca zamachu, członek organizacji socjalistycznej «Proletaryat», nazywa się Stanisław Nowak.

= Do kasy głównej **Skarbu narodowego** wpłynęło w ciągu roku 1903 ze składek 11.605 franków (w tej liczbie z Ameryki 8135 fr.), z procentów 10.648 fr. czyli razem 22.253 fr. Wydatki administracyjne w ciągu roku wyniosły 735 fr. Lidze Narodowej wypłacono 6195 franków. Fundusz Skarbu wynosi obecnie 268.514 franków.

= D. 27 kwietnia b. r. policja warszawska przedsięwzięła rewizję w jednym z ustronnych mieszkań przy ulicy Dworskiej na przedmieściu Czyste, gdzie mieściła się tajna **drukarnia socjalistyczna**. Rewizja skończyła się tragicznie. Przygodni mieszkańcy domku, zaskoczeni z nienacka, chwycili za rewolwery. Padło kilkanaście **strzałów**, które położyły **trupem** pomocnika komisarza Ordanowskiego, rotmistrza żandarmów Wińczuka i czteru policjantów. Jeden ze sprawców zbiegł, kilku ujęto. Byli to członkowie stronnictwa «Socjaldemokracja Królestwa Polskiego».

## BIBLIOGRAFIA.

### Filozofia polityczna.

- Wojciech Dzieduszycki:** Mesyanizm polski a prawda dziejów. W Krakowie. Nakładem autora. 1902, str. 145.
- Pisma Franciszka Duchńskiego:** Tom II. Zasady dziejów Polski, innych krajów słowiańskich i Moskwy. Część II i III. Rapperswyl. 1902.
- Ko. L. Zbyszewski:** Prawowitość i lojalizm. Kryzys myśli polskiej. Wydanie trzecie. W Krakowie, nakł. księgarzni D. E. Friedleina. 1903, str. 107.
- Zygmunt Baliokl:** Egoizm narodowy wobec etyki. Lwów. 1902, str. 63.
- Roman Dmowski:** Myśli nowoczesnego Polaka. Lwów. 1904. Nakładem Towarzystwa wydawniczego, str. 217.
- Ludwik Kulozycycki:** Współczesne prądy umysłowe i polityczne. Kraków. Nakładem autora. 1903, str. 141.
- Michał Tyszkiewicz:** Idea demokratyczna i jej krytycy w Rzeczypospolitej. Kraków. 1904.
- Jean O'Outremer:** La Pologne et la paix général. Wyd. *Polska i Postęp*. Kraków.
- J. Z.:** Idea przewodnia powstań polskich. Wyd. *Polska i Postęp*. Kraków.

### Historia.

- Stanisław Koźmian:** O działaniach i dziełach Bismarcka. W Krakowie. Czcionkami drukarni *Czasu*. 1902, str. 535.

- Stanisław Koźmian:** Pisma polityczne. Kraków. 1903, str. 756.
- Bronisław Dembński:** Źródła do dziejów drugiego i trzeciego rozbioru Polski. Tom I. Lwów. 1902, str. LXXI i 565. Nakł. Tow. dla popierania nauk.
- Stanisław Tarnowski:** Nasze dzie w XIX wieku. Wydanie trzecie. Kraków. 1901, str. 165.
- Szymon Askenazy:** Sto lat zarządu w Królestwie Polskiem. Warszawa. 1902.
- Lubomir Gadon:** Emigracja polska. Tomów 3. Spółka Wydawnicza Polska. 1902, str. 228, 243, 273.
- L. Gadon:** Książę Adam Czartoryski podczas powstania listopadowego. Przyczynki do charakterystyki, oparty na własnych jego pismach. Str. 163. Wydanie nowe. Kraków. 1903. Nakładem autora.
- Zygmunt Miłkowski (T. T. Jeż):** Sylwety emigracyjne. Lwów. Nakładem *Słowa Polskiego*. 1904.
- Dzleje 1863 roku** przez autora «Historii dwóch lat». Tom trzeci. Kraków. Nakład i druk W. L. Anczyca i Sp. 1902.
- W 40-tą rocznicę powstania styczniowego (1863—1903).** Lwów. Nakładem komitetu wydawniczego. 1903, str. 554. Książka zawiera w pierwszej części dokumenty z r. 1863, w drugiej wspomnienia uczestników walki. Cena 3 kor.
- Dr. Kazimierz Gorzycki:** Zarys społecznej historii państwa polskiego. Lwów — Warszawa. 1901, str. 412.



- Pamiętniki Murawiewa** («Wieszatela») 1865—1866, tłómaczone z oryginału rosyjskiego przez J. Cz. z przedmową St. Tarnowskiego. Wydanie trzecie z ilustracjami w tekście. Spółka Wyd. Polska w Krakowie. 1903 r., str. 162.
- Dokumenta urzędowe do historii gospodarki moskiewskiej w Polsce** (od r. 1734—1866) zebrał N. E. Kraków. 1904, str. 121.
- Józef Bojasiński**: Rządy tymczasowe w Królestwie polskim. Maj — Grudzień 1815 r. (Monografia z zakresu dziejów nowożytnych, wydawca Szymon Askenazy; tom I). Warszawa 1902, str. 269.
- Maolej Loret**: Między Jeną a Tylżą. (Monografie w zakresie dziejów nowożytnych. Wydawca Szymon Askenazy. Tom II).
- Jan Leszczyński**: Rządy rosyjskie w kraju tarnopolskim 1804—1815. (Monografie w zakresie dziejów nowożytnych. Wydawca Szymon Askenazy. Tom III).
- Władysław Grabski**: Historia Towarzystwa rolniczego 1858—1861. Tomów 2. Warszawa. 1904. Gebethner i Wolff.
- Mieożyław Mazowiecki**: Historia polskiego ruchu socjalistycznego w zaborze rosyjskim. Wydawnictwo *Proletaryatu*. Kraków. 1903, str. 488.
- Oczerki po istorii socjalistyczeskago dwiżenja w ruskoj Polsce**. Z 25 portretami i 2 grupami. Wydanie *Proletaryatu*. Lwów. 1904.

### Zagadnienia polityczne.

- Sprawa polska w opinii Europy**. Ankieta międzynarodowa zebrana staraniem redakcyi *Krytyki*. Kraków. Nakład księgarni L. Zwolińskiego. 1900 r. str. 122.
- Stanisław Szczepanowski**: Myśli o odrodzeniu narodowym, zebrane przez Helenę Szczepanowską i Antoniego Plutyńskiego. Pism i przemówień tom I. Lwów. Towarzystwo wydawnicze. 1903. Z portretem autora, str. 330.
- Nasze stronictwa skrajne** przez Scriptora. Materiały i myśli polityczne. Tom II. Kraków. Skład główny w drukarni W. L. Anczyca i Spółki. 1903, str. 385. Cena 3 kor.
- Potrzeby społeczne w Królestwie polskiem**. Praca zbiorowa pod redakcyą Włod. Spasowicza i Erazma Piltza. Tom I. Kraków. Skład główny w księgarni Spółki Wydawniczej Polskiej. 1902, str. 190.
- Jerzy Moszyński**: Po latach czterdziestu, szkic polskiej polityki w chwili obecnej. Kraków. 1902.
- Tomasz Wentworth Lubieński**: Kwestya polska w Rosyi. List otwarty do rosyjskich publicystów, tłómaczony z języka rosyjskiego przez autora. Wydanie drugie. Spółka Wydawnicza Polska w Krakowie. 1902.
- G. Topór**: Odludowanie Polski. Trzy rozprawy polityczne. Lwów. 1904. Nakładem Tow. Wydawniczego, str. 176.
- Franciszek Morawski**: Dyletantyzm polityczny. Poznań. 1904, str. 64.
- Wilhelm Feldman**: Na posterunku. Szkice publicystyczne. Serya druga. Kraków. 1903. Nakładem wydawnictwa *Krytyki*.
- Wilhelm Feldman**: Rzecz o narodowej demokracji. Odbitka z *Krytyki*. Wydawnictwo *Polska i Postęp*. Kraków. 1902, str. 34.
- Makymilian Jakowski**: Matkobójstwo czy samobójstwo. Poznań. 1903, str. 16.
- Nasi nacjonalści** (rzecz o t. zw. Narodowej Demokracji). Napisał B. Czł. L. N. (były członek Ligi Narodowej). Londyn. Wydawnictwo Polskiej Partyi Socjalistycznej. W drukarni partyjnej. 1904, str. 62.
- Maolej Różga**: Niepodległa Polska a sprawa robotnicza. Z polecenia Zarządu Socjal-demokracji Królestwa Polskiego. Paryż. Druk. A. Reiffa. str. 64.
- Michał Luśnia**: Rozmowy towarzysów o socjalizmie i patriotyzmie, konstytucyi i niepodległości. Wydawnictwo Polsk. Partyi Socjalistycznej. Z drukarni partyjnej. 1904, str. 62.
- Michał Luśnia**: Niepodległość Polski w programie socjalistycznym.
- Róża Luksemburg**: W obronie narodowości.
- W. L. Kozłowski**: *L'entente entre la Pologne et la Russie*. Paris. 1903. Odbitka z *L'Humanité Nouvelle*.
- Jan Zamorski**: 1) Za zasłoną przyszłości. 2) Idea postępowania wieku. Kraków. Wyd. *Polska i Postęp*.

\*\*\* Mickiewicz i Puszkina, oraz społeczeństwo polskie i rosyjskie. Kraków. Wyd. «Polska i Postęp».

### Polityka bieżąca.

**Wobec wojny** Głos z Warszawy przez Swojaka. Kraków. 1904, str. 58. Skład główny w księgarni Spółki Wydawniczej Polskiej. Cena 50 hal.

**Rosya w Azyl wachodniej.** Napisał Władysław Studnicki. Lwów. Nakł. księgarni polskiej B. Polonieckiego. 1904, str. 85.

**Jerzy Mozyński:** Pogląd na sprawę polską wobec wojny rosyjsko-japońskiej. Kraków. 1904. Nakł. autora.

**Ka. Jerzy Wołkoński:** Pogląd na obecne położenie Rosyi. Lwów. 1904. Polskie Tow. Nakładowe.

**Parvus:** Zatař japońsko-rosyjski. Kraków. 1904. Biblioteka *Proletaryatu*.

**Wojna.** Jednodniówka z powodu wojny rosyjsko-japońskiej. Biblioteka *Proletaryatu*. 1904.

**Józef Piłsudski:** Walka rewolucyjna w zaborze rosyjskim. Część I. Bibuła. Kraków. 1903. Nakładem wydawnictwa *Naprzodu*, str. 272.

**Wydawnictwo stronnictwa demokratyczno-narodowego:** 1) Polityka polska w zaborze rosyjskim. 2) Gawędy sąsiedzkie. 3) Carskie ukazy. 4) Szymon Korsunski. 5) Listy z nad Narwi.

**Z. Miłkowski:** Sprawa ruska w stosunku do sprawy polskiej. Lwów. Nakładem Związku Wydawniczego. 1902, str. 86.

**Pałacy a Rusini.** W Krakowie. 1903, str. 65. (Podpisano: W Poznaniu r. 1903. Edmund Woszyński).

**Preoz z Rusinami!** Za San z Polakami! Napisał Semen Wityk. Lwów. Nakładem autora. 1903, str. 83.

### Programy.

**Program stronnictwa demokratyczno-narodowego w zaborze rosyjskim.** Nakładem *Przeglądu Wszepolskiego*. Kraków. 1903, str. 59.

**Uwagi w sprawie programu i taktyki socjalistów polskich w zaborze rosyjskim.** Wydawnictwo *Proletaryatu*. (Bez miejsca i daty).

**W sprawie powstania i llnnych zagadnień programowo-taktycznych.** Wydanie *Proletaryatu*. (Bez miejsca). 1901, str. 64.

**Program polskiej partii socjalistycznej „Proletaryat“.** (Bez miejsca). Z drukarni *Proletaryatu*. 1902, str. 20.

**Jan Zamorski:** Szkice krytyczny do programu przyszłości. Wyd. *Polska i Postęp*. Kraków.

### Sprawy młodzieży.

**Nasza młodzież** przez Scriptora. Materiały i myśli polityczne. Tom I. Wydanie drugie stereotypowe z dodatkiem rozdziału: «Odpowiedź krytykom». Kraków. Skład główny w drukarni W. L. Anczyca i Spółki. 1903, str. 210. Cena 2 korony.

**Nasza młodzież w świetle krytyki.** Z powodu broszury Scriptora «Nasza młodzież». Poznań. 1903, str. 74.

**Uwagi z powodu „Naszej młodzieży“ Scriptora.** Odczyt wygłoszony w jednym z Towarzystw Zjednoczonych. Lwów. 1903, str. 32.

**Kółkowiec:** Przyczynek do historii ruchu wśród młodzieży polskiej zaboru rosyjskiego, Lwów. 1902, str. 28.

### Różne.

**Zygmunt Miłkowski:** «Wśród Polonii w Ameryce». Opowiadanie z wędrówki po koloniach polskich w Ameryce północnej. Paryż. 1903. Nakładem *Goińca Polskiego*, str. 266.

**Przygodny:** Warszawa współczesna w 12 obrazkach. Lwów. 1903. Towarzystwo wydawnicze, str. 160.

**O nowym zbiorze mów Włodzimierza Spasowicza** przez p. K. W Krakowie. Członkami drukarni *Czasu*. 1902, str. 33.

**Polska zakordonowa.** L. Plochocki (St. Os...arz). Wydawnictwo Pols. Partii Socjalistycznej. Londyn. Z drukarni partyjnej. 1901.

**Przemowa Dra Karola Lewakowskiego do młodzieży polskiej z okazji czterdziestej rocznicy powstania r. 1863.** Paryż. 1903, str. 15.

**J. L. Popławski:** Życie i czyny pułkownika Zygmunta Miłkowskiego (T. T. Jeża) Lwów. Towarzystwo wydawnicze. 1902.

**Dyktator.** Prolog i cztery akty z krwawych dni 1863 r. napisał Jerzy Żuławski. Nakładem Księgarni polskiej B. Polonieckiego we Lwowie. 1903.

**Zeora Władysław.** Fumus. Powieść osnuta na tle stosunków polsko-rosyjskich. Kraków. 1900, str. 244.

„**Noworocznik litewski**“ na rok 1904. Wydany staraniem stronnictwa demokratyczno-narodowego na Litwie. Rok pierwszy. W Wilnie. Nakładem

Stanisława Nowickiego. Odbito w drukarni Anczyca w Krakowie, r. 1904, str. 211.

**Antoni Wlaniwski:** Pamiętnik szpiega. Wydawn. Polskiej Partji Socjalistycznej. Londyn. 1902.

**Kroź.** Wydanie czwarte. W Krakowie. Spółka Wyd. Pols. 1901, str. 65.

**J. Z.** Do inteligencji polskiej. Wyd. *Polska i Postęp*. Kraków.

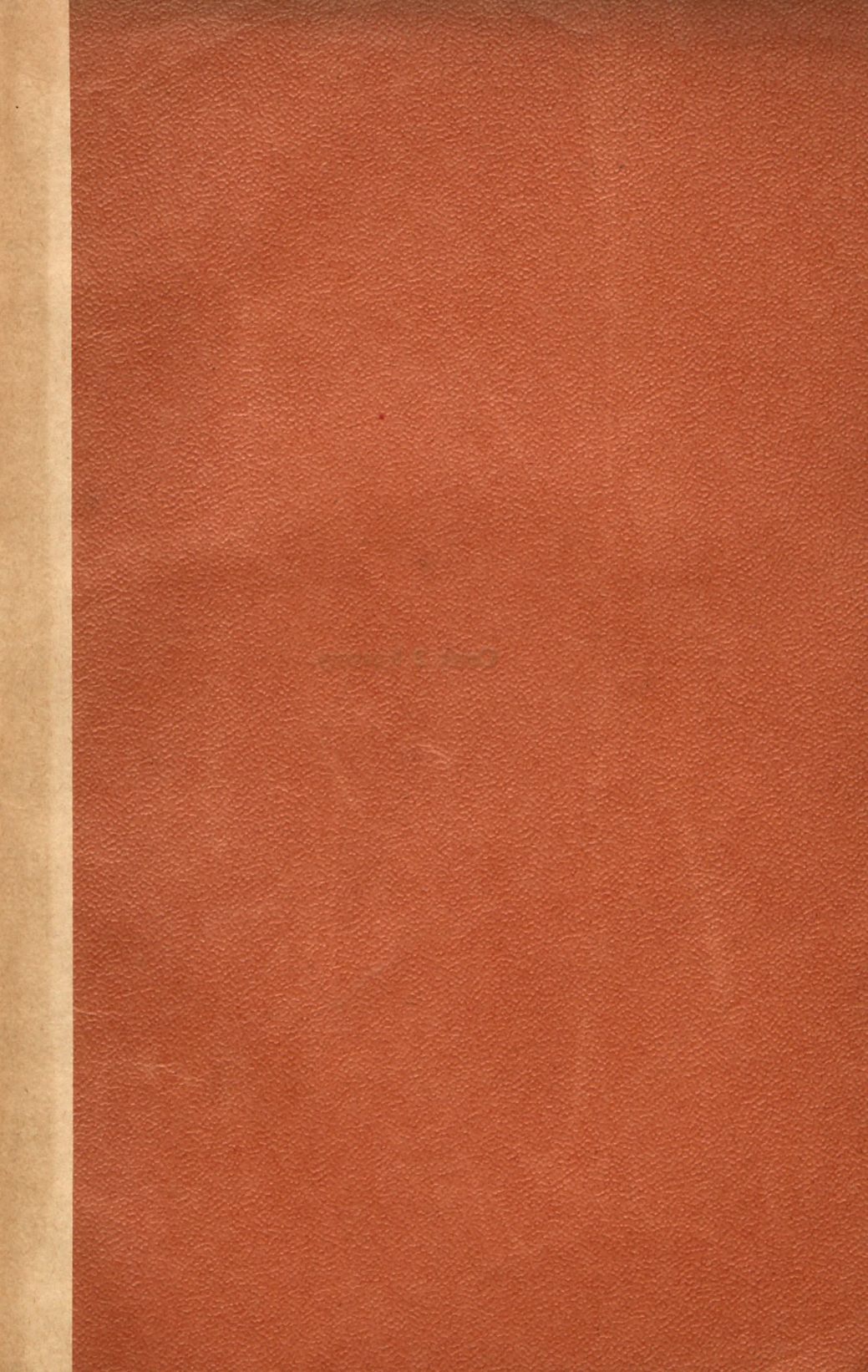




1. Wydział Zarządzania  
 2. Wydział Techniczny  
 3. Wydział Finansowy  
 4. Wydział Prawny  
 5. Wydział Medyczny  
 6. Wydział Inżynierski  
 7. Wydział Lekarski  
 8. Wydział Farmaceutyczny  
 9. Wydział Weterynaryjny  
 10. Wydział Rolniczy  
 11. Wydział Leśniczy  
 12. Wydział Geodezyjny  
 13. Wydział Architektoniczny  
 14. Wydział Sztuki  
 15. Wydział Nauk Humanistycznych  
 16. Wydział Nauk Przyrodniczych  
 17. Wydział Matematyczny  
 18. Wydział Fizyczny  
 19. Wydział Chemii  
 20. Wydział Biologii



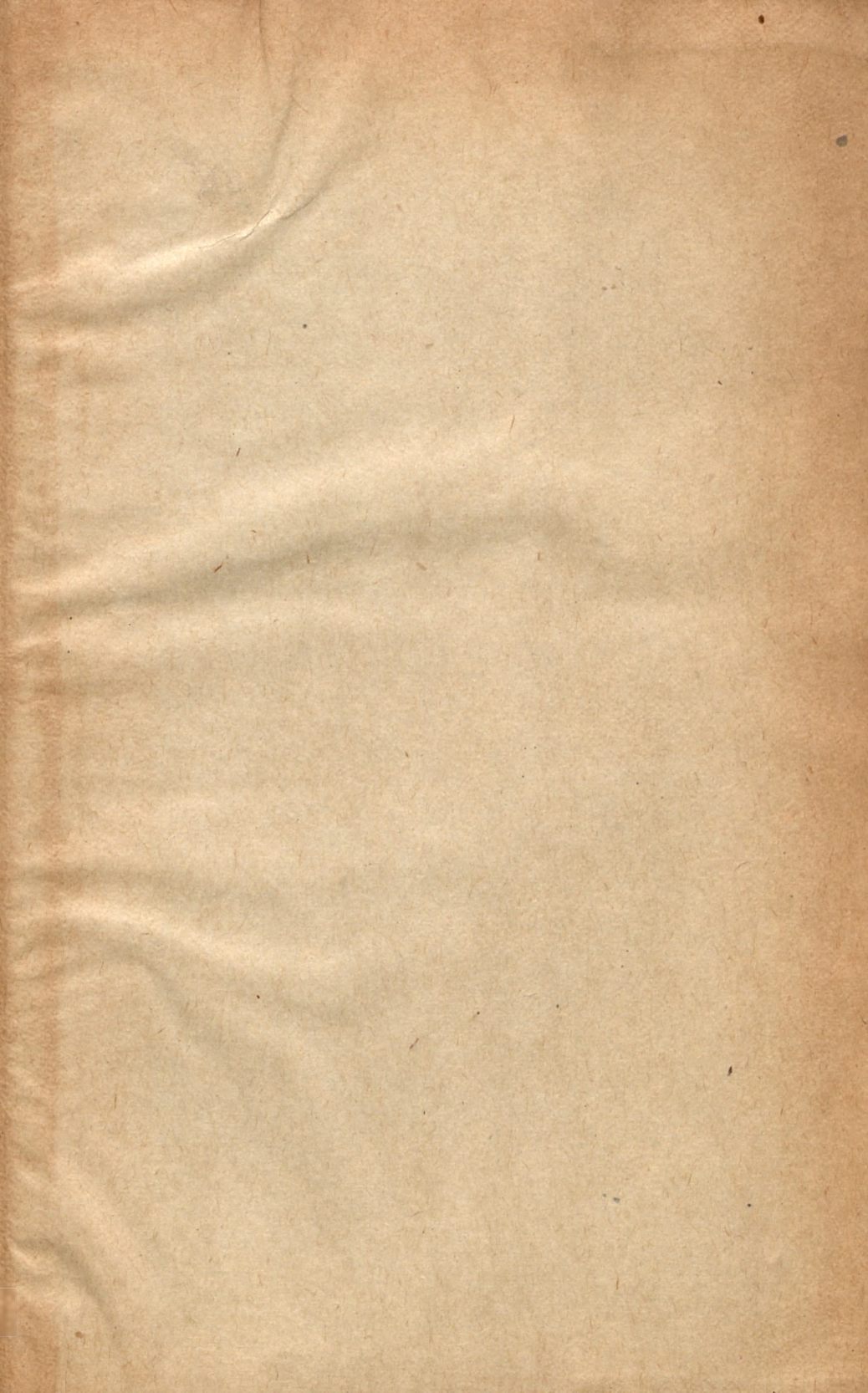


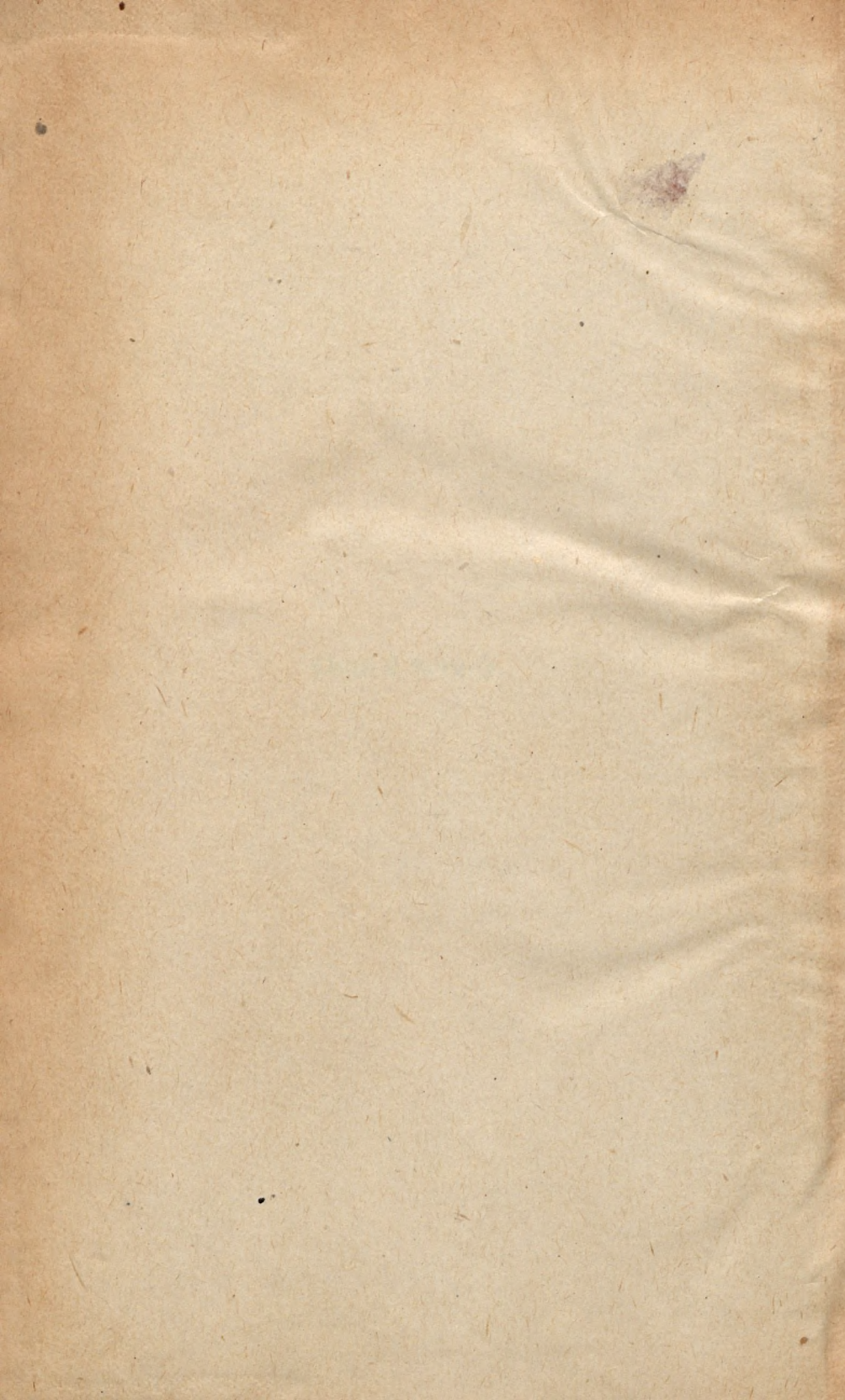




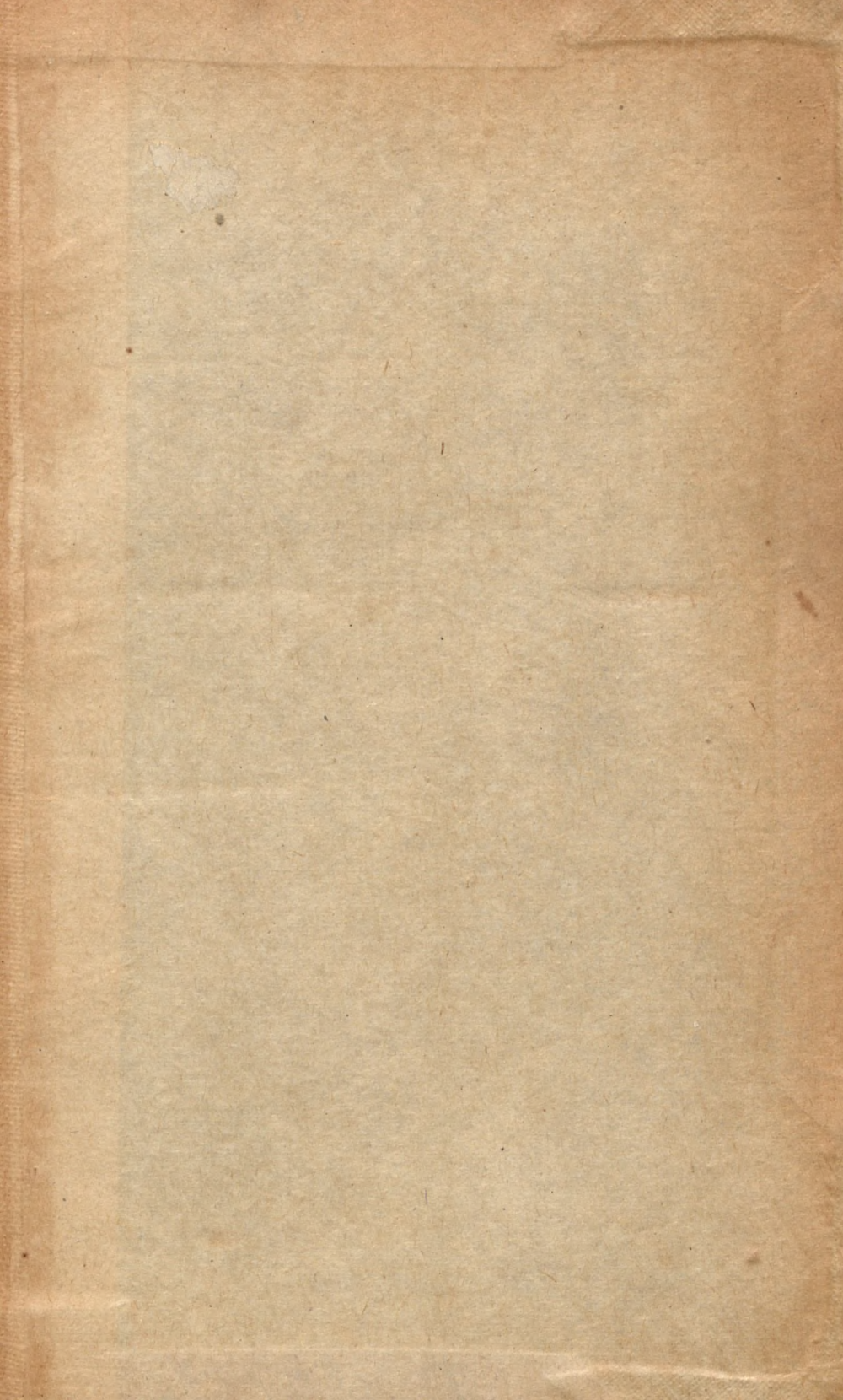
**Cena 2 korony.**













Biblioteka im. Hieronima  
Łopacińskiego w Lublinie

5145 c

1904 LBW

z. II.2000